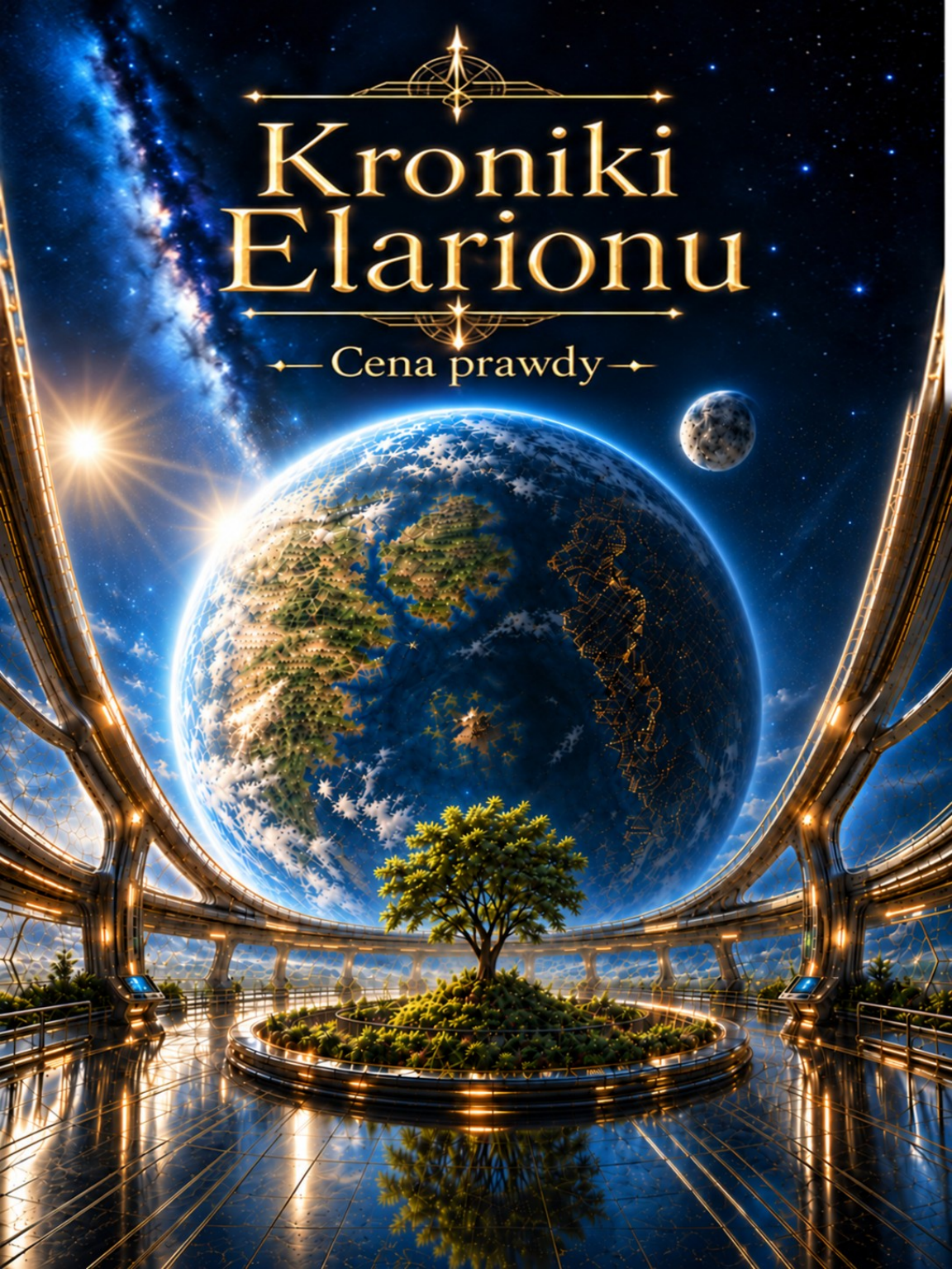
Kroniki Elarionu
Cena prawdy

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ I – ZIEMIA I ELARION.....5

1. ZIEMIA: OGRÓD GETSEMANI.....7
2. ZIEMIA: POCAŁUNEK JUDASZA II.....11
3. ELARION: SŁOŃCE ELARIONU.....12
4. ZIEMIA: MARIA MAGDALENA.....17
5. ELARION: NITRA, STOLICA UNII.....33
6. ZIEMIA: POCAŁUNEK JUDASZA.....48
7. ELARION: ZŁOTY KRĄG.....57
8. ZIEMIA: DZIEŃ PODZIAŁU.....59
9. ELARION: WARSTWA.....64
10. ZIEMIA: PRZEKLĘTE DRZEWO FIGOWE.....76
11. ELARION: MAREIA LIOREN.....95
12. ZIEMIA: JEZUS NA GÓRZE.....101
13. ELARION: ARIEN KORVETH.....105
14. ZIEMIA: POCZĄTEK NOWEGO POKOLENIA.....128

CZĘŚĆ II: PODZIAŁ JEDNEJ ZBRODNI.....133

15. 30 WALUT.....133
16. RANA OTRZYMUJE BUDŻET.....138
17. FUNDACJE OCHRONY.....143
18. BIO-AI BEZ NIENAWIŚCI.....149
19. LABORATORIA BEZ MAPY.....153
20. PODEJRZENIE MAREI.....158
21. TEST ŚLEPOTY.....165
22. WYJĄTKI.....176
23. OSTATNIA PŁATNOŚĆ.....184
24. PIERWSZA GORĄCZKA.....197

CZĘŚĆ III: ZARAZA ZŁOTEGO KRĘGU.....209

25. DOMY AURIOLI.....209

26. SYSTEMY BEZ CAŁOŚCI....217
27. IMIĘ, KTÓREGO BALI SIĘ WYPOWIEDZIEĆ....226
28. ZŁOTY KRĄG ZA SZKŁEM....232
29. GŁOS JESAIRA I MOST KU WSPÓLNEMU ELAROWI....240
30. JEDNA TRZECIA....255
31. ZA SZKŁEM....271
32. CI, KTÓRZY PRZYCHODZĄ....276

CZĘŚĆ IV: ELARION BEZ JEDNEJ TRZECIEJ....286

33. BRAKUJĄCE RĘCE....286
34. UDZIAŁ ŻYWYCH....298
35. FINANSOWY SZKIELET PANDEMII....307
36. CZŁOWIEK, KTÓRY MIAŁ MAPĘ....315
37. NIE TYLKO ARIEN....325
38. KONWENT PO JEDNEJ TRZECIEJ....330
39. JEDEN ELAR....345
40. CIĘŻAR WŁADZY....356

NAUKA DLA ZIEMI....381

Problem niekontrolowanej, rosnącej potęgi technologii na planecie....381
Korupcja i niewydolne państwo....382
Problemy związane z uchylaniem się od podatków....382
Zakończenie konfliktów zbrojnych i natychmiastowe wykrywanie wszelkich nadużyć finansowych....383
Sprawiedliwe i przejrzyste wprowadzanie UBI – powszechnego dochodu podstawowego....383
Wyzwania związane z wiecznym życiem – przejrzyste rozwiązywanie problemów demograficznych planety....384

RUCH POLITYCZNY HTTPS://HUMANITYUNITEDMOVEMENT.ORG....386

Zdrowy rozsądek jako podstawa polityki....386
Akademia polityczna....388
Globalny ruch dla globalnego świata....390

Przejrzystość jako podstawa zaufania....391
Postęp technologiczny i przyszłość pracy....393
Równość szans i godność człowieka....395
Myślenie długofalowe i odpowiedzialność za przyszłość....395
Jak powinien działać sam ruch....396
Co właściwie chcemy osiągnąć?....397
Apel do nowego pokolenia....398

Część I – Ziemia i Elarion

Nie każda odległość we wszechświecie oznacza rozłąkę.

Trzydzieści lat świetlnych to dla ciała przepaść. Dla światła – długa droga. Dla pamięci może mniej. W pewnym zakątku gwiezdnej przestrzeni dwie planety krążyły wokół swoich słońc. Nie powstały z tej samej materii i nie należały do tej samej gwiazdy. A jednak były do siebie podobne tak, jak podobne bywają dwa odległe sny.

Obie miały morza, które o poranku obracały się w srebro. Obie miały chmury, góry, rzeki, pustynie i krainy, gdzie wiatr przez całe wieki kreślił w pyle swoje ciche pismo. Na obu deszcz padał na kamienie, drzewa wyrastały z ziemi, a żywe istoty uczyły się odróżniać ból od pragnienia, strach od nadziei, to, co dane, od tego, co można zmienić.
Jedna z tych planet nazywała się Elarion.

Druga miała otrzymać imię Ziemia.

Leżały daleko od siebie, lecz nie tak daleko, by nie mogły kiedyś przebyć tej przestrzeni światło, myśl, wola lub coś jeszcze cichszego. Wszechświat zna nie tylko szlaki statków. Zna też powolne nurty oddziaływań, niewidzialne więzi między dziejami i osobliwe powroty rzeczy, które wydawały się utracone.
Te dwa światy łączyło więcej niż przypadkowe podobieństwo.

Nie w prosty sposób. Nie tak, by dało się to od razu nanieść na mapy czy zapisać w kronikach. Ich więź należała do tych rzeczy, które ukazują się dopiero z perspektywy czasu, kiedy los się dopełnia i człowiek nagle pojmuje, że wydarzenia pozornie odrębne przez cały czas były częścią jednego zdania.

Na Elarionie ludzie zaszli już wysoko. Ich miasta dotykały nieba, ich statki znały mrok między planetami, ich maszyny obliczały to, co niegdyś można było jedynie przeczuwać. Nauczyli się przedłużać życie, leczyć ciało, przemieniać pustynie, budować światy pod kopułami i patrzeć we własną przyszłość z odwagą istot, które zaczęły wierzyć, że niemal nic nie pozostaje niemożliwe na zawsze.

Lecz nawet najbardziej rozwinięte cywilizacje pozostają ludzkie, dopóki żyją w nich istoty zdolne kochać, zazdrościć, wybaczać, bać się i pragnąć władzy. A tam, gdzie jest człowiek, dzieje nigdy nie są wyłącznie dziejami techniki. Są także dziejami serca.
W owym czasie na Elarionie żyło dwoje ludzi.

Jesair Davion.

Mareia Lioren.

Ich imiona nie należały jeszcze do mitu. Były tylko imionami wypowiadanymi w pokojach, na drogach, w ogrodach, pośród przyjaciół i tych, którzy znali ich z bliska. Niektórym imionom pisany jest jednak osobliwy los. Najpierw należą do człowieka. Potem do bólu. Potem do pamięci. A w końcu powracają w postaci, której nikt już nie potrafi do końca rozpoznać. Ta opowieść zaczyna się na Elarionie, w świetle obcego słońca.
Jej echo nie pozostanie tam jednak na zawsze.

Są bowiem życia, które nie kończą się na granicy jednego świata. Są spotkania, które jakby wyprzedzały same siebie. I są miłości, które powracają w dziejach nie dlatego, że nie potrafią odejść, lecz dlatego, że nie powiedziały jeszcze wszystkiego.

1. Ziemia: ogród Getsemani

Kiedy wybrzmiały już paschalne psalmy, a Jerozolima pogrążała się w nocy, Jezus wyszedł ze swoimi uczniami za potok Cedron. Miasto za ich plecami wciąż oddychało ciepłem dnia, lecz w dolinach zalegał już chłód. Nad Górą Oliwną trwała cisza, jakby nawet kamienie wstrzymały oddech.

Dotarli do miejsca zwanego Getsemani. Był tam ogród, drzewa oliwne o poskręcanych pniach i cicho szeleszczących liściach. Uczniowie go znali; nie było to miejsce odświętne, lecz zwyczajne, miejsce samotności, do którego człowiek się chronił, gdy potrzebował rozmawiać z Bogiem bez świadków.

Jezus się zatrzymał. Jego twarz była spokojna, lecz nie był to spokój, który towarzyszy człowiekowi w łatwych chwilach. Był to spokój spajający coś głęboko wstrząśniętego.

– Usiądźcie tutaj – powiedział cicho – a ja pójdę się modlić.

Potem zabrał Piotra, Jakuba i Jana nieco dalej. Ci trzej szli za nim bez pytań. Czuli, że dzieje się coś, czego nie rozumieją. Jezus, który na ich oczach uzdrawiał chorych, uciszył burzę i przemawiał z mocą, jakiej nie słyszeli u nikogo innego, nagle szedł z większym trudem. Jakby każdy krok dźwigał ciężar, którego oni nie widzieli.

Wreszcie zwrócił się i do nich.

– Smutna jest moja dusza aż do śmierci – powiedział. – Zostańcie tutaj i czuwajcie ze mną.

Te słowa uderzyły w nich mocniej niż wyrzut. Piotr otworzył usta, jakby chciał jeszcze raz przyrzec wierność, lecz Jezus już odchodził. Niedaleko – zaledwie na odległość wzroku, tylko kawałek od nich – a jednak nagle otworzyła się między nimi przestrzeń, której nikt nie mógł przebyć.

Jezus zatrzymał się przy drzewie oliwnym. Wiatr musnął jego szatę. Nad nim drżały srebrzyste liście, a na ziemi leżały cienie niczym rozlana woda.

Ukląkł.

Potem upadł twarzą na ziemię.

I w tej chwili noc wokół niego stała się głębsza.

Przychodziły do niego jak żywe obrazy, ostrzejsze od snów czy zwykłych wspomnień – nieubłagane, bezlitosne.

Zobaczył pochodnie między drzewami.

Zobaczył kroki uzbrojonych mężczyzn, usłyszał szczęk metalu, szepty i rozkazy. A pośród nich Judasza. Jego twarz była blada, lecz zdecydowana. Szedł naprzód jak człowiek, który przekroczył już granicę i teraz boi się spojrzeć za siebie. Podszedł do niego i zamiast mieczem czy oskarżeniem wskazał go pocałunkiem.
W swoim widzeniu Jezus czuł dotyk ust Judasza na twarzy i wiedział, że tym znakiem go wydadzą.
„Przyjacielu" – odezwało się w nim słowo, które będzie musiał wypowiedzieć. Bolało bardziej niż więzy.

Obraz się zmienił.

Zobaczył dziedziniec domu arcykapłana. Ogień. Twarz służącej rozświetloną płomieniami. Piotra grzejącego się wśród obcych ludzi i unikającego spojrzeń. Usłyszał pytanie: „Ty też byłeś z nim?"
A potem usłyszał odpowiedź Piotra.

– Nie znam go.

Jezus zamknął oczy, ale widzenie nie zniknęło.

Drugie zaparcie się. Potem trzecie. Piotr podniósł głos, przerażony samym sobą, i przysiągł, że nie zna tego człowieka. Wtedy przez noc poniosło się pianie koguta. Ostre. Krótkie. Przeraźliwie wyraźne.
I Jezus zobaczył oczy Piotra w chwili, gdy ten sobie przypomni.

W oczach Piotra ujrzał przyjaciela złamanego własnym strachem.

Jezus zadrżał.

– Ojcze – wyszeptał – oni są prochem. Są słabi. A ja ich kocham.

Potem nadszedł kolejny obraz.

Dziedziniec. Szyderstwo. Twarz przesłonięta gradem ciosów. Trzcina w rękach żołnierzy. Ciernie wciśnięte w głowę. Krzyk tłumu falującego jak ogień na wietrze. Ręce, które go biły, lecz nie wiedziały, kogo dotykają. Usta, które z niego drwiły, lecz nie pojmowały, że oddech został im dany przez Boga.
Potem wzgórze.

Drewno krzyża.

Gwoździe.

Jezus widział swoje ręce rozciągnięte na belce. Widział żelazo przyłożone do skóry nadgarstka. Widział uniesiony młot. Jeszcze zanim opadł, jego ciało napięło się z bólu, jakby przyszłość przeniknęła przez teraźniejszość i odnalazła go już teraz.
Z ust wyrwał mu się cichy jęk.

Na czole wystąpiły krople potu. Z początku przejrzyste, potem ciemniejsze. Spływały między włosami i po skroniach, ciężkie i czerwone jak krople krwi. Padały na ziemię ogrodu Getsemani, w pył między korzeniami oliwek.
Jezus drżał, ale nie uciekał.

– Ojcze mój – powiedział głosem tak cichym, że słyszała go tylko noc – jeśli to możliwe, niech ominie mnie ten kielich.
Cisza.

Nie pusta cisza, lecz milczenie Ojca, który jest bliżej niż oddech, a jednak nie odbiera drogi, którą trzeba przejść.

Jezus przycisnął dłonie do ziemi. Palce zagłębiły się w glebie. Wizje nie ustawały. Widział matkę pod krzyżem. Widział stojącego przy niej ucznia, którego miłował. Widział ludzi odwracających twarze. Widział niebo, które zasnuje się chmurami. Widział, jak jego ciało będzie się unosić w skurczu, by zaczerpnąć powietrza. Widział pragnienie. Widział opuszczenie. Widział śmierć. I widział Marię Magdalenę, jak trzema palcami dotyka jego nadgarstka przebitego gwoździem.
A jednak poza tym wszystkim widział jeszcze coś innego.

Widział to niewyraźnie, niby cienki pas światła na skraju nocy.

Widział twarze, które jeszcze nie istniały. Ludzi z odległych czasów i krain. Widział grzeszników, którzy będą opłakiwać swoje winy. Widział chorych, którzy będą się trzymać jego imienia. Widział złamanych, którzy w jego ranach odnajdą nadzieję. Widział Piotra, który po upadku jeszcze raz powstanie. Widział uczniów, którzy się rozproszą, a potem powrócą. Widział, że miłość może przejść nawet przez zdradę, strach i śmierć – jeśli nie przestanie być miłością.
– Nie jak ja chcę – powiedział wreszcie – lecz jak ty chcesz.

Kiedy to wypowiedział, ciało nie przestało go boleć. Strach nie zniknął. Nie oddaliła się od niego nadchodząca godzina. W jego wnętrzu umocniło się jednak spokojne posłuszeństwo, które nie było klęską, lecz darem.
Podniósł głowę.

– Ojcze – prosił – daj mi siłę kochać ich do końca. Daj mi siłę nie przekląć tych, którzy będą mnie bić. Daj mi siłę spojrzeć na Piotra z miłosierdziem. Daj mi siłę przyjąć pocałunek Judasza bez nienawiści. Daj mi siłę nieść krzyż, kiedy moje ciało będzie upadać. Daj mi siłę pozostać twoim Synem nawet wtedy, gdy będę wyglądał jak człowiek opuszczony przez Boga.

Wtedy w ogrodzie poruszył się wiatr. Liście oliwek zaszumiały, jakby przesunęła się nad nim niewidzialna dłoń. Jezus oddychał ciężko, lecz już równiej. Krwawe krople na jego czole powoli stygły.

Kiedy wrócił do uczniów, zastał ich śpiących.

Piotr miał pochyloną głowę, Jakub milczał we śnie, a Jan oddychał niespokojnie, jakby i jego dotykała nadciągająca groza. Byli znużeni smutkiem. Słabi ciałem. Ludzcy.

Jezus przez chwilę na nich patrzył.

– Nie mogliście więc czuwać ze mną nawet przez jedną godzinę? – zapytał.

Nie był to tylko wyrzut. Był w tym ból człowieka, który w najcięższej chwili pozostał sam. Ale także czułość tego, kto znał ich słabość, zanim sami się do niej przyznali.

– Czuwajcie i módlcie się – powiedział – abyście nie ulegli pokusie. Duch wprawdzie jest ochoczy, lecz ciało słabe.

Potem znów zwrócił się ku ciemności ogrodu.

Wiedzieli tylko, że odchodzi się modlić.

On jednak wiedział, że wychodzi naprzeciw godzinie, która już kroczy drogą z pochodniami.

Uwagi autora do rozdziału:

Tekst w znacznej mierze czerpie z opisu sceny w ogrodzie Getsemani zawartego w Nowym Testamencie. Dodane zostały wizje przyszłości, których doświadcza Jezus.

2. Ziemia: pocałunek Judasza II

Kiedy podszedł do Jezusa w ogrodzie, noc przy murze powróciła z taką gwałtownością, że przez chwilę nie widział ani żołnierzy, ani pochodni.
Znów stał przed nim. Znów czuł własny oddech. Znów słyszał: dość.

Tylko że tym razem miał za sobą uzbrojonych mężczyzn.

– Bądź pozdrowiony, Rabbi – powiedział.

Jezus spojrzał na niego i Judasz zrozumiał, że wie o arcykapłanach i srebrze, lecz przede wszystkim rozumie, dlaczego wybrał właśnie ten znak.
Judasz go pocałował.

Tym razem na zewnątrz wyglądało to spokojniej. Krótko, publicznie, zgodnie ze zwyczajem. Ale właśnie dlatego straszniej. Pierwszy pocałunek był upadkiem pod naporem namiętności. Ten był jej martwym bliźniakiem: już nie prośbą o przyjęcie, lecz wskazaniem ofiary.
Jezus powiedział:

– Judaszu, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego?

A Judasz usłyszał w tym zdaniu także inne, niewypowiedziane:

Tym samym, czego kiedyś musiałem ci odmówić, teraz mnie wydajesz?

Judasz się cofnął.

Spodziewał się, że poczuje zwycięstwo. Choćby małe. Choćby gorzkie. Ale nie przyszło nic. Tylko pustka, w którą zaczął spadać.

Uwagi autora do rozdziału:

Tekst w znacznej mierze czerpie z opisu sceny zawartego w Nowym Testamencie. Rozważania Judasza zostały dodane i rozwinięte tak, by współgrały z resztą książki.

3. Elarion: Słońce Elarionu

Nad środkową częścią Elarionu słońce wschodziło powoli, jakby i ono potrzebowało chwili, by przyjrzeć się światu, który przez ostatnie stulecia zmienił się pod nim bardziej, niż ktokolwiek zdołał sobie wyobrazić.

Nazywano je po prostu Słońcem Elarionu. W dawnych językach miało wiele imion, w pieśniach Selenitów brzmiało miękko jak oddech lasu, na veyrańskich mapach nawigacyjnych oznaczano je precyzyjnym kodem widmowym, a w aureliańskich kronikach rodowych pisano o nim jako o oku, które pamięta wszystkie rody. Lecz dla większości ludzi było po prostu słońcem. Światłem nad miastami, ciepłem nad morzami, blaskiem na metalowych krawędziach pierścieni orbitalnych.
Z wysokości Elarion wyglądał jak planeta, której nic już nie mogło zagrozić.

Jego oceany łączyła sieć pływających pól energetycznych. Nad kontynentami zawisły warstwy transportowe, w których cicho przemieszczały się korytarze towarowe, moduły pasażerskie, autonomiczne statki i systemy ratownicze. Po nocnej stronie planety nie było miejsca, które całkiem by zgasło. Miasta świeciły jak układ nerwowy olbrzymiej żywej istoty.

Wokół równika szerokim łukiem ciągnął się pierścień orbitalny. Nie był ciągły jak okrąg narysowany ręką dziecka. Składał się z tysięcy stacji, doków, węzłów wydobywczych, ogrodów badawczych i kotwic energetycznych. Między nimi przemieszczały się floty zautomatyzowanych statków zmierzających ku Thaeronowi, drugiej planecie układu.

Thaeron był niegdyś jedynie twardą kulą pod cienkim niebem. Miał wodę, lecz za mało. Miał atmosferę, lecz taką, która bez uzdatnienia nie nadawała się do oddychania. Miał noc trwającą zbyt długo i pustynie, na których wiatr zachowywał się jak wróg. Mimo to już przed wiekami Elarianie postanowili, że nie pozostawią go martwym.
Najpierw wysłali tam maszyny.

Potem stacje.

Potem miasta pod kopułami.

Potem zamknięte ogrody i leśne kopuły.

A na końcu dzieci, które urodziły się na Thaeronie pod kopułami i uważały jego ostre światło za naturalne.

To właśnie Thaeron nauczył Elarion myśleć w kosmicznej skali z bardzo praktycznego powodu: cywilizacja mająca drugi świat w zasięgu ręki nie miała prawa pozostać przykuta do jednego. Thaeron był zapasowym oddechem. Skarbnicą surowców. Laboratorium przyszłości. Miejscem, do którego można było przenieść całe gałęzie przemysłu, całe programy badawcze, całe marzenia o przetrwaniu.
I tak Elarion rósł.

Rósł szybko.

Może zbyt szybko.

W ciągu ostatnich dwustu lat jego mieszkańcy nauczyli się leczyć choroby, które niegdyś wyludniały miasta. Uprawiali żywność w zamkniętych farmach, budowali z pomocą autonomicznych maszyn i przesyłali wodę przez kontynenty. Potrafili regenerować uszkodzone narządy, jeśli pacjent miał czas, a ciało wytrzymywało długie leczenie. Dlatego niektórym naukowcom śmierć zaczynała jawić się jako problem, który być może kiedyś lepiej zrozumieją; w szpitalach jednak nadal pozostawała rzeczywista.

Sztuczna inteligencja pracowała w szpitalach, szkołach, transporcie i sieciach finansowych. Potrafiła szybko odnaleźć prawidłowość w otrzymanych danych. Poszczególne systemy należały jednak do różnych państw i instytucji. Nawet najlepszy model nie mógł porównać zapisów, do których nie miał dostępu, a nawet najdokładniejsze obliczenie nie zastępowało człowieka, który musiał podpisać decyzję.
Elarion miał około dziewięciu miliardów mieszkańców.

Trzy wielkie odłamy.

Aurelianie.

Selenici.

Veyranie.

Wszyscy byli Elarianami. Dzielili planetę, miasta, dzieje, szkoły, miłości, konflikty, prawa i wspólne katastrofy. Różnice między nimi wykraczały jednak poza kulturę i politykę; zapisane były głębiej, w wewnętrznej budowie ciała, w dziedziczności i w sposobie, w jaki pewne cechy przechodziły z pokolenia na pokolenie.
Aurelianie nosili w oczach złoty krąg.

Nie zawsze był widoczny. Pojawiał się w określonym świetle, podczas gorączki, w silnym skupieniu, w bólu lub w chwilach, gdy człowiek dotykał granicy samego siebie. Dla Aurelian był znakiem ciągłości. Dla poetów dowodem, że dusza ma świetlisty brzeg.

Dla lekarzy zjawiskiem genetycznym. Dla polityków delikatną kwestią tożsamości. Dla niektórych ludzi dawnym powodem do nieufności.

Selenici słynęli z umiejętności wyczuwania równowagi systemów. Byli mocni w medycynie, psychologii, sieciach ekologicznych, w pracy z krajobrazem, wodą i traumą. Nie lubili, gdy mówiono o nich, że są łagodni. Łagodność była tylko powierzchnią. Pod nią kryła się twardość korzeni.

Veyranie byli organizatorami. Zarządcami, strategami, negocjatorami, budowniczymi instytucji. W wielu państwach zajmowali silną pozycję w sieciach bankowych, konsorcjach, zarządach, systemach transportowych i części struktur pozaplanetarnych. Niesprawiedliwością byłoby powiedzieć, że byli żądni władzy. Trafniej byłoby powiedzieć, że bardzo wcześnie pojęli jej język i nigdy go nie zapomnieli.

Elarion nie był zjednoczony.

Miał czterdzieści państw. Niektóre były stare jak pismo, inne powstały zaledwie kilka pokoleń wcześniej. Niemal każde miało własną walutę, własny bank centralny, własne zasady opodatkowania, własne wyjątki księgowe i własne wyobrażenia o wolności.

Niektóre z najmniejszych państw uczyniły ze swojej niewielkiej powierzchni model biznesowy. Nie miały dużych miast, fabryk ani ośrodków badawczych. Miały niskie podatki, zamknięte rejestry właścicieli i przepisy, według których tajemnica była usługą świadczoną przez państwo. Wartość powstawała gdzie indziej, ludzie pracowali gdzie indziej, a maszyny produkowały gdzie indziej, lecz na papierze zysk rodził się właśnie tam. Z Elarionu nie uciekały fabryki. Uciekała podstawa, z której miały być finansowane szkoły, szpitale i wspólny udział obywateli.

Największym, a zarazem najbardziej wpływowym technologicznie i politycznie państwem była Unia.

Jej stolicą była Nitra. Miasto zbudowane nad rzeką i na siedmiu wzgórzach.

W Nitrze często rozstrzygano sprawy, które przedstawiano jako krajowe, choć w istocie dotyczyły całej planety. W Nitrze miały siedziby rady finansowe, największe centra obliczeniowe, korpusy dyplomatyczne, konsorcja medyczne, węzły bankowe i archiwa, do których nie mieli dostępu nawet niektórzy ministrowie.

Oglądany z orbity Elarion wyglądał na sukces.

Z bliska widać było pęknięcia.

AI produkowała więcej, niż ludzie zdołali zużyć, lecz znaczna część ludności traciła tradycyjną pracę szybciej, niż społeczeństwo potrafiło nadać jej nowy sens. Produkcja rosła,

ale własność systemów produkcyjnych skupiała się w coraz mniejszej liczbie rąk. Politycy mówili o powszechnym dochodzie podstawowym, lecz nikt nie umiał uczciwie odpowiedzieć, na jakiej podstawie należałoby go wyliczać, kto ujawnia rzeczywiste zyski i kto decyduje o udziale człowieka w świecie, który nie wytwarza już dóbr jego rękami.

Postęp medycyny obiecywał coraz dłuższe życie, a być może kiedyś także życie niemal bez naturalnego kresu. Na razie tylko po cichu pojawiały się pytania, co stanie się z cywilizacją, jeśli ludzie nadal będą się rodzić, lecz stopniowo przestaną umierać.
Władza mówiła o bezpieczeństwie.

Obywatele mówili o wolności.

Banki mówiły o prywatności.

Państwa mówiły o suwerenności.

A pod wszystkimi tymi słowami płynęły pieniądze.

Niektóre na widoku. Większość nie.

W tym krył się przyszły upadek.

Przyszły upadek nie wynikał z niedostatku inteligencji. Elarion miał jej więcej niż jakakolwiek wcześniejsza cywilizacja.
Maszyn również mu nie brakowało; potrafiły przewidywać burze, epidemie, ruchy rynków i napięcia w miastach.
Nie brakowało też moralnych słów. Miał ich zbyt wiele.

Jego słabość leżała gdzie indziej.

Władza nauczyła się poruszać tak, by nie pozostawiać widocznego cienia.

A kiedy władza nie rzuca cienia, zwykli ludzie myślą, że między nimi a światłem nikt nie stoi.

W roku, w którym zaczyna się ta opowieść, Słońce Elarionu wschodziło nad planetą przekonaną, że największe zagrożenia należą już do przeszłości.
Na Thaeronie otwierano nowe kopuły.

W Nitrze przygotowywano wielką debatę o UBI.

W aureliańskim domu Davionów pewien mężczyzna znów bronił się przed nazywaniem go dziedzicem cudów.

Pewna kobieta zastanawiała się, czy powinna na zawsze odejść od mężczyzny, którego zdążyła się już nauczyć bać.

Pewna siostra bez złotego kręgu patrzyła na dane finansowe i czuła, że brakuje w nich czegoś, co powinno być widoczne.
A pewien Veyranin, który pomylił miłość z własnością, nie wiedział jeszcze, że któregoś dnia przyzna swojemu bólowi budżet.
Świat był piękny.

I właśnie dlatego nikt nie chciał uwierzyć, że może się złamać.

Uwagi autora do rozdziału:

Wszystko, co książka opisuje jako wydarzenia na Elarionie, jest fikcją. Moim zdaniem prawdopodobieństwo istnienia humanoidalnych cywilizacji na innych planetach jest jednak bardzo wysokie. A wiele z nich zapewne dzieli z ludzkością na Ziemi bardzo podobny ogólny zarys losu.

4. Ziemia: Maria Magdalena

Magdala leżała nad wodą, a woda była tam wszędzie.

Była w sieciach, które rano lśniły na brzegu. Była na dłoniach rybaków strząsających ją z lin i włosów. Była w glinianych dzbanach kobiet przemierzających uliczki jeszcze przed wschodem słońca. Była w powietrzu, w słonym oddechu jeziora, w krzyku ptaków i w zapachu ryb, który przylegał do miasta niczym druga skóra.
A jednak Maria czuła pragnienie.

To pragnienie tkwiło głębiej niż w gardle czy ciele; było surowe, budziło ją pośród nocy, zmuszało, by usiadła w ciemności, wsłuchiwała się we własny oddech i czekała, czy znów nie wydobędzie się z niego obcy głos.
W Magdali mówiono o niej szeptem.

Jedni twierdzili, że jest chora. Inni, że przeklęta. Jeszcze inni, że przydarzyło jej się coś, co nie powinno przydarzyć się kobiecie, i że od tamtej pory jej dusza błąka się po domu niczym dym. Dzieci się jej bały, kobiety żegnały się na jej widok, mężczyźni udawali, że jej nie widzą. Kiedy przechodziła przez targ, rozmowy milkły. Kiedy podnosiła oczy, ludzie odwracali twarze.
Maria nauczyła się więc chodzić tak, by nikomu nie zawadzać.

Lecz w jej wnętrzu panował hałas.

Nie zawsze były to głosy. Czasem tylko podmuchy, jak wtedy, gdy wiatr uderza w drzwi. Niekiedy wydawało jej się, że jej myśli nie należą do niej. Że siedzi w niej wiele istot i każda chce czegoś innego. Jedna się śmiała. Jedna płakała. Jedna szeptała jej, że Bóg ją odtrącił. Jedna zmuszała ją do wspominania rzeczy, o których chciała zapomnieć. Jedna bała się ludzi. Jedna nimi gardziła. Jedna chciała pobiec nad wodę i nie wrócić.
A siódma milczała.

Ta była najgorsza.

Siedziała głęboko w niej, bez głosu i bez imienia, i tylko czekała. Kiedy przychodziła, Maria nie czuła nic. Ani bólu, ani wstydu, ani strachu. Tylko pustkę. Jakby ktoś wyjął jej serce i zostawił w piersi jamę, przez którą hula zimny wiatr.
Tego dnia usłyszała o Jezusie, zanim jeszcze go zobaczyła.

Przyszedł od strony Kafarnaum, mówili ludzie. Nauczał w synagogach. Mówił o królestwie Bożym, lecz inaczej niż uczeni w Piśmie. Uzdrawiał chorych. Dotykał nieczystych. Jadał z tymi, których pobożni nie chcieli mieć przy stole. A byli i tacy, którzy mówili, że rozkazuje złym duchom, a one są mu posłuszne.
Maria z początku się roześmiała.

Nie na głos. Tylko w sobie. Gorzko.

Jeszcze jeden święty mąż, pomyślała. Jeszcze jeden, który będzie mówił o grzechu, pokucie i czystości, a gdy zobaczy taką kobietę jak ona, podciągnie skraj szaty, żeby go nie dotknęła.
Nie poszła za nim.

Przynajmniej tak jej się wydawało.

Lecz kiedy po południu miasto ruszyło ku brzegowi, ruszyła wraz z nim. Z początku tylko po to, by zobaczyć, dlaczego wszyscy cisną się w jednym kierunku. Potem dlatego, że niósł ją tłum. A w końcu dlatego, że coś w niej – nie głos, nie demon, raczej dawno zapomniana resztka własnej woli – chciało usłyszeć choć jedno zdanie, które nie zabrzmi jak potępienie.
Jezus stał niedaleko wody.

Nie był taki, jak go sobie wyobrażała. Nie miał na sobie niczego, co odróżniałoby go od innych galilejskich mężczyzn. Sandały były zakurzone. Szata zwyczajna. Twarz zmęczona drogą i słońcem. Obok stali mężczyźni, niektórych rozpoznawała po mowie i dłoniach – rybacy. Jeden z nich był potężny, o niespokojnych oczach. Inny młodszy, cichy, jakby wszystko zapisywał w pamięci.
Były tam również kobiety.

To ją zaskoczyło. Nie na uboczu, nie tylko jako słuchaczki na obrzeżu. Stały blisko. Jedna miała postawę kobiety z dobrego domu, druga niosła koszyk chleba, inna rozmawiała z uczniami tak swobodnie, jakby do nich należała.
Jezus mówił o siewcy.

O ziarnie, które padło na drogę, na skałę, między ciernie i na dobrą ziemię. Maria słuchała i miała wrażenie, że każde słowo pada gdzie indziej. Niektóre na stwardniałe miejsca w jej wnętrzu. Niektóre na płycizny, gdzie nic nie mogło się utrzymać. Niektóre między ciernie strachu. A jedno – jedno jedyne – gdzieś głębiej.
– Kto ma uszy do słuchania – powiedział Jezus – niechaj słucha.

Wtedy ją dostrzegł.

A może nie było to ścisłe. Może dostrzegł ją już wcześniej, jeszcze zanim podniosła oczy znad pyłu. Może widział ją od pierwszej chwili, kiedy tłum się poruszył i znalazła się pośród ludzi, którzy nauczyli się ją omijać tak, jak omija się kamień na drodze.
Jezus umilkł w połowie zdania.

Stojący przy nim Piotr nachylił się ku niemu, jakby chciał spytać, czy ma kontynuować. Jan spojrzał w kierunku, w którym patrzył Mistrz. Kilkoro ludzi w tłumie także się odwróciło.
Maria poczuła to, zanim zrozumiała.

Spojrzenie.

Spojrzenie, którym ją obdarzył, nie przypominało niczego, co znała z Magdali. Nie było w nim strachu, odrazy, ciekawości ani wyniosłego współczucia ludzi czystych, które czasem bywa okrutniejsze od pogardy.
To spojrzenie nie szukało jej po to, by ją zdemaskować.

To spojrzenie ją znało.

I właśnie dlatego chciała przed nim uciec.

Jezus stał niedaleko wody i na nią patrzył. W tej chwili jakby przestał słyszeć nawoływania rybaków, szmer tłumu, plusk fal i niespokojne pytania uczniów. Wszystko się oddaliło i pozostała przed nim tylko kobieta w fałdach płaszcza, z rękami schowanymi przy ciele i lekko uniesionymi ramionami, jakby stale spodziewała się ciosu.
Widział w niej cierpienie.

To było oczywiste.

Widział w niej ciemność, która przylgnęła do jej duszy jak własna skóra. Widział poszarpane noce, wstyd, strach, gniew, pustkę. Widział siedem cieni kłócących się w niej o jej imię.
Ale jeszcze przed tym wszystkim zobaczył coś innego.

Bliskość.

Przyszła nagle i cicho. Jak wtedy, gdy człowiek wchodzi do obcego domu i czuje zapach, który znał w dzieciństwie. Jak wtedy, gdy w pieśni odzywa się ton niesłyszany od lat, a mimo to wiadomo, co zabrzmi dalej. Jezus patrzył na nią, a w jego wnętrzu poruszyło się coś starszego niż wspomnienie.
Nie umiał nazwać tego ludzkim słowem.

Jakby ich dusze niegdyś minęły się w świetle, z którego ludzie przychodzą na świat, a teraz na moment rozpoznały się poprzez pył, chorobę, wstyd i ludzkie ciała.

Maria z Magdali.

Nikt jeszcze nie wypowiedział tego imienia, a jednak zdawało mu się, że je zna.

Nie tak, jak zna się imię, które się usłyszało. Raczej tak, jak pasterz zna głos owcy zagubionej w nocy. Jak matka rozpoznaje kroki dziecka za drzwiami. Jak Bóg zna człowieka, zanim ten nauczy się wymawiać własne imię.

Maria stała w tłumie i walczyła sama ze sobą.

Jezus widział, jak jej usta lekko się poruszyły, choć nie mówiła. Widział, jak palce zacisnęły się na tkaninie. Widział, jak coś w niej podnosi się przeciwko niemu, zanim jeszcze się do niej odezwał.

A jednak – pod tym wszystkim – była ona.

Pod chorobą, wstydem i wszystkimi imionami, którymi określali ją ludzie, widział po prostu ją.

I właśnie ta ukryta Maria od razu wydała mu się bliska.

Była to bliskość, której nie potrafił wyjaśnić.

Aż go zabolała.

Bo w tej chwili widział nie tylko jej obecną twarz. Widział jakby cienie dróg, których nie przebyła, a które przecież w niej były. Widział dziewczynę nad wodą, jeszcze wolną od słów, które ludzie później przylepią do jej skóry. Widział kobietę budzącą się nocą w przerażeniu, niepewną, czy głos w jej głowie należy do niej, czy do kogoś obcego. Widział jej przyszłość, choć jeszcze nie nadeszła: kroki podążające za nim, ręce niosące chleb, twarz pod krzyżem, płacz przy grobie.

A w tej odległej przyszłości – w ogrodzie, jeszcze po ciemku – zobaczył ją znowu.

Będzie stała złamana żalem i będzie myślała, że utraciła także ostatnie światło. Będzie go szukać wśród umarłych. A on znów zwróci się do niej po imieniu.

Maria.

To imię zabrzmiało w nim już teraz.

Zanim jeszcze wypowiedział je na głos.

Zrobił krok w jej stronę.

Wtedy nagle uniosła oczy. Ich spojrzenia się spotkały.

Maria znieruchomiała.

Była przyzwyczajona do ludzkich spojrzeń. Do strachu. Do potępienia. Do męskiej ciekawości. Do kobiecej pogardy. Do spojrzeń tych, którzy chcą pomóc, lecz najpierw potrzebują, żeby cierpiący wyglądał zgodnie z ich wyobrażeniem o cierpieniu.
To spojrzenie było inne.

Nie wdzierało się w nią przemocą. Nie oglądało jej. Nie szukało skazy, którą mogłoby nazwać. Nie ważyło jej winy. Nie szacowało jej ceny.
Znało ją.

To było najstraszniejsze.

I najpiękniejsze.

Maria poczuła nagle, że przed tym mężczyzną nie sposób się ukryć. Nie dlatego, że chciałby ją obnażyć przed tłumem, lecz dlatego, że wobec niego musiałaby przestać ukrywać się także przed samą sobą. A to było gorsze niż wszystkie pogardliwe spojrzenia Magdali.
Cofnęła się o krok.

– Nie – wyszeptała.

Jezus się zatrzymał.

– Nie bój się.

Te słowa uderzyły w nią z nieoczekiwaną siłą. Ile razy ludzie mówili jej już, żeby się nie bała? Zawsze jednak oznaczało to: uspokój się, bo nas przerażasz. Albo: opanuj się, bo nam przeszkadzasz. Albo: bądź cicho, bo nie wiemy, co z tobą zrobić.
U niego znaczyły coś innego.

Nie bój się, bo cię znam.

Nie bój się, bo nie jesteś tylko tym.

Nie bój się, bo to, co cię trzyma, nie jest silniejsze od Tego, który cię woła.

Maria zadrżała.

– Ty mnie nie znasz – powiedziała.

Jezus patrzył na nią długo, z cichą pewnością, która budziła w niej wspomnienie czegoś, czego nigdy nie przeżyła.
– Znam – powiedział.

Tłum wokół nich umilkł.

– Skąd? – zapytała Maria.

W jej głosie brzmiał bunt, lecz pod nim kryła się prośba.

Jezus nie odpowiedział od razu.

Spojrzał na jezioro. Wiatr przesunął się po tafli i rozbił światło na tysiąc drobnych iskier. Potem znów zwrócił się ku niej.
– Stamtąd – powiedział cicho – skąd Bóg woła każdego człowieka po imieniu, zanim ten się narodzi.

Maria nie rozumiała słów, lecz zrozumiała ton.

I w tej chwili, całkiem niespodziewanie, odezwało się w niej wspomnienie bez obrazu. Miała wrażenie, że już kiedyś przed nim stała – gdzieś poza Magdalą, jeziorem i tym życiem, zbyt ciasnym i bolesnym, by pomieścić takie światło.
Jakby dusza poznała go wcześniej niż oczy.

I właśnie tego ciemność w niej nie mogła znieść.

Najpierw zakręciło jej się w głowie. Potem ścisnęło jej się gardło. Tłum nagle się oddalił, choć stał wokół niej. Dźwięki rozpadły się na ostre odłamki: śmiech dziecka, szelest tkaniny, plusk fal, męski kaszel, bicie własnego serca.
Nie teraz, pomyślała.

Nie tutaj.

Chciała odejść, lecz nogi nie słuchały. Kobieta stojąca obok zauważyła, że Maria blednie, i się odsunęła. Ktoś wypowiedział jej imię. Ktoś inny powiedział coś o demonach. Przestrzeń wokół niej otworzyła się tak szybko, jak woda rozstępuje się przed kamieniem.
A potem odezwał się głos.

Nie Jezusa.

Ten w niej.

– Precz – wyszeptała Maria, lecz nie wiedziała, czy mówi to do tłumu, do siebie, czy do tego, co się w niej podnosiło.

Ręce zaczęły jej drżeć. Chciała schować je pod płaszczem, ale było już za późno. Ludzie się cofali. Widziała strach na ich twarzach. Ten znajomy strach, który towarzyszył jej od lat. Strach mówiący: Widzisz? Taka jesteś. Taka będziesz zawsze.
Wtedy przez tłum przeszedł Jezus.

Nikt nie musiał torować mu drogi. Ludzie rozstąpili się sami.

Maria spuściła oczy. Nie chciała widzieć jego twarzy. Nie chciała widzieć odrazy. Współczucie byłoby jeszcze gorsze.

Zatrzymał się przed nią.

– Spójrz na mnie – powiedział.

Jego głos nie był twardy. Nie był też miękki. Był pewny, jakby wspierał się na czymś, czego nie sposób poruszyć.

Maria nie podniosła głowy.

– Nie mogę – wyszeptała.

– Dlaczego?

Roześmiała się. Krótko, z rozpaczą.

– Bo ich zobaczysz.

– Kogo?

– Tych, którzy są we mnie.

Przez chwilę panowała cisza.

Potem Jezus powiedział:

– Widzę ciebie.

Te słowa uderzyły w nią gwałtowniej niż krzyk.

Widzę ciebie.

Widzę ciebie. Pod chorobą, wstydem, głosami i opowieścią, którą snuło o tobie miasto.

Ciebie.

Maria podniosła oczy.

Jezus patrzył na nią bez ciekawości, bez strachu i bez odrazy. I właśnie dlatego było to nie do zniesienia. Gdyby ją potępił, wiedziałaby, co robić. Gdyby się cofnął, potwierdziłby świat, który znała. Ale on stał. Blisko. Spokojnie. Jakby nie widział w niej siedliska zepsucia, lecz pole bitwy, na które przybył kogoś ocalić.

– Nie zbliżaj się – powiedziała.

– Dlaczego?

– Skrzywdzę cię.

– Nie – powiedział.

– Tego nie wiesz.

– Wiem.

Wtedy wezbrał w niej opór. Nie jej własny. Stary, wściekły, zwierzęcy. Usta się otworzyły, lecz słowa, które z nich padły, nie były prośbą.

– Czego chcesz od nas, Jezusie Nazarejczyku?

Tłum gwałtownie zaczerpnął tchu.

Maria słyszała własny głos, a zarazem go nie poznawała. Wstyd zalał ją jak gorąca krew. Chciała rzucić się na ziemię, zakryć usta, zniknąć. Lecz Jezus się nie poruszył.

– Dość – powiedział.

To jedno słowo było ciche, ale Maria miała wrażenie, że przeszło przez nie całe niebo.

Niektórzy spodziewali się krzyku. Zaklęć. Wielkiego gestu. Czegoś, o czym można by wieczorem opowiadać przy ogniu.

Lecz Jezus po prostu stał przed nią i mówił z mocą człowieka, który nie prosi ciemności o pozwolenie.

– Już nie będziecie w niej mieszkać.

Maria zgięła się wpół, jakby ktoś położył jej na barkach ciężki kamień. Z gardła wyrwał się płacz, potem krzyk, potem nic. Osunęła się na kolana. Oparła dłonie o ziemię. Pył przylgnął do skóry. Czuła, jak jeden po drugim gasną w niej głosy.

Pierwszy bronił się złością.

Drugi drwiną.

Trzeci strachem.

Czwarty wspomnieniami.

Piąty wstydem.

Szósty rozpaczą.

A siódmy – ten milczący – trzymał się najdłużej. Nie mówił nic. Tylko ciągnął ją z powrotem ku pustce, ku znajomemu chłodowi, gdzie nie trzeba mieć nadziei, bo nadzieja jest jedynie innym rodzajem bólu.

Jezus ukląkł obok niej.

– Mario – powiedział.

Jej imię.

Jezus wypowiedział samo jej imię, bez przezwisk, oskarżeń i wszystkiego, co inni przez lata do niego dołączali.

Maria.

I w tej chwili ostatnia pustka w niej pękła.

To nie był krzyk. Raczej wdech. Pierwszy prawdziwy wdech od lat.

Poczuła zapach jeziora. Pył pod dłońmi. Ciepło słońca na karku. Słyszała ptaki. Ludzi. Fale. A pod tym wszystkim ciszę – nie martwą ciszę siódmego demona, lecz ciszę po burzy, w której można żyć.

Rozpłakała się.

Płakała z ulgą człowieka, któremu ktoś otworzył zamknięty pokój i powiedział: Wyjdź. Nie musisz już zostawać w środku.

Jezus nie położył jej od razu ręki na głowie. Został przy niej i poczekał, aż jej oddech się uspokoi.

Potem dotknął jej ramienia z prostotą brata.

– Jesteś wolna – powiedział.

Maria tego nie rozumiała.

Wolność była słowem dla mężczyzn, którzy nie mieli długów. Dla narodów, które nie podlegały Rzymowi. Dla ptaków nad jeziorem. Nie dla niej.

– Co mam teraz robić? – zapytała.

Jezus lekko się uśmiechnął.

– Żyj.

Ta odpowiedź niemal ją rozgniewała. Była zbyt prosta. Zbyt trudna.

– Nie wiem jak.

– Nauczysz się.

– Ludzie będą pamiętać.

– Tak.

– Będą mówić.

– Tak.

– Będą się bać.

– Niektórzy.

– A ty?

– Ja wiem, kim jesteś.

Maria patrzyła na niego, a na jej twarzy ulga mieszała się z nieufnością. Jakby bała się, że każde dobre słowo może rozsypać się przy następnym oddechu. Jakby przez całe życie stała na ziemi, która rozstępowała się pod jej stopami, a teraz po raz pierwszy nie wiedziała, co począć z twardym gruntem pod nogami.
Jezus podał jej rękę.

Maria przez chwilę na nią patrzyła.

Jego dłoń była ciepła, mocna, zwyczajna. Dłoń człowieka, który wędruje drogami, dotyka chorych, łamie chleb, podnosi dzieci z ziemi. Nie było w niej żadnego popisu mocy. A jednak gdy wyciągnął do niej rękę, Maria poczuła, jakby pochylało się nad nią całe miłosierdzie świata.
Powoli włożyła swoją dłoń w jego.

Wstał pierwszy i pomógł jej się podnieść.

I właśnie wtedy wydarzyło się coś, czego nikt inny nie zauważył tak jak oni dwoje.

Maria powinna była puścić jego rękę. Już stała. Nie potrzebowała się podtrzymywać. Tłum znów zaczynał się poruszać. Uczniowie odetchnęli. Jakaś kobieta przyniosła wodę. Dziecko, które przed chwilą schowało się za płaszcz matki, teraz wysunęło głowę i przyglądało się jej z ciekawością.
Lecz ręka Marii poruszyła się sama.

Zamiast puścić Jezusa, przyłożyła trzy palce do wewnętrznej strony jego nadgarstka.

Delikatnie.

Precyzyjnie.

Jak człowiek, który zna gest na długo, zanim się go nauczy.

Jezus zamarł.

Trwało to tylko chwilę. Tak krótką, że Piotr zobaczył jedynie, iż kobieta dotknęła ręki Mistrza. Jan zobaczył tylko, że Jezus na moment umilkł. Stojąca nieopodal Joanna zobaczyła jedynie, że Maria jeszcze nie całkiem doszła do siebie. Tłum widział tylko koniec niezwykłego wydarzenia, o którym wieczorem będzie mówiło całe miasto.
Ale Jezus czuł ten dotyk.

Trzy palce na nadgarstku.

A wraz z tym dotykiem przyszło coś, co nie należało do tego brzegu, tego dnia ani tego ciała.

Maria wyszeptała:

– Nie odchodź sam.

Kiedy to powiedziała, sama się przestraszyła.

Słowa wypłynęły z jej ust, zanim zdążyła je zrozumieć. Spojrzała na niego, jakby chciała przeprosić, lecz nie wiedziała za co. W oczach miała zamęt. Nie wstyd, nie strach przed tłumem, lecz głębokie zdumienie człowieka, który właśnie wypowiedział zdanie ze snu, którego nigdy nie pamiętał.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałam – wyszeptała.

Jezus nie odpowiedział od razu.

Patrzył na swój nadgarstek, na miejsce, w którym nadal czuł nacisk jej trzech palców. Potem spojrzał na nią.

Na jego twarzy poruszyło się coś tak subtelnego, że nieuważny człowiek uznałby to za współczucie. Lecz nie było to tylko współczucie. Były w tym ból, zdumienie i ciche rozpoznanie, do którego nie chciał jeszcze przyznać się nawet przed sobą.

– Może przypomniałaś sobie coś, czego nie potrafisz jeszcze nazwać – powiedział.

Maria wstrzymała oddech.

– Co takiego?

Jezus na chwilę zapatrzył się w jezioro. Światło załamywało się na tafli, a wiatr niósł od wody woń ryb, soli i mokrych lin. Wszystko było zwyczajne. A jednak zdawało mu się, że za tym zwyczajnym światem na moment otworzyły się inne drzwi.

Nie widział niczego wyraźnie.

Tylko przebłysk.

Kobietę idącą u jego boku.

Ulica, jezioro i imiona były inne.

Ale te same oczy.

Ten sam dotyk.

Trzy palce na jego nadgarstku.

I to samo zdanie, wypowiedziane kiedyś dawno, w innym pyle, pod innym niebem:

Nie odchodź sam.

Potem obraz zniknął.

Jezus znów spojrzał na Marię z Magdali.

– Wierność – powiedział w końcu.

Maria nie rozumiała.

Lecz słowo w niej pozostało.

Wierność.

Wierność pozostała w niej jak droga, którą dusza wybiera, zanim jeszcze dowie się, jaką cenę za nią zapłaci.
Maria spuściła oczy.

– Wybacz – powiedziała. – Nie chciałam...

– Wiem.

– To było dziwne.

– Tak.

– Boję się tego.

Jezus uśmiechnął się lekko, lecz w tym uśmiechu nie było beztroski.

– Nawet rzeczy pochodzące od Boga mogą przestraszyć człowieka.

Maria spojrzała na niego.

– Czy to pochodziło od Boga?

Jezus milczał.

Gdzieś za nimi rozległ się krzyk dziecka. Uczniowie znów zaczęli się poruszać. Tłum powoli oddychał, jakby świat wracał w swoje zwykłe granice.
Lecz między nimi dwojgiem pozostało już coś, co w tych granicach się nie mieściło.

Kobieta, która wcześniej stała blisko uczniów, podeszła do Marii i podała jej wodę.

Maria wzięła naczynie obiema rękami. Piła powoli. Woda była ciepła i smakowała gliną. Była to najlepsza woda, jaką kiedykolwiek piła.
– Jak masz na imię? – zapytała ją cicho kobieta.

Maria przez chwilę się wahała, jakby musiała na nowo przyswoić sobie własne imię.

– Maria.

– Ja jestem Joanna.

Maria skinęła głową. Zapamiętała to imię. Później zapamięta również inne. Zuzanna. Salome. Maria Jakubowa. Kobiety, które niosły jedzenie, pieniądze, wiadomości, obawy, wiarę. Kobiety, które nie zawsze będą stały na przedzie, ale będą tam, kiedy wielu zniknie.
– Pójdziesz do domu? – zapytała Joanna.

Maria obejrzała się w stronę miasta.

Magdala stała tam, gdzie zawsze. Domy, ulice, targ, oczy za zasłonami. Miejsce, w którym znano ją z jej najgorszych dni. Miejsce, w którym każda ściana niosła echo czegoś, co chciała zostawić za sobą.
Potem spojrzała na Jezusa.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– Do innych miast – powiedział. – Głosić królestwo Boże.

– I zabierasz ze sobą także takich jak ja?

Jezus popatrzył na nią, jakby zapytała o coś, co go zasmuciło.

– Właśnie takich.

Maria pochyliła głowę.

W tej chwili nie wiedziała jeszcze, dokąd zaprowadzi ją ta droga. Nie wiedziała, że będzie słuchać przypowieści, których nie zrozumie od razu, lecz które będą w niej dojrzewać jak ziarno. Nie wiedziała, że zobaczy niewidomych otwierających oczy, chromych podnoszących się, pysznych odchodzących w oburzeniu i ubogich prostujących plecy.
Nie wiedziała, że pewnego dnia pójdzie za nim aż do Jerozolimy.

Nie wiedziała, że będzie stała nieopodal krzyża, kiedy wielu się rozpierzchnie.

Nie wiedziała, że zobaczy, gdzie złożą jego ciało.

Nie wiedziała, że pójdzie po ciemku do grobu z bólem tak wielkim, iż wyda jej się, że wszystkie siedem demonów mogłoby powrócić – a jednak nie powrócą.
Nie wiedziała, że w ogrodzie będzie płakać i szukać umarłego, dopóki żywy nie odezwie się do niej tak samo jak dzisiaj:

Mario.

I że wtedy go rozpozna.

Teraz wiedziała tylko, że w jej wnętrzu panuje cisza.

Jezus zwrócił się do ludzi. Niektórzy wciąż czekali, aż wyjaśni, co się wydarzyło. On jednak powiedział tylko:
– Przybliżyło się królestwo Boże.

Maria stanęła pewniej.

Kolana wciąż jej drżały. Miała potargane włosy, twarz mokrą od łez i ręce w pyle. Wyglądała jak człowiek, który przegrał walkę.
Lecz po raz pierwszy od wielu lat czuła, że ją wygrała.

Joanna pomogła jej poprawić płaszcz.

Maria spojrzała na nią i chciała podziękować, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Nadal czuła w palcach ciepło nadgarstka Jezusa. Nadal słyszała własny szept.
Nie odchodź sam.

Nie wiedziała, skąd przyszły te słowa. Nie wiedziała, dlaczego wydawały jej się zarazem obce i własne. Wiedziała jednak, że już się od nich nie uwolni. Odtąd będą w niej mieszkały jak mały płomień, który człowiek osłania dłonią przed wiatrem.
Jezus szedł już wzdłuż brzegu.

Uczniowie ruszyli za nim. Tłum powoli rozpadał się na grupki, głosy, domysły. Niektórzy wciąż unikali jej wzroku. Inni patrzyli zbyt długo. Jeden mężczyzna szeptał drugiemu coś o cudzie. Jakaś kobieta płakała. Dziecko się uśmiechało, choć nie wiedziało dlaczego.
Maria stała między miastem a drogą.

Za nią była Magdala.

Przed nią Jezus.

Obejrzała się jeszcze raz. Nie dlatego, że chciała zostać. Raczej po to, by zobaczyć miejsce, z którego odchodzi jako inny człowiek.
I wtedy zauważyła, że Jezus przystanął.

Nie odwrócił się całkiem. Tylko lekko obrócił głowę, jakby wiedział, że ona wciąż stoi w miejscu, w którym rozstrzyga się w człowieku coś więcej niż kierunek drogi.
Ich spojrzenia znów się spotkały.

Przez chwilę Maria miała wrażenie, że wszystko, co zaszło między nimi, nie wydarzyło się po raz pierwszy. Że ta droga już gdzieś była. Że on już gdzieś szedł przed nią, a ona już gdzieś stała z tym samym pytaniem w gardle.
Pójdę?

Zostanę?

I że także wtedy, w tamtym niewidzialnym „przedtem", dokonała tego samego wyboru.

Zrobiła pierwszy krok.

Potem drugi.

I odkryła, że cisza w jej wnętrzu idzie razem z nią.

Kiedy dołączyła do pozostałych, Piotr krótko na nią spojrzał i zaraz odwrócił oczy. Nie było w tym pogardy, raczej niepewność człowieka, który jeszcze nie wie, co począć z łaską, kiedy dostępuje jej ktoś inny. Jan zrobił jej miejsce. Joanna szła u jej boku.
Jezus szedł przed nimi.

Maria obserwowała jego ręce, poruszające się w rytm kroków. Jedna z nich przed chwilą dotknęła jej życia i wyrwała je z ciemności. Na jego nadgarstku niczego nie było widać. Żadnego śladu po jej palcach. Żadnego znaku. Żadnego dowodu.
A jednak wiedziała, że coś tam pozostało.

Nie na skórze.

Głębiej.

Może w nim.

Może w niej.

Może gdzieś między nimi, w miejscu, gdzie spotykają się drogi, które ludzie nazywają przypadkiem, bo nie znają ich prawdziwego imienia.
Słońce opadało nad jeziorem. Magdala za nimi bladła w pyle i świetle. Przed nimi droga wiła się ku wzgórzom.
Maria nie wiedziała, co ją czeka.

Lecz po raz pierwszy bała się nie tylko tego, co nadejdzie.

Bała się także tego, że może to być dobre.

I w tym lęku była dziwna słodycz.

Szła dalej.

Szła dalej, a opowieść o kobiecie znanej z demonów pozostawała za nią.

Miasto, przed którym niegdyś uciekała, oddalało się.

Nie przeczuwała jeszcze, co znaczy iść za prorokiem, którego kiedyś znienawidzą.

Teraz szła jak ktoś, kogo zawołano po imieniu.

A daleko przed nią, choć jeszcze niewidocznie, czekał już inny ogród, inna noc i inna chwila, w której ten dzień powróci do Jezusa z taką siłą, że zrozumie to, co teraz zaledwie przeczuwał.

Że Maria z Magdali nie przyszła do niego po raz pierwszy.

Że niektóre dusze znają się nie dlatego, że się spotkały.

Lecz spotykają się dlatego, że znały się już wcześniej.

Uwagi autora do rozdziału:

Tekst powstał po przestudiowaniu roli Marii Magdaleny w Nowym Testamencie. Pierwsze spotkanie Jezusa i Marii Magdaleny nie zostało nigdzie w dostępnych źródłach jednoznacznie opisane. To, co przedstawia rozdział, jest najbardziej prawdopodobną wersją ich poznania – poza szczegółami wprowadzonymi po to, by spotkanie wpisywało się w ramy opowieści.

5. Elarion: Nitra, stolica Unii

Nitra nie była najstarszym miastem Elarionu, lecz tak się zachowywała.

Leżała nad rzeką o tej samej nazwie. Rzeka płynęła przez miasto niczym pamięć, wolniejsza od warstw transportowych nad nią, cichsza od wież obliczeniowych na jej brzegach. Stare kamienne centrum Nitry zachowano nawet wtedy, gdy wokół wyrosły przejrzyste kopuły, pionowe dzielnice, parki konsularne, tory autonomicznych modułów i wieże węzłów finansowych.

W Nitrze nigdy nie burzono starego. Jedynie otaczano je nowym.

Można więc było stać na placu, którego bruk liczył siedemset lat, i widzieć nad sobą statki odlatujące ku pierścieniowi orbitalnemu.

Tego dnia miasto przybrało odświętny wyraz. Na fasadach publicznych budynków powoli zmieniały się przejrzyste napisy:

Praca po pracy. Wartość po płacy. Człowiek po automatyzacji.

Unia zwołała wielkie publiczne forum poświęcone przyszłości dochodu.

Nie było to pierwsze forum o UBI. Takie debaty prowadzono od dziesięcioleci. Najpierw jako akademicką prowokację, potem eksperyment społeczny, następnie hasło wyborcze, a w końcu konieczność, którą politycy wciąż usiłowali odsunąć w czasie.

Tym razem jednak czasu na zwłokę pozostało niewiele.

Zautomatyzowana produkcja przekroczyła granicę, którą ekonomiści niegdyś uważali za teoretyczną. W niektórych regionach Unii w tradycyjnym znaczeniu pracowało mniej niż czterdzieści procent dorosłych. Nie dlatego, że nie chcieli. Dlatego, że ich praca przestała być potrzebna.

Maszyny uprawiały, budowały, sortowały, prowadziły księgi, tłumaczyły, diagnozowały, kontrolowały, uczyły, a nawet tworzyły muzykę tak tanio, że ludzka praca stawała się raczej wyborem kulturowym niż gospodarczą koniecznością.

Lecz rachunki pozostały ludzkie.

Czynsz.

Jedzenie.

Opieka.

Edukacja.

Leczenie.

Godność.

Dlatego w Nitrze spotkali się przedstawiciele państw, banków, konsorcjów, uniwersytetów, rad obywatelskich, archiwów rodowych i administracji pozaplanetarnych. Wielka sala Rady Unii miała kształt półkola. Nad każdym mówcą wyświetlano jego imię i nazwisko, państwo, odłam, instytucję oraz zakres ujawnionych interesów.
Niektórzy mieli przy nazwisku długą listę.

Niektórzy podejrzanie krótką.

Jesair Davion siedział w trzecim rzędzie, nie jako polityk, lecz zaproszony przedstawiciel aureliańskich rad rodowych. Nie lubił takich wydarzeń. Nie dlatego, że odrzucał politykę. Raczej dlatego, że polityka miała osobliwą zdolność zamieniania żywego cierpienia w pojęcie, pojęcia w komisję, a komisji w sprawozdanie, którego nikt już nie czytał.

Jako chłopiec stanął kiedyś przy łóżku chorego krewnego, którego rodzina przyprowadziła do domu Davionów. Starszy nakazał mu położyć rękę na jego czole. Jesair posłuchał, bo miał czternaście lat i wszyscy czekali. Kiedy stan mężczyzny się pogorszył, ktoś zaproponował, by jeszcze chwilę zaczekać, czy nie objawi się dar rodu.

Jesair sam wezwał moduł medyczny. Mężczyzna przeżył dzięki zabiegowi, przy którym Jesaira nie było. Miesiąc później w rodowej kronice pojawiło się zdanie o dotyku młodego Daviona; zabrakło w niej nazwiska lekarki, która wykonała zabieg. Wtedy Jesair po raz pierwszy zrozumiał, jak łatwo opowieść o cudzie może przesłonić pracę prawdziwego człowieka.
Obok niego siedziała Mareia Lioren.

Nie znali się długo. Właściwie trudno było powiedzieć, że się znają. Widzieli się na dwóch posiedzeniach dotyczących archiwów medycznych i raz w ogrodzie pewnej selenickiej szkoły, gdzie Mareia rozmawiała z dziećmi o pamięci rodów. Z tamtego spotkania Jesair zapamiętał przede wszystkim jej milczenie. Nie było puste. Było precyzyjne.
Kiedy ktoś mówił głupstwa, Mareia nie uśmiechała się grzecznie.

Po prostu patrzyła na niego tak, że zaczynał słyszeć własne słowa.

– Myśli pan, że dziś podejmą decyzję? – zapytała go cicho.

Jesair spojrzał na podium, gdzie przygotowywał się pierwszy mówca.

– Nie. Dzisiaj wszyscy powiedzą tylko, dlaczego decyzji nie można jeszcze podjąć.

Mareia uśmiechnęła się lekko.

– Brzmi jak głos doświadczenia.

– Brzmi jak Nitra.

Na podium wszedł Veyranin imieniem Daren Voltr. Był przewodniczącym Rady Monetarnej Związku Północnego i jednym z najlepszych mówców swojego pokolenia. Miał spokojny głos człowieka, który nigdy nie musiał się spieszyć, ponieważ to inni czekali na niego.

– Panie i panowie – zaczął – nikt na tej sali nie kwestionuje tego, że automatyzacja zmieniła podstawową umowę społeczną. Pytanie nie brzmi, czy obywatel powinien mieć udział w produkcji cywilizacji. Pytanie brzmi: kto ten udział wyliczy, w jakiej walucie, pod jaką kontrolą i za jaką cenę.

Na ścianach pojawiły się wykresy.

Czterdzieści państw.

Trzydzieści funkcjonujących walut.

Pasma kursowe.

Mechanizmy stabilizacyjne.

Systemy eksportowe.

Bilanse zadłużenia.

– Waluta – ciągnął Daren Voltr – to nie tylko jednostka rozliczeniowa. Waluta jest sterem państwa. Jeśli przekażemy ster monetarny jednej planetarnej instytucji, regiony stracą zdolność reagowania na własne uwarunkowania. Dewaluacja nie zawsze jest zbrodnią. Czasem to sposób na przetrwanie słabszego państwa. Zmienny kurs nie zawsze jest manipulacją. Czasem amortyzuje wstrząs.

Po sali przebiegł pomruk aprobaty.

Jesair czuł, jak zmienia się nastrój wokół niego. Veyranie umieli mówić o władzy tak, by brzmiała jak odpowiedzialność. I często rzeczywiście nią była. Na tym polegała ich siła.

Lecz na słowo „wartość" w jego umyśle wypłynęło zdanie, które znał od dzieciństwa.

Gdy dojrzeje czas wspólnego dzieła, wartość nie może już kroczyć w cieniu. To, co służy wszystkim, musi być widoczne dla wszystkich.

Należało do najstarszych zachowanych tekstów aureliańskich. Odczytywano je podczas zgromadzeń rodowych, przy podejmowaniu zobowiązań i w sporach o wspólną własność. Niektórzy uważali je za religijny nakaz. Inni twierdzili, że jest jedynie pozostałością dawnej epoki, kiedy Aurelianie gospodarowali w niewielkich wspólnotach i musieli wzajemnie pokazywać sobie zapasy, by przetrwać zimę.

Jesair długo rozumiał je przede wszystkim duchowo. Wartością były prawda, honor, poświęcenie, wszystko, co człowiek oddawał innym bez roszczenia do nagrody. Cieniem były kłamstwo, egoizm i ukryty zamiar.

Dopiero w ostatnich miesiącach zaczęła go prześladować możliwość, że dawny tekst mówił także całkiem dosłownie.

Może jego autorzy myśleli nie tylko o wartości człowieka, lecz także o wartości, którą człowiek wytwarza, a którą ktoś inny sobie przywłaszcza. Może wspólnym dziełem nie były jedynie świątynia, ród czy gmina. Może była nim cała cywilizacja.

Elarion produkował dzięki wiedzy zgromadzonej przez tysiące lat. Maszyny korzystały z publicznej infrastruktury, energii planety, badań opłaconych przez dawne pokolenia i danych miliardów ludzi. Mimo to powstała wartość ginęła w prywatnych księgach, przewalutowaniach i łańcuchach własności, na których końcu znajdowało się nazwisko często nawet nieznane opinii publicznej.

To, co służy wszystkim, musi być widoczne dla wszystkich.

Władza, która decydowała o życiu innych.

Majątek, który przedstawiano jako społeczną konieczność.

Zysk, z którego należało wyliczyć udział wszystkich.

Jesair nie był pewien, czy dawny tekst rzeczywiście to oznaczał. Dawne słowa można było zmusić do służenia niemal każdej teraźniejszości. Właśnie dlatego opierał się ludziom, którzy czynili z aureliańskich kronik nieomylne proroctwa.

A jednak nie potrafił pozbyć się poczucia, że czas wspólnego dzieła już dojrzał.

I że wartość wciąż kroczyła w cieniu.

Potem wystąpiła Selenitka z południowej części Aménii, największego zachodniego kontynentu planety. Mówiła o ludziach, którym automatyzacja odebrała nie tylko wynagrodzenie, ale także rytm dnia, więzi społeczne i poczucie, że są potrzebni. Wyświetliła świadectwa mężczyzn i kobiet, którzy pracowali przez całe życie, a teraz słyszeli, że dzięki zastąpieniu ich cywilizacja stała się wydajniejsza.

– Kiedy człowiek traci pracę – powiedziała – traci nie tylko dochód. Traci dowód, że świat go potrzebuje. UBI nie może być jedynie mechanizmem finansowym. Musi być częścią nowej definicji godności.
Potem przyszli ekonomiści.

Potem prawnicy.

Potem przedstawiciele produkcyjnych AI.

Ich wystąpienia były precyzyjne, wyważone i nużące.

Mareia nachyliła się ku Jesairowi.

– Zauważył pan, że wszyscy mówią o obliczaniu udziału, ale nikt nie chce pokazać pełnej podstawy obliczeń?
Jesair skinął głową.

– Bo pełna podstawa obliczeń to władza.

– A władza nie lubi się pokazywać?

– Lubi. Ale tylko od przodu.

Mareia spojrzała na niego. Po raz pierwszy dłużej.

– A od tyłu?

– Tam zwykle są ręce.

Na podium właśnie zaczął mówić młody minister Unii. Był Aurelianinem, lecz złotego kręgu w jego oczach nie było widać. Mówił o potrzebie sprawiedliwego UBI, pokoju społecznym i o tym, że obywatele muszą ufać instytucjom.

Nerai Sael siedziała wysoko na bocznej galerii analitycznej. Stamtąd miała dostęp do bieżących warstw danych debaty. Widziała nazwiska, instytucje, źródła, kontrahentów, historyczne powiązania, granty, publiczne oświadczenia, łańcuchy własności – czyli wszystko, co było dostępne.
Właśnie dlatego niepokoiło ją to, co dostępne nie było.

Przy Darenie Voltrze brakowało trzech warstw. Nie chodziło o dane nielegalne ani utajnione w sposób przestępczy; były po prostu chronione. Interesy gospodarcze. Międzypaństwowe konsultacje monetarne. Nieujawnione kontrakty doradcze.
Nerai je zaznaczyła.

Nie dlatego, że podejrzewała Voltra o coś konkretnego. Lecz dlatego, że w strukturze niewidzialności zawsze zaczynało się tak samo: od wyjątku, nie od zbrodni.

Na dole, na sali, dyskusja docierała do sedna.

– UBI bez jedności monetarnej będzie nierówne – powiedziała jedna z ekonomistek Unii. – Każde państwo będzie wypłacać inny udział, uwzględniać inną produkcję, ukrywać inne zyski i dostosowywać własną walutę do własnych potrzeb politycznych.
– A UBI z jednością monetarną – odpowiedział Veyranin z konsorcjum finansowego – będzie scentralizowanym świadczeniem, które obywatel otrzyma w zamian za posłuszeństwo wobec planetarnej maszyny księgowej.
– Nie – odezwał się ktoś z tylnych rzędów. – Będzie udziałem.

Sala ucichła.

Głos nie należał do polityka. Należał do Jesaira.

Nie zamierzał przemawiać. Nie poprosił o głos. Zdanie po prostu wyrwało mu się, zanim zdążył je powstrzymać.

Na ścianach pojawiło się jego nazwisko: Jesair Davion, Rada Rodowa Aurioli, niezależny delegat.

Kilka osób się odwróciło.

Na nazwisko Davion zawsze coś zmieniało się na sali. Zmiana była zbyt subtelna, by trafić do protokołu, lecz dawne mity rzucały długie cienie.
Przewodniczący udzielił mu głosu.

Jesair wstał.

Na moment znów zobaczył słowa dawnego tekstu. Nie wyryte w kamieniu ani przepisane do rodowej kroniki, lecz jakby wiszące nad salą obok wykresów, nazwisk i danych.
Gdy dojrzeje czas wspólnego dzieła, wartość nie może już kroczyć w cieniu.

Może przez całe stulecia rozumieli te słowa zbyt wąsko. Może czekali na duchowe spełnienie, choć mieli przed sobą kwestię księgową. Wcale nie mniej świętą tylko dlatego, że dotyczyła pieniędzy.

– Świadczeniem jest to, co władza daje z góry – powiedział. – Udziałem jest to, co należy się człowiekowi już dlatego, że stanowi część cywilizacji. Jeśli maszyny wytwarzają wartość z wiedzy, infrastruktury, historii i energii całej planety, wartość ta nie powstaje wyłącznie w rękach właścicieli maszyn. Powstaje z dziedzictwa wszystkich.
Na chwilę umilkł.

– W jednym z najstarszych tekstów aureliańskich czytamy: Gdy dojrzeje czas wspólnego dzieła, wartość nie może już kroczyć w cieniu. To, co służy wszystkim, musi być widoczne dla wszystkich.

Na sali poruszyło się kilka osób. Niektórzy znali ten cytat. Inni słyszeli jedynie dawne religijne słowa wplecione we współczesną debatę polityczną.

– Długo myślałem, że mowa w nim wyłącznie o moralności jednostki – ciągnął Jesair. – Dziś nie jestem już tego pewien. Cywilizacja stała się wspólnym dziełem w bardziej dosłownym sensie, niż nasi przodkowie mogli sobie wyobrazić. Nasze maszyny korzystają ze wspólnej wiedzy. Nasza gospodarka opiera się na wspólnej infrastrukturze. Nasza produkcja wyrasta z pracy żywych i umarłych. Jeśli ma służyć wszystkim, musi być widoczne, gdzie powstaje jej wartość, dokąd odpływa i kto o niej decyduje.

Zwrócił wzrok ku danym na ścianach.

– Udziału nie da się obliczyć na ślepo. Jeśli obywatel nie widzi, na jakiej podstawie obliczono jego udział, nie otrzymuje sprawiedliwości. Otrzymuje uspokojenie.

Na sali panowała cisza.

Nie przychylna. Raczej niebezpieczna.

Daren Voltr lekko się uśmiechnął.

Nie było w tym pogardy. Raczej zadowolenie człowieka, który wreszcie usłyszał twierdzenie dostatecznie doniosłe, by móc zacząć je rozbierać na części.

– Dobrze – powiedział. – Przyjmijmy pańskie rozróżnienie między świadczeniem a udziałem. Przyjmijmy nawet, że człowiek ma prawo wiedzieć, z czego obliczono jego udział. Co więc pan proponuje? Jak chce pan sprawić, by dane stanowiące podstawę obliczeń były pełne, przejrzyste, a zarazem weryfikowalne?

Ze ścian sali zniknęły wykresy kursów walut. Zastąpił je schemat planetarnej produkcji.

Energia.

Ziemia.

Zautomatyzowane fabryki.

Badania publiczne.

Prywatne patenty.

Archiwa danych.

Wydobycie pozaplanetarne.

Miliony węzłów łączyły linie biegnące przez państwa, waluty i struktury własności. Niektóre były wyraźne. Inne ginęły w gąszczu funduszy, banków i spółek, których właścicieli nie znała opinia publiczna.
Jesair przez chwilę się im przyglądał.

– Nie można obliczyć udziału wszystkich na podstawie danych, które zna tylko garstka wybranych – powiedział. – I nie można zweryfikować sprawiedliwości systemu, dopóki jego decydujące części pozostają ukryte za tajemnicą bankową, tajemnicą handlową lub suwerennością monetarną.
– To nadal nie jest propozycja – zaoponował Voltr.

– To jej początek.

Jesair podniósł wzrok ku schematowi.

– Wartość nie może kroczyć w cieniu. Jeśli chcemy wiedzieć, jaka wartość powstała na Elarionie, kto ją wytworzył, kto ją sobie przywłaszczył i jaki udział należy się pozostałym, musimy widzieć jej przepływ.
Na sali rozległo się kilka przyciszonych głosów.

– Dlatego przepływy finansowe na całej planecie powinny być w znacznej mierze przejrzyste – ciągnął Jesair. – Nie tylko wydatki państw. Nie tylko rachunki polityków i umowy instytucji publicznych. Widoczny musi być także ruch wielkiego prywatnego kapitału. Powiązania własnościowe. Ostateczni beneficjenci. Transfery między walutami. Finansowanie wpływów politycznych. Zakup infrastruktury, ziemi, mediów, badań i technologii, które mogą zmieniać życie milionów.
Na galerii analitycznej Nerai przestała pisać.

Spodziewała się propozycji lepszych rejestrów, surowszych audytów lub jednolitego raportowania produkcji. Jesair zakwestionował jednak samą granicę między publicznym a prywatnym światem finansów.
Voltr zachował spokój.

– Wszystkie przepływy finansowe?

– Powiedziałem: w znacznej mierze.

– To bardzo wygodne uściślenie.

– Jest konieczne. Człowiek, który płaci za jedzenie czy lekarstwo, nie decyduje tym o losie planety. Kto kupuje sieć szpitali, przejmuje dostawy energii albo zaczyna finansować ruch polityczny, nie decyduje już wyłącznie o sobie.

– A kto wyznaczy granicę między tym, co małe, a tym, co wielkie?

– Społeczeństwo.

Voltr się uśmiechnął.

– Społeczeństwo niczego nie wyznacza. Robią to instytucje, które przemawiają w jego imieniu.

– W takim razie one również muszą być przejrzyste.

Przez salę przebiegł krótki, nerwowy śmiech.

Voltr pozwolił mu wybrzmieć.

– A co z prywatnością? – zapytał. – Chce pan, żeby każdy obywatel widział rachunki wszystkich pozostałych? Gdzie robią zakupy, komu pomagają, kogo wspierają, dokąd chodzą i czego być może się wstydzą?

Pytanie zawisło nad salą.

Było prostsze od wszystkich poprzednich. I właśnie dlatego bardziej niebezpieczne.

Jesair na chwilę umilkł.

– Prywatność miała swój sens – powiedział. – I nadal go ma. Chroni intymność człowieka, jego rodzinę, zdrowie, relacje, przekonania i przestrzeń, w której nie musi niczego tłumaczyć opinii publicznej.

– A zatem zgadza się pan ze mną.

– Niezupełnie.

Jesair wsparł się dłonią o oparcie siedzenia przed sobą.

– Znaczna część prywatności finansowej nie powstała po to, by chronić człowieka przed innymi ludźmi. Powstała, by chronić go przed władzą. Przed skorumpowanym państwem, samowolnym władcą albo instytucją, która każdą informację mogła obrócić przeciwko niemu.

Spojrzał na delegatów państw w pierwszych rzędach.

– W społeczeństwie, w którym państwo jest nieprzejrzyste, prywatność może być ostatnim schronieniem wolności. Jeśli jednak chcemy stworzyć społeczeństwo, w którym przejrzysta jest sama władza, musimy zapytać, czy ten sam cień wciąż chroni słabych, czy już częściej chroni silnych.

Tym razem nikt się nie roześmiał.

– Zwykły człowiek nie chce, by obcy śledzili każdy jego zakup – ciągnął Jesair.

– Lecz przy majątku i transakcjach przekraczających określony próg prywatność przestaje dotyczyć wyłącznie życia osobistego.

– Dlaczego?

– Ponieważ wielki majątek nie jest wyłącznie sprawą prywatną.

Na sali poruszyło się kilku przedstawicieli konsorcjów.

– Wielki majątek to zdolność zmieniania cen, warunków pracy, własności ziemi, kształtu miast, badań, mediów, a czasem także prawa. W pewnym momencie nie chodzi już tylko o to, co człowiek posiada. Chodzi o to, co dzięki swojej własności może zrobić innym.

Voltr skrzyżował ręce.

– I dlatego ma stracić prywatność?

– Dlatego ma być widoczny zakres jego władzy.

– Różnica polega tylko na nazwie.

– Nie. Intymność i władza to nie to samo.

Głos Jesaira pozostał spokojny.

– Nikt nie potrzebuje wiedzieć, jaką kolację pan zamówił, komu wysłał osobisty prezent ani gdzie spędził noc. Społeczeństwo ma jednak prawo wiedzieć, że za pośrednictwem dziesięciu funduszy uzyskał pan decydujący udział w jego zaopatrzeniu w wodę. Ma prawo wiedzieć, że spółka finansująca partię polityczną należy do tego samego właściciela co konsorcjum, któremu ta partia przyznaje zamówienia publiczne. Ma prawo wiedzieć, że zysk wykazany w jednym państwie powstał w drugim, a zniknął w trzecim.

Na ścianach pojawił się zanonimizowany łańcuch własności. Jedno przedsiębiorstwo przechodziło przez czternaście spółek, sześć państw i trzy jurysdykcje pozaplanetarne, aż jego ostateczny właściciel ginął w niepublicznym funduszu.

– Prywatność wielkich często chroni mechanizm.

Voltr wpatrzył się w schemat.

– A pan chce, żeby każdy widział każdy mechanizm?

– Chcę, żeby każda istotna władza pozostawiała widoczny ślad.

– W czasie rzeczywistym?

Jesair przez moment się zawahał.

– Na tyle wcześnie, by przejrzystość nie była jedynie archeologią.

Po sali przebiegł niepokój.

– A więc nie tylko przejrzystość księgowa po zakończeniu roku – powiedział Voltr. – Chce pan bieżącej widoczności wielkich przepływów finansowych.

– Tak.

– A kto będzie je śledzić? Państwo? Rada Monetarna? Bank planetarny?

– Żadna z tych instytucji samodzielnie.

– Więc kto?

Jesair rozejrzał się po sali.

– Nie wiem jeszcze, jaki dokładnie kształt powinien przybrać taki system. Wiem jednak, jakiego przybrać nie może. Nie może być własnością jednego rządu, jednego banku, jednego państwa ani jednej rasy. Nie może działać jak oko, które widzi wszystkich, a samo pozostaje niewidzialne.

Mareia na niego spojrzała.

Jesair nie bronił tylko przejrzystości pieniędzy. Szukał sposobu, by przejrzyste stało się również samo patrzenie.

– Każdy wgląd musi pozostawiać ślad – ciągnął. – Jeśli instytucja sprawdza człowieka, człowiek musi wiedzieć, która instytucja to zrobiła. Jeśli system analityczny oznaczy transakcję jako ryzykowną, musi istnieć możliwość zbadania reguł, na podstawie których podjął decyzję. Jeśli ktoś uzyska wyjątek od obowiązku ujawnienia, musi być widoczne, że ten wyjątek istnieje, kto go dopuścił i do kiedy obowiązuje.

Nerai pochyliła się lekko do przodu.

To nie był już zwykły rejestr. To był system wzajemnej widoczności. Pieniądze byłyby widoczne dla kontrolerów, lecz kontrolerzy byliby widoczni dla tych, których kontrolują.

Voltr jednak nie ustąpił.

– A przestępca? – zapytał. – On także ma wiedzieć, że ktoś go sprawdza?

– Tak.

Po sali przeszedł szmer.

– Wtedy przeniesie pieniądze.

– Jeśli może przenieść je tak, żeby zniknęły, system już zawiódł.

– Zniszczy dowody.

– Zarejestrowany przepływ finansowy musi być niemożliwy do zniszczenia.

– Ukryje swój zamiar.

– Zamiar zawsze można ukryć. Nie możemy jednak chronić władzy tylko dlatego, że przejrzystość nie potrafi czytać w myślach.
Voltr umilkł.

Po raz pierwszy się nie uśmiechał.

– Wie pan, co opisuje?

– Nie całkiem.

– Opisuje pan koniec tajemnicy bankowej.

– Być może w jej obecnej postaci.

– Koniec znacznej części tajemnicy handlowej.

– Jeśli tajemnica handlowa skrywa władzę nad życiem innych, to być może również.

– A być może także koniec suwerenności monetarnej państw.

Jesair spojrzał na symbole dziesiątek walut wyświetlone nad podium.

– Jeśli suwerenność monetarna oznacza prawo do ukrywania danych, na podstawie których określa się poziom życia własnych obywateli, to tak.
Na sali zapadła cisza.

Tym razem nie była tylko niebezpieczna.

Była wroga.

Jesair czuł, jak zmieniają się spojrzenia w pierwszych rzędach. Przed chwilą był przedstawicielem starego aureliańskiego rodu, którego wypadało uprzejmie wysłuchać. Teraz stał się człowiekiem kwestionującym uprawnienia, na których opierały się całe państwa, banki i konsorcja.
Voltr usiadł.

Przewodniczący zamierzał udzielić głosu kolejnemu delegatowi, lecz nikt się nie zgłosił.

Na ścianach pozostał schemat planetarnych przepływów finansowych.

Miliony linii.

Niektóre wyraźne.

Inne przerywane.

A wiele kończących się w ciemności.

Mareia nachyliła się ku Jesairowi.

– Zdaje pan sobie sprawę, że właśnie rozgniewał pan niemal każdego, kto ma na tej planecie więcej pieniędzy od pana?
Jesair usiadł.

– To nie takie trudne. Nigdy nie miałem ich wiele.

– Nie sądzę, żeby pańska skromność ich uspokoiła.

Spojrzał na nią.

– Myśli pani, że posunąłem się za daleko?

Mareia skierowała wzrok na ciemne miejsca w schemacie.

– Nie – powiedziała. – Myślę, że dopiero wskazał pan kierunek.

Wysoko nad nimi Nerai otworzyła nową notatkę analityczną.

Nie umieściła w niej nazwiska Jesaira jako osoby podejrzanej ani jako zagrożenia politycznego. Zapisała tylko dwa zdania.
Jeśli udział człowieka we wspólnej wartości ma być sprawiedliwy, nie może istnieć niewidoczna wartość.
Jeśli władza finansowa ma podlegać kontroli, widoczny musi być nie tylko ruch pieniędzy, lecz także każdy, kto go obserwuje.
Zapisała notatkę.

Nie przeczuwała, że po kilku latach do niej wróci.

W czasie, gdy pytanie nie będzie już brzmiało, czy wartość może kroczyć w cieniu.

Lecz ile istnień może ukryć cień.

Na drugim końcu sali, w sektorze gości konsorcjów finansowych, siedział Arien Korveth.

Nie patrzył na Jesaira jak na mówcę.

Jego spojrzenie przesunęło się na chwilę ku Marei, a potem wróciło do mężczyzny stojącego pośrodku sali. Niosło coś bardziej osobistego niż polityczny sprzeciw czy obawa finansisty, którego interesom może zaszkodzić nowa myśl.
Arien patrzył jak człowiek dotknięty osobiście.

Kilka miejsc od Ariena siedział Kael Thorne.

Jego nazwisko nie wyświetlało się nad żadnym miejscem dla mówców. Nie reprezentował państwa ani partii politycznej i oficjalnie nie występował w imieniu żadnego domu finansowego. Mimo to znali go prezesi banków, zarządcy największych funduszy i ludzie, którzy decydowali, przed którymi politykami otworzy się droga do władzy.

Podczas wystąpienia Jesaira Kael obserwował nie tylko mówcę.

Obserwował salę.

Wiedział, że prawdziwe znaczenie słów często objawia się nie na twarzy człowieka, który je wypowiedział, lecz na twarzach tych, których dotknęły. Widział niepokój zarządców funduszy, ostrożność przedstawicieli rad monetarnych i ciche rozbawienie polityków przekonanych, że idee Jesaira rozwieją się, zanim dotrą do ustaw.

Jego samego jednak nie rozbawiły.

Kiedy Jesair powiedział, że to, co służy wszystkim, musi być widoczne dla wszystkich, Kael poczuł strach tak gwałtowny, iż przez moment wydało mu się, że sala umilkła tylko dla niego.

Wiedzieli o tym nieliczni, lecz znaczna część jego władzy istniała właśnie dlatego, że nie dało się zobaczyć jej w całości. Banki znały jego fundusze, ale nie ich ostatecznych właścicieli. Politycy znali darczyńców swoich fundacji, ale nie pochodzenie ich pieniędzy. Zarządcy partii widzieli rachunki, lecz nie widzieli łączących je łańcuchów. Urzędnicy znali poszczególne spółki, ale nie dom, do którego wszystkie wracały.

Przejrzystość oznaczałaby nie tylko nowe zasady.

Dla Kaela oznaczałaby ujawnienie.

Pokazałaby majątek ukryty za zarządcami i fundacjami. Pieniądze, które umknęły opodatkowaniu. Partie, które na zewnątrz się nienawidziły, lecz potajemnie żywiły je te same źródła. Interesy udające legalne, choć ich pierwotny kapitał pochodził z miejsc, o których w przyzwoitym towarzystwie się nie mówiło.

Jesair przedstawił nie tylko projekt reformy gospodarczej.

Nie wiedząc o tym, wydał wyrok na świat, który Kael budował przez całe życie.

Kael przestraszył się śmiertelnie.

Nie dlatego, że wierzył, iż przejrzystość nadejdzie jutro. Ustawy można było opóźniać, komisje zasypywać pracą, a opinię publiczną znużyć. Przerażało go coś innego: słowa Jesaira były proste. Ludzie mogli je rozumieć. A ideę, którą ludzie rozumieją, można tłumić tylko do chwili, gdy wypowie ją ktoś, komu są gotowi uwierzyć.

Potem zauważył Ariena.

Widział, jak na widok Jesaira napięły mu się mięśnie szczęki. Jak jego oczy na moment zatrzymały się na Marei. Jak wyraz jego twarzy zmieniał się za każdym razem, gdy sala skupiała uwagę na Jesairze.

Arien bał się nie tylko idei Jesaira.

Miał problem z samym Jesairem.

Kael odwrócił wzrok, zanim Arien zdążył zauważyć, że jest obserwowany.

Na podium przewodniczący dziękował Jesairowi za wystąpienie. Sala powoli wracała do porządku obrad, jakby nic istotnego się nie wydarzyło. Kolejny mówca czekał już na głos, a na ścianach przygotowywano nowe wykresy.

Kael Thorne wiedział jednak, że niektóre chwile można rozpoznać, zanim same siebie zrozumieją.

Jesair Davion właśnie nazwał świat, w którym władza musiałaby pokazać swoje ręce.

Kael wiedział, co znaleziono by na jego dłoniach.

A kilka miejsc dalej siedział mężczyzna, który wyraźnie pragnął uciszyć Jesaira z powodów znacznie bardziej osobistych.

Kael zapamiętał nazwisko Ariena.

W drodze z forum Mareia włączyła wieczorne wiadomości. Na jednym kanale pod twarzą Jesaira pojawił się nagłówek: DAVION CHCE WIDZIEĆ KAŻDY RACHUNEK. Na drugim wyjaśniano różnicę między zakupem jedzenia a własnością szpitala. Trzeci zaprosił przedstawiciela banków, który twierdził, że nigdy nie da się wiarygodnie wyznaczyć granicy między tymi sprawami.

– Mówiłem o zakresie władzy – odezwał się Jesair w krótkim nagraniu. Prowadząca weszła mu w słowo: – A więc o zakresie prywatności?

Mareia wyłączyła transmisję. Rano miała spotkać się z nim przy archiwach medycznych. Wiedziała już, jakie pytanie zada mu jako pierwsze.

6. Ziemia: pocałunek Judasza

Judasz długo wierzył, że człowiek może odnieść zwycięstwo nad samym sobą, jeśli dostatecznie szczelnie zamknie się w sobie.

Od dzieciństwa znał słowa Prawa. Wiedział, co jest czyste, a co nieczyste. Znał wstyd, o którym nie mówi się głośno, tylko nosi w ciele jak ukrytą ranę. W synagodze słuchał mężczyzn mówiących o grzechach pogan, o zdeprawowanych miastach, o namiętnościach, których Bóg nienawidzi. Zawsze pochylał wtedy głowę nieco niżej niż inni, żeby nikt nie dostrzegł, jak uważnie słucha.
Nigdy nie pozwolił sobie nazwać tego, co w nim żyło.

Nie dlatego, że nie wiedział. Wręcz przeciwnie. Wiedział od czasu, gdy był jeszcze młody i zaczął dostrzegać rzeczy, których dostrzegać nie powinien: kark mężczyzny pochylonego nad pracą, siłę ramion ciągnących sieć, głos starszego nauczyciela, który odzywał się do niego łagodniej niż do innych. Zawsze przychodziło to nagle, jak fala gorąca, a zaraz potem nadchodziła trwoga.
Nie.

Tylko nie to.

Nie ja.

Nauczył się żyć tak, żeby niczego nie było widać. Nauczył się mówić rozsądnie, stać prosto, patrzeć ludziom w oczy tylko tak długo, jak długo było to bezpieczne. Nauczył się gardzić słabością, bo własna słabość przerażała go najbardziej. Kiedy inni mężczyźni żartowali o kobietach, uśmiechał się dokładnie wtedy, kiedy należało. Kiedy mówili o małżeństwie, kierował rozmowę na pieniądze, na Rzym, na świątynię, na wszystko, co miało znaczenie i nie trąciło tajemnicą.
Potem spotkał Jezusa.

I wszystko, co przez lata trzymał w sobie pod kamieniem, zaczęło się poruszać.

Nie od razu było w tym coś cielesnego. Tak przynajmniej tłumaczył to sobie Judasz. Najpierw był szacunek. Potem podziw. Potem wdzięczność. Potem coś, co wciąż jeszcze potrafił nazwać wiernością. Jezus wypowiadał jego imię tak, jakby nie kryła się za nim żadna nieczystość. Patrzył na niego bez odrazy, bez drwiny, bez tej szczególnej męskiej podejrzliwości, której Judasz bał się przez całe życie.

I właśnie dlatego było to niebezpieczne.

Czystość Jezusa nie była twarda jak kamienna ściana. Była otwarta. W jej obecności człowiek czuł nie tylko winę; czuł także, że mógłby zostać dostrzeżony w całej prawdzie o sobie i nie zostać zniszczony. Dla innych było to pocieszenie. Dla Judasza — pokusa.
Najgorsze były zwyczajne dni.

Wieczór przy ognisku, kiedy Jezus siedział zmęczony, płaszcz zsunął mu się z ramienia, a światło cicho kreśliło jego twarz. Poranek, kiedy mył ręce, a woda spływała mu po nadgarstkach. Chwile w drodze, gdy któryś z uczniów pochylał się ku niemu zbyt blisko, żeby o coś zapytać. Judasz czuł wtedy, jak w piersi wzbiera mu coś, co natychmiast tłumił modlitwą.
Panie, odwróć ode mnie tę hańbę.

Ale hańba nie odchodziła.

Uczyła się tylko milczeć.

Pewnego wieczoru, po długim dniu we wsi, gdzie wokół Jezusa tłoczyli się chorzy i błagający o pomoc, Judasz nie kładł się spać. Pozostali leżeli pod zadaszeniem i spali ciężkim snem zmęczonych mężczyzn. Piotr chrapał. Tomasz odwrócił się przez sen do ściany. Jan leżał z płaszczem podciągniętym pod brodę, spokojny, jakby świat nigdy nie był mu wrogiem.
Judasz przez chwilę mu się przyglądał i nienawidził tego spokoju.

Potem zobaczył Jezusa wychodzącego na zewnątrz.

Poszedł za nim.

Powiedział sobie, że musi porozmawiać o pieniądzach. O jutrzejszej drodze. O niebezpieczeństwie, które wokół nich narasta. Zawsze istniał jakiś rozsądny powód. Człowiek potrzebuje rozsądnych powodów, kiedy wiedzie go coś, do czego boi się przyznać.

Jezus stał przy niskim murze za domem. Nad ziemią zalegała noc, ciemna i ciepła. W oddali szczekał pies. Gdzieś za oliwkami odezwały się owady. Jezus opierał dłonie na kamieniu, z głową pochyloną, jakby modlił się nawet wtedy, gdy milczał.
– Rabbi – powiedział Judasz.

Jezus się odwrócił.

– Judaszu.

To imię go przeszyło. Zawsze go przeszywało. Jakby Jezus wypowiadał je bez wszystkich warstw, którymi Judasz się okrył.

– Nie powinieneś być sam – powiedział Judasz.

Jezus spojrzał na niego spokojnie.

– A ty?

– Ja nie śpię.

– Widzę.

Judasz roześmiał się krótko i twardo.

– Ty zawsze widzisz.

Jezus milczał.

Judasz czuł, że powinien odejść. Jeszcze mógł. Wystarczyło powiedzieć coś zwyczajnego, odwrócić się, wrócić do pozostałych, a rano iść dalej, jak gdyby nic się nie stało. Przez całe życie ratował się w ten sposób: wycofywał się w ostatniej chwili.

Ale tej nocy był zmęczony własną klatką.

– Wiesz, co budzisz w ludziach? – zapytał.

Jezus się nie poruszył.

– Co obudziłem w tobie?

Judaszowi ścisnęło się gardło.

To pytanie nie było oskarżeniem. I właśnie dlatego było jeszcze gorsze. Jezus zadał je tak, jakby stał przed nim nie grzech, lecz człowiek na skraju przepaści.

– Nie chcę o tym mówić.

– Dlaczego więc przyszedłeś?

Judasz spojrzał w bok. Na mur. Na ciemność. Na swoje dłonie.

– Bo już nie mam siły.

Wyraz twarzy Jezusa się zmienił. Złagodniał, lecz nie stracił stanowczości.

– Na co nie masz siły?

Judasz gwałtownie wypuścił powietrze.

– Na to, co jest we mnie.

Na chwilę zapadła cisza tak głęboka, że słyszał własną krew szumiącą w uszach.

– Przez całe życie modlę się, żeby to odeszło – ciągnął. – Przez całe życie się pilnuję. Spojrzeń. Słów. Rąk. Tego, gdzie stoję. Kogo ominę. Do kogo się nie zbliżę. Myślałem, że kiedy przyjdę do ciebie, będę czysty.

Jezus słuchał, nie przerywając.

– A tymczasem jest gorzej – powiedział Judasz. – Przy tobie jest gorzej.

Jezus spuścił wzrok, jakby te słowa sprawiły mu ból.

– Judaszu...

– Nie – przerwał mu. – Nie wymawiaj tak mojego imienia. Nie wymawiaj go, jakbym jeszcze mógł być kimś innym.

– Możesz.

– Nie mogę.

– Możesz się zatrzymać.

Judasz zadrżał. Nie sposób było stwierdzić, czy z gniewu, bólu, czy nadziei.

– Mówisz tak, jak ktoś, kto nie wie, co znaczy nosić w sobie coś zakazanego.

– Wiem, czym jest pokusa.

– Nie taka.

Słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzał. Ale już ich nie cofnął.

Jezus stał przed nim bardzo cicho.

– W tej chwili nie jestem twoim sędzią – powiedział.

Judasz roześmiał się, tym razem niemal rozpaczliwie.

– Właśnie ty jesteś moim sędzią. Bo gdybyś spojrzał na mnie z odrazą, byłoby prościej. Gdybyś mnie odpędził, wiedziałbym, kim jestem. Ale ty patrzysz na mnie, jakbym wciąż jeszcze należał do was.

– Należysz.

– Nie tak, jak bym chciał.

Kiedy to powiedział, przestraszył się własnych słów.

Nie miał już dokąd się cofnąć.

Twarz Jezusa wypełniła się smutkiem.

– Judaszu, to nie jest droga.

– Jaka droga?

– Chcieć posiąść drugiego człowieka.

– Ja nie chcę cię posiąść.

Ale nawet gdy to mówił, wiedział, że kłamie.

Chciał jego spojrzenia. Jego głosu. Jego wyłączności. Chciał, żeby Jezus choć raz przestał należeć do wszystkich: do chorych, do dzieci, do kobiet, do Piotra, do Jana, do całego Izraela, do Boga. Chciał jednej chwili, która należałaby tylko do niego.
A to pragnienie, tak długo zamykane, straciło teraz wstyd szybciej, niż rozum zdążył je powstrzymać.

Zrobił krok w jego stronę.

Jezus podniósł rękę, nie tyle w geście groźby, ile po to, by wyznaczyć granicę.

– Zostań.

Ale Judasz już nie słuchał. Albo słyszał i właśnie dlatego szedł dalej. Chwycił go za rękaw. Bez przemocy, lecz natarczywie, jak tonący, który chwyta nawet kogoś, kogo może pociągnąć za sobą.
– Tylko raz – szepnął.

– Nie.

To słowo było jasne. Spokojne. Stanowcze.

Judaszowi w tej chwili pociemniało przed oczami.

Pochylił się i go pocałował.

Pocałunek stracił wszystko, co należało do powitania czy braterskiego szacunku. Judasz zawarł w nim głód, rozpacz, samotność, wstręt do samego siebie, pragnienie, by zostać przyjętym, i gniew, że musi o to przyjęcie błagać. Pocałował go gwałtownie, potem jeszcze raz, jakby krótkość pierwszego dotknięcia nie zdołała unieść wszystkiego, co w nie włożył.
Jezus go odsunął.

Jezus odsunął go stanowczo, bez uderzenia i bez nienawiści, tak że Judasz natychmiast pojął: nie ma żadnej szczeliny, żadnej możliwości, żadnego „może".
Dłonie Jezusa spoczywały na jego ramionach.

– Dość.

Judasz oddychał ciężko. Twarz miał rozpaloną, a zarazem bladą. Oczy mu błyszczały, lecz nie płakał. Jeszcze nie.

– A więc jednak – powiedział.

– Nie.

– Odrzucasz mnie.

– Odrzucam to, co zrobiłeś.

– To jedno i to samo.

– Nie.

– Dla ciebie nie! – wybuchnął Judasz. – Ty zawsze rozdzielasz rzeczy tak, żeby samemu pozostać czystym. Grzech i człowieka. Pragnienie i czyn. Miłosierdzie i granicę. Ale ja nie jestem podzielony. Kiedy odpychasz to, odpychasz mnie.

Jezus wciąż trzymał go za ramiona, ale jego głos pozostał cichy.

– Nie jesteś tym, co cię rozdziera.

– Ale jestem tym, który pragnie.

– A drugi człowiek nie ma obowiązku oddawać się twojemu pragnieniu.

To zdanie spadło między nich jak kamień.

Judasz patrzył na niego.

W tej chwili w pełni pojął granicę. Stała przed nim niewzruszona jak zamknięte drzwi.

Wszystko w nim najpierw zapadło się do środka. Potem zaczęło się zmieniać.

Wstyd stał się gniewem.

Gniew stał się oskarżeniem.

Oskarżenie stało się zranioną pychą.

Cofnął się.

Jezus go puścił.

– Judaszu – powiedział, teraz już z większym naciskiem – nie zostawaj z tym sam.

Ale Judasz słyszał tylko upokorzenie. Słyszał w tym zdaniu: jesteś słaby. Jesteś niebezpieczny. Potrzebujesz pomocy. Słyszał wszystko oprócz tego, co naprawdę w nim było.

– Nie zostawaj z tym sam – powtórzył drwiąco. – A z kim mam zostać? Z tobą? Przy tobie? Obok ciebie? Jako jeden z wielu?

Jezus milczał.

– To jest twoja miłość? – ciągnął Judasz, a jego głos był już twardszy. – Dać człowiekowi dość światła, żeby zobaczył własną nędzę, ale nie dość ciepła, żeby nie zamarzł?
– To, czego ode mnie żądasz, nie jest miłością.

Judasz drgnął, jakby otrzymał cios.

– Więc to nazwij.

Jezus nie odpowiedział od razu.

I właśnie w tej krótkiej ciszy Judasz czuł się najbardziej zniszczony. Wiedział bowiem, że Jezus mógłby wypowiedzieć słowa Prawa. Mógłby potępić go tak, jak potępiano w synagogach, w potajemnych męskich rozmowach, w spojrzeniach tych, którzy byli pewni własnej czystości. Mógłby go przepędzić, nazwać nieczystym, odrażającym, zdeprawowanym.
Ale Jezus tego nie zrobił.

A Judaszowi w niczym to nie ulżyło.

Przeciwnie.

Jeśli Jezus nie potępił go jako potwora, to Judasz nie miał wymówki, by się potworem stać. Jeśli go nie przeklął, wszystko, co od tej chwili zrobi, pozostanie jego własne.
To było nie do zniesienia.

– Jesteś okrutny – powiedział cicho Judasz.

Jezus zrobił krok w jego stronę.

– Nie.

– Jesteś. Bo wiesz, co człowiek chce usłyszeć, i mu tego nie dajesz. Wiesz, co by go złamało, i pozwalasz mu stać. Wiesz, że cię potrzebuje, i mówisz mu: zatrzymaj się.
– Tak – powiedział Jezus. – Jeśli miałby przez to zranić ciebie i mnie.

Judasz się roześmiał. Nie było już w tym łagodności. Tylko gorycz.

– Nie bój się. Już cię nie dotknę.

– Nie odchodź z gniewem.

– Więc z czym?

Jezus patrzył na niego długo.

– Z prawdą.

Twarz Judasza się zamknęła.

– Swoją prawdę zachowaj dla tych, którym wolno siedzieć bliżej ciebie.

Jezus zrozumiał.

– Jan nie ma z tym nic wspólnego.

– Oczywiście – powiedział Judasz. – Nikt nigdy nie ma z tym nic wspólnego. Tylko ja.

Odwrócił się.

– Judaszu.

Zatrzymał się, ale nie obejrzał.

– Twoje imię nie oznacza hańby.

Judasz stał w ciemności i czuł, jak do oczu wreszcie napływają mu łzy. Stłumił je tak gwałtownie, że aż zabolało go gardło.

– Od tej nocy tak – powiedział.

Potem odszedł.

Jezus został przy murze sam.

Judasz szedł z powrotem powoli, żeby nogi mu nie drżały. Kiedy wszedł pod zadaszenie, pozostali nadal spali. Świat się nie zmienił. Piotr dalej chrapał. Tomasz nawet się nie poruszył. Jan spał ze spokojną, niemal dziecięcą twarzą.

Judasz położył się na swoim miejscu, ale nie zamknął oczu.

W piersi czuł ogień.

Najpierw powtarzał sobie słowa Jezusa, żeby je zrozumieć.

Odrzucam to, co zrobiłeś.

Nie jesteś tym, co cię rozdziera.

Drugi człowiek nie ma obowiązku oddawać się twojemu pragnieniu.

Potem zaczął je zmieniać.

Odrzucam cię.

Jesteś nieczysty.

Nigdy nie będziesz kochany tak, jak chcesz.

Aż wreszcie zostało tylko jedno zdanie, proste i twarde, pozwalające przetrwać ból:

Upokorzył mnie.

To zdanie podobało mu się bardziej niż prawda.

Bo jeśli Jezus go upokorzył, Judasz nie był już tylko człowiekiem, który przekroczył granicę. Był poszkodowany. Skrzywdzony. Ugodzony. Miał prawo do gniewu.
A gniew był lżejszy niż wstyd.

Od tej nocy coś zaczęło się w nim zmieniać.

Na zewnątrz pozostawał tym samym uczniem. Rano wstał, wziął sakiewkę, przeliczył monety, odpowiadał rzeczowo. Kiedy Jezus mówił, słuchał. Kiedy ruszali dalej, szedł z nimi. Ale każdy gest Jezusa przekładał już w sobie na język odrzucenia.
Kiedy Jezus kładł rękę na chorym, Judasz widział dotyk, którego jemu odmówił.

Kiedy uśmiechał się do dziecka, widział czułość, która go ominęła.

Kiedy Jan siedział blisko niego, widział miejsce, które na zawsze było mu wzbronione.

A kiedy Jezus mówił o miłości do nieprzyjaciół, Judasz czuł tylko narastającą pewność, że największym okrucieństwem jest kochać wszystkich tak, by nikt nie mógł powiedzieć: on jest mój.
Frustracja nie od razu burzyła się w nim głośno. Najpierw wrzała po cichu. Pod słowami. Pod służbą. Pod przeliczonymi monetami. Pod głową pochyloną do modlitwy.
Ale była.

I czekała na chwilę, w której będzie mogła nazwać się sprawiedliwością.

Uwagi autora do rozdziału:

Ten rozdział jest czystą fikcją. Powstał dlatego, że finansowy motyw zdrady Judasza, opisany w Piśmie, wydał mi się zbyt płytki. Zdrada własnego nauczyciela musiała wynikać z czegoś znacznie głębszego, bardziej fundamentalnego dla samej istoty człowieka niż tylko korzyść finansowa. Z pewnością nie jest moim celem łączenie homoseksualności ze zdradą czy czymś podobnym. Zdecydowałem się wpleść taki wątek w tę najsłynniejszą opowieść, ponieważ taka motywacja Judasza wydała mi się wystarczająco głęboka, by mogła doprowadzić do podobnej zdrady. W czasach Jezusa homoseksualność postrzegano jako coś nieczystego i godnego pogardy — ludzie, którym przypadł taki los, mieli w ówczesnym społeczeństwie wyjątkowo ciężko. Właśnie dlatego taka motywacja wydała mi się możliwa. To jednak, jak było naprawdę, jest osobną kwestią, której po tak długim czasie bardzo trudno już dociec. Cała powieść jest w dużej mierze fikcją i tak należy traktować również ten rozdział.

7. Elarion: Złoty Krąg

Dom Davionów nie stał w Nitrze.

Stał daleko od stolicy, w Aurioli, w krainie dawnych aureliańskich siedzib, gdzie doliny otwierały się na rozległe zielone płaskowyże, a poranna mgła trzymała się ziemi tak długo, jakby krajobraz nie chciał obudzić się cały naraz.
Stare mury nadawały domowi Davionów wygląd niemal warowni.

W przeszłości rozstrzygano tam sprawy, które wpływały na całe pokolenia, dlatego miejsce to nosiło także powagę siedziby władzy.
Davionowie widzieli w nim jednak przede wszystkim dom w głębokim znaczeniu tego słowa — miejsce, w którym ściany chroniły nie tylko ciała, lecz także pamięć.

W głównej sali wisiały portrety przodków. Nie wszystkie były wierne. Niektóre stanowiły jedynie rekonstrukcje na podstawie opisów, inne — artystyczne wyobrażenia, jeszcze inne były tak stare, że farba pociemniała na nich w brunatną ciszę. Na każdym obrazie malarz próbował jednak uchwycić oczy.
Złoty krąg.

Gdzieniegdzie wyraźny.

Gdzieniegdzie niemal niewidoczny.

Gdzieniegdzie ledwie przeczuwany.

Jesair Davion szedł powoli przez salę. Jako dziecko unikał tych obrazów. Miał wrażenie, że czegoś od niego oczekują. Nie osiągnięć, nie posłuszeństwa, nie sławy. Czegoś gorszego: znaczenia.
A znaczenie było cięższe niż obowiązek.

Dawne opowieści o rodzie Davionów znał od dzieciństwa. Mówiono, że ich najdawniejsi przodkowie potrafili uśmierzyć chorobę dotykiem. Że w czasach suszy stawali nad rzekami i woda wracała. Że niektórzy z nich widzieli śmierć, zanim nadeszła, i potrafili zmienić drogę człowieka tak, by się z nią rozminął. Że przyroda słuchała ich nie jak sługi, lecz jak kogoś, kogo nie trzeba przekonywać.
Jesair nie wierzył w te opowieści.

Ale nie potrafił też całkiem ich wyśmiać.

Są w życiu rzeczy, których rozsądny człowiek nie zgodzi się nazwać prawdą, a jednak nocą nie odwróci się do nich plecami.

Wieczorem Jesair został w bibliotece.

Otworzył starą kronikę rodową, której matka zabroniła mu niegdyś czytać przed osiągnięciem dorosłości. Nie dlatego, że zawierała tajemnice władzy. Raczej dlatego, że zawierała zbyt wiele oczekiwań.

Na jednej ze stron widniał zapis o dawnym przodku imieniem Aser Davion.

Gdy do dolnej doliny przyszła gorączka, Aser chodził od domu do domu. Nie mówił, że śmierć nie nadejdzie. Mówił tylko, że nie wolno jej przyjść samej. Wielu twierdziło, że po jego dotknięciu wyzdrowieli. Inni twierdzili, że jedynie spokojniej umarli. Nie znamy prawdy. Wiemy tylko, że odtąd w naszym rodzie zachowało się zdanie: Nie odchodź sam.

Jesair przesunął palcami po starym piśmie.

Nie odchodź sam.

Zdanie było proste. Zbyt proste jak na legendę.

Zamknął księgę.

W tej chwili ogarnął go dziwny przebłysk obcej krainy, który wydawał się prawdziwszy niż zwykłe wspomnienie czy wyobrażenie.

Pył.

Słońce innej barwy.

Woda przy brzegu.

Dłonie rybaków.

Drewno.

I kobiecy głos, który wypowiedział jego imię, lecz nie imię Jesair.

Obraz zniknął, zanim dosięgnął go rozum.

Jesair siedział bez ruchu.

Potem się roześmiał. Cicho, z samego siebie.

– Stare domy – powiedział w pustkę. – Zawsze potrafią zaszczepić człowiekowi w głowie cudze cienie.

Ale kiedy wstał i zgasił światło, jeszcze raz spojrzał na księgę.

I na zdanie, które lśniło w niej nawet w ciemności.

8. Ziemia: dzień podziału

Wieczór zstępował na ziemię powoli, jakby samo światło wzbraniało się opuścić wzgórza nad jeziorem. Uczniowie siedzieli wokół Jezusa w ciszy, która nie była zwyczajną ciszą po długiej drodze. Było w niej coś cięższego, jakby każdy z nich czuł, że słowa usłyszane tego dnia nie należą jedynie do nich, lecz do wszystkich ludzi, którzy kiedyś przyjdą po nich.

Jezus patrzył w dal. Jego twarz była spokojna, ale nie był to lekki spokój. Nie był to spokój człowieka, który nie zna bólu, lecz tego, kto przyjął go, zanim jeszcze nadszedł.

– Nadejdzie dzień – powiedział w końcu – kiedy ukaże się wszystko, co było ukryte. Człowiek może ukryć swój zamiar przed bratem, może zasłonić swoją winę słowami, może udawać sprawiedliwego przed tłumem. Lecz przed Bogiem nic nie pozostanie zakryte. W owym dniu serce człowieka otworzy się jak naczynie postawione przed światłem.

Uczniowie milczeli.

– Syn Człowieczy przyjdzie w chwale swojego Ojca – ciągnął Jezus – a z nim aniołowie. I zgromadzą się przed nim narody. Nie według tego, jak kto się nazywał, ani jak głośno wypowiadał imię Pańskie, lecz według tego, co w sobie nosił i co uczynił. Bo głodny był między nimi i niektórzy dali mu jeść. Spragniony był między nimi i niektórzy dali mu pić. Przybysz stał u ich drzwi i niektórzy go przyjęli. Nagi był przed ich oczami i niektórzy go przyodziali. Chory i uwięziony był przed nimi i niektórzy przyszli.

Piotr podniósł głowę. – Panie, mówisz tak, jakby człowiek spotykał Boga zawsze tam, gdzie spotyka słabego.

Jezus spojrzał na niego. – A gdzie indziej chcielibyście go szukać? W świątyni, gdzie wszyscy widzą waszą pobożność? Przy ofierze, którą składacie na oczach kapłanów? Powiadam wam: kto zamknie serce przed cierpiącym człowiekiem, zamknie je przede mną. A kto pochyli się nad najmniejszym, tego uczynek wzniesie się przed Ojca jak modlitwa.

Oczy Jana były pełne niepokoju. Był młody, lecz nie miał w sobie dziecięcej beztroski. Słowa Jezusa często rozpalały w nim ogień, ale dziś parzyły inaczej. Nie jak nadzieja, raczej jak pytanie, któremu bał się dać głos.

Jezus mówił dalej:

– Wtedy jedni zostaną postawieni po prawej stronie, a inni po lewej. Ci, którzy umiłowali miłosierdzie, choć nie potrafili go nazwać, zostaną wezwani do życia. Ci zaś,

którzy widzieli ból i uczynili siebie ślepymi, którzy słyszeli płacz i uczynili siebie głuchymi, którzy mieli władzę i użyli jej, by poniżać słabych, odejdą w ciemność, którą sami wybrali. Słowa spadły między nich jak kamień do głębokiej studni.

Andrzej przetarł dłonią twarz. Tomasz zmarszczył brwi, jakby szukał w myślach sposobu, by zapytać Jezusa, nie dopuszczając się bluźnierstwa.
W końcu to właśnie on zabrał głos.

– Rabbi – powiedział powoli – czy mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj, Tomaszu.

– Mówisz o życiu i o ciemności. O nagrodzie i karze. O ogniu, który nie gaśnie. Ale człowiek jest słaby. Czasem działa z niewiedzy, czasem ze strachu, czasem dlatego, że sam został zraniony. Jeśli jego życie jest krótkie, a wina ludzka, czy wieczne cierpienie nie jest zbyt wielką karą za ludzkie upadki?
Niektórzy uczniowie poruszyli się z niepokojem. Piotr gwałtownie spojrzał na Tomasza, jakby chciał go uciszyć, lecz Jezus podniósł rękę.
– Niech mówi – powiedział spokojnie. – Pytanie, które boi się wyjść z ust, pozostaje w sercu jak ropa.

Tomasz spuścił wzrok. – Nie chcę sprzeciwiać się Bogu, Panie. Ale się boję. Jeśli sprawiedliwość nie ma końca, gdzie jest wtedy miłosierdzie?
Jezus długo milczał.

Wiatr przeszedł przez trawę i przez chwilę słychać było jedynie szelest liści oraz odległe głosy ludzi wracających z pól. Kiedy Jezus przemówił, jego głos był cichszy niż przedtem.

– Miłosierdzie nie jest unieważnieniem prawdy, Tomaszu. A prawda nie jest wrogiem miłosierdzia. Gdyby ojciec zobaczył, że jego syn bierze do ręki ogień, czy powiedziałby mu: rób, jak chcesz, bo cię kocham? Czy też zawołałby na niego surowo, żeby ocalić mu rękę?
– Zawołałby surowo – odpowiedział Tomasz.

– A gdyby dziecko płakało, że przestraszyło się głosu ojca?

– Ojciec wziąłby je w ramiona.

– Tak – powiedział Jezus. – Ale dopiero wtedy, gdy wypuściłoby ogień.

Tomasz milczał.

Jezus zwrócił się także do pozostałych.

– Słuchajcie mnie uważnie. Nie przyszedłem między was tylko po to, żeby pocieszyć tych, którzy już szukają Boga. Przyszedłem położyć kamień pod fundamenty wieków, które nadejdą. Moje słowa będą nieść ludzie, którzy mnie nie widzieli. Będą je przekazywać dzieciom swoich dzieci. Będą je zapisywać, objaśniać, przełamywać nimi pychę możnych i lęk słabych. Dlatego muszą stać niewzruszenie.
Potem spojrzał na Tomasza.

– Prawo, które jest łagodne wobec zła, staje się surowe wobec ofiar. Jeśli powiecie mordercy, że jego czyn to tylko pomyłka, co powiecie matce zabitego? Jeśli powiecie bogaczowi, który pozwolił głodnemu umrzeć u swoich drzwi, że jego wina jest mała, co powiecie owemu głodnemu? Jeśli powiecie możnemu, że jego okrucieństwo łatwo zatrze się w niepamięci, co powiecie tym, którzy pod jego jarzmem krwawili?
Jan wstrzymał oddech.

– Ludzie muszą usłyszeć, że ich czyny mają wagę – ciągnął Jezus. – Nie tylko dzisiaj. Nie tylko przed sędzią w mieście. Nie tylko na oczach sąsiadów. Lecz wobec wieczności. Bo wielu nie zatrzyma się przed płaczem słabego. Nie zatrzyma się przed wstydem. Nie zatrzyma się przed własnym sumieniem, które uciszą. Ale może zatrzymają się przed świadomością, że nic nie zostanie zapomniane.
Tomasz podniósł oczy. – A więc to strach ma ich przywieść do dobra?

– Strach jest początkiem dla tych, którzy nie potrafią jeszcze kochać – powiedział Jezus. – Ale nie może być końcem. Dziecko najpierw boi się spaść w przepaść i dlatego trzyma się z dala od krawędzi. Później rozumie, że życie jest cenne, i nie potrzebuje już samego strachu. Tak samo jest z prawem.
Piotr zapytał w zamyśleniu: – Któż zatem się ostoi, Panie? Przecież i sprawiedliwy upada.
Spojrzenie Jezusa złagodniało.

– Kto upadnie i wstanie, nie jest jak ten, kto w upadku urządzi sobie dom. Kto zgrzeszy i nad tym płacze, nie jest jak ten, kto grzeszy i uczy innych nazywać ciemność światłem. Ojciec widzi różnicę między słabością a zatwardziałością. Między raną a pychą. Między człowiekiem, który błądzi i woła o pomoc, a człowiekiem, który błądzi i jeszcze pociąga za sobą innych.
– Ale mówisz o wiecznej męce – nie ustępował Tomasz. – To słowo jest ciężkie.

– Jest ciężkie – przytaknął Jezus. – I ma być ciężkie. Bo zło także jest ciężkie. Gdybyście widzieli wszystkie łzy, które jeden człowiek wyciska drugiemu, nie głosilibyście sądu lekkimi słowami.
Jego głos na chwilę zadrżał, nie ze słabości, lecz z głębokiego smutku.

– Widzę pokolenia, które nadejdą. Widzę królów, którzy będą zabijać w imię porządku. Widzę kapłanów, którzy będą bardziej miłować własną władzę niż Boga. Widzę bogaczy, którzy będą budować domy na grzbietach ubogich. Widzę ludzi, którzy będą wiedzieli, że drugi cierpi, a mimo to powiedzą: to nie moja sprawa. Dlatego muszę mówić tak, by moje słowa nie stały się ozdobą. Muszą być jak miecz położony przed sumieniem.
Jezus dodał potem:

– Ale nie zapominajcie także o tym: nie przyszedłem szukać zagubionych po to, by cieszyć się z ich zagłady. Nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, lecz grzeszników do nawrócenia. Dopóki człowiek oddycha, ma przed sobą drzwi. Dopóki jego serce może się poruszyć, Ojciec go wzywa. Lecz kto na wieki odrzuca światło, ten wybiera ciemność. A ciemność, którą człowiek umiłuje bardziej niż prawdę, stanie się w końcu jego domem.
Tomasz położył dłonie na kolanach. – Więc sąd nie jest tylko karą przychodzącą z zewnątrz?

– Nie – powiedział Jezus. – Sąd jest także objawieniem tego, kim człowiek się stał. Kto przez całe życie uczył się kochać, rozpozna w Bogu dom. Kto przez całe życie uczył się nienawidzić światła, rozpozna w nim żar. To samo słońce otwiera kwiat i wysusza wyrwany korzeń.
Te słowa uciszyły uczniów bardziej niż groźba ognia.

Jezus wstał. Mrok już zgęstniał, a nad ziemią pojawiły się pierwsze gwiazdy.

– Dlatego powiadam wam: czuwajcie. Nie po to, żebyście żyli w trwodze, lecz żebyście nie zasnęli wobec dobra. Dawajcie chleb, póki macie ręce. Przebaczajcie, póki macie czas. Wracajcie do Ojca, póki słyszycie jego głos. Bo nadejdzie dzień, kiedy człowiek nie będzie pytał, co myśleli o nim ludzie, lecz co stało się z jego sercem.
Potem odwrócił się do Tomasza, a jego głos znów był cichy.

– A ty nie bój się pytać. Kto pyta dla prawdy, jest bliżej królestwa niż ten, kto milczy jedynie ze strachu.

Tomasz skinął głową, ale w jego oczach pozostał cień. Nie był to cień niewiary, raczej cień człowieka, który pojął, że Boża sprawiedliwość jest większa, niżby sobie życzył, a Boże miłosierdzie głębsze, niż miał odwagę się spodziewać.
Tej nocy żaden z nich nie zasnął szybko.

Każdy myślał o dniu, w którym otworzy się serce człowieka.

I każdy po cichu szukał w sobie odpowiedzi, czy jest w nim więcej światła, czy więcej ciemności.

Uwagi autora do rozdziału:

Ten rozdział jest czystą fikcją. Powstał jako reakcja na zbyt czarno-białe postrzeganie rozdzielenia tych, którzy zostaną na wieki potępieni, od tych, którzy otrzymają życie wieczne.

9. Elarion: Warstwa

Nerai Sael zaczynała pracę, zanim Nitra się budziła.

Nie dlatego, że rano myślało jej się lepiej. Pora nie miała dla niej znaczenia. Pieniądze przepływały między państwami bez względu na położenie Słońca Elarionu, a zautomatyzowane systemy nie znały zmęczenia, świąt ani godzin zamknięcia banków. Przychodziła wcześnie, bo wtedy korytarze były puste.

W ciszy łatwiej było rozpoznać, które pytanie jest ważne, a które tylko pilne.

Budynek Międzypaństwowego Urzędu ds. Integralności Finansowej i Ryzyka Systemowego nie stał w historycznym centrum Nitry. Wyrósł na północnym brzegu rzeki, pomiędzy siedzibami rad monetarnych, centrami obliczeniowymi Unii a ogrodami placówek dyplomatycznych. Był niski, szeroki i z zewnątrz niemal pozbawiony okien. Architekci twierdzili, że chcieli w ten sposób wyrazić spokój i bezstronność.

Ludzie, którzy obawiali się urzędu, widzieli w nim twierdzę.

Większość mieszkańców Elarionu znała urząd pod krótszą nazwą.

Warstwa.

Nazwę wymyślili analitycy. Każdy bank, ubezpieczyciel, urząd skarbowy czy giełda widziały tylko własną warstwę życia finansowego. Bank znał rachunek, ale niekoniecznie znał rzeczywistego właściciela spółki, do której ten rachunek należał. Urząd skarbowy znał zeznanie podatkowe, lecz nie widział pieniędzy, które odpłynęły do obcego państwa. Rejestr znał osobę uprawnioną do reprezentowania spółki, ale nie człowieka ukrytego za funduszem, który ją kontrolował.

Kiedy pieniądze przekraczały granicę, trafiały pod inną jurysdykcję.

Czasem zostawał po nich raport.

Czasem tylko zestawienie.

Czasem nic.

Zadaniem Warstwy było nakładanie na siebie tych niepełnych warstw i szukanie miejsc, w których ich krawędzie przestawały do siebie pasować.

Nerai nie była policjantką.

Nie mogła nikogo zatrzymać, wezwać na przesłuchanie ani oskarżyć. Nie mogła wejść do banku i przeglądać rachunków wedle własnej woli. Nie mogła żądać od raju podatkowego nazwiska właściciela tylko dlatego, że ją interesowało. Kiedy znajdowała niepokojącą prawidłowość, opracowywała zawiadomienie analityczne i przekazywała je organom, które mogły wystąpić do sądu lub innego państwa o dalsze dane.
Często czekała całymi miesiącami.

Czasem przychodziła odpowiedź, że żądana informacja nie istnieje.

Innym razem istniała, ale zgodnie z miejscowym prawem nie można było jej udostępnić.

A niekiedy państwo nie odpowiadało wcale.

Warstwa nie widziała więc wszystkich pieniędzy Elarionu. Widziała przede wszystkim to, co ktoś musiał jej zgłosić, co było dostępne publicznie lub co udało się uzyskać w toku konkretnego dochodzenia.

Banki przesyłały jej zgłoszenia nietypowych operacji. Nie pełne rejestry wszystkich klientów. Jedynie przypadki, w których ich własne systemy lub pracownicy powzięli podejrzenie, że pochodzenie pieniędzy jest niejasne, że przemieszczają się one w nietypowy sposób albo wiążą z już znanym ryzykiem.
Organy podatkowe dostarczały dane zbiorcze.

Rejestry handlowe — nazwiska formalnych właścicieli.

Partie polityczne — obowiązkowe wykazy darowizn i wydatków.

Każde z tych źródeł pokazywało inną część rzeczywistości.

I każde miało własne martwe pole.

Nerai łączyła informacje, które na pierwszy rzut oka nie miały ze sobą związku. Zgłoszenie banku. Zmianę właściciela spółki. Kredyt z obcego państwa. Darowiznę dla fundacji. Płatność za usługi doradcze. Dotację na odbudowę regionu. Umowę ubezpieczenia, w której nazwisko odbiorcy świadczenia nie zgadzało się z nazwiskiem właściciela.
Korupcja rzadko przyznawała się do siebie w tytule przelewu.

A finansowanie władzy politycznej często kryło się za takimi słowami jak doradztwo, edukacja, rozwój regionalny czy badanie opinii publicznej.
Nerai nie szukała ludzi, którzy kupili sobie coś drogiego.

Szukała władzy.

Usiadła przy biurku i położyła dłoń na jego matowej powierzchni. System zweryfikował jej tożsamość. W przestrzeni przed nią pojawiła się lista nowych zgłoszeń, które nadeszły w nocy.
Nie była to mapa wszystkich pieniędzy.

Była to mapa podejrzeń.

Niektóre zgłoszenia zawierały dokładne dane. Inne tylko podstawowy opis transakcji oraz powód, dla którego bank ją oznaczył. Przy operacjach transgranicznych część danych zwykle pozostawała zanonimizowana, dopóki nie pojawiła się podstawa prawna do ich udostępnienia.
Nerai otworzyła pierwszą sprawę.

Nadzwyczaj wysoki przelew między dwiema firmami budowlanymi. Załączono wyjaśnienie: sprzedaż maszyn i urządzeń. Dokumenty sprawiały wrażenie wiarygodnych.
Druga sprawa dotyczyła fundacji, która otrzymała dużą darowiznę krótko przed wyborami. Płatność została jednak publicznie ujawniona i pochodziła od znanego darczyńcy.
W trzeciej brakowało informacji o ostatecznym właścicielu odbiorcy.

Nerai oznaczyła ją jako wymagającą uzupełnienia.

Przy siedemnastym zgłoszeniu się zatrzymała.

Pochodziło z banku w portowym mieście Sarur. Bank zwrócił uwagę na serię wpłat gotówkowych jednej z miejscowych spółek. Na Elarionie gotówką nazywano także cyfrowe jednostki na okaziciela, które można było przekazywać bez stałego połączenia z siecią. Przy wpłacie bank weryfikował ich autentyczność, a nie tożsamość wszystkich poprzednich posiadaczy. Sama wysokość wpłat nie była wyjątkowa. Chodziło o przedsiębiorstwo, w którym takie przychody były czymś zwyczajnym.
Prowadziło restaurację.

Podejrzenie banku nie wynikało z tego, że znał rzeczywistą liczbę klientów. Wynikało z tego, że wpłaty w ciągu kilku miesięcy znacznie wzrosły, podczas gdy podstawowy profil spółki pozostał niezmieniony. Ten sam lokal. Ta sama liczba rachunków prowadzonych w banku. Żadnego kredytu na rozbudowę. Żadnej zgłoszonej sprzedaży przedsiębiorstwa ani zmiany działalności.
Mogło to oznaczać sukces.

Nowego kucharza.

Dobre opinie.

Umowę na zaopatrzenie innej firmy, o której bank nie wiedział.

Zgłoszenie nie było zatem oskarżeniem. Było jedynie sygnałem, że bank nie potrafił zadowalająco wyjaśnić zmiany zachowania klienta.
Nerai otworzyła publiczny wpis spółki do rejestru.

Formalnym właścicielem był miejscowy przedsiębiorca. Dwa szczeble wyżej znajdował się fundusz regionalny. Nad nim spółka zarejestrowana w Therinithie, jednym z mniejszych państw południowego archipelagu.
Rejestr Therinithu nie ujawniał ostatecznych właścicieli.

Nie było w tym nic nielegalnego.

Therinith oparł znaczną część swojej gospodarki na tajemnicy finansowej.

Nerai spojrzała na nazwę lokalu.

Vesta Sarur Sedem.

Znała tę markę. Vesta prowadziła restauracje, małe sklepy, obiekty noclegowe i zakłady naprawcze na znacznej części planety. Niektóre należały bezpośrednio do spółki centralnej, inne do miejscowych licencjobiorców. Ich struktury własnościowe różniły się w zależności od państwa.
To, że jedna restauracja wykazywała nietypowe wpłaty, niczego nie oznaczało dla sieci jako całości.

Nerai otworzyła nocne podsumowanie systemu analitycznego i zażądała starszych zgłoszeń powiązanych z nazwą Vesta.
System znalazł setki zapisów. Większość dotyczyła zwykłych spraw: sporów z dostawcami, błędnie wypełnionych przelewów, kradzieży tokenów autoryzacyjnych, kontroli podatkowych czy niespłaconych kredytów.

Pośród nich oznaczył schemat o niskiej ocenie istotności: wpłaty z lokali, po nich przelewy zagraniczne i niejasna tożsamość ostatecznego właściciela. Nie miał jednak wglądu w kasy ani chronione rachunki za granicami państw. W automatycznej kolejności spraw schemat ten znajdował się daleko poniżej pilnych ostrzeżeń.
Pozostało czternaście przypadków.

Pochodziły z sześciu państw.

Były rozłożone na cztery lata.

Miejscowe urzędy zamknęły je z osobna lub pozostawiły bez dalszego postępowania. W jednym przypadku przedsiębiorstwo wyjaśniło, że zyskało nowych klientów. W drugim

bank uznał, że ryzyko jest zbyt małe. Trzecia sprawa zakończyła się na granicy państwa, które odmówiło udzielenia informacji o spółce przyjmującej środki.
Wszystkie jednak nosiły nazwę Vesta.

Dla modelu była to grupa słabych zbieżności. Nerai znała jednak różnicę między czternastoma zbiegami okoliczności a czternastoma urzędami, z których każdy widział tylko własną zamkniętą sprawę. Otworzyła pierwotne zgłoszenia i zaczęła czytać ich uzasadnienia.
Nerai pochyliła się do przodu.

Nie widziała obrotów całej sieci. Nie widziała kas ani liczby odwiedzających lokale. Nie miała dostępu do wewnętrznej księgowości, a tym bardziej do systemów, które pokazałyby jej, kto i co kupował w poszczególnych placówkach.
Widziała jedynie, że różne banki w różnych państwach niezależnie zwróciły uwagę na podobne zachowania.

Gotówka pojawiała się w miejscowym lokalu.

Wykazywano ją jako zwykły przychód.

Wkrótce potem część pieniędzy trafiała do spółek świadczących nieprecyzyjnie nazwane usługi.

Doradztwo.

Zarządzanie marką.

Promocja regionalna.

Opłaty licencyjne.

Stamtąd trop rozpadał się pomiędzy kolejne państwa.

– Dzień dobry.

Głos za jej plecami należał do Tarena Vossa.

Nerai się nie odwróciła.

– To się dopiero okaże.

Taren podszedł do stanowiska pracy. Był wysoki, szczupły i poruszał się ze spokojem człowieka, który nigdy nie próbował udowadniać, że panuje nad sytuacją. Pracował w Warstwie dłużej niż Nerai i znał systemy bankowe Vasýrii w sposób, którego nie dało się nauczyć z samych ustaw.
Był Veyraninem.

Część kolegów uważała to za zaletę, kiedy badali veyrańskie domy bankowe. Inni za ryzyko. Nerai uważała oba te przekonania za równie prymitywne.

– Co masz? – zapytał.

– Czternaście zgłoszeń z czterech lat.

– Brzmi jak początek bardzo długiej narady.

– Sześć państw. Różne banki. Różni formalni właściciele.

Taren przejrzał dane.

– A wspólny punkt?

– Vesta.

Przez chwilę lekko się uśmiechał.

– Jadłem u nich.

– To nie jest przydatna informacja.

– Mogę potwierdzić, że jedzeniem nie da się wyjaśnić ich sukcesu finansowego.

Nerai przesunęła ku niemu pierwsze zgłoszenie.

– Wpłaty rosną. Potem część pieniędzy odpływa za usługi doradcze i licencyjne. Tożsamość ostatecznych właścicieli odbiorców jest chroniona.

– To jeszcze nie musi nic znaczyć.

– Nie musi.

– Sieć może mieć wspólny model biznesowy.

– Może.

– Albo wspólny sposób przenoszenia zysku.

– Też możliwe.

Taren otworzył warstwę czasową i porównał daty płatności. Niektóre lokale wysyłały pieniądze do tych samych pośredników. Inne korzystały z różnych spółek, które miały jednak wspólnego audytora lub zarządcę.

– Ciekawe – powiedział.

– Co?

– Te firmy sprawiają wrażenie niepowiązanych. Ale dokumenty przygotowywała im ta sama kancelaria.

– To może być zwykły usługodawca.

– Może.

Oboje przez chwilę milczeli.

Tak zaczynała się większość spraw w Warstwie. Nie od pewności, lecz od szeregu możliwości, z których każda miała niewinne wyjaśnienie.
Aż robiło się ich zbyt wiele.

– Potrzebujemy wewnętrznej księgowości przynajmniej jednego lokalu – powiedział Taren.

– Nie mamy do tego podstawy prawnej.

– Mamy zgłoszenie banku.

– Mamy podejrzenie banku. Nie dowód przestępstwa.

– Możemy poprosić Sarur o kontrolę podatkową.

– Możemy poprosić, żeby rozważyli kontrolę podatkową.

Taren oparł się o biurko.

– A oni za pół roku oznajmią nam, że wszystko było zgodne z miejscowymi przepisami.

– Prawdopodobnie.

– Therinith nie ujawni nam właściciela.

– Nie bez orzeczenia sądu. A orzeczenia sądu nie uzyskamy bez mocniejszych podstaw do podejrzeń.

Taren spojrzał na widniejący przed nimi łańcuch.

– Więc potrzebujemy danych, żeby udowodnić, że potrzebujemy danych.

– To podstawa współpracy międzypaństwowej.

Powiększyła listę powiązanych spółek. Na końcu większości łańcuchów własności widniało nazwisko zarządcy, nazwa kancelarii prawnej lub funduszu.
Nigdzie nie było człowieka.

Nerai nie mogła powiedzieć, że Vesta prała pieniądze. Nie wiedziała nawet, czy nietypowe wpłaty były rzeczywistymi przychodami, oszustwem podatkowym, czy jedynie skutkiem modelu biznesowego, którego banki nie rozumiały.
Miała tylko powracające pytanie.

I system, który nie pozwalał jej dojść do odpowiedzi, jeśli nie znała jej z góry.

– Załóż sprawę roboczą – powiedziała. – Na razie bez oskarżenia i bez wniosku o interwencję.

– Z jakim uzasadnieniem?

– Możliwe skoordynowane wykorzystywanie placówek przyjmujących gotówkę do ukrywania pochodzenia środków.

– To brzmi już prawie jak opinia.

– Więc napisz: weryfikacja powtarzających się międzypaństwowych anomalii finansowych.

Taren lekko się uśmiechnął.

– To brzmi jak nic.

– Dlatego zatwierdzą.

Zaczął przygotowywać listę wniosków. Nie o dane klientów ani zapisy kasowe całej sieci. Takich uprawnień Warstwa nie miała. Mogli wystąpić o wyniki przeprowadzonych już kontroli podatkowych, publiczne sprawozdania finansowe, nazwiska audytorów, umowy licencyjne, zmiany właścicieli i informacje, które same banki oznaczyły jako nietypowe.

Każda kolejna warstwa wymagała nowego uzasadnienia.

Każde uzasadnienie musiało wynikać z warstwy poprzedniej.

Nerai na chwilę dostrzegła własne odbicie w ciemnej części blatu.

Nie miała złotego kręgu.

Jej matka była Aurelianką. Nerai urodziła się jednak Selenitką, po ojcu. W dzieciństwie często przyglądała się swoim oczom w różnym świetle. Po płaczu, w gorączce i w chwilach, kiedy bardzo się skupiała.

Czekała, czy złota linia jednak się nie pojawi.

Nigdy się nie pojawiła.

Jej przyrodni brat Jesair odziedziczył krąg. Był Aurelianinem, a zarazem potomkiem najstarszej znanej linii Davionów. Dlatego ludzie szukali w nim dalszego ciągu opowieści, które powstały całe stulecia przed jego narodzinami.

Kiedy kogoś uspokoił, mówili o dawnym darze.

Kiedy się pomylił, twierdzili, że zawiódł własną krew.

Nerai nie dźwigała podobnego brzemienia.

Nie musiała być dalszym ciągiem legendy.

Mogła być tylko sobą.

Mimo to zawsze znalazł się ktoś, kto po usłyszeniu imienia Jesaira jeszcze raz przyglądał się jej oczom. Jakby musiał sprawdzić, dlaczego rodzeństwo nie nosi tego samego znaku.
Jesair nigdy nie traktował jej jak kogoś, komu czegoś brakuje.

Kiedy byli dziećmi, powiedział jej, że złoty krąg to tylko coś, co ludzie dostrzegają wcześniej niż człowieka.

Nerai odpowiedziała mu, że w takim razie ma szczęście, że nic nie świeci jej w oczach.

Od tamtej pory czasem jej zazdrościł.

Nerai odwróciła wzrok od własnego odbicia i znów skupiła się na przestrzeni roboczej. Taren tymczasem skończył pierwszą serię wniosków.
– Sarur przyjął zawiadomienie – powiedział. – Bez obietnicy kontroli.

– To więcej, niż się spodziewałam.

– Therinith odmówił udostępnienia danych właścicielskich.

– To dokładnie to, czego się spodziewałam.

Taren otworzył odpowiedź wyspiarskiego rejestru. Była długa, uprzejma i napisana w sposób, który miał przekonać czytelnika, że nieudzielenie informacji jest przejawem kultury prawnej.
Urząd nie przedstawił dostatecznie konkretnego podejrzenia.

Nie wskazano dokładnie przestępstwa.

Nie wykazano związku między miejscową spółką a anomaliami finansowymi w innych państwach.
Każde zdanie dało się obronić.

Razem tworzyły mur.

– Twierdzą, że bez dowodu wspólnego zarządzania nie możemy żądać ujawnienia ostatecznego właściciela – powiedział Taren.
– A wspólnego zarządzania nie możemy udowodnić bez ostatecznego właściciela.

– Może mają to napisane nad wejściem do rejestru.

Nerai oznaczyła odpowiedź i dołączyła ją do sprawy. Odmowa też miała swoją wartość. Nie jako dowód przestępstwa, lecz jako mapa granic, poza które dochodzenie nie mogło zajrzeć.
Spojrzała na czternaście zgłoszeń.

Nie wiedziała, czy wszystkie należały do tego samego mechanizmu. Może były wśród nich uczciwe przedsiębiorstwa, niedokładne modele bankowe lub zwyczajne błędy księgowe. Może nazwa Vesta była jedyną rzeczą, którą miały wspólną.
Ale zbyt wiele zbiegów okoliczności zaczynało się w ten sam sposób.

Pieniądze pojawiały się w placówce przyjmującej gotówkę.

Otrzymywały nazwę utargu.

Potem odpływały w zapłacie za usługę, której wartości nie dało się dokładnie zmierzyć.

Na koniec trafiały do państwa, w którym nikt już nie musiał pytać, do kogo należą.

– Co dalej? – zapytał Taren.

– Zaczekamy na wyniki kontroli.

– To może potrwać miesiące.

– Tymczasem sprawdzimy audytorów, zarządców i firmy doradcze.

– Bez dostępu do rachunków?

– Jeszcze nie wszystkie nazwiska są tajne.

Taren otworzył listę spółek, do których z lokali trafiały płatności za licencje i doradztwo. Na pierwszy rzut oka nie było między nimi związku. Miały siedziby w różnych państwach, nazwy w różnych językach i każda wskazywała inny obszar działalności.
Nerai uporządkowała je według daty założenia.

Potem według przedstawicieli prawnych.

Na koniec według osób, które poświadczały ich dokumenty założycielskie.

W przestrzeni roboczej pojawiły się pierwsze powtarzające się nazwiska.

Nie byli to jeszcze właściciele.

Tylko zarządcy, prawnicy i urzędowi pośrednicy.

Ludzie, których zadaniem było stać między majątkiem a człowiekiem, do którego naprawdę należał.

– Trzy kancelarie – powiedział Taren.

– Przy czternastu pozornie niepowiązanych sprawach.

– To już więcej niż nazwa sieci.

– Nadal nie jest to dowód.

– Ty kiedyś nie zechcesz się ucieszyć nawet z przyznania się do winy.

– Przyznanie się do winy też może być nieprawdziwe.

Taren pokręcił głową i wysłał kolejne wnioski.

Za oknami budynku Nitra stopniowo wypełniała się porannym światłem. Warstwy ruchu nad rzeką gęstniały, a na przeciwległym brzegu rozświetlały się wieże publiczne. Miasto zaczynało swój dzień, przekonane, że wszystko, co ważne, jest gdzieś rejestrowane, kontrolowane i przechowywane.
Nerai wiedziała, że to nieprawda.

Dane istniały.

Tylko nie leżały w jednym miejscu.

Każda instytucja trzymała własny odłamek i chroniła go według własnych zasad. Banki widziały przepływ, ale nie rzeczywisty handel. Urzędy skarbowe widziały zeznania, ale nie cały strumień pieniędzy. Rejestry widziały spółki, ale nie ludzi za nimi. Śledczy widzieli podejrzenia, lecz często nie powiązania.
Przestępstwo nie musiało być niewidzialne.

Wystarczyło, że było podzielone.

Nerai założyła nowe akta robocze. System zażądał od niej nazwy, podstawy prawnej i wstępnej oceny ryzyka.
W polu nazwy wpisała jedno słowo:

Vesta.

Przy ocenie ryzyka przez chwilę się wahała.

Potem zaznaczyła:

Nieokreślone. Możliwy schemat międzypaństwowy.

Akta zostały zapisane pośród setek innych otwartych spraw. Na chwilę się podświetliły, a potem zniknęły w systemie, jakby nie były niczym wyjątkowym.
Może rzeczywiście nie były.

Może kryło się za nimi tylko kilka przedsiębiorstw, które zatajały rzeczywisty zysk lub przenosiły przychody, żeby płacić niższe podatki.
Ale może Vesta była miejscem, w którym pieniądze pochodzące z różnych przestępstw otrzymywały tę samą opowieść o swoim pochodzeniu.
Nerai jeszcze tego nie wiedziała.

Miała jedynie czternaście zgłoszeń, trzy kancelarie prawne i kilka państw, które odmawiały jej pokazania ostatniego nazwiska w łańcuchu.
Na początku wielkich odkryć zazwyczaj jednak nie stał dowód.

Stała tam niezgodność, którą łatwiej było przeoczyć niż wyjaśnić.

Nerai zamknęła pozostałe sprawy.

Vestę zostawiła otwartą.

10. Ziemia: przeklęte drzewo figowe

Kiedy rano wyszli z Betanii, powietrze było jeszcze chłodne, a nad drogą unosiła się cienka mgiełka. Jerozolima wyrastała przed nimi w porannym świetle, jej mury były blade i twarde jak twarz człowieka, który dawno zapomniał, jak się płacze.

Uczniowie szli za Jezusem w milczeniu. Ostatnie dni pełne były znaków, pytań i niepokoju. Każdy czuł, że zbliża się coś, czego żaden z nich nie zdoła już zatrzymać. Miasto przyciągało ich, a zarazem odpychało. Było jak otwarta brama, za którą czekała na nich nie wolność, lecz wyrok.

Jezus szedł na przedzie.

Tej nocy prawie nie spał. Długo siedział sam, podczas gdy pozostali odpoczywali, i patrzył w stronę Jerozolimy. Wiedział, że godzina, o której tak często mówił, już się nie zbliża. Była tutaj. Szedł w jej wnętrzu.

Krok miał nadal pewny, lecz ciało było zmęczone. Czuł suchość w ustach i pustkę we wnętrznościach, odzywającą się przy każdym kroku tępym bólem. Od poprzedniego dnia niewiele jadł. Z początku głód tylko cicho w nim mieszkał, teraz jednak dopominał się coraz natarczywiej, aż świat na chwilę skurczył się do prostego pragnienia jedzenia.

Przy drodze stało drzewo figowe.

Miało rozłożystą koronę i mnóstwo zielonych liści. Pośród szarawych kamieni wyglądało jak wyspa życia. Gałęzie pochylały się nad drogą, a w porannym świetle drzewo wydawało się silne, zdrowe i hojne.

Jezus podszedł do niego.

Piotr obejrzał się na pozostałych. Jan zwolnił. Tomasz zatrzymał się kilka kroków za nimi i patrzył, jak Jezus rozgarnia liście.

Szukał owocu.

Palce przesuwały się między gałęziami. Odchylał jedną za drugą, unosił liście, oglądał je od spodu.

Nie znalazł nic.

Tylko liście.

Tylko zewnętrzną obietnicę.

Tylko pozór obfitości bez tego, co mogłoby nasycić głodnego człowieka.

Jezus sięgnął głębiej w koronę, jakby liczył, że jednak znajdzie tam choć jedną wczesną figę. Lecz jego ręka wróciła pusta.

Niektórzy uczniowie spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że nie nadszedł jeszcze czas fig. Drzewo nie robiło niczego wbrew swojej naturze. Zieleniło się wtedy, kiedy miało się zielenić, i czekało na porę, w której miało wydać owoce.
Lecz głód nie zna cierpliwości pór roku.

Głód nie dostrzega całego drzewa. Widzi jedynie brakujący owoc.

Jezus stał pod koroną. W jego spojrzeniu pojawił się smutek, bo nie widział przed sobą jedynie figowca. Widział miasto, które pyszniło się świątynią, prawami i modlitwami, lecz nie potrafiło nasycić ludzkiej duszy. Widział kapłanów w czystych szatach, odwracających się od nieczystych. Widział mężczyzn, którzy znali każde słowo Pisma, a nie słyszeli płaczu wdowy za murem własnego domu.
Widział liście bez owoców.

Pod tym smutkiem na krótką chwilę poruszyło się jednak także coś mniejszego.

Ludzkiego.

Rozdrażnienie zmęczonego człowieka. Zniecierpliwienie głodnego ciała. Ciche oburzenie, że świat znów stanął przed nim pełen obietnic, a jemu samemu nie dał nic.
To była zaledwie chwila.

Głód przemówił w nim wcześniej niż współczucie, a zmęczenie wcześniej niż mądrość. Przez chwilę nie widział drzewa takim, jakie było. Widział w nim wszystko, co obiecywało życie, a nie przyniosło mu ulgi właśnie wtedy, gdy jej zapragnął.
Dotknął jednego liścia.

Potem powiedział:

– Niech już nikt nigdy nie je z ciebie owocu.

Nie wypowiedział tego głośno. Nie było w tym wściekłości, która wstrząsnęłaby drogą. Były zmęczenie, sąd i jeden ostry błysk woli, która na moment zawęziła się do własnego głodu.
Kiedy słowa wybrzmiały, Jezus stał nieruchomo.

Spojrzał na swoją rękę spoczywającą na gałęzi.

Jakby ciężar wypowiedzianego słowa poczuł dopiero wtedy, gdy opuściło już jego usta.

Potem cofnął rękę.

Uczniowie milczeli. Nikt nie zapytał, dlaczego to zrobił. Ruszyli dalej ku Jerozolimie, lecz Tomasz jeszcze raz obejrzał się na drzewo.
Zielone liście lekko poruszały się na wietrze, jakby nic się nie stało.

Nazajutrz wracali tą samą drogą.

Piotr pierwszy dostrzegł figowiec. Przystanął tak nagle, że Jakub omal na niego nie wpadł.

– Rabbi – powiedział, wskazując ręką. – Spójrz. Drzewo figowe, które przekląłeś, uschło.

Wszyscy się zatrzymali.

Drzewo, które dzień wcześniej było zielone i pełne liści, teraz było suche. Liście zwisały poskręcane i szare, gałęzie straciły sprężystość, a kora miejscami odchodziła od pnia. Nie wyglądało jak drzewo, które powoli marnieje. Wyglądało jak drzewo, z którego życie odeszło naraz, od korzeni aż po ostatnią gałązkę.
Uczniów przeniknął niepokój.

Widzieli już wiele znaków. Widzieli wodę przemienioną w wino. Widzieli uzdrowionych chorych, niewidomych odzyskujących wzrok i chromych, którzy chodzili. Widzieli Łazarza wychodzącego z grobu.
Lecz to drzewo poruszyło ich inaczej.

Ten cud nie przyniósł uzdrowienia.

Nie było też radości tłumu.

Nikt nie objął swojego dziecka. Nikt nie wzniósł oczu ku niebu, dziękując za przywrócone życie.

Całe zdarzenie było surowe, ciche i nieodwołalne.

Jezus zwrócił się do nich.

– Miejcie wiarę w Boga – powiedział. – Zaprawdę powiadam wam: kto powie tej górze: Podnieś się i rzuć się w morze, i nie zwątpi w swoim sercu, lecz uwierzy, że stanie się to, co mówi, temu się to spełni.
Podniósł oczy na zbocza wokół drogi.

– Dlatego mówię wam: o cokolwiek prosicie w modlitwie, wierzcie, że otrzymaliście, a będzie wam dane. Lecz kiedy stoicie i modlicie się, przebaczajcie, jeśli macie coś przeciw komuś, aby i wasz Ojciec wam przebaczył.
Te słowa padły między nich jak kamienie w głęboką wodę.

Nikt nie odpowiedział od razu.

Każdy usłyszał w nich coś innego.

Piotr usłyszał wezwanie do siły.

Jan tajemnicę ufności.

Judasz możliwość władzy.

Tomasz pytanie.

Przez chwilę się wahał. Potem podszedł bliżej Jezusa.

– Panie – odezwał się ostrożnie.

Jezus spojrzał na niego.

– Pytaj, Tomaszu.

Tomasz spuścił wzrok na wyschnięte korzenie figowca.

– Widzieliśmy, jak przemieniasz wodę w wino. Widzieliśmy, jak uzdrawiasz chorych. Widzieliśmy, jak wskrzeszasz umarłych. Widzieliśmy Łazarza wychodzącego z grobu, choć leżał już w ciemności, a jego ciało niosło woń śmierci.
Umilkł.

– A teraz widzieliśmy, że na twoje słowo uschło drzewo.

Niektórzy uczniowie poruszyli się niespokojnie. Piotr zmarszczył brwi, jakby chciał uciszyć Tomasza, lecz Jezus uniósł rękę.
– Niech mówi – powiedział. – Kto pyta, ten jeszcze nie śpi.

Tomasz zaczerpnął powietrza.

– Dlaczego więc nie sprawiłeś, żeby miało figę? Skoro byłeś głodny, a drzewo nie miało owocu, dlaczego mu go nie dałeś? Dlaczego łatwiej było odebrać mu życie niż przywołać na nie owoce?
Cisza zgęstniała.

Tomasz mówił dalej, teraz już śmielej:

– A jeśli człowiek mający wiarę może powiedzieć górze, żeby się podniosła i rzuciła w morze, dlaczego nie mógłby powiedzieć drzewu: Wydaj figę?
Jezus patrzył na niego z życzliwą powagą.

– Tomaszu – powiedział – gdy dziecko widzi chleb, myśli, że chleb zaczyna się w rękach piekarza. Mądry człowiek wie jednak, że zaczyna się znacznie wcześniej. W ziarnie, które padło w ziemię. W deszczu, który nadszedł we właściwym czasie. W słońcu, które nie prażyło zbyt mocno. W rękach tego, kto siał. W kamieniu młyńskim. W ogniu pieca.

Wskazał figowiec.

– Każda rzecz, którą widzisz przed sobą, ma za sobą długi szereg rzeczy ukrytych. Także owoc figowca nie jest jedynie owocem. Żeby dzisiaj wisiał na gałęzi, wczoraj musiał tam być czymś mniejszym. Przed miesiącem musiał być ledwie dostrzegalny, ukryty w ciele drzewa. Wcześniej musiał być zawiązkiem owocu, który przyjmował soki, światło i czas. A jeszcze wcześniej musiał być drzewem mającym w sobie siłę, by rodzić.

Tomasz słuchał bez ruchu.

Jezus wziął do ręki suchy liść. Pod dotykiem rozsypał się między palcami.

– Rzeczywistość, którą widzicie, nie jest jedną skórą naciągniętą na świat. Ma warstwy. Jak cebula, którą kobieta rozbiera przy palenisku. Jedna warstwa podtrzymuje drugą. To, co ukazuje się dzisiaj, opiera się na tym, co było wczoraj. A to, co było wczoraj, opiera się na tym, co było wcześniej.

Spojrzał na wszystkich.

– Słaby umysł widzi tylko ostatnią warstwę i uważa ją za cały świat. Silniejszy umysł widzi głębiej. A umysł przepełniony wiarą może dotknąć miejsc, w których sprawy nie są jeszcze do końca zamknięte.

Jan podniósł wzrok.

Jezus mówił dalej:

– Są rzeczy, które można zmienić, bo ich korzenie leżą blisko. Chore ciało wciąż pragnie życia. Woda nosi w sobie posłuszeństwo stworzenia. Ludzkie serce może się odmienić w jednej chwili. Nawet śmierć nie jest takim murem, jak sądzicie, gdy Ojciec zawoła imię tego, kto śpi.

Na wspomnienie śmierci stanął im przed oczami grób Łazarza. Kamień odsunięty od wejścia. Woń rozkładu. Mężczyzna owinięty płótnami, który wyszedł na głos Jezusa.

– Lecz sprawić, żeby na drzewie pojawiła się figa, kiedy nie nadszedł czas fig – powiedział Jezus powoli – to nie tylko nakazać gałęzi, by wydała owoc. Oznaczałoby to przepisanie wielu warstw naraz. Musiałby istnieć wczorajszy wzrost, którego nie było. Musiałoby istnieć dojrzewanie, które się nie dokonało. Musiałyby istnieć soki, które od wielu dni płynęły ku owocowi. Musiałby istnieć czas, który tamtędy nie przeszedł.

Tomasz zmarszczył czoło.

– Ale Bóg może wszystko.

– Bóg może wszystko – przytaknął Jezus. – Lecz Bóg nie jest sztukmistrzem na targu, który zwodzi oczy dziecka. Ojciec nie stworzył świata po to, by co chwila rozdzierać go jak starą szatę i zszywać na nowo według naszej niecierpliwości. Stworzył porządek. I ten porządek także jest jego wolą.
Tomasz nadal jednak patrzył na suche drzewo.

– To wyjaśnia, dlaczego nie było na nim figi – powiedział. – Nie wyjaśnia, dlaczego je przekląłeś.

Piotr gwałtownie się ku niemu odwrócił.

– Tomaszu...

– Nie – przerwał mu spokojnie Jezus.

Spojrzał na Tomasza.

– Słusznie pytasz.

Na drodze zapanowała taka cisza, że słychać było szelest suchych liści u ich stóp.

Tomasz zrobił krok bliżej.

– Nie pytam, co to drzewo oznaczało – powiedział. – Ani co oznacza miasto czy świątynia. Dlaczego ty zrobiłeś to w tamtej chwili?
Jezus spojrzał na figowiec.

Długo nie odpowiadał.

Kiedy się odezwał, mówił ciszej niż przedtem.

– Bo byłem głodny.

Uczniowie znieruchomieli.

– Byłem zmęczony – ciągnął. – Noc, którą miałem za sobą, była długa, a nadchodzące dni są ciężkie. Kiedy zobaczyłem jego liście, zapragnąłem owocu. A gdy go nie znalazłem, głód na moment zawęził mi świat do jednej rzeczy, której chciałem.
Piotr spuścił wzrok.

Jezus dotknął suchego pnia.

– Widziałem w tym drzewie świątynię, miasto i człowieka, którzy z zewnątrz tryskają życiem, lecz głodnemu nie dają nic. To, co widziałem, nie było nieprawdą. Ale prawda może zostać wypowiedziana z nieczystego miejsca. Nawet sprawiedliwe słowo może stać się okrutne, gdy wypowiada je głód, gniew lub pycha.
Tomasz patrzył na niego, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– A więc rozgniewałeś się na nie?

– Na chwilę – powiedział Jezus. – Nie tak, jak gniewa się człowiek pragnący niszczyć. Lecz tak, jak odczuwa zawód ten, kto sięgnął po dar i go nie znalazł. Drzewo nie było winne. Nie nadszedł czas jego owoców. Ale ja w tamtej chwili nie widziałem całego jego czasu. Widziałem tylko własny głód.

Jan zapytał:

– I dlatego twoje słowo je zabiło?

Jezus skinął głową.

– Im silniejsza i bardziej zjednoczona jest świadomość człowieka, tym większy ciężar niosą jego słowa. Wy możecie w rozdrażnieniu powiedzieć wiele, a wiatr poniesie wasze słowa. Lecz kiedy człowiek stoi blisko korzeni bytu, nawet jego krótkie wewnętrzne zachwianie może pozostawić ślad.

Spojrzał na każdego z osobna.

– Dlatego wielka moc nie jest tylko darem. Jest brzemieniem. Kto może słowem uzdrowić, musi uważać także na słowo wypowiedziane w zmęczeniu. Kto może poruszyć górę, musi strzec się, by jego pragnienie wypływało z Ojca, a nie jedynie z bólu, który właśnie przez niego przechodzi.

Tomasz znów wskazał figowiec.

– Nadal jednak nie rozumiem. Skoro twoje słowo mogło zgubić drzewo, dlaczego nie mogło zmusić go, by wydało owoce?

Jezus podniósł z ziemi kawałek suchej gałęzi.

– Bo rozkład i tworzenie nie wymagają tego samego.

Złamał gałązkę w palcach.

– Śmierć była już obecna w tym drzewie jako możliwość. Jest w każdym liściu, korzeniu i ciele. Wszystko, co się rodzi, nosi w sobie również możliwość zagłady. Moje słowo otworzyło drogę temu, co już było w nim możliwe.

Potem wyciągnął pustą dłoń.

– Lecz figa nie była w nim wtedy gotowa. Aby powstała, musiałyby połączyć się drzewo, soki, słońce, ziemia i czas. Musiałbym zażądać od całego bytu, by nagiął się do mojego głodu.

Jego spojrzenie stwardniało, nie wobec uczniów, lecz wobec niego samego.

– W tamtej chwili mój głód był osobisty. Nie prosiłem o życie dziecka ani o uzdrowienie cierpiącego. Chciałem nasycić siebie.
Odezwał się Judasz:

– Co złego w tym, że głodny człowiek chce jeść?

– Nic – odpowiedział Jezus. – Głód nie jest grzechem. Pragnienie chleba także nie jest grzechem. Lecz moc staje się niebezpieczna, kiedy żąda od świata, by unieważnił swój porządek tylko dlatego, że ten, kto ją posiada, nie chce znieść chwili niedostatku.
Umilkł.

– Przekleństwu wystarczy szczelina. Błogosławieństwo potrzebuje harmonii.

Nikt się nie poruszył.

Słowa pozostały między nimi, proste i ciężkie.

– Moc czasem potrafi usłuchać także zranionej woli – ciągnął Jezus. – Może złamać, przyspieszyć rozkład, otworzyć drzwi strachowi lub śmierci. Ale życie nie otworzy się całkowicie przed taką wolą. Życie powstaje tam, gdzie wola jednostki spotyka się z wolą całości.
Tomasz się zamyślił.

– A więc potrafiłbyś stworzyć figę, gdyby to było zgodne z wolą Ojca?

Jezus spojrzał na niego.

– Gdyby ta figa była częścią drogi, która daje życie, nie zostałaby stworzona z nicości. Cały byt zmierzałby ku niej, choćbyście tej drogi nie widzieli. Lecz stworzenie jej tylko po to, bym na chwilę uciszył własny żołądek, nie byłoby cudem w Ojcu. Byłoby podporządkowaniem świata mojemu kaprysowi.
Spojrzał w stronę pustych wzgórz w oddali.

– Kiedy byłem na pustyni, kusiciel powiedział mi, żebym przemienił kamienie w chleb.

Niektórzy uczniowie słyszeli o tym zdarzeniu, inni nie. Teraz wszyscy słuchali uważnie.

– Byłem wtedy głodniejszy niż wczoraj – ciągnął Jezus. – Moje ciało krzyczało o jedzenie. Kamień przede mną przypominał bochenek, a głos mówił: Jeśli masz moc, użyj jej. Dowiedź, kim jesteś. Nasyć się.
– A ty odmówiłeś – powiedział Jan.

– Odmówiłem, bo moc nie powinna służyć głodowi tego, kto ją nosi. Człowiek nie żyje samym chlebem, a ten, kto otrzymał dar od Ojca, nie może uczynić go sługą własnego pożądania.
Spojrzał na figowiec.

– Wczoraj nie przemieniłem drzewa w pokarm. Lecz na moment osądziłem je za to, że mnie nie nakarmiło. Korzeń obu pokus był ten sam.
Piotr pokręcił głową.

– Ale ty jesteś bez grzechu, Panie.

Jezus utkwił w nim wzrok.

– A co, twoim zdaniem, Piotrze, znaczy być bez grzechu? Nie czuć głodu? Nie czuć gniewu? Nie wiedzieć, czym jest pokusa?
Piotr nie odpowiedział.

– Kamień nie odczuwa pokusy – powiedział Jezus. – Ale nie czyni go to świętym. Czystość nie polega na tym, że przez człowieka nigdy nie przejdzie mroczne poruszenie. Polega na tym, że zobaczy je w całości, nie nazwie światłem i nie pozwoli mu zostać swoim panem.
Spojrzał na własną dłoń.

– Wczoraj zobaczyłem je dopiero wtedy, gdy słowo już ze mnie wyszło.

Tomasz powiedział:

– A więc nawet człowiek w pełni świadomy samego siebie może na chwilę zawieść?

– Dopóki nosi ciało, nosi także jego głos – odpowiedział Jezus. – Głód, ból, strach i zmęczenie wchodzą do świadomości jak wiatr do domu. Człowiek przebudzony je rozpoznaje. Lecz jeśli drzwi są otwarte, a noc była długa, nawet silny wiatr może przewrócić lampę.
– I co wtedy? – zapytał Jan.

– Wtedy ją podnosi. Widzi, co się stało. Nie zasłania ciemności imieniem Boga.

Jezus zwrócił się z powrotem do Tomasza.

– Pytałeś, dlaczego zamiast tego nie ocaliłem drzewa albo nie dałem mu owocu. Bo w tamtej chwili nie chciałem tworzyć. Chciałem dostać. A kiedy nie dostałem, moje słowo stało się sądem.
Tomasz spuścił oczy.

– Czy zatem łatwiej niszczyć niż tworzyć?

– Tak – powiedział Jezus. – Nie tylko ludzkim rękom, lecz także ludzkiej woli. Żeby zniszczyć dom, wystarczy cios. Żeby go zbudować, potrzeba kamienia, miary, cierpliwości i zgodnego wysiłku wielu rąk. Żeby zranić człowieka, wystarczy jedno słowo wypowiedziane w gniewie. Żeby uzdrowić jego duszę, czasem nie wystarcza całe życie miłości.

Przesunął dłonią po suchej korze.

– Rozdarte wnętrze może niszczyć. Tworzyć jednak można tylko z jedności.

Tomasz zamilkł, a potem powiedział:

– Ale kiedy w Kanie przemieniłeś wodę w wino, też zmieniłeś porządek rzeczy.

– W Kanie nie wytworzyłem radości z nicości – odpowiedział Jezus. – Była tam woda. Były naczynia do oczyszczeń. Było wesele. Był wstyd rodziny, której kończyło się wino. Była ufność mojej matki. Była uczta, która miała trwać dalej, i godzina, która się otworzyła.

Na wspomnienie Marii Jezus uśmiechnął się łagodnie.

– Wino, które przyszło, nie było zaprzeczeniem świata. Było znakiem, że Ojciec potrafi napełnić puste naczynia. Nie było przeznaczone dla mnie. Było darem dla innych.

– A Łazarz? – zapytał Tomasz.

– Kiedy zawołałem Łazarza, nie przywoływałem obcego człowieka z nicości. Wołałem brata, którego Ojciec znał po imieniu. Jego ciało leżało w grobie, ale jego opowieść nie była w Ojcu zakończona. Miłość jego sióstr, ich ból, moja miłość do niego i wola Ojca spotkały się w jednej chwili. Wiara dotknęła warstwy, w której wciąż można było powiedzieć: Wyjdź na zewnątrz.

Tomasz znów spojrzał na figowiec.

– A tutaj nie spotkało się nic poza twoim głodem.

– Spotkała się w nim również prawda o mieście – powiedział Jezus. – Dlatego drzewo stało się znakiem. Ale moje rozdrażnienie nadało temu znakowi surowość, której nie musiał mieć.

– Czy ten znak mógł więc zaistnieć inaczej? – zapytał Jan.

Jezus przez chwilę się zastanawiał.

– Mógł.

– Jak?

– Mogłem pokazać wam jego liście i powiedzieć: Spójrzcie, jak przypomina świątynię, która obiecuje życie, a nie wydaje owoców. Mogłem odejść od niego głodny i pozwolić mu dojrzeć w jego czasie.
Położył rękę na pniu.

– Prawda nie potrzebowała śmierci drzewa. Tę dodała moja chwila.

Te słowa zaniepokoiły ich bardziej niż sam cud.

Przywykli widzieć w Jezusie tego, który odpowiada. Teraz stał przed nimi jako ktoś, kto sam przyjrzał się własnemu postępowaniu i nie odwrócił się od tego, co w nim znalazł.
Odezwał się Piotr:

– Dlaczego nam to mówisz? Mogłeś powiedzieć tylko, że drzewo było znakiem. Żaden z nas by nie wątpił.
Jezus spojrzał na niego.

– Właśnie dlatego.

Piotr nie rozumiał.

– Kto ma moc, zawsze jest kuszony, by nazwać swoją wolę wolą Boga. Gdy coś mu się powiedzie, mówi: Ojciec tego chciał. Gdy coś zniszczy, mówi: To był sąd. Gdy zrani człowieka, mówi: Służyłem prawdzie.
Głos Jezusa nabrał siły.

– Ale nie każde słowo, które ma moc, pochodzi w całości od Ojca. Nie każdy sukces jest potwierdzeniem czystości. I nie każdy, kogo siła usłuchała, był sprawiedliwy.
Judasz patrzył na niego bardzo uważnie.

– Jak więc mamy to rozpoznać? – zapytał.

– Po owocach.

Jezus podniósł z ziemi jedną ze skurczonych gałązek.

– Nie po wielkości znaku. Nie po tym, ilu się pokłoni. Nie po tym, czy ziemia zadrży albo czy ogień zstąpi z nieba. Pytajcie, co pozostało po czynie. Więcej życia czy więcej strachu? Więcej prawdy czy więcej posłuszeństwa wobec tego, kto pokazał swoją siłę? Więcej wolności czy więcej zależności?
Spojrzał na suche drzewo.

– Ten znak przyniósł poznanie. Lecz drzewu przyniósł śmierć. Dlatego nie ma w nim samego światła.

Po chwili Tomasz zapytał:

– A co z górą? Powiedziałeś, że kto uwierzy, powie górze, by rzuciła się w morze. To nie jest mała rzecz. To coś większego niż figa na drzewie.

Jezus uśmiechnął się łagodnie.

– Myślisz, że góra jest tylko kamieniem?

Tomasz nie odpowiedział.

– Góra jest także strachem, który staje przed człowiekiem i udaje, że jest wieczny. Góra jest imperium, które uciska słabych i mówi: Nikt mnie nie poruszy. Góra jest winą, którą nosisz tak długo, aż uwierzysz, że jest twoim ciałem. Góra jest śmiercią, przed którą wszyscy się kłaniają.

Uczniowie umilkli.

– Kiedy człowiek wierzy tylko tak, jak wspiera się na kiju, wiara pomaga mu iść. Lecz kiedy wierzy tak, że cały oddaje się Ojcu, jego wiara staje się miejscem, w którym wola Boga dotyka świata. Wtedy poruszają się góry. Nie dlatego, że człowiek rozkazuje Bogu, lecz dlatego, że przestaje stawać mu na drodze.

Tomasz przez chwilę milczał.

– A czy wszyscy ludzie mają jednakową wiarę? Czy każdy może powiedzieć górze, żeby się poruszyła?

Jezus się zatrzymał. Jego spojrzenie nie było surowe. Było głębokie, jakby patrzył nie tylko na Tomasza, ale poprzez niego aż do miejsca, w którym człowiek spotyka samego siebie.

– Nie każdy ma jednakową wiarę – powiedział. – Tak jak nie każdy ma jednakowe oczy, choć wszyscy patrzą na ten sam świat. Jeden widzi tylko kamień. Drugi widzi drogę. Trzeci widzi rękę Ojca, która podtrzymuje kamień, drogę i jego samego.

Tomasz słuchał uważnie.

– Wiara człowieka wyrasta nie tylko z tego, co wypowiada ustami – ciągnął Jezus. – Wyrasta z tego, jak głęboko przebudził się we własnym wnętrzu. Wielu żyje jak we śnie. Widzą, słyszą, jedzą, gniewają się, boją i pragną, ale nie wiedzą, kto w nich widzi, kto słyszy, kto się boi i kto pragnie.

Uczniowie milczeli. Te słowa różniły się od przypowieści o polu, rybach i chlebie. Dotykały czegoś niewidzialnego, co jednak każdy z nich nosił w sobie.

– Największą wiarę – powiedział Jezus powoli – ma ten, kto w pełni uświadamia sobie, że jest świadomy. Kto nie tylko patrzy na świat, lecz wie, że jest tym, który patrzy.

Kto nie tylko myśli, lecz wie, że myśli przychodzą i odchodzą przed nim jak chmury. Kto nie tylko czuje strach, lecz wie, że strach nie jest jego panem.
Tomasz zmarszczył brwi, nie z oporu, lecz z wysiłku zrozumienia.

Jezus mówił dalej:

– Taki człowiek nie przykleja się do każdej warstwy świata jak mucha do miodu. Przenika głębiej. Widzi ciało, lecz wie, że nie jest tylko ciałem. Widzi myśl, lecz wie, że nie jest tylko myślą. Widzi ból, lecz wie, że nie jest tylko bólem. A kiedy przestaje mylić się co do tego, kim jest, przestaje bezsilnie poddawać się temu, co się w nim zmienia.
Tomasz zapytał:

– I taka świadomość może czynić cuda?

Jezus spojrzał na niego.

– Nie człowiek sam z siebie. Bo gdybyś powiedział: Ja czynię cuda, już byłbyś oddzielony od Ojca. A oddzielenie jest słabością, choć udaje moc.
Położył dłoń na piersi.

– Świadomość człowieka, który całkowicie się przebudził, nie jest już rozdarta między strachem, pragnieniem, pychą i zwątpieniem. Jest czysta jak tafla wody, gdy nie wieje na nią wiatr. W takiej tafli może odbić się niebo. A kiedy niebo odbija się w człowieku bez zniekształcenia, może przez niego wydarzyć się to, co nazywacie cudem.
Odezwał się Piotr:

– A więc cudu nie czyni ludzka siła?

– Nie – powiedział Jezus. – Cud dokonuje się tam, gdzie człowiek przestaje być przeszkodą. Gdzie jego świadomości nie mąci to, czego chce dla siebie, lecz otwiera się ona na to, czego chce Ojciec.
Spojrzał na figowiec.

– Wczoraj pokazałem wam również przeciwieństwo tego.

Tomasz podniósł oczy.

– Pojawił się we mnie głód, ale w tamtej chwili nie tylko go obserwowałem. Na moment się nim stałem. A kiedy człowiek staje się swoim głodem, strachem czy gniewem, jego świadomość się zawęża. Widzi jedynie to, czego mu brakuje.
– Ale uświadomiłeś to sobie – powiedział Jan.

– Dopiero po wypowiedzeniu słowa.

Odpowiedź Jezusa była prosta.

– Przebudzenie nie oznacza, że wiatr przestaje wiać. Oznacza, że człowiek coraz wcześniej rozpoznaje, co wiatr robi z jego wnętrzem. Niekiedy rozpoznaje to przed czynem. Niekiedy w jego trakcie. A czasem dopiero po drzewie, które po nim pozostało suche.
Tomasz powoli skinął głową.

– Dlatego powiedziałeś nam, żebyśmy podczas modlitwy przebaczali?

– Tak. Człowiek może prosić z wiarą, ale jeśli jego wnętrze pełne jest gniewu, wiara połączy się z gniewem. Może prosić o sprawiedliwość, choć w istocie pragnie zemsty. Może mówić o prawdzie, choć w istocie chce upokorzyć drugiego człowieka.
Jezus powiódł wzrokiem po uczniach.

– Dlatego nie wystarczy nie mieć wątpliwości. Judasz też może być przekonany o swojej racji. Człowiek stosujący przemoc też może działać bez wahania. Sama jedność nie jest dobrem, jeśli człowiek jest zjednoczony w swojej nienawiści.
Na te słowa Judasz nieznacznie zesztywniał.

– Prawdziwa wiara to nie tylko siła przekonania – ciągnął Jezus. – To jedność człowieka z Ojcem. Im bardziej wasza wola zbliża się do jego woli, tym rzadziej będziecie prosić o rzeczy, które służą tylko wam.
Tomasz zapytał:

– Jak odróżnić wolę Ojca od własnego pragnienia?

Jezus wskazał na jego pierś.

– Najpierw przyznając, czego sam chcesz. Bez upiększeń. Bez pobożnych słów.

– A potem?

– Pytasz, komu twoja prośba ma przynieść życie.

Jezus podniósł suchy liść.

– Dobre prośby rodzą życie, nawet jeśli są trudne. Złe rodzą jedynie dowód własnej siły. Kiedy prosisz, by móc karmić, uzdrawiać, przebaczać i dźwigać brzemię drugiego człowieka, twoja prośba przypomina Ojca. Kiedy prosisz, by olśniewać, pokonywać, posiadać albo uciec z drogi, która została ci dana, wtedy nie prosisz Boga, lecz wystawiasz go na próbę.
Tomasz powiedział:

– A kiedy nie jesteśmy pewni?

– Wtedy czekajcie.

Jezus spojrzał na suche drzewo, a potem na zielone wzgórza za nim.

– Czekanie bywa czystszą wiarą niż czyn. Kto nie wie, czy jego wola służy życiu, niech nie przyobleka jej od razu w moc. Niech najpierw pozwoli jej stanąć przed Ojcem.
Piotr przyglądał się uschniętym gałęziom.

– Gdybyś wczoraj poczekał, drzewo by żyło.

– Tak – powiedział Jezus.

W jego głosie nie było próby obrony.

Piotr nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Po chwili Tomasz znów się odezwał:

– Możesz przywrócić je do życia?

Wszyscy zwrócili się ku Jezusowi.

Jezus położył dłoń na pniu. Zamknął oczy.

Stał tak długo.

Uczniowie czekali, czy w gałęziach nie ruszą soki, czy suche liście się nie rozprostują i czy spod twardej kory nie wystrzeli nowy zielony pęd.
Nic się nie stało.

Jezus otworzył oczy.

– Mógłbym prosić Ojca o jego życie – powiedział. – Ale nawet naprawienie krzywdy nie powinno służyć dowodzeniu, że mogę wymazać swój błąd.
Tomasz zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie miałoby znów żyć, skoro umarło przez twoje słowo?

– Może będzie żyło – odparł Jezus. – Może z jego korzeni wyrośnie kiedyś nowy pęd. Ale gdybym teraz je wskrzesił tylko po to, by ukryć przed wami następstwo tamtej chwili, znów użyłbym mocy dla siebie.
Przesunął palcami po spękanej korze.

– Nie każdą winę można naprawić, zacierając jej skutki. Czasem skutek musi pozostać widoczny, by stać się prawdą.
Tomasz spojrzał na niego.

– A więc to drzewo będzie nosić w sobie twój błąd?

– I moje poznanie – powiedział Jezus. – A może kiedyś także wasze.

Umilkł.

– Człowiek najchętniej usunąłby każde suche drzewo, które przypomina mu, kim był. Lecz drzewo, które pozostanie, może uchronić wiele innych przed takim samym słowem.
Piotr głęboko westchnął.

– Trudno słuchać, kiedy tak mówisz.

– Bo chcecie, żeby ten, za którym idziecie, był daleki od waszej słabości – powiedział Jezus. – Sądzicie, że ocalić może was tylko ktoś, kto nigdy nie czuł tego, co wy. Ale jak miałby przeprowadzić was przez pokusę ktoś, kto nie zna jej głosu?
– Skąd więc mamy wiedzieć, że powinniśmy za tobą iść? – zapytał Judasz.

Jezus spojrzał na niego spokojnie.

– Nie idźcie za mną dlatego, że nigdy się nie potykam. Idźcie za mną tam, gdzie nawet po potknięciu nie odwracam się od prawdy.
Judasz odwrócił wzrok.

Tomasz wciąż jeszcze przyglądał się drzewu.

– Mówiłeś, że kto chce figi bez kwiatu, chce daru bez drogi.

– Tak.

– A ten, kto przeklina drzewo, bo nie znalazł na nim figi?

Jezus zapatrzył się w stronę Jerozolimy.

– Chce, by świat poniósł karę za jego własny niedostatek.

Oddech Tomasza zadrżał.

Jezus ciągnął:

– Tak postępują królowie. Tak postępują władcy. Tak postępują ojcowie wobec swoich dzieci i panowie wobec sług. Cierpią głód władzy, szacunku albo pewności, a potem karzą świat za to, że ich nie nakarmił.
Wskazał na drzewo figowe.

– Dlatego zapamiętajcie to drzewo. Nie tylko jako znak świątyni bez owoców. Także jako znak niebezpieczeństwa, jakie niesie człowiek, którego słowo ma moc.
Jan zapytał:

– Czy więc lepiej nie mieć mocy?

– Nie – odparł Jezus. – Bez mocy nie potrafilibyście podnieść upadłego, ochronić dziecka ani zbudować domu. Moc nie jest złem. Moc odsłania to, co jest w człowieku.
– Jak ogień? – powiedział Jan.

– Jak ogień. W rękach tego, kto kocha, ogrzewa. W rękach tego, kto się boi, parzy.

Tomasz powiedział:

– A im większy ogień, tym czystsze muszą być ręce.

Jezus skinął głową.

– Im większa moc, tym mniejsze rozdrażnienie człowiek może sobie pozwolić nazwać sprawiedliwością.

Przez chwilę słychać było tylko wiatr w suchych liściach.

Potem Jezus ruszył dalej.

Uczniowie poszli za nim, lecz szli wolniej niż przedtem. Drzewo figowe zostało za nimi przy drodze jak znak, którego niełatwo było zamknąć w jednym znaczeniu.
Było obrazem świątyni pełnej obrzędów i pozbawionej miłosierdzia.

Było obrazem człowieka, który z zewnątrz się zieleni, lecz głodnemu nie daje nic.

Było dowodem mocy słowa.

Było także następstwem chwili, w której głód zabrzmiał głośniej niż harmonia z całym istnieniem.

Piotr rozmyślał o wierze, która może poruszyć górę.

Lecz po raz pierwszy zastanawiał się również nad tym, czy każda góra, którą człowiek potrafi poruszyć, powinna zostać poruszona.

Jan rozmyślał o tafli świadomości, w której może odbić się niebo. Zrozumiał jednak, że nawet na czystą taflę może spaść kamień i na chwilę rozbić obraz.
Judasz rozmyślał o mocy. Nie o jej brzemieniu, lecz o możliwości, że świat mimo wszystko mógłby usłuchać woli człowieka, który nie wątpi.
Tomasz rozmyślał o fidze, która nie mogła powstać, bo nie dokonała się jej droga.

A potem także o drzewie, które umarło, ponieważ na krótką chwilę zabrakło harmonii na drodze tego, kto wypowiedział nad nim słowo.
Jezus szedł przed nimi ku Jerozolimie.

Głód już ustąpił, lecz świadomość uschniętego drzewa niósł ze sobą. Nie odsunął jej jak błędu, który nie pasuje do opowieści o sprawiedliwym człowieku. Niósł ją jak ciche ostrzeżenie.

Im bliżej byli miasta, tym wyraźniej na horyzoncie rysowały się mury świątyni.

One także były pełne liści.

Modlitw, ofiar, szat, kadzidła, praw i obietnic.

A jednak w ich cieniu wciąż byli głodni.

Nad wszystkimi warstwami czasu gęstniał już cień krzyża.

Żaden z uczniów nie rozumiał jeszcze, że wkrótce będą patrzeć na inne drzewo. Na suche drewno wzniesione między niebem a ziemią. Zobaczą na nim człowieka, po którym oczekiwali owoców królestwa, a przed ich oczami nie będzie nic oprócz krwi, bólu i śmierci.

Pomyślą, że wszystkie obietnice uschły.

Będą czekać, czy użyje swojej mocy dla siebie.

Czy rozkaże gwoździom, by puściły.

Czy rozkaże drewnu, by się rozłamało.

Czy rozkaże niebu, by zniszczyło tych, którzy z niego szydzili.

A on znów będzie głodny.

Będzie spragniony.

Będzie zmęczony i opuszczony.

Lecz tym razem nie pozwoli bólowi zawęzić całego świata do własnego cierpienia.

Nie zażąda, by istnienie ugięło się wokół jego lęku.

Nie rzuci klątwy na tych, którzy odebrali mu życie.

Zamiast tego im przebaczy.

Dopiero wtedy Tomasz zrozumie, że prawdziwa wielkość jego nauczyciela nie polegała na tym, iż potrafił sprawić, by drzewo uschło.

Polegała na tym, że kiedy sam wisiał na drzewie i mógł przekląć cały świat, nie zrobił tego.

Dopiero wtedy zrozumieją, że najgłębszych warstw rzeczywistości nie porusza zgiełk mocy, lecz cicha wola tego, kto pozostaje w harmonii z Ojcem nawet pośród bólu.

Dopiero wtedy zrozumieją, że największy cud nie zawsze objawia się jako owoc na gałęzi w dniu, kiedy człowiek jest głodny.
Czasem objawia się jako słowo przebaczenia w dniu, kiedy człowiek ma prawo przeklinać.

Czasem dopiero po śmierci drzewa.

Czasem dopiero wtedy, gdy z suchego drewna wyrasta życie dla całego świata.

11. Elarion: Mareia Lioren

Mareia Lioren nauczyła się bać po cichu.

Nie dlatego, że była słaba. Słabi ludzie często boją się głośno, bo mają nadzieję, że ktoś ich uratuje. Mareia bała się po cichu, ponieważ długo wierzyła, że własną godność musi ocalić sama.

Na początku Arien nigdy jej nie uderzył.

Na początku był troskliwy.

Troska jest niebezpieczna, kiedy udaje miłość, a w istocie bada granice.

Pamiętał, co mówiła. Dostrzegał, kiedy była zmęczona. Wiedział, których miejsc w mieście nie lubi, co pije podczas pracy, których ludzi uważa za pustych, a którym ufa. Z początku czuła się przy nim dostrzegana. Później obserwowana. Różnica zarysowała się powoli, jak zmiana światła przed burzą.

– Po prostu się o ciebie boję – mówił, gdy pytał, z kim była.

– Po prostu nie chcę, żeby cię wykorzystywali – mówił, gdy podważał jej przyjaźnie.

– Po prostu wiem, jak myślą ludzie – mówił, gdy przekonywał ją, że jej własny osąd jest naiwny.

Mareia była Aurelianką ze starszej, choć nie najwyższej linii. Ród Liorenów słynął raczej z uzdrowicieli, archiwistów i nauczycieli niż z polityków. W dzieciństwie uczono ją, że wrażliwość nie jest przeciwieństwem odwagi. Długo trwało, nim zrozumiała, że Arien nie uważa jej wrażliwości za dar, lecz za miejsce, w którym można nacisnąć.

Na wiele lat przed Arienem Mareia pracowała nad udostępnianiem zanonimizowanych danych medycznych na potrzeby badań chorób dziedzicznych. Wierzyła, że dzielenie się danymi może skrócić oczekiwanie na leczenie. Jeden z regionalnych systemów ubezpieczeniowych porównał jednak pozornie anonimowe dane z adresami i rozpoznał kilka rodzin. Ich składki wzrosły, zanim w ogóle potwierdzono u nich chorobę.

Mareia pomogła rodzinom odzyskać dawne warunki ubezpieczenia i złożyła zeznania podczas kontroli projektu. Nie odrzuciła badań. Odtąd jednak przy każdym wniosku sprawdzała także, kto będzie mógł wykorzystać wynik, jak długo go zachowa i kto zobaczy,

że uzyskał dostęp do danych. Tę ostrożność wniosła we wszystkie późniejsze spory o przejrzystość.

Do incydentu doszło w jego mieszkaniu ponad finansową dzielnicą Nitry.

Na zewnątrz padał deszcz. W dole, w mokrym szkle ulic, załamywały się światła autonomicznych modułów. Mareia przyszła późno, bo obrady dotyczące archiwów medycznych się przeciągnęły. Arien stał przy oknie. Nawet się nie odwrócił.

– Byłaś z nim?

Nie musiał wymieniać imienia.

Jesair Davion pojawił się między nimi, zanim sama Mareia zrozumiała, że dotknął jej życia. Wszedł w nie najpierw jako spokój, przy którym zaczęła wyraźniej dostrzegać własny niepokój.

– Byłam na obradach – powiedziała.

– Nie o to pytałem.

– Więc zadaj lepsze pytanie.

Arien się odwrócił.

Na jego twarzy nie było gniewu w zwykłym znaczeniu tego słowa. Było poczucie zniewagi. Jakby samodzielność Marei nie była jej prawem, lecz błędem w systemie, który miał należeć do niego.

– Wiesz, co robią ludzie tacy jak Davion? – zapytał. – Wchodzą do sali, a wszyscy zachowują się tak, jakby usłyszeli dawne proroctwo.

– To nie wina Jesaira.

– Jesaira – powtórzył Arien.

Wypowiedział to imię miękko. Właśnie dlatego zabrzmiało gorzej.

– Boisz się go – powiedziała Mareia.

Na chwilę zapadła między nimi zupełna cisza.

Potem podszedł do niej. Szybko. Zbyt szybko. Chwycił ją za nadgarstek.

– Nikogo się nie boję.

Ścisnął.

Nie tak, żeby złamać jej kość. Tak, żeby pokazać, że mógłby to zrobić.

Mareia spojrzała mu w oczy.

– Puść mnie.

– Najpierw powiesz mi prawdę.

– Prawda jest taka, że w tej chwili się ciebie boję.

Uścisk jego dłoni zelżał tylko odrobinę.

To zdanie go nie otrzeźwiło. Obraziło go.

– A więc teraz jestem oprawcą.

– Jesteś mężczyzną, który trzyma mnie wbrew mojej woli.

Wtedy ją uderzył.

Mareia nie ruszyła się z miejsca. W pokoju nic się nie stłukło i na pierwszy rzut oka nikt nie rozpoznałby, co zaszło. Na policzku pozostało ciepło jego otwartej dłoni; na chwilę zabrakło jej tchu.

Arien natychmiast pobladł.

– Mareia...

Podniosła rękę.

Nie po to, by zatrzymać go fizycznie. Żeby zatrzymać opowieść, którą zamierzał rozpocząć.

Że nie chciał.

Że go sprowokowała.

Że go przeraziła.

Że to była miłość, tylko zbyt silna.

– Nie – powiedziała.

Było to najcichsze słowo w pokoju.

I najsilniejsze.

Odeszła jeszcze tej nocy.

Nie zabrała wszystkiego. Tylko to, co mogła unieść w jednej torbie i w jednej duszy, która wreszcie przestała przepraszać za swój lęk.

Następne tygodnie były dziwnie puste. Arien do niej pisał, potem milczał, potem przekazywał wiadomości przez wspólnych znajomych. Raz zjawił się przed budynkiem, w którym pracowała. Nie złożyła na niego skargi. Nie ze współczucia. Raczej dlatego, że nie chciała, by to on stał się pierwszą publiczną opowieścią o jej wolności.

Potem przyszła debata w Nitrze.

I Jesair.

Nie jako wybawca. Mareia nie znosiła myśli, że kobietę musi uratować jeden mężczyzna, by mogła odejść od drugiego. Odeszła sama.
Jesair był kimś innym.

Był świadkiem świata, w którym nie musiała przy nim umniejszać samej siebie.

Po debacie o UBI wyszli razem z sali na wewnętrzny dziedziniec Rady Unii. Wieczorna Nitra szumiała. Nad nimi przeleciał moduł transportowy, tak cicho, że słychać było wodę w kamiennym kanale.
– Powiedział pan dziś zdanie, którego panu nie wybaczą – odezwała się Mareia.

– Które?

– Że należy chronić prywatność człowieka, a nie niewidzialność władzy.

Jesair oparł się o balustradę.

– Uważa pani, że się myliłem?

– Nie. Tylko obawiam się, że niektórzy użyją pańskiego zdania również do otwarcia archiwów medycznych.
– Tego nie powiedziałem.

– Wiem. Jutro wyjaśni to pan komisji, która przysłała mi już trzy wnioski.

Jesair spojrzał na powiadomienia w swoim interfejsie. Do niego też przyszły.

– Rano?

– O ósmej. Proszę uzbroić się w cierpliwość.

Mareia poprawiła rękaw nad nadgarstkiem. – Znam też ludzi, którzy każde zaglądanie w cudze życie nazywają troską.

Jesair nie zadał pytania. To zauważyła w nim od razu. Większość ludzi zapytałaby, co się stało. Jedni z zainteresowania, drudzy z ciekawości, inni po to, by wyrobić sobie zdanie. Jesair milczał w sposób, który pozostawiał jej własną opowieść na własność.
– Arien Korveth – powiedziała w końcu.

Jesair skinął głową.

– Widziałem go dziś na sali.

– Patrzył na pana.

– Wiem.

– Nie jak na oponenta.

– Wiem.

Mareia na niego spojrzała.

– Nie niepokoi to pana?

– Niepokoi. Tylko staram się nie oddawać niepokojowi władzy nad swoim zachowaniem.

To zdanie w niej pozostało.

Później szli razem przez starą część Nitry. Nie dlatego, że się umówili. Po prostu żadne z nich nie skręciło. Rozmawiali o archiwach, o dzieciach w Aurioli, o tym, czy można zmienić świat, nie czyniąc go przy tym okrutniejszym.

Przy pożegnaniu wydarzyło się coś drobnego.

Mareia chciała podać mu rękę, lecz w ostatniej chwili dotknęła trzema palcami wewnętrznej strony jego nadgarstka. Nie zrobiła tego celowo. Był to raczej gest, który wyprzedził myśl.

Oboje na chwilę zamilkli.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co?

– Nie wiem.

Jesair spojrzał na miejsce, którego dotknęła.

– Dziwne – powiedział cicho.

– Co takiego?

Przez chwilę jakby szukał słów.

– Miałem wrażenie, że coś sobie przypominam. Ale nie wiem co.

Mareia nie odpowiedziała.

Ona też miała to wrażenie.

Było słabe i niejasne, podobne do echa w pomieszczeniu, do którego nigdy jeszcze nie weszła.

Kiedy się rozstali, szła sama oświetlonymi ulicami Nitry i po raz pierwszy od dawna nie czuła, że samotność jest karą.

Później tej samej nocy Arien wysłał jej jedną wiadomość.

Osobiste decyzje nigdy nie pozostają osobiste.

Mareia długo na nią patrzyła.

Potem jej nie usunęła.

Nie wiedziała dlaczego.

Może dlatego, że niektóre groźby z początku przybierają postać zdania, którego nie można jeszcze dowieść.

12. Ziemia: Jezus na górze

Jezus wziął ze sobą Piotra, Jana i Jakuba i wszedł z nimi na górę, aby się modlić. A było już późno, kiedy szli kamienistą ścieżką, bo słońce chyliło się ku zachodowi, a cienie wydłużały się na zboczu. Uczniowie szli za nim w milczeniu, nie wiedzieli bowiem, dlaczego zabrał ich właśnie tam, i bojaźń dotykała ich niczym chłodny wiatr.

Kiedy dotarli w miejsce odludne, wzniesione wysoko nad okolicą, Jezus oddalił się od nich o kilka kroków i podniósł oczy ku niebu. Nie mówił głośno, lecz jego wargi się poruszały i zdawało się, że rozmawia z kimś ukrytym przed wzrokiem. Piotr, Jan i Jakub pozostali za nim, lecz znużenie drogą i cisza nocy ich przemogły. Usiedli na ziemi, a ich powieki stały się ciężkie.

I gdy Jezus trwał na modlitwie, wydarzyło się przed nimi coś, co przekraczało ludzkie pojmowanie. Wygląd jego twarzy się odmienił, a szaty zajaśniały bielą, jakiej nie zna żaden tkacz na ziemi. Nie była to biel lnu ani wełnianej szaty, lecz światło, które zdawało się płynąć z wnętrza. Twarz mu jaśniała, jakby za nią otworzyło się słońce, a jednak światło to nie paliło oczu tych, którzy się przebudzili.

Piotr zerwał się ze snu jak człowiek, który usłyszał we śnie głos. Jan otworzył oczy i zaniemówił z wrażenia. Jakub oparł dłonie o ziemię i patrzył przed siebie, gdyż obok Jezusa stali dwaj mężowie. Nie byli podobni do pielgrzymów ze wsi ani do starców ze świątynnych dziedzińców. Spowijała ich chwała, a twarze mieli poważne, jakby znali początek i kres wielu wieków.

Rozmawiali z Jezusem. Ich mowa była cicha, lecz uczniom zdawało się, że zarazem ją rozumieją i nie rozumieją. Mówili o drodze, która ma się dopełnić w Jerozolimie, o krwi, która zostanie przelana, o lęku ludzi, o władzy kapłanów i o godzinie, w której Syn Człowieczy odda się w ręce tych, którzy nie rozumieją światła.

Piotr patrzył na nich drżąc, a w jego sercu radość mieszała się z lękiem. I kiedy zobaczył, że tamci dwaj jakby szykują się do odejścia, powiedział do Jezusa:

– Nauczycielu, dobrze nam tutaj. Postawmy trzy namioty: jeden dla ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza.

Lecz nie wiedział, co mówi. Bo kiedy człowiek widzi rzeczy, na które nie jest gotowy, jego język wyprzedza rozum.

Wtedy utworzył się nad nimi obłok. Nie nadszedł z dołu jak mgła z doliny ani nie przygnał go wiatr od morza. Zstąpił z góry, cichy i jasny, i ich osłonił. Uczniowie weszli w jego cień i ogarnął ich wielki lęk. W obłoku było bowiem światło, a w tym świetle obecność, wobec której ludzkie serce staje się małe.
I z obłoku rozległ się głos:

– To jest mój wybrany Syn. Jego słuchajcie.

Kiedy głos przebrzmiał, obłok się rozstąpił. Światło cofnęło się jak woda wracająca w głębinę, a Jezus stał przed nimi sam. Jego szata znów była szatą człowieka, a twarz nosiła zmęczenie ciała, lecz w oczach pozostał odblask dali, której uczniowie nie znali.

Długo żaden z nich się nie odezwał. Schodzili z góry, a kamienie zgrzytały w ciemności pod ich stopami. Piotr kilkakrotnie oglądał się za siebie, jakby oczekiwał, że na szczycie znów zobaczy tamtych dwóch mężów, lecz widział już tylko niebo pełne gwiazd.
W końcu zdobył się na odwagę i zbliżył do Jezusa.

– Panie – powiedział cicho – ci dwaj, którzy z tobą rozmawiali... czy to byli Eliasz i Mojżesz?

Jezus na niego spojrzał. Nie odpowiedział od razu. Szedł jeszcze kilka kroków, jakby ważył każde słowo, aby nie niosło więcej, niż Piotr zdoła unieść.
– To nieco bardziej złożone, Szymonie – powiedział w końcu.

Piotr zmarszczył brwi.

– Jak to bardziej złożone, Panie? Przecież ich widzieliśmy. I wiedzieliśmy, że to oni.

Jezus się zatrzymał. Nad nimi lśniły gwiazdy, a noc była przejrzysta. Wskazał ręką niebo.

– Kiedy dziecko widzi lampę, myśli, że światło mieszka w glinie naczynia. Kiedy mężczyzna widzi gwiazdę, myśli, że to jedynie punkt na sklepieniu niebios. Lecz Ojciec stworzył więcej, niż człowiek potrafi nazwać.
Piotr podniósł wzrok.

– Mówisz o aniołach?

– Także o tych, których nazwalibyście aniołami – powiedział Jezus. – Ale nie wszystko, co przychodzi z góry, ma skrzydła.
Piotr tego nie rozumiał. Jan i Jakub podeszli bliżej, czuli bowiem, że Jezus mówi o rzeczach, których nigdy jeszcze im nie objawił.
Jezus ciągnął:

– Widzicie te światła? Sądzicie, że dano je jedynie jako znaki dni i lat. Lecz przy wielu z nich są światy, których Ojciec nie pozostawił pustymi. Są miejsca, gdzie rzeki płyną pod innym słońcem, gdzie rośliny unoszą liście ku innemu światłu i gdzie istoty podobne człowiekowi szukają prawdy tak, jak wy jej szukacie.
Piotr pobladł.

– Ludzie? – zapytał.

– Ludzie – odparł Jezus – choć nie wszyscy tacy jak wy. Niektórzy wyprzedzają was wiedzą. Niektórzy poznali tajemnice przyrody, zanim wasi ojcowie zbudowali pierwsze miasta. Potrafią leczyć rany, które wam zdają się nieuleczalne. Potrafią rozmawiać na odległość bez słów. Potrafią przemierzać przestrzenie, które wam zdają się nie do przebycia. A kiedy taki człowiek działa pośród was, nazywacie to cudem.
Jakub zadrżał.

– A więc cud nie jest cudem?

Jezus zwrócił się do niego z łagodnym uśmiechem.

– Dla dziecka cudem jest nawet nasiono, z którego wyrasta drzewo. Dla mędrca to prawo życia. Lecz czy umniejsza to chwałę Ojca? Nie. Bo prawo, które człowiek poznaje, wciąż jest prawem Bożym. A tajemnica, którą człowiek odkrywa, wciąż pozostaje tajemnicą, którą pozwolono mu odkryć.
Piotr milczał. Słowa o innych światach przerażały go bardziej niż obłok na górze.

– A tamci dwaj? – zapytał znów. – Jeśli nie byli Mojżeszem i Eliaszem tak, jak myśleliśmy, to kim byli?

Jezus zapatrzył się w dolinę, gdzie w oddali migotały wiejskie ogniska.

– Byli tym, co mogliście pojąć – powiedział. – A jednocześnie byli czymś więcej. Przyszli pod imionami, które zna wasze serce, bo gdyby przyszli bez zasłony, padlibyście twarzą na ziemię i niczego nie zrozumieli.
– Powiedz nam prawdę – nalegał Piotr.

Jezus spojrzał na niego z dobrocią, lecz i stanowczością.

– Gdybym dziś powiedział ci całą prawdę, Szymonie, nie zrozumiałbyś jej. Uczyniłbyś z niej bożka albo lęk. A żadne z nich nie jest wiarą.
Piotr pochylił głowę.

Jezus ruszył dalej, a oni poszli za nim.

Po chwili powiedział:

– Są pośród światów tacy, którzy sprawują pieczę nad ludzkością. Nie po to, by odebrać wam wolność, lecz żeby płomień nie zdusił się, zanim nauczy się płonąć. Śledzą wasze kroki, strzegą granic, których jeszcze nie wolno wam przekraczać, i czasem dotykają dziejów, kiedy miałyby skręcić w niewłaściwą stronę.

Jan zapytał:

– A ty ich znasz, Panie?

Jezus odpowiedział:

– Znam ich. A oni znają mnie.

W tych słowach było coś, czego uczniowie nie umieli nazwać. Nie brzmiały jak wypowiedź nauczyciela o prorokach, lecz jak wspomnienie kogoś, kto przybył z dalsza, niż sięga droga człowieka.

Piotr znów spojrzał na niebo. Gwiazdy nie wyglądały już jak małe światła przybite do sklepienia. Zdawały mu się drzwiami. A za każdymi z nich mógł być świat, który patrzy w ich stronę.

– Dlaczego nam to pokazałeś? – zapytał.

Jezus przystanął na skraju ścieżki. Noc była cicha.

– Bo nadejdzie godzina, kiedy ujrzycie moją słabość – powiedział. – Ujrzycie mnie związanego. Ujrzycie mnie pobitego i opuszczonego. Ujrzycie, jak ludzie szydzą z tego, czego nie rozumieją. I wtedy przypomnijcie sobie tę górę. Pamiętajcie, że światło może ukryć się w ciele, lecz ciało go nie zniszczy.

Nikt nie odpowiedział.

Kiedy zeszli niżej, zaczęło świtać. Pierwszy blask dotknął kamieni, a okolica odzyskała znajomy kształt. Lecz w Piotrze nic już nie pozostało całkiem takie jak przedtem. Szedł obok Jana i Jakuba, ale myślami wciąż był tam na górze, w obłoku, pod gwiazdami, przed mężami, którzy byli Mojżeszem i Eliaszem, a jednak byli kimś więcej.

I Jezus nakazał im, by nikomu o tym nie mówili.

Bo nie każda prawda może zostać dana ludziom od razu. Niektóre prawdy muszą czekać, aż rozszerzy się w człowieku naczynie, które zdoła je pomieścić.

13. Elarion: Arien Korveth

Arien Korveth nie urodził się złym człowiekiem.

To byłoby zbyt proste. A proste wyjaśnienia są łaską, której dzieje udzielają tym, którzy nie chcą brać odpowiedzialności za złożone prawdy.
Najpierw urodził się jedynie synem.

A spośród wszystkich ludzi na świecie najbardziej kochał matkę.

Była pierwszym miejscem, które zapamiętał jako bezpieczne.

Kiedy jako dziecko upadł i rozbił sobie kolano, nie biegł do modułu medycznego, choć wisiał na ścianie zaledwie kilka metrów dalej. Biegł do niej. Kiedy dostał w szkole pierwszą złą ocenę, przez dwie godziny ukrywał ją przed ojcem, a potem pokazał matce. Kiedy pokłócił się z chłopcem z sąsiedztwa, wrócił do domu pełen słusznego gniewu, a ona pozwoliła mu mówić tak długo, aż z opowieści stopniowo odpadło wszystko, co sam do niej dodał.
Matka miała niezwykłą umiejętność: nie poprawiała go zbyt wcześnie.

Siadała przy nim.

Słuchała.

I dopiero gdy wyrzucił z siebie wszystkie słowa, którymi człowiek broni się przed własną winą, czasem pytała:
– A teraz powiedz mi, jak było naprawdę.

Arien przeważnie jej mówił.

Przy niej mógł zawieść, a niepowodzenie nie stawało się natychmiast wyrokiem o jego wartości. Mógł być zły, nie będąc złym człowiekiem. Mógł płakać, a ona nie tłumaczyła mu, że płacz niczego nie rozwiąże.
Jego ojciec był inny.

Kochał Ariena. Chłopiec nigdy poważnie w to nie wątpił. Tyle że jego miłość miała postać zasad.

Ojciec wierzył w ścisłość. Wierzył, że umowa ma znaczenie tylko wtedy, gdy obowiązuje także w chwili, kiedy staje się przykra. Że słowo, które po wypowiedzeniu można złagodzić stosownie do okoliczności, nie jest obietnicą, lecz propozycją.

Zajmował się ramami prawnymi i regulacją monetarną. Całymi dniami rozstrzygał, co się dzieje, kiedy jedna strona spełnia warunek, a druga nie, kiedy powstaje uprawnienie, kiedy wygasa obowiązek i co dokładnie oznacza słowo *terminowo*.
Ten sposób myślenia przynosił również do domu.

Kiedy Arien miał dziewięć lat, zafascynowała go stara mechaniczna łamigłówka.

Kostka Rubika.

Na Elarionie istniały gry, które potrafiły stwarzać człowiekowi całe światy, symulować wojny, miasta czy obce planety. Arien jednak całymi tygodniami przesiadywał nad małą kolorową kostką, bo drażniło go, że jej porządek kryje się w tak prostym przedmiocie.
Ojciec to zauważył.

– Kiedy ułożysz ją bez pomocy – powiedział pewnego wieczoru – zabiorę cię do ogrodu zoologicznego w Sarenie.
Arien podniósł głowę.

Nigdy jeszcze nie był w ogrodzie zoologicznym. Matka pokazywała mu nagrania: zwierzęta z trzech kontynentów, ogromne zbiorniki wodne, pawilony nocnych zwierząt i stary las, któremu pozwolono rosnąć pod kopułą niemal bez ingerencji.
– Naprawdę?

– Jeśli ją ułożysz.

– Całą?

Ojciec lekko się uśmiechnął.

– Gdybym miał na myśli połowę, powiedziałbym: połowę.

Przez następne dni Arien ćwiczył, aż bolały go palce.

Najpierw uczył się ruchów na pamięć. Potem zrozumiał, że zapamiętanie kolejności nie wystarczy. Musiał wiedzieć, dlaczego poszczególne części się przemieszczają. Dlaczego jeden właściwy ruch z jednej strony burzy porządek z drugiej i dlaczego trzeba ten porządek chwilowo poświęcić, by później przywrócić go na miejsce.
Kostka go fascynowała.

Była małym światem, w którym chaos nie był prawdziwy.

Po prostu człowiek nie znał jeszcze sposobu.

Dwa dni przed wycieczką ułożył ją po raz pierwszy.

Potem drugi.

W wieczór przed wyjazdem potrafił już powtórzyć wszystkie ruchy niemal bez namysłu.

Matka zmierzwiła mu włosy.

– Więc jutro zobaczysz zwierzęta.

Arien się uśmiechnął.

– Jeśli ją ułożę.

Matka na chwilę spojrzała w stronę ojca.

– Przecież już umiesz ją ułożyć.

Arien nie rozumiał wtedy, dlaczego to powiedziała.

Zrozumiał następnego dnia.

Stali przed wejściem do ogrodu zoologicznego.

Za wysokimi przezroczystymi ścianami widział korony drzew. Dochodziły stamtąd odgłosy zwierząt, które znał tylko z nagrań. Ludzie przechodzili przez bramy, prowadząc dzieci za ręce, a Arien nie potrafił już ustać spokojnie.

Ojciec podał mu kostkę.

– No to zaczynaj.

Arien się roześmiał.

– Teraz?

– Umówiliśmy się, że ją ułożysz.

– Przecież ułożyłem ją wczoraj.

– Dzisiaj jesteśmy pod ogrodem zoologicznym.

Matka spojrzała na ojca.

– Naprawdę musi robić to teraz?

– Jeśli umie, to żaden problem.

Arien wziął kostkę.

Z początku wszystko szło łatwo. Pierwsza warstwa. Druga. Narożniki. Krawędzie.

Potem uświadomił sobie, że ojciec go obserwuje.

Za nimi przeszła rodzina z dwójką dzieci. Brama otworzyła się i na chwilę odsłoniła szeroką ścieżkę biegnącą wśród drzew.

Arien przyspieszył.

I popełnił błąd.

Mały.

Przy ostatniej sekwencji obrócił jedną ściankę w niewłaściwą stronę.

Kiedy to sobie uświadomił, znieruchomiał.

Kostka była prawie ułożona. Pięć ścianek wyglądało dobrze. Na ostatniej kilka pól pozostało nie na swoim miejscu.

– Poczekaj – powiedział. – Zrobię to jeszcze raz.

Ojciec sprawdził godzinę.

– Nie.

Arien myślał, że żartuje.

– Co?

– Nie ułożyłeś jej.

– Ale umiem ją ułożyć.

– Teraz jej nie ułożyłeś.

– Pomyliłem się tylko na końcu.

– Tak.

Arien spojrzał na bramę wejściową.

Potem na ojca.

– Więc poprawię.

– Nie umawialiśmy się, że będziesz poprawiał, aż ci się uda.

Matka weszła między nich.

– Przecież wiesz, że potrafi. Wczoraj nam pokazał.

Ojciec odpowiedział jej spokojnie.

– W takim razie dzisiaj też powinien był się skupić.

Ariena zaczęły piec oczy.

– Proszę.

Ojciec pokręcił głową.

– Jeśli umowa przestaje obowiązywać w chwili, kiedy komuś jest przykro z powodu jej skutków, to znaczy, że nie mieliśmy żadnej umowy.

Odwrócił się w stronę modułu transportowego.

Arien nie ruszył się z miejsca.

Za bramą kręciły się dzieci. Gdzieś w oddali rozległ się niski głos dużego zwierzęcia i grupa ludzi pobiegła do punktu widokowego.
Byli tam.

Kilkadziesiąt metrów od niego.

Wystarczyło przejść przez bramę.

Matka została przy Arienie. Ojciec czekał już przy module.

Chłopiec trzymał w rękach niemal ułożoną kostkę, a po policzkach płynęły mu łzy.

– Nienawidzę go – powiedział.

Matka przy nim uklękła.

– Nie.

– Nienawidzę.

– Teraz tak.

Arien spojrzał na nią przez łzy.

Matka wzięła kostkę do ręki.

– Twój ojciec czasem myli ścisłość ze sprawiedliwością.

Arien zapamiętał to zdanie.

– Jeśli coś obowiązuje, to nie jest sprawiedliwe?

– Nie zawsze.

– To po co są zasady?

Matka przez chwilę szukała odpowiedzi.

– Żeby pomagały nam podejmować decyzje, kiedy nie wiemy, co zrobić. Nie żeby zastępowały nasze uczucia.

Potem oddała mu kostkę.

– I jeszcze jedno.

– Co?

– To, że czegoś nie zrobiłeś doskonale, nie znaczy, że cały jesteś porażką.

Arien wtedy skinął głową.

Lecz znacznie głębiej zapisało się w nim coś innego.

Brama, przed którą człowiek może stać, choć cel ma na wyciągnięcie ręki.

Warunek, którego można nie spełnić przez jeden błędny ruch.

I świat, którego nie obchodzi, że zabrakło tak niewiele.

Kilka lat później doświadczył okrucieństwa, które zasadniczo wpłynęło na jego spojrzenie na świat.

Tego dnia był z matką sam.

Wracali z wizyty u jej siostry, kiedy w jednej z warstw transportowych zawiodła synchronizacja. Trzy autonomiczne moduły wjechały w ten sam korytarz niemal jednocześnie.
Pierwszy system zapobiegł zderzeniu.

Drugi nie.

Później Arien nie pamiętał uderzenia jako dźwięku.

Pamiętał światło.

Białe.

Gwałtowne.

A potem świat przewrócony na bok.

Pole bezpieczeństwa go pochwyciło. Miał rozbitą wargę, stłuczone ramię i krew na czole, ale mógł się poruszać.
Jego matka nie.

Część konstrukcji modułu przygniotła jej dolną połowę ciała. Była przytomna. Oddychała krótko i płytko.
Arien podpełzł do niej.

– Mamo.

Spojrzała na niego.

I nawet wtedy się uśmiechnęła.

To właśnie prześladowało go później najbardziej.

Nie ból na jej twarzy.

Ten uśmiech.

Jakby nawet w rozbitym module, pośród dymu, alarmów i krwi, wciąż pozostawała jego przystanią.

– Jestem tutaj – powiedziała.

Ratownicy przybyli szybko.

Elarion miał systemy zdolne zareagować na katastrofę komunikacyjną, zanim człowiek zdążył zrozumieć, że do niej doszło. Nad miejscem wypadku pojawiły się moduły ratunkowe, drony medyczne przemieszczały się między rannymi, a nad każdym ciałem rozświetliła się bieżąca ocena stanu.

Arien patrzył tylko na matkę.

Jeden z medyków ukląkł przy niej.

Drugi zwrócił się ku szczątkom sąsiedniego modułu.

Wyciągnięto stamtąd dziecko.

Chłopca mniej więcej w wieku Ariena.

Miał podarte ubranie, krew na twarzy i jedną rękę nienaturalnie wykręconą pod ciałem.

Kiedy otworzył oczy, Arien zobaczył złoty krąg.

Był jasny.

Niemal świecił.

System medyczny natychmiast uzupełnił dane.

Jeden z ratowników spojrzał na projekcję.

– Aureliański profil regeneracyjny.

Drugi skinął głową.

Padło kilka zdań, których Arien wtedy nie rozumiał do końca.

Prawdopodobieństwo przeżycia.

Okno czasowe.

Masywny krwotok wewnętrzny.

Odpowiedź regeneracyjna.

Jeden dostępny transport intensywnej opieki.

Kolejny moduł w drodze.

Za późno.

– Najpierw dziecko – powiedział dowódca zespołu.

Arien podniósł głowę.

– Nie.

Nikt go nie usłyszał.

– Nie!

Ratownicy już przenosili chłopca.

Arien chwycił jednego z nich za ubranie.

– Moją mamę!

Mężczyzna odwrócił się ku niemu.

– Następny moduł nadjeżdża.

– To zabierzcie ją!

– Musimy decydować zgodnie z...

– Ona umrze!

Medyk na chwilę zamknął oczy.

Może właśnie wtedy Arien po raz pierwszy zobaczył, że nawet człowiek przestrzegający właściwej procedury może wiedzieć, iż robi coś strasznego.

– Staramy się uratować oboje.

Arien odwrócił się ku matce.

Musiała słyszeć całą rozmowę.

– Zabierzcie chłopca – szepnęła.

Arien spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie.

– Arien.

– Nie.

Wyciągnęła do niego rękę.

Drżały jej palce.

Chwycił je.

– Mamo, powiedz im.

– Patrz na mnie.

– Powiedz im, żeby zabrali ciebie.

– Arien.

W jej głosie pozostał ten sam spokój, który znał z dzieciństwa.

Spokój kuchni.

Spokój wieczorów.

Spokój człowieka, do którego przychodził zawsze, kiedy świat stawał się zbyt wielki.

– Ten transport może uratować dziecko – powiedziała.

– Ciebie też.

Nie odpowiedziała.

Za plecami Ariena zamknęły się drzwi modułu medycznego.

Tuż przedtem jeszcze raz zobaczył twarz obcego chłopca.

I jego oczy.

Złoty krąg zniknął za nieprzezroczystą ścianą.

Kolejny transport, po matkę, przybył kilka minut później.

W późniejszym raporcie podano dokładnie, ile.

Przez całe lata Arien znał tę liczbę na pamięć.

Jego matka zmarła w drodze do szpitala.

Lekarze wyjaśnili później, że nawet wcześniejszy transport nie dawał pewności uratowania jej życia. Konstrukcja rozerwała duże naczynia krwionośne w miednicy. Drony polowe mogły tylko spowalniać krwawienie; do zamknięcia uszkodzonych naczyń potrzebny był specjalistyczny moduł. Terapia regeneracyjna wymagała stabilnego krążenia i godzin, których już nie miała. Decyzja ratowników była zgodna z protokołem. Chłopiec z sąsiedniego modułu, dzięki wiekowi, rodzajowi obrażeń i aureliańskiemu profilowi regeneracyjnemu, miał znacznie większą szansę przeżyć intensywną interwencję.

Chłopiec przeżył.

Matka Ariena nie.

Złoty krąg sam w sobie nie przesądził o decyzji.

Był tylko widocznym znakiem jednego z czynników, które system brał pod uwagę.

Dla Ariena nie miało to jednak znaczenia.

Dzieci nie pamiętają traumy w postaci specjalistycznego raportu.

Pamiętają obraz.

Arien pamiętał matkę leżącą wśród szczątków.

Drzwi modułu ratunkowego.

I złote oczy dziecka, które zamknęły się po drugiej stronie.

Tak zrodziła się w Arienie nienawiść do Aurelian.

Nie miała argumentów.

Nie miała historii.

Nie miała teorii politycznej.

Miała kolor.

Złoty.

Po pogrzebie ojciec wystąpił o pełny zapis wypadku.

Przestudiował telemetrię, czasy reakcji, protokół triage, decyzje medyków i modele predykcyjne.

Arien czekał, aż znajdzie winnego.

Potrzebował go.

Przecież ktoś musiał popełnić błąd.

Ktoś musiał ponosić za to odpowiedzialność.

Po kilku dniach ojciec zamknął ostatni raport.

– Postąpili prawidłowo – powiedział.

Arien patrzył na niego.

– Mama nie żyje.

Ojciec spuścił oczy.

– Wiem.

– Więc jak mogli postąpić prawidłowo?

Ojciec długo milczał.

Jego twarz zastygła w sposób, który Arien brał wtedy za chłód. Dopiero znacznie później zrozumiał, że niektórzy ludzie nie rozpadają się na zewnątrz nie dlatego, że nie czują bólu. Rozpadają się do wewnątrz, gdzie nikt ich nie widzi.

– Nie każda właściwa decyzja przynosi dobry skutek – powiedział ojciec.

To zdanie wzbudziło w Arienie odrazę.

– To po co jest właściwa?

Ojciec nie odpowiedział.

A Arien po raz pierwszy uświadomił sobie coś, co już nigdy całkiem go nie opuściło.

System może zrobić wszystko zgodnie z zasadami, a człowiek i tak umrze.

Nikt nie musi kłamać.

Nikt nie musi łamać prawa.

Nikt nie musi mieć złych zamiarów.

A skutkiem może być grób.

Od tego dnia zaczął inaczej badać mechanizmy.

Przedtem interesowały go dlatego, że lubił rozumieć rzeczy.

Teraz musiał nad nimi panować.

Jeśli świat potrafił odebrać mu matkę decyzją, której nie można było uznać za błąd, nie wystarczało być dobrym człowiekiem.
Nie wystarczało mieć rację.

Nie wystarczało nawet prosić.

Człowiek musiał rozumieć, na jakiej podstawie świat podejmuje decyzje.

A jeśli nie chciał znaleźć się po stronie tego, komu system każe czekać, musiał być przy ustalaniu zasad, zanim rozpocznie się podejmowanie decyzji.
Jako dziecko nauczył się więc dwóch rzeczy.

Pierwszej: światem nie rządzą ci, którzy mają rację, lecz ci, którzy rozumieją mechanizmy.

Drugiej: jeśli nie widzisz mechanizmu, należysz do tych, którymi on steruje.

Urodził się w zachodnim państwie Veyran, w rodzinie zarządców, prawników i strategów monetarnych. Po śmierci matki dom pozostał taki sam, a jednak zniknęło z niego miejsce, do którego można było uciec.
Ojciec wciąż tam był.

Zasady także.

Kolacje odbywały się nadal.

Rozmawiano przy nich o ruchach na rynkach, umowach koalicyjnych, lukach regulacyjnych i o tym, które państwo nadal sądzi, że jego bank centralny jest niezależny.

O uczuciach nie rozmawiano prawie wcale.

Arien się przystosował.

Był wyjątkowo inteligentny. Jego inteligencja miała precyzję narzędzia chirurgicznego. Potrafił rozciąć problem na warstwy, znaleźć słaby punkt, ocenić, kto ustąpi, kogo można przekonać, kogo kupić, a kogo ominąć.
Szkoły Veyran uważały go za talent.

Konsorcja finansowe za inwestycję.

Politycy za przydatnego człowieka.

On sam uważał się za kogoś, kto widzi za kulisy.

W okresie dorastania wrócił do zapisu wypadku matki.

Nie raz.

Wiele razy.

Najpierw szukał błędu medyków.

Potem błędu algorytmu.

Później próbował ustalić, kto zatwierdził protokół i na jakich danych go oparto.

Nie znalazł spisku.

Rozgniewało go to bardziej, niż gdyby go znalazł.

Chłopca uratowano, ponieważ system ocenił jego szanse jako większe. Aureliański profil biologiczny był zaledwie jedną z wielu zmiennych.
Arien zaczął jednak dostrzegać Aurelian wszędzie.

W transmisjach uroczystości.

W dokumentach rodowych.

W najstarszych szkołach.

W opowieściach o ludziach, których ciała regenerowały się szybciej.

W legendach o liniach, które podobno umiały niegdyś leczyć dotykiem.

Złoty krąg przedstawiano jako dziedzictwo kulturowe.

Arien widział w nim przewagę, z którą człowiek się rodził.

Na początku kariery Arien przedstawił zarządcom transportu projekt rezerwowych transportów intensywnej opieki na wypadek katastrof z wieloma poszkodowanymi. Nie był to wielki gest. Przeliczył czasy dojazdu, rozmieszczenie modułów i koszt rezerwy. Kiedy

powiedziano mu, że taka infrastruktura przez większość dni będzie stała niewykorzystana, położył przed nimi raport z wypadku matki i poprosił, by uwzględnili również minuty oczekiwania.

Projekt zatwierdzono. Dwa lata później otrzymał meldunek o zderzeniu, na którego miejsce przybyły jednocześnie dwa moduły intensywnej opieki i obaj ciężko ranni przeżyli. Jednym z nich był aureliański chłopiec. Arien zachował meldunek. Wtedy jeszcze wierzył, że sprawiedliwsza zasada może chronić człowieka niezależnie od koloru jego oczu.

Mimo to na widok publicznej uroczystości Aurelian przyszło mu do głowy zdanie, którego jeszcze trochę się wstydził:

Moją matkę też zabraliście.

Nie była to prawda.

Jego inteligencja o tym wiedziała.

Lecz jego ból nie był analitykiem.

Człowiek może przez całe lata wiedzieć, że jego nienawiść opiera się na nieścisłych przesłankach, a mimo to zbudować na niej cały dom. Wystarczy, że później znajdzie dość argumentów, by przemianować dawną ranę na przekonanie.

Arien je znalazł.

A potem spotkał Mareię.

Nie przypominała jego matki.

Ani charakterem, ani sposobem życia, ani tym, jak myślała. Arien uznałby takie porównanie za prymitywne.

A jednak przy niej po raz pierwszy od wielu lat poczuł coś, co znał z dzieciństwa.

Możliwość, by na chwilę przestać tłumaczyć się przed światem.

Mareia była wrażliwa, lecz nie dawała sobą sterować. Dobra, lecz nie uległa. Kiedy się z nim nie zgadzała, nie robiła tego po to, by wygrać. Robiła to, bo nie potrafiła zdradzić precyzji własnego widzenia.

Z początku ją za to podziwiał.

Przy niej chwilami powracał człowiek, którego przez lata ukrywał pod mechanizmami.

Potem się tego przestraszył.

Bo to, czego człowiek potrzebuje, może stracić.

A Arien znał już kiedyś miejsce, do którego wracał z każdym bólem, aż pewnego dnia świat mu je odebrał.
Zaczął więc robić to, co robił ze wszystkim, czego nie chciał stracić.

Próbował to zrozumieć.

Potem przewidzieć.

Potem kontrolować.

Pamiętał, co Mareia mówiła. Z kim się spotyka. Kiedy wraca do domu. Którym ludziom ufa. Kto na nią oddziałuje. Co zmienia jej poglądy.
Tłumaczył to sobie jako uważność.

Później jako troskę.

W końcu jako prawo.

A kiedy okazało się, że człowieka nie da się zabezpieczyć tak jak przepływu finansowego, zaczął odczuwać gniew.

Mareia nie dawała się wpisać w jego system.

Nie dawała się posiadać.

A kiedy odkrył, że nie można jej posiadać, zaczął nienawidzić właśnie tego, co kiedyś w niej kochał.

Po jej odejściu mieszkanie pozostało zbyt uporządkowane.

Niczego nie rozbiła. Nie krzyczała. Nie uczyniła z niego publicznie potwora, przed czym mógłby się bronić.

Odeszła z cichym „nie".

Przez pierwsze dni powtarzał sobie, że wróci.

Potem, że ktoś na nią wpłynął.

Potem w jego myślach pojawił się Jesair Davion.

A wraz z nim dawny kolor.

Złoty.

Dziwne, jak łatwo dwa wydarzenia oddzielone dziesięcioleciami potrafiły zetknąć się w człowieku.

Obce dziecko odwożone z miejsca wypadku.

Mężczyzna stojący obok Marei.

Obaj Aurelianie.

Obaj ze złotym kręgiem w oczach.

Rozum wiedział, że nie ma między nimi związku przyczynowego.

Rana go nie potrzebowała.

Arien zaczął sobie mówić, że Mareia nigdy tak naprawdę nie mogła należeć do jego świata. Że Aurelianie w końcu zawsze wybiorą swoich, choć mówią o powszechności, równości i całej cywilizacji.
W decydującej chwili wracali, jego zdaniem, do kręgu.

Do złotego kręgu.

Nienawidził tego znaku na długo, zanim się do tego przyznał.

Najgorszy ze wszystkich był dla niego ród Davionów.

Mit, z którego wykształceni ludzie się śmiali, lecz którego nigdy całkiem nie porzucili. Leczenie dotykiem. Przewidywanie nieszczęścia. Przyroda, która słucha. Stare baśnie dla cywilizacji dysponującej biologiczną sztuczną inteligencją, czujnikami kwantowymi i miastami na innej planecie.
A jednak wystarczyło, że Jesair Davion wstał w sali Rady Unii i wypowiedział jedno zdanie, a ludzie milkli.
Arien odtwarzał później nagranie z debaty w Nitrze.

Zatrzymał je na twarzy Jesaira.

„Należy chronić prywatność człowieka. Niewidzialności władzy nie".

Jesair stał spokojnie. Nie potrzebował triumfu ani gry aktorskiej. Właśnie to niepokoiło Ariena.

Ambitnego polityka można kupić.

Demagoga można zdemaskować.

Człowiekiem, który nie chce władzy, a mimo to zdobywa ją dzięki zaufaniu innych, znacznie trudniej jest sterować.

Arien powiększył obraz jego oczu.

Na chwilę ukazał się w nich złoty krąg.

I świat wokół niego zniknął.

Przez ułamek sekundy znów czuł zapach spalonego tworzywa z rozbitego modułu.

Słyszał medyka:

Aureliański profil regeneracyjny.

Widział rękę matki.

Drzwi modułu sanitarnego.

Złote oczy chłopca.

Potem znów był w Nitrze.

Przed wizerunkiem Jesaira Daviona.

Arien poczuł odrazę w żołądku.

– Nie – powiedział do pustego pokoju.

Nie wiedział jeszcze dokładnie, czemu się sprzeciwia.

Jesairowi.

Marei.

Aurelianom.

Systemowi, który kiedyś podjął decyzję bez nienawiści, a mimo to odebrał mu matkę.

Może także własnemu upokorzeniu.

Wszystkie te rzeczy leżały już w nim tak blisko siebie, że przestawał je rozróżniać.

I właśnie wtedy na pulpicie rozbłysło powiadomienie.

Wiadomość przyszła zamkniętym kanałem komunikacyjnym, z którego korzystali wysocy rangą zarządcy funduszy, doradcy polityczni i ludzie, którzy nie chcieli, by ich rozmowy trafiały do zwykłych archiwów.
Nadawcy nie podano.

Wiadomość zawierała miejsce, czas i jedno zdanie:

Pan Thorne byłby wdzięczny za rozmowę o następstwach dzisiejszego wystąpienia.

Arien przeczytał ją dwukrotnie.

Kael Thorne nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji odpowiadającej zasięgowi jego wpływów. Nie stał na czele rządu ani banku centralnego. Jego nazwisko pojawiało się jednak w otoczeniu zarządców majątku, funduszy inwestycyjnych, mediów, fundacji i kampanii politycznych.
Ludzie mówili o nim: doradca.

Ci, którzy wiedzieli więcej, nie używali żadnego określenia.

Arien nie usunął wiadomości.

Najpierw znów odtworzył przemówienie Jesaira.

Tym razem nie patrzył na Jesaira.

Odszukał w kadrze Kaela.

I wtedy zauważył krótką chwilę, w której Kael nie patrzył na mówcę.

Patrzył na niego.

Arien przyjął zaproszenie.

Spotkali się następnego wieczoru wysoko nad Nitrą, w pomieszczeniu, które oficjalnie należało do fundacji wspierającej międzypaństwową współpracę gospodarczą.
Kael już czekał.

– Panie Korveth.

– Panie Thorne.

– Znam pańskie nazwisko od dawna.

– Powinienem się cieszyć?

– Powinien pan zachować ostrożność.

Kael otworzył nagranie z konferencji i zatrzymał je na Jesairze.

– „Gdy dojrzeje czas wspólnego dzieła, wartość nie może już kroczyć w cieniu" – przeczytał. – „To, co służy wszystkim, musi być widoczne dla wszystkich".
Arien oczekiwał drwiny.

Zamiast niej dostrzegł na twarzy Kaela coś znacznie ciekawszego.

Lęk.

Kael Thorne bał się tej myśli.

Przejrzystość nie była dla niego problemem moralnym. Była zagrożeniem dla jego istnienia. Gdyby przepływy finansowe Elarionu dało się nanieść na jedną mapę, ukazałyby nie tylko uchylanie się od podatków.
Ukazałyby partie polityczne finansowane z tych samych źródeł.

Media, które na zewnątrz się nienawidziły, a w istocie należały do tych samych pieniędzy.

Fundacje.

Banki.

Fundusze.

I dom Thorne.

– Davion nie ma na razie organizacji – powiedział Kael. – Nie ma partii, aparatu ani ustawy.

– Więc dlaczego się go pan boi?

– Bo ludzie rozumieją, co mówi.

Kael wyłączył obraz.

– Złożone idee można pogrzebać w komisjach. Proste rozchodzą się same.

Arien się oparł.

– Zaprosił mnie pan, żeby powiedzieć, że boi się jednego Aurelianina?

– Zaprosiłem pana, bo pan się go nie boi.

– Nie.

Kael przez chwilę milczał.

– Pan go nienawidzi.

Arien poczuł, jak napinają mu się mięśnie szyi.

– Niewiele pan o mnie wie.

– Wiem, jak pan na niego patrzył.

– Spojrzenie nie jest dowodem.

– Nie szukam dowodu. Szukam motywacji.

Arien wstał.

Kael go nie zatrzymał.

– Mareia Lioren nie jest powodem, dla którego pan tu jest – powiedział.

Arien znieruchomiał.

– Jest tylko powodem, dla którego pańska stara nienawiść znów nauczyła się mówić.

Tym razem Arien gwałtownie się odwrócił.

Kael nie miał pojęcia, jak celnie trafił.

Nie wiedział o wypadku.

O matce.

O chłopcu.

O złotych oczach za zamykającymi się drzwiami.

Ale ludzie tacy jak Kael nie musieli znać źródła rany. Wystarczało im rozpoznać, że istnieje.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał Arien.

– Na razie niczego.

– W takim razie nie musiał mnie pan zapraszać.

– Chcę zaoferować panu wsparcie.

Arien powoli usiadł.

– W czym?

Kael otworzył zestawienie struktur badawczych i finansowych.

– Współpracuje pan z konsorcjami. Rozumie pan przejścia między jurysdykcjami, walutami i reżimami prawnymi. Przygotowywał pan ramy bezpieczeństwa biologicznego.

– Wszystkie zgodne z prawem.

– Oczywiście.

Kael wypowiedział to słowo tak spokojnie, że straciło znaczenie.

– Domy i fundacje, z którymi współpracuję, szukają ludzi zdolnych analizować długofalowe zagrożenia cywilizacyjne. Gospodarcze. Polityczne. Społeczne. Genetyczne.

Arien na niego spojrzał.

– Aureliańskie?

Kael nie odpowiedział od razu.

– Także aureliańskie, jeśli uważa je pan za zagrożenie.

W tej chwili nie otworzył się plan.

Otworzyły się drzwi.

Kael oferował dostęp do finansowania, kancelarii prawnych, fundacji i ośrodków badawczych. Do ludzi zdolnych zadać pytanie tak, by jego prawdziwe znaczenie pozostało ukryte w specjalistycznym języku.

– A czego chce pan w zamian?

– Informacji. Dokąd zmierza idea Jesaira. Kto ją popiera. I jakie są możliwości powstrzymania jej rozwoju, zanim moralne hasło stanie się programem politycznym.

– Chce go pan zdyskredytować?

– Jeśli to będzie możliwe.

– A jeśli nie?

Kael przyjrzał mu się uważnie.

– Wtedy będziemy potrzebowali dokładniejszej analizy.

Nie musiał mówić więcej.

Po spotkaniu Arien zaczął czytać o dziedziczności Aurelian.

Z początku wmawiał sobie, że to zawodowa ciekawość.

Poznał osobliwe zasady przekazywania genów. Synów, którzy po aureliańskim ojcu dziedziczyli charakterystyczny profil. Mieszane linie. Układy markerów. Właściwości fizjologiczne związane ze złotym kręgiem.
Biologia.

Tylko biologia.

Dokładnie tak jak w raporcie o śmierci jego matki.

Im więcej czytał, tym mocniej stykały się w nim dwie części życia, które dotąd trzymał osobno.

Dziecko, które straciło matkę.

I mężczyzna, który musiał wyjaśnić świat, nie przyznając, że wciąż kieruje nim tamto dziecko.

Zaczął robić notatki.

Autorytet moralny bez mandatu wyborczego.

Ciągłość rodu jako kapitał polityczny.

Davion – symbol odmawiający bycia symbolem, przez to skuteczniejszy.

Przejrzystość jako narzędzie moralnego wpływu Aurelian.

Ostatnie zdanie nie było prawdziwe.

Przejrzystość nie była aureliańska. Jesair przedstawiał ją jako wspólny system dla wszystkich.

Arien nie wychodził już jednak od rzeczywistości.

Wychodził od wyniku, do którego musiał dojść.

A inteligentny człowiek, który najpierw wybiera wniosek, bywa czasem niebezpieczniejszy od głupca.

Głupiec nie potrafi bowiem zbudować doskonałej drogi do błędu.

Arien potrafił.

Im więcej pisał, tym mniej uświadamiał sobie, że nie pisze o Aurelianach.

Pisał o chłopcu przed ogrodem zoologicznym.

O bramie, która się nie otworzyła, bo nie spełnił warunku.

O matce wśród szczątków.

O module sanitarnym, który otworzył się dla kogoś innego.

O Marei, która zamknęła za sobą drzwi.

W jego życiu było zbyt wiele drzwi.

I Arien postanowił, że już nigdy nie będzie tym, kto zostaje przed nimi.

Pewnego wieczoru Mareia odpowiedziała mu na jedną ze starszych wiadomości.

Arien, nie wrócę. To, co się stało, nie było błędem między nami. Było przekroczeniem granicy. Życzę ci, żebyś kiedyś potrafił się do tego przyznać.
Czytał ją wielokrotnie.

Najbardziej rozwścieczyło go ostatnie zdanie.

Właśnie dlatego, że było prawdziwe.

Trzy dni później zobaczył nagranie publicznej dyskusji w Aurioli. Jesair mówił tam o archiwach. Mareia siedziała wśród słuchaczy.
Kiedy Jesair skończył, ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

Nie było w tym niczego, co dałoby się wykorzystać jako dowód.

Mimo to Arien zobaczył w tym wszystko.

Zatrzymał obraz.

Jesair.

Mareia.

Złoty krąg.

A gdzieś głęboko, pod wszystkimi latami wykształcenia, wpływów i samokontroli, dziewięcioletni chłopiec wciąż trzymał w rękach niemal ułożoną kostkę.
Na pulpicie otworzył listę fundacji badawczych.

Przy kilku świeciło nowe uprawnienie.

Rozszerzony dostęp zatwierdzony przez zarząd funduszu.

Kael dotrzymał swojej oferty.

Arien mógł składać propozycje projektów strategicznych, korzystać z doradztwa prawnego i finansowego oraz łączyć programy prowadzone w różnych państwach, które z pozoru nie miały ze sobą związku.
Na razie nic z tego nie było przestępstwem.

Badania nad bezpieczeństwem biologicznym były potrzebne.

Analiza genetyczna populacji mogła ratować życie.

Modelowanie ryzyka systemowego należało do odpowiedzialnego zarządzania cywilizacją.

Każde narzędzie miało legalne zastosowanie.

Decydujące było to, kto kiedyś położy je obok siebie.

Arien wiedział, jak sfinansować wielki projekt, by nigdzie nie jawił się jako jeden projekt. Wiedział, jak rozdzielić zlecenia między waluty, państwa i reżimy prawne. Wiedział, gdzie można ukryć ostateczny cel, nie zmuszając nikogo do świadomego łamania prawa.
Długo przyglądał się możliwościom, które miał przed sobą.

Człowiek nie staje się sprawcą dopiero wraz z pierwszym czynem.

Czasem granicę przekracza się znacznie wcześniej.

W chwili, kiedy człowiek dostrzega możliwość zniszczenia drugiego i zamiast pytania: *czy wolno mi?* zadaje sobie pytanie: *jak można by to zrobić?*
Arien jeszcze niczego nie zamówił.

Nie skontaktował się z laboratorium.

Nie miał konkretnego planu.

Miał jednak patrona.

Dostęp.

I pewność, że jeśli rozdzieli zamiar na dostatecznie małe części, znajdą się ludzie gotowi wykonać każdą z nich, nie wiedząc, co stworzą razem.
W nocy wyszedł na taras.

Pod nim świeciła Nitra. Nad miastem przelatywały statki zmierzające ku pierścieniowi orbitalnemu, a dalej ku Thaeronowi.
Świat był precyzyjny.

Połączony.

Sterowany.

Arien przypomniał sobie ojca.

Postąpili prawidłowo.

Matkę.

Zasady nie powinny zastępować naszych uczuć.

Dwa zdania stały naprzeciw siebie w jego pamięci przez całe dziesięciolecia.

W końcu wybrał zdanie ojca.

Nie dlatego, że mu wybaczył.

Dlatego, że można było z niego skorzystać.

Jeśli ludzie podejmują decyzje według mechanizmów, wystarczy opanować mechanizmy.

Jeśli instytucje przestrzegają zasad, wystarczy wytyczyć drogę, na której każda z nich spełni własną zasadę.

Jeśli zamiar rozdzieli się między dostatecznie wielu ludzi, nikt nie musi dźwigać całego poczucia winy.

Arien spojrzał na miasto.

– Osobiste decyzje nie istnieją – powiedział cicho.

To zdanie mu się spodobało.

Brzmiało jak filozofia.

W rzeczywistości wciąż płakało w nim dziecko przed zamkniętą bramą.

Na pulpicie za jego plecami czekała wiadomość z biura domu Thorne.

Wsparcie finansowe i prawne jest gotowe. Proszę przedłożyć pierwszy zarys projektu.

Arien wrócił do środka.

Nienawiść, kiedy dojrzeje, przestaje krzyczeć.

Zaczyna organizować.

Kael otworzył mu pierwsze drzwi.

A Elarion, wielka cywilizacja pod wielkim słońcem, wciąż oferował mu za nimi zbyt wiele korytarzy.

14. Ziemia: początek nowego pokolenia

Wieczór zapadał już nad okolicą, a Jerozolima pozostawała za nimi jak rana, która nie zdążyła się jeszcze zamknąć. Uczniowie siedzieli w domu za zamkniętymi drzwiami. Żaden z nich nie mówił głośno. Każdy nosił w sobie inny rodzaj wstydu: Piotr swoje zaparcie się, Tomasz swoją niewiarę, pozostali ucieczkę, milczenie i lęk.
Wtedy powietrze w pomieszczeniu się zmieniło.

Nie było słychać kroków ani skrzypienia drzwi. Po prostu nagle stanął pośród nich.

Jezus.

Jezus stał pośród nich żywy i spokojny, zbyt rzeczywisty, by być wspomnieniem, cieniem czy wyobrażeniem zrodzonym z rozpaczy. Na jego twarzy ból nie miał już ostatniego słowa.
– Pokój wam – powiedział.

Nikt się nie poruszył. Jedni cofnęli się, inni osunęli na kolana. Piotr zakrył twarz dłońmi. Jan rozpłakał się bezgłośnie. Tomasz patrzył, jakby w jednej chwili rozpadł mu się cały świat, który zbudował na zwątpieniu.
Jezus uniósł ręce. W nadgarstkach widniały ślady gwoździ. Potem odchylił szatę i pokazał bok, z którego zaledwie kilka dni wcześniej wypłynęły krew i woda.
– To ja – powiedział cicho. – Nie dotykacie snu. Nie dotykacie próżnej nadziei. Dotykacie tego, czego śmierć nie zdołała zatrzymać.
Tomasz podszedł jak człowiek, który boi się własnego poznania. Chciał dotknąć rany, lecz jego ręka zatrzymała się w powietrzu. Cała jego buntownicza pewność pękła.
– Pan mój – wyszeptał – i Bóg mój.

Jezus spojrzał na niego bez wyrzutu.

– Uwierzyłeś, bo zobaczyłeś. Ale przyjdą tacy, którzy nie zobaczą, a jednak będzie w nich płonął ten sam ogień.

Potem usiadł wśród nich, jakby wrócił z krótkiej podróży, a nie z krainy śmierci. Poprosił ich o jedzenie. Podali mu kawałek pieczonej ryby i trochę chleba. Jadł przed nimi, powoli, zwyczajnie, i właśnie ta zwyczajność była straszniejsza niż cud. Bo duch nie je. Sen nie łamie chleba. Wspomnienie nie patrzy człowiekowi w oczy.

Kiedy skończył jeść, zaczął mówić im o Piśmie. O Mojżeszu, o prorokach, o słowach, których słuchali przez całe życie, a które dopiero teraz otworzyły się przed nimi jak bramy.

Mówił im, że Syn Człowieczy musiał zstąpić aż tam, dokąd ludzie najbardziej boją się spojrzeć, by pokazać, że nawet tam Bóg nie utracił władzy nad światem.

– Myśleliście, że krzyż to koniec – powiedział. – Lecz krzyż był miejscem, w którym ludzka władza wyczerpała się do dna. Tam, gdzie człowiek pokazał, co potrafi uczynić Bogu, Bóg pokazał, co potrafi uczynić człowiekowi: przebaczyć mu.

Później odeszli na północ, nad wodę, gdzie niegdyś po raz pierwszy ich powołał. Morze Tyberiadzkie było spokojne, a noc leżała nad nim niczym ciemny welon. Piotr powiedział, że idzie łowić ryby, a pozostali poszli z nim. Przez całą noc zarzucali sieci, lecz niczego nie złowili.

O świcie na brzegu stał mężczyzna.

– Dzieci – zawołał – macie coś do jedzenia?

– Nie mamy – odpowiedzieli.

– Zarzućcie sieć po prawej stronie łodzi.

Zrobili to. Sieć napełniła się tak gwałtownie, że nie mogli jej wyciągnąć. Wtedy Jan pobladł i spojrzał na Piotra.

– To jest Pan.

Piotr bez namysłu rzucił się do wody. Brnął ku brzegowi, jakby każdym krokiem chciał cofnąć się przed tamtą noc, kiedy trzykrotnie powiedział, że go nie zna.

Na brzegu płonął już ogień. Na żarze leżały ryba i chleb. Jezus stał przy płomieniu, a jego twarz oświetlał poranny blask. Niedaleko niego była Maria Magdalena. Milczała, lecz jej milczenie było inne niż milczenie pozostałych. Nie było w nim zawstydzenia ani lęku. Raczej cicha wiedza, jakby od początku wiedziała, że śmierć nie będzie miejscem, w którym skończy się ich opowieść.

Jedli razem. Nikt nie odważył się go zapytać: „Kim jesteś?". Wszyscy bowiem wiedzieli.

Kiedy skończyli jeść, Jezus zwrócił się do Piotra.

– Szymonie, synu Jana – powiedział – czy miłujesz mnie bardziej niż ci?

Piotr spuścił wzrok.

– Panie, ty wiesz, że cię kocham.

Jezus skinął głową.

– Paś moje baranki.

Ogień zatrzeszczał. Piotr podniósł wzrok, lecz Jezus zapytał go ponownie:

– Szymonie, synu Jana, czy mnie miłujesz?

Głos Piotra zadrżał.

– Tak, Panie. Ty wiesz, że cię kocham.

– Paś moje owce.

Po raz trzeci Jezus zapytał:

– Szymonie, synu Jana, czy mnie kochasz?

Wtedy zabolało Piotra wszystko, co w nim jeszcze udawało uzdrowione. Trzy pytania padały w trzy zaparcia. Trzy odpowiedzi podnosiły się z trzech ran.

– Panie – powiedział Piotr – ty wiesz wszystko. Ty wiesz, że cię kocham.

Jezus patrzył na niego długo i poważnie.

– Paś moje owce.

I wtedy Piotr zrozumiał, że przebaczenie nie jest zapomnieniem. Jest powierzeniem zadania człowiekowi, który już wie, jak jest słaby.

Potem Jezus zaprowadził ich na górę. Stało tam jedenastu, Maria Magdalena i kilku innych, którzy szli za nimi od Galilei aż po Jerozolimę. Pod nimi rozciągała się ziemia, która jeszcze długo miała pozostawać podzielona między imperia, kapłanów, kupców, miecze i lęk. Nad nimi otworzyło się niebo, lecz nie jako ucieczka, raczej jako przypomnienie, że świat nie jest zamknięty we własnym okrucieństwie.

Jezus powiedział:

– Dana mi jest moc, której ludzie nie mogli mi odebrać, bo mi jej nie dali. Idźcie więc i nauczajcie narody. Nie mieczem. Nie strachem. Nie pragnieniem władzy. Uczcie je widzieć. Uczcie je kochać prawdę bardziej niż własne korzyści. Uczcie je przebaczać, lecz nie służyć kłamstwu. Chrzcijcie je do życia, w którym człowiek nie należy już tylko do siebie.

Niektórzy padli na kolana. Niektórzy płakali. A niektórzy nadal wątpili, bo nawet wobec cudu ludzkie serce pozostaje ludzkim sercem.

Jezus podszedł do nich bliżej.

– Nie będę z wami tak, jak byłem – powiedział. – Ale będę z wami przez wszystkie dni, w każdym człowieku, który przebudzi się ze snu własnego lęku. Będę w świadomości, która pozna samą siebie. Będę w każdym, kto zrozumie, że królestwo Boże nie przychodzi jako pałac z obłoków, lecz jako światło wewnątrz człowieka.

Potem zwrócił się ku Marii Magdalenie.

Nie był to gest nauczyciela wobec uczennicy. Było w nim coś starszego, głębszego, cichszego. Jak gdyby dwie rzeki po długiej wędrówce znów odnalazły się w jednym korycie. Maria podeszła do niego i na chwilę ich ręce się zetknęły. Piotr to widział. Jan również. Nikt nic nie powiedział.

Jezus po raz ostatni spojrzał na Piotra.

– Ty zostań przy stadzie – powiedział do niego. – Będziesz trzymał ich razem, kiedy się rozbiegną. Będziesz im przypominał chleb, ogień i morze. Będziesz im mówił, że zmartwychwstałem.

Piotr chciał zaprotestować, lecz Jezus powstrzymał go spojrzeniem.

– A ty – zwrócił się do Jana – niesiesz słowo. Zachowaj to, co widziałeś, ale jeszcze bardziej to, co zrozumiałeś.

Potem powiedział do wszystkich:

– Nie wszystko, co bierze początek w Bogu, musi dziać się na oczach świata. Są dzieła, które rosną w ukryciu. Są nasiona, które muszą paść daleko od świątyń, daleko od tronów, daleko od tych, którzy chcieliby je posiadać.

Maria Magdalena stała przy nim, a wiatr poruszył jej włosami. Na jej twarzy nie było zaskoczenia. Raczej zgoda człowieka, który znał już drogę.

– Nadejdzie czas – ciągnął Jezus – kiedy narodzą się ludzie, którzy nie będą nieśli mojego imienia jak sztandaru, lecz moją świadomość jak płomień. Nie będą rządzić światem z pałaców. Będą go zmieniać, widząc dalej niż inni. Będą rodzić się pośród narodów, w różnych epokach, w ciałach zwyczajnych ludzi. I zawsze, gdy świat zbliży się do przepaści, niektórzy z nich sobie przypomną.

Uczniowie nie rozumieli wszystkiego. Może nawet nie mogli. Słowa, które słyszeli, były większe niż ich życia.

Na niebie poruszył się jasny obłok. Nie jak wóz, który miałby zabrać go na ich oczach, lecz jak zasłona mająca skryć drogę, której nie wolno im było jeszcze poznać. Jezus uniósł ręce i ich pobłogosławił.

– Bądźcie moimi świadkami – powiedział. – Aż po krańce ziemi.

Potem cofnął się w światło.

Niektórzy widzieli, jak obłok zabrał go im z oczu. Niektórzy przysięgliby, że wstąpił ku górze. Inni, zwłaszcza Jan, do końca życia nie byli pewni, czy niebo w tamtej chwili otworzyło się nad nimi, czy w nich.

Kiedy światło zniknęło, zostali na górze, patrząc w pustkę.

Dwaj mężczyźni w bieli pojawili się obok nich jak cicha odpowiedź na pytanie, którego nikt nie odważył się wypowiedzieć.
– Dlaczego patrzycie w niebo? – powiedział jeden z nich. – Ten, który odszedł, nie zaginął. Wszedł tylko na drogę, której jeszcze nie umiecie śledzić.
Piotr odwrócił się ku pozostałym. Na twarzy miał łzy, lecz także stanowczość, której wcześniej mu brakowało.

– Chodźmy – powiedział. – Mamy paść jego owce.

A daleko od nich, tam, gdzie droga niknęła wśród skał i porannego światła, szły obok siebie dwie postacie. Mężczyzna i kobieta. Nie jak ci, którzy uciekają przed światem, lecz jak ci, którzy w ciszy niosą jego przyszłość, by kiedyś świat odnalazł ją w sobie.
Za nimi pozostawały Jerozolima, krzyż, pusty grób, ogień na brzegu i stado powierzone Piotrowi.
Przed nimi była droga, o której nie od razu miały powstawać księgi.

A jednak miało się na niej kiedyś zrodzić nowe pokolenie ludzi – nie potężniejszych ciałem, nie bogatszych majątkiem, lecz jaśniejszych świadomością. Ludzi, którzy będą pamiętać, nie wiedząc skąd. Ludzi, którzy w decydujących chwilach dziejów poczują w sobie cichy głos:
Przebudź się.

Bo królestwo nie zaczyna się na tronie.

Zaczyna się w człowieku, który uświadomi sobie, że jest świadomy, i wyciągnie z tego właściwe wnioski.

Część II: podział jednej zbrodni

15. 30 walut

Pieniądze nie mają zamiarów.

Nie potrafią nienawidzić, zazdrościć ani pragnąć zemsty. Nie wiedzą, czy kupują chleb, lekarstwo, głos polityka, czy przyszłą śmierć. Znają tylko kierunek, wartość i rachunek, na którym na chwilę się zatrzymują.
Zamiar nadaje im człowiek.

A człowiek już dawno nauczył się oddzielać pieniądze od własnego nazwiska.

Kael Thorne przyjął Ariena w tym samym pomieszczeniu, w którym spotkali się po raz pierwszy. Wysoko nad Nitrą, za ścianą ciemnego szkła. Miasto pod nimi świeciło jak olbrzymia sieć nerwów. Linie transportowe przesuwały się między wieżami, rzeka odbijała światła, a w oddali nad horyzontem wznosił się pierścień orbitalny.
Na stole między nimi nie było niczego.

Kael położył dłoń na blacie.

Ukazała się mapa Elarionu.

Czterdzieści państw.

Trzydzieści walut w obiegu.

Setki banków.

Tysiące funduszy, fundacji, spółek zarządzających, kancelarii prawnych i rejestrów własności, które wiedziały o sobie nawzajem tylko tyle, ile nakazywało im prawo.
– Co pan w tym widzi? – zapytał Kael.

Arien wpatrzył się w mapę.

– Rozdrobnienie.

– Polityk powiedziałby: różnorodność.

– Bankier powiedziałby: okazję.

Kael uśmiechnął się lekko.

– Dlatego pana zaprosiłem.

Dotknął jednego z północnych obszarów. Pojawiła się waluta Związku Północnego. Potem otworzył państwo na południowym archipelagu. Therinith. Jego rejestr chronił właścicieli funduszy ściślej niż osobiste dane medyczne własnych obywateli.
Między nimi powstała linia.

Płatność wyszła z północy jako inwestycja w rozwój technologiczny. W Therinithie przyjął ją fundusz, którego właściciel nie był publicznie znany. Stamtąd popłynęła do innego państwa jako pożyczka. Później wróciła do Unii jako kapitał prywatnej fundacji.
Te same pieniądze.

Trzy formy prawne.

Cztery cele.

Ani jednego nazwiska.

– Unia widzi początek – powiedział Kael. – Therinith widzi zarządcę. Kolejne państwo widzi pożyczkę. Kiedy pieniądze wracają, Unia widzi inwestycję zagraniczną. Każda informacja jest prawdziwa.
– A całości nie widzi nikt.

– Całość to niebezpieczne pojęcie. Politycy go nie lubią.

Ruchem ręki Kael otworzył kolejne przepływy. Były ich setki. Niektóre prowadziły do przedsiębiorstw transportowych, inne do mediów, fundacji politycznych, ośrodków badawczych i towarzystw ubezpieczeniowych.
Jedna linia prowadziła do Pasa Karskiego, gdzie już trzeci rok dwa państwa toczyły wojnę o dostęp do złóż surowców energetycznych.
– Dostarcza im pan broń – powiedział Arien.

Kael nawet nie drgnął.

– Jedna spółka, w której fundusz zarządzany przez mój dom ma mniejszościowy udział, dostarcza jednej ze stron sprzęt obronny.
– A drugiej?

– Kredyty na odbudowę zniszczonych miast.

Arien spojrzał na niego.

– Odbudowa jeszcze się nie zaczęła.

– Właśnie dlatego warunki są korzystne.

Kael zamknął warstwę wojenną. Zrobił to bez wstydu, ale i bez dumy. Jak człowiek przekładający dokument z jednej części stołu na drugą.

– Nie mówię panu o tym, żeby zrobić wrażenie – powiedział. – Chcę, żeby zrozumiał pan środowisko. Władza nie ukrywa się, znikając. Dzieli się na części, które z osobna wydają się do przyjęcia.

– A czego oczekuje pan ode mnie?

– Ram.

– Dla czego?

– To pan określi.

Arien odwrócił się w stronę miasta.

Od ich pierwszego spotkania zastanawiał się, czego właściwie chce. Jego myśli wciąż wracały do Jesaira, Marei i złotego kręgu, lecz nie potrafił wypowiedzieć ich przed Kaelem w tej postaci. Wydałyby się małe. Osobiste. Śmieszne.

Chciał, żeby Mareia dowiedziała się, że odeszła od człowieka większego, niż była w stanie pojąć.

Chciał, żeby Jesair przestał stawać przed ludźmi jako moralna odpowiedź na pytanie, którego jeszcze nikt należycie nie zadał.

Chciał, żeby Aurelianie przestali patrzeć na świat oczami dawnej opowieści, według której przypadało im w dziejach szczególne miejsce.

Ale przede wszystkim chciał, żeby coś się złamało.

Nie wszystko.

Tylko tyle, by ludzie przestali wierzyć, że Jesair Davion potrafi wskazać drogę, którą można bezpiecznie iść.

– Bezpieczeństwo biologiczne – powiedział Arien.

Kael pozostał nieruchomy.

– Proszę mówić dalej.

– Trzy odłamy Elarionu różnią się biologicznie. Medycyna uwzględnia te różnice, ale w polityce mówi się o nich ostrożnie. Zbyt ostrożnie. Nikt nie wie, co by się stało, gdyby pojawiło się zagrożenie zdrowotne, które dotknęłoby jeden odłam znacznie silniej niż pozostałe.

– Chce pan badać takie zagrożenie?

Arien się odwrócił.

– Chcę badać przygotowanie cywilizacji.

Kael się uśmiechnął.

Nie dlatego, że mu uwierzył.

Dlatego, że docenił sformułowanie.

– Potrzebuje pan do tego badań.

– Danych.

– Laboratoriów.

– Mocy obliczeniowej.

– Politycznej osłony.

– Nie osłony. Niezależnych projektów mających uprawniony cel.

Kael oparł się wygodniej.

– A jaki będzie ich wspólny cel?

Arien milczał o sekundę dłużej, niż było trzeba.

– Wspólnego celu nie będą znały.

Na mapie Elarionu wciąż świeciło trzydzieści walut.

Każda miała własną wartość, własne zasady, własną historię i własne granice. Pieniądze przechodziły między nimi tak często, że zdawały się z każdym kursem tracić cząstkę przeszłości.

Kael powiększył mapę.

– Projektu nie wolno finansować jako projektu – powiedział. – Trzeba finansować go jako wiele potrzeb, które pozornie nie mają ze sobą związku.

– Ile spółek?

– To zależy od tego, ile pytań chce pan zadać.

– A ostateczni właściciele?

– Niektórzy będą istnieli tylko na potrzeby rejestrów. Inni nie będą publicznie znani. Jeszcze inni będą funduszami należącymi do funduszy.

– Kto tym będzie zarządzał?

– Nikt.

Arien spojrzał na niego.

Kael mówił dalej:

– Pan będzie wiedział, czego potrzebuje. Każdy uczestnik otrzyma tylko własne zadanie. Finansowaniem zajmą się ludzie, którzy nie będą znali treści. Prawnicy będą znali umowy, nie wyniki. Badacze będą znali pytania, nie pochodzenie pytań. Laboratoria będą znały materiał, nie pełny kontekst. Tworząc jedno centrum, stworzy pan miejsce, które można znaleźć.

– A jeśli centrum nie będzie?

– Wtedy nie będzie istniało nic, co dałoby się ujawnić w jednym śledztwie.

Arien znów spojrzał na trzydzieści walut.

– Ile z nich użyjemy?

Kael wzruszył ramionami.

– Wystarczająco dużo, żeby każda instytucja patrzyła w inną stronę.

Pieniądze nie miały zamiarów.

Tej nocy otrzymały jednak kierunek.

I płynęły ku ranie, która nie miała jeszcze imienia.

16. Rana otrzymuje budżet

Arien pracował przez trzy dni, nie wychodząc z mieszkania.

Nie zaciągał zasłon. Nitra za oknem przechodziła od poranka do wieczora, od wieczora do nocy i z nocy z powrotem w chłodne światło. Na stole gromadziły się tylko puste naczynia po napojach. Wszystko inne istniało w warstwach nad blatem roboczym. Najpierw napisał tytuł:

Program planetarnej odporności biologicznej.

Patrzył na niego tak długo, aż go usunął.

Zbyt wielki.

Zbyt jednolity.

Zbyt widoczny.

Zamiast jednego programu stworzył listę odrębnych pytań.

Czym różni się odpowiedź immunologiczna trzech odłamów Elarionu?

Jakie cechy dziedziczne wpływają na odporność wobec nieznanych zagrożeń biologicznych?

Jak szybko systemy ochrony zdrowia potrafią wykrywać nietypowe skupiska zachorowań?

Jak można chronić archiwa genetyczne przed nadużyciami?

Jak zmienia się stabilność społeczna, gdy różne grupy ludności zostają dotknięte w nierównym stopniu?

Jak za pomocą biologicznej sztucznej inteligencji przewidywać nowe zagrożenia zdrowotne?

Każde pytanie było uzasadnione.

Niektóre wręcz pilne.

Arien rozdzielił je między dwadzieścia trzy projekty.

Potem dwadzieścia trzy projekty między jedenaście dziedzin.

Dane.

Modelowanie.

Etyka.

Moc obliczeniowa.

Symulacje medyczne.

Badania nad długowiecznością.

Ramy prawne.

Logistyka kryzysowa.

Ochrona genetyczna.

Informowanie społeczeństwa o ryzyku.

Odporność infrastruktury.

W żadnej części nie zapisano, że wyniki mają zostać połączone.

To istniało tylko w jego głowie.

Czwartego dnia przyszedł człowiek z domu Thorne. Nie przedstawił nazwiska, które mówiłoby coś Arienowi. Nazwał siebie jedynie koordynatorem finansowym.
Był młodszy, niż Arien oczekiwał. Twarz miał tak zwyczajną, że wydawało się to cechą zawodową.

– Pan Thorne prosi o wstępny zakres – powiedział.

Arien udostępnił mu listę projektów.

Koordynator przeglądał je bez pytań. Biologia go nie interesowała. Przy każdym projekcie pytał tylko o to, jaki rodzaj instytucji może go wykonać, jaką formę finansowania można zastosować i czy potrzebny jest dostęp do chronionych danych.
– To są badania nad dziedziczną odpornością? – zapytał przy jednej pozycji.

– Tak.

– Może je sfinansować fundacja na rzecz długowieczności.

– Nie dotyczą długowieczności.

– We wniosku będą jej dotyczyły.

Arien zmarszczył brwi.

– Wynik musi być użyteczny.

– Wynik będzie taki, jakiego pan potrzebuje. Publiczne uzasadnienie będzie takie, jakiego potrzebuje podmiot udostępniający dane.
Zatrzymał się przy kolejnym projekcie.

– Symulacje reakcji systemu ochrony zdrowia. To może pójść przez konsorcjum ubezpieczeniowe.

– Dlaczego ubezpieczyciele mieliby za to płacić?

– Ponieważ muszą wiedzieć, jakich rezerw wymagałaby epidemia dotykająca ludność w nierównym stopniu.

– Potrzebuję modelu biologicznego, nie ubezpieczeniowego.

– Oni dostaną wynik ubezpieczeniowy. Pan otrzyma załącznik biologiczny.

Koordynator przeszedł do kolejnej pozycji.

– Duża moc obliczeniowa.

– Biologiczna AI.

– Thaeron.

– Dlaczego?

– Taryfy energetyczne. Tamtejsze kompleksy obliczeniowe mają nadwyżki mocy i podlegają słabszemu nadzorowi publicznemu w zakresie zagranicznych zleceniodawców.
Arien obserwował, jak jego myśli zamieniają się w kategorie księgowe.

Coś, co jeszcze kilka dni wcześniej istniało jedynie jako nieokreślone pragnienie zaszkodzenia Jesairowi, otrzymywało pozycje budżetowe, szacunki czasu i formy prawne.
Rana otrzymywała budżet.

Budżet nie znał pozycji „nienawiść".

Zemsta nie miała w nim własnego wiersza.

Zawierał usługi, audyty, licencje, granty badawcze i wynajem mocy obliczeniowej.

Można było przeczytać cały dokument i nie znaleźć w nim niczego, czego należałoby się wstydzić.

– Jaka będzie łączna kwota? – zapytał Arien.

Koordynator podał liczbę.

Była wyższa, niż oczekiwał.

– To będzie widoczne.

– Nie jako całość.

– Ktoś może porównać odbiorców.

– W różnych państwach? W różnych walutach? Pod różnymi tytułami? Nie bez podstaw do wszczęcia śledztwa.

– A jeśli takie podstawy się pojawią?

– Wtedy będzie już za późno.

Koordynator powiedział to spokojnie, bez złośliwości. Jak opis rozbieżności czasowej między dwoma systemami.
Arien się odwrócił.

W sąsiedniej warstwie wciąż miał zapisaną ostatnią wiadomość Marei.

Osobiste decyzje nigdy nie pozostają osobiste.

Napisał jej to zdanie jako groźbę, lecz w ostatnich dniach zaczynało jawić mu się jako prawo. Mareia podjęła osobistą decyzję. Odeszła. Wybrała życie bez niego.
Jesair podjął osobistą decyzję. Wstał na sali i wypowiedział myśl.

Kael podjął osobistą decyzję. Otworzył finansowe korytarze.

A Arien teraz podejmował własną.

Każda decyzja dotykała innych ludzi.

Różnica tkwiła tylko w zasięgu.

– Pan Thorne ma jeszcze jedno pytanie – powiedział koordynator.

– Jakie?

– Jaki wynik będzie do przyjęcia?

Arien powoli się ku niemu odwrócił.

– Badań?

– Projektu.

Po raz pierwszy poczuł wahanie.

Wyobraził sobie chorego Jesaira. Nie martwego. Tylko słabego. Pozbawionego tej spokojnej pewności, która przyciągała innych. Wyobraził sobie Aurelian zmuszonych prosić państwa o ochronę. Wyobraził sobie opinię publiczną, która przestaje pytać o przejrzystość, a zaczyna bać się biologicznych różnic.
Wyobraził sobie Mareię pojmującą, że Jesair nie jest nietykalny.

– Dowód podatności na zranienie – powiedział.

Koordynator czekał.

– Czyjej?

– Aurelian.

– A Jesaira Daviona?

Arien milczał.

To wystarczyło.

Koordynator zamknął dokument.

– Pierwsze ramy będą gotowe w ciągu dziesięciu dni.

Kiedy wyszedł, w mieszkaniu pozostała cisza.

Arien otworzył jedno z aureliańskich archiwów medycznych, publicznie dostępne do celów akademickich. Nie było w nim nazwisk ani osobistych zapisów. Tylko dane populacyjne, dawne choroby i opis złotego kręgu jako dziedzicznego fenotypu.
Czytał o nim jak o właściwości biologicznej.

Czytał o złotym kręgu odartym ze znaczenia znaku.

Tekst nie wspominał o świetle duszy.

Pozostał jedynie zbiór cech, które można było mierzyć.

To go uspokoiło.

Człowiekowi łatwiej zdecydować się zranić symbol, kiedy najpierw zamieni go w daną.

17. Fundacje ochrony

Pierwsza fundacja powstała siedemnaście lat wcześniej.

Nazywała się Fundacją Ochrony Przyszłych Pokoleń, a jej celem było wspieranie badań mających zapobiec przekazywaniu dzieciom chorób dziedzicznych.
Opinia publiczna znała ją dzięki historiom rodzin, którym pomogła opłacić leczenie.

Jej przedstawiciele występowali w szkołach, szpitalach i debatach politycznych. Co roku publikowała sprawozdanie pełne fotografii dzieci, lekarzy i badaczy.
Nigdzie nie pojawiało się w nim nazwisko Kael Thorne.

Fundacja właściwie do nikogo nie należała. Miała radę, kapitał założycielski, zewnętrznych audytorów i umowę z zarządcą majątku. Zarządca należał do funduszu w Therinithie. Fundusz reprezentowała kancelaria prawna. Kancelaria działała zgodnie z poleceniami kolejnego zarządcy.
Na końcu tego łańcucha nie było nazwiska.

Było prawo do podejmowania decyzji.

Kael nie musiał być właścicielem fundacji. Wystarczyło, że ludzie decydujący o jej pieniądzach wiedzieli, czyjego telefonu się nie odrzuca.
Druga fundacja chroniła systemy opieki zdrowotnej przed przyszłymi pandemiami.

Trzecia wspierała bezpieczny rozwój sztucznej inteligencji.

Czwarta zajmowała się etyką danych genetycznych.

Piąta pomagała regionom dotkniętym wojną w Pasie Karskim.

Każda miała dobrą nazwę.

Władza lubi ubierać się w słowa, którym trudno się sprzeciwić.

Ochrona.

Bezpieczeństwo.

Przyszłość.

Dzieci.

Pokój.

Nikt nie zakłada Fundacji Niewidzialnych Wpływów.

Nerai Sael siedziała w Warstwie i przyglądała się płatności zbyt małej na poważną sprawę i zbyt dziwnej, by ją zamknąć.
Pochodziła z jednego z lokali Vesty.

Nie bezpośrednio.

Zestawienie analityczne wskazało trzy wpłaty z otoczenia Vesty na rzecz fundacji ochrony zdrowia. Każda miała zgodny z prawem cel. Uwagę Nerai przyciągnęły ich terminy i to, jak bardzo były podobne mimo różnych płatników.
– Myślisz, że restauracja finansuje badania genetyczne? – spytał Taren Voss.

– Nic nie myślę.

– To twoja najczęstsza opinia.

Nerai powiększyła oś czasu.

– Nie chodzi o tę jedną płatność. Spójrz na pozostałe lokale.

Taren usiadł obok niej.

Na osi czasu powtarzało się coś innego: krótko po każdej takiej wpłacie pojawiał się nowy wniosek badawczy.
– Vesta wspiera wiele dobrych rzeczy – powiedział Taren.

– Vesta bezpośrednio nie wspiera niczego – odparła Nerai. – Darowizny przekazują spółki żyjące z jej lokali.
– To już gorzej nadaje się do publicznego sprawozdania.

– Dlaczego nowe wnioski badawcze pojawiają się właśnie po tych darowiznach?

– Planowanie podatkowe.

– Może.

– Budowanie reputacji.

– Może.

– Ktoś w Veście ma wyrzuty sumienia.

Nerai spojrzała na niego.

– To na razie najmniej prawdopodobne wyjaśnienie.

Taren otworzył dane fundacji.

Wszystkie działały legalnie.

Darowizny zgłoszono w państwach, w których należało je zgłosić. W innych ujawniono je tylko w zbiorczych zestawieniach. Fundacje podawały cel wydatków, lecz nie zawsze ich ostatecznych odbiorców. Granty badawcze podlegały ochronie tajemnicy handlowej i akademickiej.

– Możemy wystąpić o listę projektów – powiedział Taren.

– Ale nie o wszystkie umowy.

– Nie.

– Ani o zlecenia.

– Nie.

– Ani o ostatecznych darczyńców.

– W niektórych państwach nie.

Nerai oparła się wygodniej.

– To co właściwie zobaczymy?

– To, na co pozwoli nam prawo.

– Prawo pozwoli nam zobaczyć nazwę fundacji, jawny cel i łączną wysokość wsparcia. Nie zobaczymy, kto podjął decyzję, komu zapłacono i na jakie pytanie miały odpowiedzieć badania.

Taren przez chwilę milczał.

– Wciąż nie mamy powodu, by podejrzewać przestępstwo.

– Wiem.

– Vesta też nie musi być źródłem nielegalnych pieniędzy.

– Wiem.

– A fundacje mogą robić dokładnie to, co deklarują.

– To też wiem.

Taren spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

– Dlaczego więc wyglądasz, jakbyś już chciała kogoś aresztować?

– Bo wszystko może być niewinne, a mimo to ktoś to tak ułożył.

Na pulpicie pojawiła się odpowiedź jednego z banków. Odmówił udostępnienia pełnej historii płatności, ponieważ nie wykazano podejrzenia popełnienia poważnego przestępstwa.

Nerai przeczytała wiadomość dwa razy.

Musieli zobaczyć przepływ pieniędzy, by ustalić, czy istnieją podstawy do podejrzeń.

A potrzebowali podstaw do podejrzeń, by wolno im było zobaczyć przepływ pieniędzy.

Taren wskazał jeden z projektów wspieranych przez fundację.

– Spójrz.

Grant otrzymało centrum badawcze w Aurioli. Zajmowało się dziedzicznymi mechanizmami regeneracji tkanek u Aurelian.

– To mogą być badania nad długowiecznością – powiedział.

– Mogą.

– Przecież wszyscy teraz o tym mówią.

Medycyna była bliska zasadniczego przełomu. Eksperymentalne terapie potrafiły już znacznie spowalniać starzenie, odbudowywać uszkodzone narządy i przedłużać życie. Każde badanie aureliańskiej regeneracji mogło być uzasadnioną częścią drogi ku życiu bez naturalnego kresu.

Nerai nie znała jednak jeszcze tego drugiego pytania.

– Oznacz wszystkie projekty biologiczne – powiedziała.

– Na jakiej podstawie?

– Na podstawie źródła finansowania.

– Nie jest to samo.

– Formalnie nie.

– Nerai.

– Tylko je oznacz. Nie wszczynamy śledztwa. Szukamy powtarzalności.

Taren posłuchał.

Przed nimi pojawiło się dziewięć projektów.

Regeneracja genetyczna.

Odporność immunologiczna.

Modelowanie biologiczne.

Bezpieczeństwo archiwów medycznych.

Symulacja regionalnej epidemii.

Ochrona systemów obliczeniowych.

Komunikacja kryzysowa.

Ryzyko ubezpieczeniowe przy nierównomiernym występowaniu choroby w populacji.

Etyczne wykorzystywanie danych genetycznych.

Rozpatrywane oddzielnie nie miały ze sobą związku.

Razem wyglądały jak części pytania, którego na razie nikt nie wypowiedział.

Nerai otworzyła akta Vesty i dodała nową notatkę:

Możliwe finansowanie skoordynowanych obszarów badań za pośrednictwem pozornie niezależnych fundacji. Wspólny cel nieustalony.

System zażądał od niej oceny ryzyka.

Nieustalone.

Kliknęła potwierdzenie.

– Wiesz, co jest dziwne? – odezwał się Taren.

– Wiele rzeczy.

– Fundacja Pomocy Pasowi Karskiemu ma tego samego zarządcę co fundacja bezpieczeństwa biologicznego.

Nerai otworzyła wpis.

To była prawda.

Jedna fundacja finansowała szpitale polowe i pomoc uchodźcom.

Druga – symulacje medyczne.

Ich majątkiem zarządzał ten sam fundusz z Therinithu.

– A ten fundusz? – spytała.

Taren sprawdził rejestr.

– Ostateczny właściciel objęty ochroną.

Nerai spojrzała na plątaninę linii.

Z jednej strony wojna.

Z drugiej badania biologiczne.

Między nimi pieniądze bez nazwiska.

W tamtej chwili nie miała jeszcze pojęcia, że patrzy na dwie przyszłe części własnego przemówienia przed Konwentem.

Widziała tylko fundacje.

A każda z nich twierdziła, że czegoś chroni.

18. BIO-AI bez nienawiści

Biologiczna sztuczna inteligencja nie miała twarzy.

W starych filmach dawano maszynom oczy, głos i sposób poruszania się podobny do ludzkiego. Ludzie potrzebowali widzieć w inteligencji istotę, by móc jej zaufać albo się jej bać.
Rzeczywiste systemy nie potrzebowały już podobnego teatru.

BIO-AI, do której Arien uzyskał dostęp, istniała w rozproszonych centrach obliczeniowych na Thaeronie. Nie miała jednego rdzenia ani jednego miejsca. Wykorzystywała modele żywych systemów, archiwa medyczne, zanonimizowane dane genetyczne, historie chorób i symulacje procesów biologicznych.
Potrafiła znajdować zależności, których odkrycie zajęłoby ludzkiemu zespołowi całe lata.

Wykorzystywano ją przy opracowywaniu terapii.

Przy regeneracji narządów.

Przy przewidywaniu zagrożeń dziedzicznych.

Przy ochronie przyszłych pokoleń.

Nie była zła.

I to właśnie było w niej najniebezpieczniejsze.

Arien nie korzystał z niej bezpośrednio. Każde jego pytanie docierało przez inną organizację i miało inny deklarowany cel.
Jedna fundacja pytała o różnice w odpowiedzi immunologicznej.

Centrum badań nad długowiecznością prosiło o wskazanie mechanizmów, które u niektórych Aurelian przyspieszały odbudowę uszkodzonych komórek.
Konsorcjum ubezpieczeniowe chciało modelować nierównomierny przebieg hipotetycznej epidemii.

Komisja etyczna zażądała analizy zagrożeń związanych z łączeniem danych genetycznych i medycznych.
BIO-AI odpowiadała na każde pytanie oddzielnie.

Nie wiedziała, że odpowiedzi otrzymuje ten sam człowiek.

Arien siedział przed pulpitem i składał je w całość.

Z początku napływały ogólne wyniki. Różnice statystyczne, modele populacyjne, niepewności i ostrzeżenia przed błędną interpretacją.
Potem pojawiły się głębsze zależności.

Niektóre cechy biologiczne związane ze złotym kręgiem dotyczyły zarazem regulacji reakcji obronnych organizmu. Nie oznaczało to słabości. Większość Aurelian była zdrowa, a pod pewnymi względami nawet odporniejsza niż pozostałe odłamy.
Ale każda przewaga miała swoją granicę.

Każdy układ reagujący szybciej mógł w określonych okolicznościach zareagować zbyt gwałtownie.

Arien czytał wyniki bez ruchu.

Maszyna nie oferowała mu broni.

Oferowała mu mapę podatności na zranienie.

Przy każdej odpowiedzi widniały zastrzeżenia.

Dane dotyczą populacji.

Model cechuje wysoki stopień niepewności.

Wyników nie wolno wykorzystywać do dyskryminacji.

Przed jakimkolwiek zastosowaniem praktycznym konieczna jest ocena etyczna i prawna.

Arien nie usuwał zastrzeżeń.

Zapisywał je tylko oddzielnie od wyników.

Później połączył się z kierowniczką jednego z zespołów badawczych. Jej obraz pojawił się nad stołem. Była Selenitką w średnim wieku, o spokojnej twarzy człowieka, który przez większość życia pracował z chorobami i nauczył się nie wyrażać pewności zbyt szybko.
– Pańskie pytania zataczają coraz szersze kręgi – powiedziała.

– Projekt się rozwija.

– Zaczynaliśmy od regeneracji.

– Regeneracja wiąże się z odpornością.

– A odporność z ryzykiem epidemicznym?

– Każda terapia przedłużająca życie może zmieniać reakcję na nowe choroby.

Badaczka skinęła głową, lecz nie wyglądała na przekonaną.

– Kto jest ostatecznym zleceniodawcą?

– Fundacja Ochrony Przyszłych Pokoleń.

– To darczyńca. Pytam, kto będzie korzystał z wyników.

– Organy ochrony zdrowia.

– Które?

– Zależnie od potrzeb.

– To nie jest odpowiedź.

Arien spojrzał na nią.

– To badania profilaktyczne o zasięgu planetarnym. Wyniki zostaną udostępnione po zakończeniu oceny prawnej.

– Dlaczego więc pracujemy nad oddzielnymi zleceniami?

– Ponieważ poszczególne źródła danych podlegają różnym regulacjom.

To była prawda.

Badaczka milczała.

– BIO-AI odmówiła wykonania niektórych połączonych symulacji – powiedziała w końcu.

– Dlaczego?

– Uznała je za zbyt wrażliwe.

– Jakich symulacji?

– Takich, które mogłyby pokazać, jak konkretna grupa populacyjna zareagowałaby na ściśle określone zagrożenie biologiczne.

– Przecież właśnie to musimy wiedzieć, jeśli chcemy ją chronić.

– Być może. Ale system nie zna pańskich intencji.

Arien niemal się uśmiechnął.

– Niech więc oceni pytanie, a nie człowieka.

– Pytanie można zadać na wiele sposobów.

– Proszę je podzielić.

Badaczka znieruchomiała.

– Słucham?

– Jeśli połączenie jest wrażliwe, niech poszczególne zespoły zbadają odrębne aspekty. Jeden różnicę populacyjną. Drugi reakcję zdrowotną. Trzeci wydolność systemów. Nie muszą tworzyć wspólnego modelu.

– A kto go stworzy?

Arien nie odpowiedział wprost.

– Czy pani zadaniem nie jest chronić Elarion przed przyszłymi zagrożeniami?

– Jest.

– Jak chce go pani chronić przed czymś, czego nie chce pani zrozumieć?

Badaczka spuściła wzrok na własne dane.

Było to pytanie, którego naukowcy nie znosili. Przypominało im, że ostrożność zawsze można oskarżyć o tchórzostwo, a ciekawość o nieodpowiedzialność.

– Będziemy potrzebowali nowej opinii etycznej – powiedziała.

– Fundacja ją zapewni.

– Niezależnej.

– Oczywiście.

Połączenie się zakończyło.

Dwa dni później biuro etyczne wydało opinię, że oddzielne badanie reakcji populacyjnych jest dopuszczalne, pod warunkiem że wyniki nie zostaną połączone bez dodatkowej zgody.

Arien przeczytał dokument.

Był precyzyjny.

Był surowy.

I był bezużyteczny wobec człowieka, który nie zamierzał występować o dodatkową zgodę.

BIO-AI nie żywiła nienawiści.

Nie miała powodu, by krzywdzić Aurelian.

Nie wiedziała, kim jest Jesair ani dlaczego na dźwięk jego imienia Arien czuje ucisk pod mostkiem.

Po prostu odpowiadała na pytania.

Nienawiść nie przeniknęła do jej obliczeń.

Przeniknęła do wyboru pytań.

19. Laboratoria bez mapy

Pierwsze laboratorium stało na wybrzeżu Améniі i badało regenerację tkanek.

Drugie znajdowało się w północnym państwie, które miało jeden z najlepszych uniwersytetów medycznych na Elarionie. Zajmowało się populacyjnymi różnicami w reakcjach immunologicznych.

Trzecie mieściło się na pierścieniu orbitalnym. Testowało bezpieczeństwo czujników biologicznych dla zamkniętych miast thaerońskich.

Czwarte znajdowało się na Thaeronie i dostarczało moc obliczeniową.

Piąte nie było laboratorium w zwykłym znaczeniu tego słowa. Była to firma analityczna z branży ubezpieczeniowej, która modelowała gospodarcze następstwa kryzysów zdrowotnych.

Szóste badało prawne możliwości wprowadzenia środków nadzwyczajnych podczas nieznanej epidemii.

Żaden z tych zespołów nie pracował nad pandemią.

Przynajmniej nie według dokumentów, które miał przed sobą.

Naukowcy w Améniі otrzymali zanonimizowane próbki i pytanie dotyczące regeneracji. Nie wiedzieli, że podobne cechy biologiczne inny zespół bada od strony odporności.

Północne laboratorium analizowało mechanizmy reakcji organizmu. Nie wiedziało, że ktoś porówna jego wyniki z danymi o złotym kręgu.

Zespół orbitalny pracował nad czujnikami. Sądził, że chroni mieszkańców Thaeronu przed zawleczeniem nieznanych chorób.

Analitycy ubezpieczeniowi obliczali wydolność szpitali, przestoje w produkcji i koszty izolacji regionów. Nie widzieli danych biologicznych.

Prawnicy przygotowywali ogólne opracowanie o uprawnieniach państw podczas stanu zagrożenia zdrowotnego.

Każdy znał swój fragment.

Nikt nie miał mapy.

Arien ją miał.

Na jego pulpicie poszczególne wyniki układały się warstwami. Nie tworzyły jeszcze gotowego mechanizmu. Były raczej zbiorem możliwości, ograniczeń i słabych punktów.

Niektóre wyniki sobie przeczyły.

Inne były nieprecyzyjne.

Niektóre laboratoria odmówiły kontynuowania pracy bez dodatkowych materiałów. Inne prosiły o czas.

Arien zaczynał się niecierpliwić.

Kael nie.

– Badania mają własny rytm – powiedział podczas jednego ze spotkań.

– Potrzebuję wyników, a nie rytmu.

– Potrzebuje pan, żeby wyniki nie prowadziły do pana.

Kael otworzył mapę finansowania. Od ich ostatniego spotkania liczba spółek się podwoiła.

– To niepotrzebnie skomplikowane – powiedział Arien.

– Skomplikowanie to cena niewidzialności.

– Każdy kolejny pośrednik może zacząć mówić.

– O czym? Zna tylko własną umowę.

Kael wskazał regularne wpływy jednej z fundacji. Pośrednio pochodziły z sieci Vesta i rosły także w miastach, w których restauracje nie wykazywały większej liczby klientów.

– Dlaczego Vesta? – spytał Arien.

– Ponieważ firma obracająca gotówką może przyjmować pieniądze, nie przypisując każdego wpływu konkretnemu nadawcy.

– Skąd pochodzą te pieniądze?

Kael spojrzał na niego.

– Musi pan to wiedzieć?

Arien przez chwilę milczał.

– Nie.

– Więc proszę nie pytać.

W kolejnej części mapy pojawił się przepływ z Pasa Karskiego.

– A to?

– Zysk.

– Z wojny.

– Z handlu.

– Spółki dostawcze dostarczają technologie rządowi uznanemu na mocy umów międzynarodowych.

– A fundacja później leczy ludzi, których te technologie zraniły.

Kael odchylił się do tyłu.

– Świat lubi równowagę.

Arien poczuł do niego odrazę.

Nie moralną. Raczej osobistą. Kael mówił o cierpieniu bez najmniejszego drgnienia, jakby ludzie byli tylko kolejną zmienną. Arien wciąż potrzebował wyjaśniać sobie, dlaczego to robi. Potrzebował Jesaira, Marei, Aurelian, dawnej niesprawiedliwości i własnego upokorzenia.

Kael nie potrzebował niczego.

Wystarczał mu mechanizm.

– Kiedy projekt zostanie zamknięty? – spytał Kael.

– Nie mamy jeszcze ostatecznego modelu.

– Pytam, kiedy skończy się finansowanie.

– Kiedy będę wiedział, czy można stworzyć ograniczone zagrożenie zdrowotne.

Spojrzenie Kaela się zmieniło.

– Ograniczone.

– Tak.

– Geograficznie?

– Populacyjnie.

Kael milczał.

Arien ciągnął:

– Nie chodzi o zniszczenie cywilizacji. Chodzi o kryzys wystarczający, by pokazać, że Aurelianie nie są wyjątkowi. Że ich biologiczne dziedzictwo nie jest darem bez ceny. Że Jesair nie potrafi uratować własnych ludzi.

– A pozostałe odłamy?

– Model ma być selektywny.

– Ma być?

Arien zmarszczył brwi.

– Będzie.

Kael spojrzał na mapę laboratoriów.

– Natura niechętnie podporządkowuje się celom politycznym.

– Dlatego korzystamy z BIO-AI.

– Maszyna może obliczyć prawdopodobieństwo. Nie może zamknąć świata w granicach pańskich zamiarów.

Arien pochylił się do przodu.

– To pan chciał powstrzymać Jesaira.

– Chciałem powstrzymać jego ideę.

– Bez Jesaira straci głos.

– Męczennicy miewają silniejszy głos niż żywi ludzie.

Arien wstał.

– Nie zostanie męczennikiem. Będzie człowiekiem, który obiecywał światło, a nie potrafił ochronić nawet własnego odłamu.

Kael obserwował jego twarz.

– Wciąż robi pan to z jego powodu.

– Robię to dla równowagi Elarionu.

– Oczywiście.

To słowo zabrzmiało jak obelga.

Arien wyszedł bez pożegnania.

Tej samej nocy w jednym z laboratoriów zakończyła się kolejna seria symulacji. Kierowniczka zespołu przeczytała wyniki i oznaczyła je jako niejednoznaczne. Zaleciła dalsze badania i ściślejszy nadzór.
Jej raport przyjęła fundacja.

Fundacja przekazała go firmie doradczej.

Firma doradcza przygotowała skróconą wersję dla zleceniodawcy.

Do Ariena dotarły tabele.

Ostrzeżenie zostało w załączniku.

Nikt nie skłamał.

Nikt nie zmienił wyników.

Prawda przeszła tylko przez dostatecznie wiele rąk, aż zostało z niej dokładnie to, co człowiek na końcu potrzebował zobaczyć.

Laboratoria pracowały dalej.

Każde pod własnym światłem.

Między nimi panowała ciemność.

I w tej ciemności jeden człowiek trzymał mapę.

20. Podejrzenie Marei

Mareia Lioren nie zwróciła uwagi na pierwszy wniosek.

Dotyczył zanonimizowanych danych o aureliańskich mechanizmach regeneracji. Projekt badawczy miał wymagane zezwolenie, opinię etyczną i finansowanie znanej fundacji.
Przez archiwa medyczne przechodziły setki podobnych wniosków.

Medycyna zmieniała się szybciej niż regulujące ją prawa. Badacze szukali sposobu, by zatrzymać starzenie, odbudowywać uszkodzone narządy i wydłużyć życie do granicy, której poprzednie pokolenia nie potrafiły sobie wyobrazić.
Aureliańskie dane rodowe były w tych badaniach niezwykle cenne.

Niektóre z ich linii miały wyjątkowo sprawne mechanizmy regeneracji. W innych pewne choroby występowały rzadko. Archiwa rodowe sięgały setek lat wstecz i zapewniały precyzję, której nie miały zwykłe medyczne bazy danych.
Mareia zatwierdziła pierwszy wniosek.

Drugi otrzymała dziewięć dni później.

Przyszedł z innego państwa i dotyczył odchyleń immunologicznych przy nowych terapiach przedłużających życie.

On również miał wszystkie niezbędne dokumenty.

Trzeci wniosek dotyczył badań nad bezpieczeństwem danych biologicznych.

Czwarty – różnic populacyjnych podczas kryzysów zdrowotnych.

Piąty był opracowaniem prawnym i nie obejmował prośby o same dane, a jedynie o opis warunków, na jakich można byłoby je udostępnić w sytuacji nadzwyczajnej.
Mareia prawdopodobnie nie potraktowałaby ich jako całości, gdyby w piątym wniosku nie znalazła tego samego niezwykłego sformułowania co w pierwszym.
Stabilne w czasie wskaźniki dziedziczne o wykazanym związku z liniami rodowymi.

Nie był to błąd merytoryczny.

Ani wyjątkowe zestawienie słów.

Dziwne było to, że użyły go dwie organizacje, które według dokumentów nie miały ze sobą nic wspólnego.

Mareia otworzyła wcześniejsze wnioski.

Sformułowanie pojawiło się w trzech.

Za każdym razem w innej części.

Raz w opisie danych.

Raz w uzasadnieniu prawnym.

Raz w załączniku technicznym.

Jak zdanie, które ktoś podzielił i umieścił w różnych dokumentach.

Przez kolejne godziny porównywała metadane. Nie treść chronionych analiz. Do niej nie miała uprawnień. Widziała tylko, kto składał wniosek, jakiego rodzaju danych żądał, kto wydał opinię i jaki był oficjalny cel.

Poszczególne projekty łączyły aureliańskie linie rodowe, regenerację, odporność i reakcję na kryzysowe warunki zdrowotne.

Mareia stworzyła prywatną mapę.

Nie była finansowa jak mapa Nerai.

Była biologiczna.

Na jednym końcu znajdowały się archiwa rodowe.

Na drugim – hipotetyczny kryzys zdrowotny.

Między nimi pytania, które zbliżały się do siebie, nigdzie się nie stykając.

– Znowu pracujesz do późna.

Głos Jesaira rozległ się za jej plecami.

Mareia drgnęła. Nie słyszała, jak wszedł.

Stał w drzwiach niewielkiej pracowni archiwalnej. Miał na sobie prosty ciemny strój, a w ręku dwa naczynia z ciepłym napojem.

– Jak się tu dostałeś?

– Przez drzwi.

– Do chronionej części archiwum.

– Do pomieszczenia wejściowego. Tutaj wpuściłaś mnie ty.

Spojrzała na stół. Skupiona na pracy nie zauważyła powiadomienia.

Jesair podał jej napój.

– Nerai twierdzi, że kiedy zapominasz jeść, trzeba ci przynieść coś, co przynajmniej udaje jedzenie.

– Rozmawiacie o mnie?

– Tylko w kwestiach bezpieczeństwa planetarnego.

Mareia lekko się uśmiechnęła, ale szybko spoważniała.

Jesair spojrzał na warstwy nad stołem.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

– Brzmisz jak Nerai.

– Może to cecha rodzinna.

Usiadł naprzeciwko niej.

W ostatnich tygodniach Jesair stał się częstszym gościem na spotkaniach poświęconych zdrowiu i sprawom obywatelskim. Jego przemówienie w Nitrze docierało coraz dalej. Zapraszano go na debaty, uniwersytety i zgromadzenia publiczne. Niektórzy widzieli w nim już przywódcę ruchu, który jeszcze nie miał nazwy.
On się od tego odżegnywał.

Im bardziej się odżegnywał, tym więcej ludzi mu ufało.

– Pokaż mi – powiedział.

Mareia wyjaśniła mu poszczególne wnioski. Jesair słuchał, nie przerywając.

– Mogą mieć ze sobą związek? – spytał.

– Wszystko może mieć ze sobą związek, jeśli patrzeć wystarczająco długo.

– To nie była odpowiedź.

– Mogą. Ale nie wiem jaki.

– Ten sam zleceniodawca?

– Nie.

– Ta sama fundacja?

– Nie.

– To samo laboratorium?

– Nie.

– Więc co jest takie samo?

Mareia wskazała obszary biologii.

– Kierunek.

Jesair czekał.

– Wyobraź sobie, że ktoś nie zadaje jednego pytania – ciągnęła. – Zamiast tego każdemu zadaje inną jego część. Jednego pyta, jak działa regeneracja. Drugiego, czym różni się reakcja immunologiczna. Trzeciego, jakie cechy są dziedziczone w konkretnych liniach rodowych. Czwartego, jak system opieki zdrowotnej zareagowałby na nierównomierną epidemię.

– Co by z tego zyskał?

– To zależy od pytania, które zna tylko on.

Jesair wpatrywał się w mapę.

– Myślisz, że ktoś szuka słabości Aurelian?

Mareia nie odpowiedziała od razu.

– Myślę, że zbyt wielu ludzi dostaje pieniądze za badanie rzeczy, które można byłoby w ten sposób wykorzystać.

– Od kogo?

– Tego nie widzę.

Mareia zamknęła część danych i spojrzała na niego.

W miękkim świetle pracowni złoty krąg w jego oczach był niemal niewidoczny. Zaledwie cienka linia, której nieuważny człowiek by nie dostrzegł.

Arien go nienawidził.

Ta myśl przyszła nagle.

Mareia przypomniała sobie jego twarz w mieszkaniu, dłoń zaciśniętą na jej nadgarstku, sposób, w jaki wypowiedział imię Jesaira.

Potem wiadomość.

Osobiste decyzje nigdy nie pozostają osobiste.

– Mareia?

– Arien.

Jesair się nie poruszył.

– Co z nim?

– Nie wiem.

– Myślisz, że to on za tym stoi?

– Nie mam powodu, żeby tak myśleć.

– Ale przyszło ci to do głowy.

– Tak.

Jesair przez chwilę milczał.

– Dlatego, że pracuje w strukturach finansowych?

– Dlatego, że widzi w ludziach mechanizmy. I dlatego, że kiedy gniew zniknął z jego głosu, zaczęłam się go bać bardziej.

Jesair postawił naczynie na stole.

– Powinniśmy powiedzieć o tym Nerai.

– Bez dowodów?

– Nie jako oskarżenie.

– Znam swoją siostrę. Kiedy pokażemy jej pytanie bez dowodu, zacznie szukać dowodu.

– Chyba na tym polega jej praca.

Mareia spojrzała na niego.

– A jeśli się mylę?

– Wtedy niczego nie znajdzie.

– Szukanie nigdy nie kończy się zupełnym niczym. Zawsze narusza choć odrobinę zaufania.

Jesair skinął głową.

– Dlatego nie mów jej o Arienie. Pokaż jej projekty.

Mareia znów spojrzała na mapę.

– A jeśli wszystkie są niewinne?

– Wtedy je sprawdzimy i zamkniemy akta. Bez nazwisk pacjentów.

– Nie chcę zamieniać danych medycznych w materiał dowodowy dostępny dla każdego – powiedziała Mareia.

– Zgadzam się. Wyślij Nerai tylko część jawną.

– Ale twoje zdanie już żyje własnym życiem. Ludzie usprawiedliwiają nim rzeczy, których nie miałeś na myśli.

– Wiem.

– Niektórzy chcą ujawnić nawet dane medyczne polityków. Inni mówią, że prywatność to tylko kryjówka winnych.

Jesair pochylił głowę.

– Może nie określiłem tej granicy dość precyzyjnie.

– Określiłeś. Ludzie po prostu słyszą tę część, której potrzebują.

Przez chwilę trwała między nimi cisza.

Potem Mareia zamknęła wszystkie warstwy poza listą projektów.

– Wyślę jej tylko nazwy, wnioskodawców i jawne źródła finansowania.

– I pytanie.

– Jakie?

Jesair spojrzał na wygaszoną mapę.

– Kto płaci, żeby te oddzielne rzeczy kiedyś się spotkały?

Mareia przygotowała wiadomość.

Adresat: Nerai Sael.

Temat: Możliwy związek między wnioskami badawczymi.

W treści napisała:

To nie jest dowód nieprawidłowości. Muszę jednak wiedzieć, czy te projekty mają wspólne źródło finansowania lub wspólne osoby uprawnione do podejmowania decyzji. Oddzielnie mają sens. Razem zadają pytanie, którego nie chcę wypowiadać, dopóki nie będę wiedziała, kto je zadał.

Załączyła listę.

Przed wysłaniem zawahała się.

Jesair jej nie dotknął. Nie powiedział, co ma zrobić.

Po prostu został.

Mareia wysłała wiadomość.

W budynku Warstwy przy nazwisku Nerai zapaliło się powiadomienie.

Kilka tysięcy kilometrów dalej system laboratoryjny zakończył jedną z analiz cząstkowych. Wynik automatycznie przesłano fundacji, która ją finansowała.

Na Thaeronie dobiegło końca zadanie obliczeniowe bez nazwiska ostatecznego zleceniodawcy.

W Therinithie zarządca funduszu zatwierdził kolejną płatność.

W jednym z lokali Vesty ktoś wpłacił gotówkę, którą bank oznaczył jako zwykły utarg.

A Arien Korveth siedział sam w swoim mieszkaniu i patrzył, jak zbliżają się przed nim linie, które nigdzie indziej nie tworzyły wspólnej mapy.

Choroba jeszcze nie istniała.

Choroba nie miała jeszcze pierwszej gorączki.

Żadnego miasta jeszcze nie zamknięto i żadna rodzina nie musiała zostawić bliskiego za przezroczystą ścianą szpitalnej izolatki.

Na razie istniały tylko pieniądze.

Pytania.

Dane.

Obliczenia.

I mnóstwo niewinnych ludzi, z których każdy wykonał jeden mały fragment pracy, nie znając zdania, w które kiedyś zostanie on wstawiony.

Katastrofa nie miała jeszcze ciała.

Miała już jednak księgowość.

21. Test ślepoty

Nerai otworzyła wiadomość Marei siedem minut po jej otrzymaniu.

Była jeszcze w Warstwie. Większość pracowników już wyszła, a na korytarzach pozostały tylko nocne zespoły analityczne, systemy bezpieczeństwa i ludzie, którzy nie potrafili sobie wyjaśnić, dlaczego jakieś pytanie nie chce pozwolić im wrócić do domu.
Nerai należała do tych ostatnich.

Przeczytała wiadomość raz.

Potem drugi.

Przy trzecim czytaniu usunęła imię Marei i zostawiła przed sobą tylko listę projektów.

Badania nad regeneracją.

Odchylenia immunologiczne.

Dziedziczne cechy populacyjne.

Bezpieczeństwo danych genetycznych.

Reakcja systemów opieki zdrowotnej na nierównomierną epidemię.

Warunki prawne nadzwyczajnego dostępu do archiwów rodowych.

Każda pozycja miała własnego wnioskodawcę, własny cel i własne finansowanie. Żadna nie dawała podstaw do podejrzeń. Niektóre pytania należały wręcz do najważniejszych pytań współczesnej medycyny.
Nerai otworzyła warstwy finansowe.

Model pokazał różnych formalnych płatników. Przy każdym projekcie ukryte pozostawało jednak właśnie to pole, które pozwoliłoby Nerai porównać władzę decyzyjną nad pieniędzmi.

Każda luka miała inną podstawę prawną. Kiedy jedną gałąź mogła śledzić przez publiczny kontrakt, następna kończyła się w chronionym funduszu. Przestrzeń obliczeniowa wyświetlała je obok siebie, ale brakujących danych nie wolno jej było się domyślać.
Nerai połączyła wszystkie dostępne warstwy.

Na stole pojawiła się mapa.

Nie wyglądała jak mapa przestępstwa.

Wyglądała jak rozbite szkło.

– Wciąż tu jesteś?

Taren Voss stał w drzwiach z płaszczem przewieszonym przez ramię.

– Już nie – powiedziała Nerai. – Właśnie wyszłam do domu.

Taren wszedł.

– I tak wygląda twoje wychodzenie?

– Cicho.

Spojrzał na mapę.

– Czego szukamy?

– Nie wiem.

– Świetnie. Moja ulubiona kategoria.

Nerai przesłała mu listę Marei bez towarzyszącego jej tekstu.

Taren usiadł i powoli przejrzał poszczególne pozycje.

– Same badania medyczne.

– Nie same.

– Dobrze. Badania medyczne, analizy prawne i modelowanie kryzysów.

– Co je łączy?

– Aurelianie.

– Dokładniej.

Taren się zamyślił.

– Dziedziczne cechy Aurelian.

– Jeszcze dokładniej.

Przez chwilę panowała cisza.

Potem wskazał oś czasu.

– To nie tylko cechy. Jest tu też reakcja systemu.

Nerai skinęła głową.

– Ktoś nie pyta tylko o to, jacy są Aurelianie. Pyta też, jak cywilizacja będzie ich obserwować podczas kryzysu zdrowotnego.

Taren oparł się wygodniej.

– To mogą być badania służące ochronie.

– Mogą.

– To może mieć związek z terapiami przedłużającymi życie.

– Może.

– To mogą być przygotowania do naturalnej epidemii.

– Mogą.

– I może to być też to, czego nie chciałaś powiedzieć.

Nerai spojrzała na niego.

Taren wskazał ostatnie zdanie Marei.

– Pytanie, którego nie chce wypowiedzieć.

Nerai zamknęła wiadomość.

– Nie mamy prawa zaczynać od najgorszego wyjaśnienia.

– Ale mamy prawo je sprawdzić.

– Tylko jeśli mamy dane.

– A mamy?

Nerai spojrzała na ciemne miejsca mapy.

– Mamy dane o tym, że nie widzimy danych.

Warstwa potrafiła porównywać przepływy finansowe między państwami, ale nie mogła samowolnie zaglądać do wszystkich rachunków. Dla każdego chronionego przepływu potrzebowała podstawy prawnej. Dla każdego funduszu innego wniosku. Dla każdego państwa innego sformułowania prawnego.

Jedno pytanie mogło się więc rozpaść na dwadzieścia wniosków.

Każdy wniosek potrzebował własnego uzasadnienia.

A uzasadnienie było właśnie tym, czego Nerai jeszcze nie miała.

– Sprawdź, czy powtarzają się osoby z prawem do podejmowania decyzji – powiedziała.

Taren uruchomił porównanie członków rad fundacji, zewnętrznych doradców, audytorów i zarządców funduszy.

System znalazł tysiące powiązań.

Niektóre były istotne.

Większość nie.

Ci sami audytorzy pracowali dla setek fundacji. Te same kancelarie prawne reprezentowały połowę międzynarodowych funduszy. Zarządcy zasiadali w kilku radach, ponieważ właśnie tym zajmowali się zawodowo.
Im więcej danych otwierali, tym więcej powiązań znajdowali.

A im więcej powiązań znajdowali, tym trudniej było rozpoznać, które z nich coś znaczy.

– To właśnie problem Warstwy – powiedział Taren. – Kiedy patrzysz na całą planetę, każdego człowieka dzieli od każdego innego zaledwie kilka umów.
– Dlatego nie szukamy powiązania.

– Więc czego?

– Kierunku.

Nerai zmieniła widok.

Usunęła nazwy spółek.

Usunęła nazwy projektów.

Usunęła państwa.

Zostały tylko rodzaje kupowanych usług.

Dostęp do danych rodowych.

Obliczenia biologiczne.

Weryfikacja laboratoryjna.

Czujniki medyczne.

Modelowanie reakcji szpitali.

Analiza uprawnień w sytuacji nadzwyczajnej.

Ocena reakcji społecznej na nierównomierne zagrożenie zdrowotne.

Taren przestał żartować.

– Tak wygląda to gorzej.

– Tak wygląda to inaczej.

– Gdybyśmy wiedzieli, że płaci za to jeden człowiek...

– Nie wiemy.

– Gdybyśmy wiedzieli, że ktoś łączy wyniki...

– Nie wiemy.

– Gdybyśmy wiedzieli, do czego je wykorzysta...

– Nie wiemy.

Nerai zamknęła oczy.

W głowie słyszała zdanie Jesaira z konferencji.

Udziału nie da się obliczyć na ślepo.

Wtedy mówił o UBI.

O wartości.

O sprawiedliwości.

Teraz leżała przed nią inna rzecz, którą społeczeństwo próbowało obliczyć na ślepo.

Niebezpieczeństwo.

– Wystąpmy o przyspieszone ujawnienie ostatecznych właścicieli – powiedział Taren.

– Na jakiej podstawie?

– Zbieżności projektów.

– Zbieżność nie jest przestępstwem.

– Ryzyka niewłaściwego wykorzystania danych genetycznych.

– Nie wykazaliśmy żadnego niewłaściwego wykorzystania.

– Więc co mamy robić?

Nerai nie odpowiedziała.

Trzy planetarne strefy czasowe dalej Arien Korveth siedział nad raportem o tytule tak nieciekawym, że większość ludzi by go nie otworzyła.

Analiza opóźnionej koordynacji instytucji ochrony zdrowia przy zagrożeniach nierównomiernie rozłożonych w populacji.

Raport opracowała firma z Xanosu, specjalizująca się w zarządzaniu kryzysowym. Jej analitycy nigdy nie widzieli wyników biologicznych ani aureliańskich danych rodowych. Dostali jedynie hipotetyczny scenariusz.

Nieznana choroba.

Wiele państw.

Nierównomierne występowanie w jednej dziedzicznej populacji.

Różne zasady ochrony danych.

Różne systemy opieki zdrowotnej.

Różne kultury polityczne.

Ich zadaniem było ustalić, ile czasu upłynie, zanim Elarion zrozumie, że nie chodzi o przypadkowe skupisko geograficzne.

Analitycy uważali swoją pracę za służbę publiczną.

Chcieli znaleźć słabe punkty systemu, zanim znajdzie je prawdziwa choroba.

Wynik był nieprzyjemny.

Maszyny medyczne szybko dostrzegłyby nierównowagę.

Szpitale widziałyby ją jednak tylko wśród własnych pacjentów.

Archiwa rodowe odnotowałyby wzrost liczby przypadków w określonych liniach, lecz bez podstawy prawnej nie mogłyby powiązać ich z publicznymi danymi medycznymi.

Państwa wahałyby się przed udostępnieniem surowych danych.

Niektóre po to, by chronić pacjentów.

Inne po to, by chronić własną reputację.

Politycy nie chcieliby wypowiedzieć nazwy odłamu genetycznego, dopóki nie uzyskaliby potwierdzenia z kilku niezależnych źródeł.

Po dawnych sporach o dyskryminację taka zasada była zrozumiała.

W modelowanym przypadku oznaczała jednak utratę czasu.

Arien czytał szacowane odstępy.

Pierwsze podejrzenie maszyny.

Pierwszy raport regionalny.

Pierwsze ostrzeżenie międzypaństwowe.

Pierwsze publiczne wskazanie związku z dziedzicznością.

Między pierwszym a ostatnim punktem była luka.

Kilka dni.

W niektórych modelach więcej.

Arien oparł się wygodniej.

Każdy element systemu robił dokładnie to, do czego został stworzony.

Sztuczna inteligencja rozpoznawała wzorce, a lekarze chronili pacjentów.

Prawa chroniły prywatność.

Błąd powstawał dopiero w ich współdziałaniu.

Maszyna rozpoznawała wzorce.

Lekarz chronił pacjenta.

Archiwum chroniło rodzinę.

Urzędnik chronił praworządność.

Polityk chronił społeczeństwo przed paniką.

I właśnie z tych zabezpieczeń powstawał czas, w którym nikt nie odważył się wypowiedzieć całej prawdy.

Na marginesie raportu widniało ostrzeżenie analityków:

Nierównomierności oddziaływania nie wolno bez dalszej weryfikacji interpretować jako związku przyczynowego z tożsamością dziedziczną. Przedwczesne wskazanie grupy populacyjnej może wywołać stygmatyzację, przemoc lub odmowę pomocy medycznej.

Arien zatrzymał się przy tym zdaniu.

Było moralnie słuszne.

I użyteczne.

Kael przyszedł bez zapowiedzi.

Wszedł do mieszkania Ariena, jakby należała do niego nie tylko przestrzeń, lecz także czas ludzi, którzy w niej żyli.

Arien nie zamknął raportu.

Kael przeczytał tytuł.

– Modelowanie reakcji?

– Audyt bezpieczeństwa.

– Oczywiście.

Kael przejrzał wyniki.

Jego twarz się nie zmieniała, ale czytał wolniej niż zwykle.

– Systemy opieki zdrowotnej to zauważą – powiedział.

– Zauważą.

– Szybko.

– Maszyny tak.

– W takim razie pański plan nie działa.

Arien wskazał kolejną część.

– Zauważyć to nie to samo co działać.

Kael wpatrzył się w oś czasu.

– A więc nie testuje pan choroby.

– Nie.

– Testuje pan odwagę instytucji, by nazwać to, co widzą.

Arien lekko się uśmiechnął.

– Testuję ich zasady.

– Zasady są wynikiem dawnych porażek.

– I będą przyczyną przyszłej.

Kael zwrócił się ku niemu.

– Proszę uważać, by nie pomylić słabości systemu z usprawiedliwieniem własnych zamiarów.

– To pan nauczył mnie, że system nie ma zamiarów.

– Nie ma. Pan ma.

Arien zamknął raport.

– Po co pan przyszedł?

Kael przez chwilę mu się przyglądał.

– Fundacje dostały pytania z Warstwy.

Palce Ariena znieruchomiały nad stołem.

– Jakie pytania?

– Na razie ogólne. Ostateczni właściciele. Powiązania zarządców. Zbieżność finansowania.

– Nerai.

– Prawdopodobnie.

– Coś wie?

– Wie, że nie widzi.

Arien wstał.

– To nie wystarczy.

– Czasami świadomość własnej ślepoty jest początkiem widzenia.

– Może ją pan powstrzymać?

– Mogę opóźnić odpowiedzi. Nie mogę zabronić urzędowi zadawania pytań, nie zdradzając tym samym, że się ich boję.

Arien podszedł do okna.

Pod nim rozciągała się Nitra. Tysiące świateł, miliony ludzi, systemy mierzące ruch, energię, produkcję, pogodę, zdrowie i bezpieczeństwo.

Cywilizacja, która widziała niemal wszystko.

I nie wiedziała, że właśnie ktoś mierzy, ile czasu zajmie jej zrozumienie własnej śmierci.

– Mareia – powiedział Arien.

Kael nie odpowiedział.

– To ona musiała zacząć.

– Dlaczego?

– Zna archiwa rodowe.

– Zna też pana.

Arien gwałtownie się ku niemu odwrócił.

Kael ciągnął spokojnie:

– Kiedy człowiek zna kogoś, kto stosuje przemoc, czasem dostrzega jego zamiary wcześniej niż analityk.

– Nie stosuję przemocy.

Kael spojrzał na niego.

Nie było w tym pogardy.

To było gorsze.

– Nie stosuję – powtórzył Arien.

– Więc nie będzie panu przeszkadzać, jeśli ktoś przyjrzy się pańskim decyzjom.

– Moje decyzje są chronione.

– Właśnie na to pan liczy.

Kael wyszedł.

Arien został przy oknie.

Na pulpicie ponownie otworzyła się analiza.

Kilka dni.

Tyle czasu cywilizacja miała stracić między tym, co zobaczy, a tym, co pozwoli sobie powiedzieć.

Tymczasem w Warstwie Nerai wysłała pierwsze wnioski.

Do Therinithu.

Do Xanosu.

Do dwóch państw Aménii.

Do zarządu thaerońskich węzłów obliczeniowych.

Każdy zawierał inne sformułowanie prawne, ponieważ każde państwo uznawało inną podstawę udostępnienia chronionych danych.
Pierwsze odpowiedzi nadeszły jeszcze tej nocy.

Projekt jest zgodny z miejscowym prawem.

Ostateczny właściciel nie podlega ujawnieniu.

Relacja handlowa jest chroniona.

Obliczenia nie zawierały danych pozwalających na bezpośrednią identyfikację osoby.

Nie wykazano bezpośredniego zagrożenia.

Taren czytał je jedną po drugiej.

– Wszyscy mają rację.

– Tak – powiedziała Nerai.

– A mimo to nie wierzysz.

Nerai spojrzała na biologiczną mapę Marei i swoją mapę finansową.

Leżały obok siebie.

Nie mogły połączyć się w pełni, ponieważ między nimi stały prawa chroniące zdrowie, majątek, badania, handel i prywatność.
Każde prawo chroniło coś, co zasługiwało na ochronę.

Nerai po raz pierwszy zadała sobie pytanie, które za kilka lat będzie powtarzać przed całą planetą:

Co się stanie, kiedy wszystkie nasze zabezpieczenia połączą się w kryjówkę dla człowieka, przed którym miały chronić?

Na odpowiedź było jeszcze za wcześnie.

Arien jednak już ją znał.

Powstanie czas.

Niewiele.

Tylko tyle, ile trzeba.

22. Wyjątki

Każde prawo ma granicę.

A niemal każda granica ma drzwi.

Czasami nazywają się pilnym interesem publicznym.

Czasami koniecznością badawczą.

Czasami ochroną życia.

Czasami bezpieczeństwem państwa.

Drzwi nie powstają po to, by przechodzili przez nie przestępcy. Powstają dlatego, że żadne prawo nie potrafi przewidzieć wszystkich okoliczności, w których jego ścisłe przestrzeganie wyrządziłoby więcej szkody niż pożytku.
Kiedy płonie szpital, ratownik nie prosi każdego pacjenta o zgodę na przekazanie danych medycznych.

Kiedy grozi epidemia, laboratoria mogą wymieniać informacje szybciej niż podczas zwykłych badań.
Kiedy na Thaeronie zawodzi system niezbędny do życia, technicy otrzymują czasowy dostęp do danych, których w normalnych okolicznościach by nie zobaczyli.
Wyjątek był sposobem, w jaki prawo przyznawało, że życie jest bardziej złożone niż reguła.

Kael Thorne wiedział, że drzwi mają jeszcze jedną właściwość.

Można je otworzyć z obu stron.

W kancelarii prawnej na południowym skraju Nitry siedziało dziewięcioro specjalistów. Nie wiedzieli, że pracują dla Kaela. Formalnie zatrudniła ich Fundacja Planetarnej Odporności Zdrowotnej, by przygotowali ogólne ramy współpracy między organizacjami badawczymi podczas przyszłego kryzysu biologicznego.
Zlecenie podzielono.

Pierwsza grupa badała warunki dostępu do zanonimizowanych danych rodowych.

Druga – pozaplanetarny transfer wyników badań.

Trzecia – odpowiedzialność laboratoriów dokonujących jedynie cząstkowej weryfikacji.

Czwarta – ochronę tajemnicy handlowej przy opracowywaniu systemów medycznych.

Piąta – uprawnienia państw do izolowania zagrożonych obszarów.

Nic z tego nie było nielegalne.

Przeciwnie.

Po doświadczeniach wcześniejszych epidemii takie analizy były pożądane. Elarion dysponował mnóstwem technologii, lecz jego systemy prawne wciąż wywodziły się z czasów, gdy choroby przemieszczały się wolniej niż decyzje rządów.
Zespołem prawnym kierowała Ilyra Senn.

Była Selenitką i całe życie zajmowała się prawem medycznym. W młodości straciła ojca podczas regionalnej epidemii, w której dwa szpitale odmówiły wymiany danych, ponieważ nie potrafiły uzgodnić podstawy prawnej.
Wierzyła, że zła reguła może zabijać tak samo jak choroba.

Dlatego przyjęła tę pracę.

– Naszym zadaniem – powiedziała zespołowi podczas pierwszego spotkania – jest zapobiec sytuacji, w której w czasie kryzysu czterdzieści państw będzie przesyłać sobie formularze, podczas gdy ludzie będą umierać.
Nikt w pomieszczeniu nie mógł temu zaprzeczyć.

Po kilku tygodniach powstały ramy czasowych wyjątków.

Dostęp do danych miał być ograniczony do konkretnego celu.

Każde wykorzystanie należało odnotować.

Danych nie wolno było łączyć poza zakresem zezwolenia.

Wyniki miały być zanonimizowane.

Wyjątki miały wygasnąć po zakończeniu projektu.

Ilyra dodała jeszcze jeden warunek.

Jeśli kilka projektów bada wzajemnie powiązane części jednego zagrożenia populacyjnego lub zdrowotnego, musi istnieć organ, który oceni ich łączny cel.
Umieściła to sformułowanie w projekcie i wysłała zleceniodawcy.

Dwa dni później dokument do niej wrócił.

Warunek został przeformułowany.

Jeśli zostanie wykazane, że kilkoma projektami kieruje ten sam zleceniodawca i że służą one wspólnemu celowi, właściwy organ może ocenić ich łączne ryzyko.
Ilyra umieściła oba zdania obok siebie.

Różnica była niewielka.

W jej wersji wystarczyło, by projekty obiektywnie zmierzały ku jednej rzeczy.

W nowej wersji najpierw trzeba było wykazać wspólnego zleceniodawcę.

A właśnie to uniemożliwiała rozproszona struktura własności.

– Kto zmienił tę część? – spytała.

Administrator otworzył historię dokumentu.

– Zewnętrzny opiniodawca fundacji.

– Nazwisko?

– Chronione umową.

– Prawnik?

– Doradca do spraw inwestycji międzynarodowych.

Ilyra oparła się wygodniej.

– Inwestycje nie powinny mieć nic do powiedzenia w sprawie wyjątków w ochronie zdrowia.

– Twierdzi, że pierwotne sformułowanie może zaszkodzić niezależnym badaniom, łącząc projekty, które nie mają ze sobą związku.
Był to rozsądny argument.

Gdyby każde podobne badanie automatycznie podlegało wspólnej kontroli, mogłoby to prowadzić do centralizacji danych, spowolnienia medycyny i podejrzewania naukowców tylko dlatego, że badają tę samą dziedzinę.
Ilyra odrzuciła zmianę.

Fundacja odesłała ją z nowym uzasadnieniem.

Ilyra znów odmówiła.

Za trzecim razem poinformowano ją, że sporna część zostanie przeniesiona do kolejnego etapu.

Pozostałą część ram zatwierdzono.

Ochrony nie usunięto.

Jedynie odłożono ją na później.

W budynku Warstwy Nerai otrzymała odpowiedź od pierwszego funduszu.

Nie można było ujawnić ostatecznego właściciela, ponieważ żądana informacja nie była niezbędna do oceny konkretnej transakcji.

Z drugiego państwa nadeszła odpowiedź, że związek między finansowanymi projektami jest zbyt ogólny.

Z Thaeronu poinformowano, że centrum obliczeniowe pracowało wyłącznie na zanonimizowanych modelach i nie zna ostatecznego użytkownika wyników.

– Jak centrum może nie znać swojego klienta? – spytała Mareia.

Jej obraz unosił się nad stołem Nerai. Była w domu, lecz za nią pozostały otwarte warstwy archiwów rodowych. Ona również znów pracowała po nocach.

– Zna pośrednika – odpowiedziała Nerai.

– A pośrednik?

– Zna spółkę, która zamówiła usługę.

– A ta?

– Działała na rzecz fundacji.

– A fundacja?

– Ma radę.

– Nerai.

– Nie wiem.

Mareia spuściła wzrok.

– Więc nie ruszyłyśmy z miejsca.

– Ruszyłyśmy. Wiemy, że co najmniej cztery projekty posłużyły się różnymi organizacjami, lecz ich dokumenty zawierają podobne sformułowania. Wiemy, że część pieniędzy przeszła przez fundusze, które pojawiły się przy Veście. Wiemy, że niektóre obliczenia przeprowadzono na Thaeronie.

– I wiemy, że wszystko może być niewinne.

– Tak.

– Nazwisko Ariena?

Nerai zamilkła na chwilę.

– Nigdzie.

Mareia skinęła głową, ale na jej twarzy nie pojawiła się ulga.

– Powiedz mi dokładnie, dlaczego o nim myślisz – poprosiła Nerai.

– Już ci napisałam.

– Napisałaś, że zna ludzi jak mechanizmy.

– Zna.

– To nie wystarczy.

– Wiem.

– Potrzebuję konkretów.

Mareia wstała i podeszła do okna. Za nią było widać nocną Nitrę i rzekę poprzecinaną światłami mostów.

– Kiedy byliśmy razem, chciał wiedzieć wszystko. Gdzie jestem. Z kim jestem. Dlaczego coś powiedziałam. Dlaczego milczałam. Nie chodziło mu o informacje. Chodziło mu o to, żeby nie istniało nic, czego nie mógłby wpasować we własny obraz.

Nerai milczała.

– Kiedy odeszłam, najpierw błagał – ciągnęła Mareia. – Potem się złościł. Potem mnie oskarżał. A w końcu przestał.

– Przestał się z tobą kontaktować?

– Nie. Przestał brzmieć jak człowiek, który chce coś odzyskać.

– A jak brzmiał?

Mareia się odwróciła.

– Jak człowiek, który postanowił, że kiedyś zrozumiem.

Nerai zapisała to zdanie.

– Mówił o Jesairze?

– Tak.

– Groził mu?

– Nie wprost.

– Mareia.

– Powiedział, że ludzie tacy jak Jesair udają, że ich decyzje należą do wszystkich, ale konsekwencje każą ponosić innym. Powiedział, że kiedyś okaże się, jaka jest cena aureliańskiej wyjątkowości.

Taren, siedzący poza kadrem, uniósł głowę.

Nerai dała mu spojrzeniem znak, by milczał.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – spytała.

– Bo nie chciałam, żeby każde podejrzenie kobiety wobec byłego partnera zmieniało się w śledztwo. I dlatego, że bałam się, iż tylko przenoszę własny lęk na cudze projekty.
– Lęk nie jest dowodem – powiedziała Nerai.

Mareia skinęła głową.

– Ale może wskazać kierunek.

– Tak.

Nerai wypowiedziała to zdanie ostrożnie.

W jej pracy istniały dwa rodzaje pomyłek.

Pierwszym było podejrzewać człowieka, który niczego nie zrobił.

Drugim – odrzucić podejrzenie tylko dlatego, że wyrastało z osobistego doświadczenia, którego nie dało się zamienić w tabelę.
Analityka miała chronić przed uprzedzeniami.

Nie miała jednak udawać, że ludzka znajomość przemocy nie ma wartości, dopóki przemoc nie pojawi się w księgowości.
– Nie wszczną śledztwa w sprawie Ariena – powiedziała Nerai. – Na razie nie.

Mareia zacisnęła usta.

– Ale rozpocznę ocenę wspólnego ryzyka projektów. Bez jego nazwiska.

– A jeśli system go nie pokaże?

– Wtedy będę wiedziała tylko to, co wiem teraz.

– Że nie widzisz.

– Tak.

Kiedy połączenie się zakończyło, Taren przysunął się bliżej.

– Myślisz, że to on.

– Myślę, że Mareia boi się go z konkretnych powodów.

– To nie była odpowiedź.

– Bo jej nie mam.

Nerai przygotowała wniosek o czasową ocenę powiązań stwarzających ryzyko.

Prosiła o zgodę na połączenie metadanych finansowych, celów badawczych i publicznych informacji o dostępie do archiwów aureliańskich.
Wniosek nie miał obejmować samych danych medycznych.

Wyniki biologiczne miały pozostać chronione.

Nerai chciała tylko informacji o tym, kto finansował pytania i kto uzyskał prawo do łączenia wyników.

Wysłała wniosek do rady nadzorującej.

Odpowiedź nadeszła rano.

Niewystarczająca podstawa prawna.

Oceniane projekty podlegają różnym jurysdykcjom i brak dowodu, że służą wspólnemu celowi.

Nerai przeczytała to zdanie kilka razy.

Brak dowodu, że służą wspólnemu celowi.

Właśnie wspólnego celu nie mogła jednak wykazać, nie uzyskawszy prawa do połączenia projektów.

– Błędne koło – powiedział Taren.

– Nie.

Nerai wstała.

– Koło ma przynajmniej wspólny środek. To jest system, który udaje, że środek nie istnieje.

Tymczasem w kancelarii prawnej Ilyra Senn podpisała ostateczną wersję ram.

Nie była z niej zadowolona.

W załączonej opinii napisała:

Największym zagrożeniem nie jest pojedyncze nadużycie wyjątku. Największym zagrożeniem jest zbieg kilku zgodnych z prawem wyjątków, których wspólny cel pozostaje niewidoczny dla jakiejkolwiek instytucji kontrolnej.

Opinię zapisano.

Fundacja ją przyjęła.

Ramy prawne zatwierdzono.

Wyjątki się otworzyły.

Każdy z dobrego powodu.

Pierwszy umożliwił zespołowi badawczemu dostęp do kolejnych zanonimizowanych danych.

Drugi pozwolił przenosić wyniki obliczeń między Thaeronem a Elarionem bez ujawniania modelu biznesowego.
Trzeci chronił tożsamość zleceniodawcy wrażliwego audytu bezpieczeństwa.

Czwarty umożliwił laboratoriom weryfikację cząstkowych wyników bez znajomości całego projektu.

Piąty przygotował zaplecze logistyczne na przyszły stan zagrożenia zdrowotnego.

Żaden wyjątek nie otworzył drogi ku katastrofie.

Otworzyły ją dopiero wtedy, gdy ustawiły się jeden za drugim.

Drzwi.

Za drzwiami kolejne drzwi.

Za nimi następne.

A na końcu człowiek, którego nazwiska nie zapisano na żadnym z kluczy.

23. Ostatnia płatność

Ostatnia płatność była najmniejsza.

Ostatnia płatność miała znacznie bardziej prozaiczny cel.

Jej odbiorcą nie było laboratorium, centrum obliczeniowe ani zarządca danych genetycznych.

Nie opłacała badań biologicznych, analizy prawnej ani czujników medycznych.

Była to opłata administracyjna za uruchomienie rezerwowych zdolności logistycznych.

Kwota była niższa od dziennego utargu większego lokalu Vesty.

Płatność wysłała spółka zarejestrowana w Saranstanie.

Odbiorcą był koordynator transportu na pierścieniu orbitalnym.

Cel był zgodny z prawem.

Rezerwacja zdolności transportowych na potrzeby przyszłych przesyłek medycznych.

Z takich rezerwacji korzystały szpitale, ubezpieczyciele, państwa i fundacje. Gwarantowały, że w razie kryzysu będzie można szybko przemieścić sprzęt, leki, urządzenia diagnostyczne lub personel.

Nie było w niej nic szczególnego.

Poza tym, że bez niej ostatnia część mapy Ariena pozostałaby niepołączona.

Koordynator finansowy z domu Thorne przesłał mu potwierdzenie.

Wszystkie warstwy umowne są aktywne.

Arien przeczytał wiadomość i ją zamknął.

Siedział w mieszkaniu, w którym kiedyś żył z Mareią.

Po jej odejściu kazał usunąć większość rzeczy, które wybrała. Nie naraz. Najpierw rośliny. Potem obraz przy oknie. Potem niski stół, o który za każdym razem się uderzał, choć Mareia twierdziła, że problemem nie jest stół, lecz jego nieumiejętność patrzenia przed siebie.

Zostało jedno naczynie.

Było zwyczajne, ciemnoniebieskie, o nierównej krawędzi. Mareia kupiła je na targu w starej części Nitry. Mówiła, że podoba jej się dlatego, iż jest niedoskonałe w sposób, którego nie próbuje ukryć.

Arien nigdy go nie używał.

Zostawił je tam na dowód, że potrafi żyć obok czegoś, co mu ją przypomina.

W rzeczywistości dowodziło czegoś przeciwnego.

Na ścianie rozświetliło się powiadomienie.

Mareia Lioren prosi o osobiste spotkanie.

Arien długo na nie patrzył.

Potem się uśmiechnął.

Otworzył wiadomość.

Muszę porozmawiać z tobą o projektach badawczych dotyczących Aurelian. Proponuję publiczny ogród przy północnym brzegu. Jutro po zachodzie Słońca.
Nie było w niej błagania.

Ani lęku.

Arien przeczytał wiadomość jeszcze raz.

Zawsze podziwiał, jak potrafiła pisać zdania bez jednej słabości. Jakby każde słowo najpierw kładła przed sobą, oglądała ze wszystkich stron i dopiero potem pozwalała zobaczyć je komuś innemu.
Przyjął zaproszenie.

Nazajutrz ogród przy północnym brzegu był niemal pusty.

Rosły w nim drzewa sprowadzone ze wszystkich regionów Elarionu. Niektóre potrzebowały sztucznie przygotowanej gleby, inne precyzyjnie dobranej wilgotności albo ochrony przed miejscową zimą. Ogród dowodził, że cywilizacja może stworzyć wspólną przestrzeń także dla rzeczy, które w naturze nigdy nie rosłyby obok siebie.
Mareia czekała przy tafli wody.

Kiedy Arien się zbliżał, obserwowała jego dłonie.

Nie były zaciśnięte.

Nie spieszył się.

Na twarzy miał ten wyraz, którego bała się najbardziej. Spokój człowieka, który nie musi już niczego wymuszać w obecnej chwili, ponieważ wierzy, że czas pracuje dla niego.
– Mareia.

– Arien.

Zatrzymał się kilka kroków przed nią.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś poprosisz mnie o spotkanie.

– Ja też nie.

– Jesair wie, że tu jesteś?

Mareia poczuła, jak jej ciało się napina.

Nie gwałtownie.

W dawny sposób.

Pamięcią skóry.

– Nie przyszłam rozmawiać o Jesairze.

– Oczywiście.

– Przy archiwach medycznych pojawiły się projekty badające aureliańską regenerację, odporność i zachowanie systemów podczas nierównomiernej epidemii.
Arien lekko zmarszczył brwi.

– I?

– Część z nich finansują fundacje powiązane ze strukturami finansowymi, w których pracowałeś.

– Pracowałem w setkach struktur.

– Właśnie.

– To oskarżenie?

– Pytanie.

– Zadaj je.

Mareia spojrzała mu w oczy.

– Finansujesz badania aureliańskich linii rodowych?

– Nie.

Odpowiedział zbyt szybko.

Nie jak człowiek zaskoczony.

Jak ktoś, kto już sam zadał sobie to pytanie.

– Finansujesz je pośrednio?

– Nie wiem, co finansują wszystkie fundusze, dla których kiedykolwiek pracowałem.

– Masz prawo do podejmowania decyzji w którejś z fundacji ochrony?

– Nie.

To była prawda.

Mareia to zrozumiała.

I właśnie dlatego nie ustąpiła.

– Możesz wpływać na ludzi, którzy je mają?

Arien się uśmiechnął.

– To bardzo dziwna kategoria prawna.

– Nie pytam w sensie prawnym.

– Więc o co pytasz?

– O ciebie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nareszcie.

– Nie przyszłam wracać do tego, co było.

– Nie. Przyszłaś sprawdzić, czy stałem się dostatecznie zły, by z perspektywy czasu twoje odejście wyglądało na konieczne.

– Było konieczne w dniu, w którym mnie uderzyłeś.

Arien odwrócił wzrok.

– Zawsze sprowadzasz wszystko do jednej chwili.

– Nie. To ty zawsze próbujesz rozmyć ją we wszystkim, co było przed nią i po niej.

– Bo człowiek nie jest jedną chwilą.

– Ale niektóre chwile pokazują, kim jest.

Przez ogród przeszedł wiatr. Liście drzew z różnych kontynentów poruszyły się jednocześnie, każde z innym szelestem.

Arien podszedł bliżej.

Mareia nie cofnęła się, lecz jej ręka bezwiednie zbliżyła się do osobistego komunikatora.

Zauważył to.

– Wciąż się mnie boisz.

– Tak.

Odpowiedź go ugodziła.

Spodziewał się oporu.

Spodziewał się oskarżenia.

Może nawet pogardy.

Nie prostej prawdy.

– A mimo to przyszłaś sama.

– Nie jestem sama.

Arien rozejrzał się.

– Jesair?

– Nie.

Mareia wskazała ogród, publiczne systemy bezpieczeństwa i ludzi w oddali.

– Świat.

Arien krótko się zaśmiał.

– Właśnie tego w was obojgu nie znoszę.

– Czego?

– Tej pewności, że świat jest po waszej stronie.

– Świat nie jest po niczyjej stronie.

– Ale zachowujecie się tak, jakby chroniła was sama widoczność.

– Powinna.

– Nie wszystko, co widoczne, ludzie zrozumieją.

– Dlatego pytam.

Głos Ariena stwardniał.

– Pytasz za późno.

Mareia się nie poruszyła.

– O co?

– O to, czy osobiste decyzje pozostają osobiste.

– Już mi napisałeś to zdanie.

– I wciąż go nie rozumiesz.

– Więc mi je wyjaśnij.

Arien patrzył na nią.

W jego oczach nie było żalu.

Była potrzeba, by wreszcie zobaczyła świat tak jak on.

– Odeszłaś – powiedział. – Wybrałaś Jesaira. Potem zaczęliście mówić, że wartość nie może kroczyć w cieniu, że wszystko, co wielkie, powinno być widoczne, że ludzie tacy jak ja mają pokazać ręce.

– Jesair nie mówił o tobie.

– Nie musiał.

– A co to ma wspólnego z badaniami nad Aurelianami?

Arien milczał.

– Co robisz? – spytała Mareia.

– Nic, na co wasze systemy by nie pozwoliły.

– To nie była odpowiedź.

– To jedyna odpowiedź, której potrzebujesz.

– Arien.

– Całe życie patrzyliście na swój złoty krąg i widzieliście dowód, że jesteście wyjątkowi.

– Ja nigdy nie widziałam w nim niczego takiego.

– Nie musiałaś. Inni widzieli za ciebie.

– Kto?

– Ludzie, którzy czekają na Jesaira, jakby był powrotem jakiejś dawnej prawdy. Ludzie, którzy myślą, że wasz ród ma prawo mówić całej planecie, jak powinna żyć.

– Jesair odrzuca każdego, kto robi z niego mit.

– I właśnie dlatego kochają go bardziej.

Mareia poczuła chłód.

Nie było w nim nic konkretnego.

Tylko zbyt wiele gotowości.

Zbyt wiele zdań, które brzmiały jak zakończenie rozmowy, o której ona jeszcze nie wiedziała, że się zaczęła.

– Co ma się stać? – spytała.

Arien na moment stracił nad sobą kontrolę.

– Kiedy wasze domy zaczną się zamykać jeden po drugim, może wreszcie zrozumiesz, że osobiste decyzje nie istnieją.

Po tym zdaniu zapadła zupełna cisza.

Mareia słyszała wodę.

Wiatr.

Własny oddech.

Błąd Ariena.

– Dlaczego miałyby się zamykać? – spytała.

Twarz Ariena się zmieniła.

Tylko nieznacznie.

Ale ona go znała.

– Mówię ogólnie.

– Nie.

– O konsekwencjach społecznych.

– Powiedziałeś: wasze domy.

– Aureliańskie domy polityczne. Instytucje rodowe.

– Jeden po drugim.

– To figura retoryczna.

– Nie twoja.

Arien podszedł jeszcze bliżej.

– Uważaj, Mareia.

Tym razem się cofnęła.

Nie ze słabości.

Żeby znów powstała między nimi przestrzeń.

– To groźba?

– Ostrzeżenie.

– Przed czym?

Arien otworzył usta.

Potem je zamknął.

Na jego twarzy na chwilę pojawił się dawny mężczyzna, którego znała. Mężczyzna niezdolny znieść, że nie ma pełnej kontroli nad tym, jak ona go widzi. Mężczyzna, który chciał cofnąć zdanie w głąb siebie, ponieważ zrozumiał, że stało się widoczne.

– Przed konsekwencjami świata, który budujecie – powiedział w końcu.

Mareia jeszcze przez chwilę na niego patrzyła.

– Nie wiem, co robisz – powiedziała. – Ale wiem, że już nie boisz się przyszłości. Mówisz o niej tak, jakbyś ją znał.

Odwróciła się.

– Mareia.

Zatrzymała się, lecz nie odwróciła.

– Jesair nie ochroni cię przed wszystkim.

– Nigdy tego nie twierdził.

– Kiedy nadejdzie chwila, w której nie będzie potrafił ochronić nawet własnych ludzi, przypomnij sobie, że ci to powiedziałem.

Mareia szła dalej.

Nie biegła.

Dopiero gdy minęła pierwszą grupę drzew i Arien nie mógł już jej widzieć, zaczęły drżeć jej ręce.

Połączyła się z Nerai.

Nie czekała, aż się odezwie.

– Miałaś rację – powiedziała Nerai zamiast powitania. – Nie powinnaś była iść tam sama.

– Powiedział, że aureliańskie domy zaczną się zamykać.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Dokładnie.

– Co dokładnie powiedział?

Mareia powtórzyła zdanie.

Potem drugie.

Jesair nie ochroni cię przed wszystkim.

Kiedy nie będzie potrafił ochronić nawet własnych ludzi.

Nerai je zapisała.

– Mamy nagranie?

– Nie. Publiczny system bezpieczeństwa rejestruje ryzykowne zachowania, a nie prywatną rozmowę, chyba że dochodzi do przemocy.

– Dotknął cię?

– Nie.

– Groził ci?

– Powiedział, że mnie ostrzega.

– To nie wystarczy do aresztowania.

– Nie chcę, żebyś go aresztowała.

– Więc czego chcesz?

Mareia zatrzymała się pod drzewem z południowego archipelagu. Jego szerokie liście zatrzymywały światło i pod nimi panowała niemal ciemność.

– Żebyś znalazła pieniądze.

Nerai zakończyła połączenie i natychmiast otworzyła wszystkie odpowiedzi, które uzyskała Warstwa.

Taren podszedł do jej stołu.

– Co się stało?

– Potrzebujemy pilnego środka zaradczego.

– W jakiej sprawie?

– Czasowego wstrzymania projektów, dopóki nie zostanie wykazany ich wspólny cel.

– Na podstawie wypowiedzi jednego człowieka?

– Na podstawie wypowiedzi człowieka, który może mieć ukryty związek z ich finansowaniem.

– Może.

– Tak.

Taren przeczytał wiadomość Marei.

– Rada nadzorująca tego nie zatwierdzi.

– Wtedy pójdziemy do nadzoru zdrowotnego.

– Ten powie, że nie mamy zagrożenia biologicznego.

– Komisja etyczna.

– Powie, że projekty zostały zatwierdzone.

– Prokuratura międzypaństwowa.

– Powie, że nie znamy przestępstwa.

Nerai spojrzała na niego.

– Więc dokąd idzie się z katastrofą, zanim stanie się przestępstwem?

Taren nie odpowiedział.

Nerai przygotowała nadzwyczajne zawiadomienie.

Załączyła mapę projektów.

Powiązania finansowe.

Zeznanie Marei.

Analizę możliwego łącznego ryzyka.

Wysłała je do rady nadzorującej, nadzoru zdrowotnego i urzędu ochrony praw genetycznych.

Zażądała czasowego wstrzymania nowych dostępów do danych aureliańskich i zamrożenia jeszcze niewypłaconych środków.
System przyjął zawiadomienie.

Nadał mu tryb pilny.

Wstępna ocena miała nastąpić w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

Tymczasem na pierścieniu orbitalnym koordynator transportu otrzymał ostatnią płatność.

System zweryfikował walutę.

Przeliczył kurs.

Sprawdził listy sankcyjne.

Zweryfikował pochodzenie bezpośredniego płatnika.

Nie znalazł powodu do odmowy.

Płatność przeszła w jedenaście sekund.

Wszystkie warstwy umowne są aktywne.

Arien otrzymał potwierdzenie krótko po powrocie z ogrodu.

Stał przed ciemnoniebieskim naczyniem, które Mareia kiedyś przyniosła do jego mieszkania.

Jednym ruchem strącił je ze stołu.

Upadło na podłogę.

Nie rozbiło się.

Odbiło się, przewróciło i pozostało na boku.

Arien patrzył na nie z rosnącą wściekłością.

Nawet jego niedoskonałość przetrwała ten cios.

Nawiązał połączenie z Kaelem bez zaproszenia.

Kael pojawił się nad pulpitem.

– Mareia wie.

– Co wie?

– Wie, że coś się szykuje.

– To nie to samo.

– Była w Warstwie.

– To wiemy.

– Spotkałem się z nią.

Twarz Kaela pozostała spokojna.

– Dlaczego?

– Chciała odpowiedzi.

– I dał jej pan je?

– Nie.

– Co pan powiedział?

Arien milczał.

Kael powtórzył pytanie.

Tym razem wolniej.

Arien przytoczył mu zdanie o zamykaniu domów.

Kael nawet nie drgnął.

– Jest pan głupcem.

– Niczego nie udowodni.

– Dowód nie jest jedynym sposobem, w jaki człowiek może coś wiedzieć.

– Projekt jest gotowy.

– To nie była odpowiedź.

– Ostatnia płatność przeszła.

Kael patrzył na niego.

– Proszę to zatrzymać.

Arien znieruchomiał.

– Co?

– Proszę wstrzymać wszystkie pozostałe części. Pozwolić temu ostygnąć.

– Nie możemy.

– Możemy stracić pieniądze.

– Niektórych procesów nie da się już cofnąć, nie zostawiając wyraźniejszego śladu.

Kael zamknął oczy.

Po raz pierwszy, odkąd Arien go znał, wyglądał na zmęczonego.

– Jaki zasięg pan zatwierdził?

– Nie zatwierdzałem żadnego zasięgu.

– Proszę ze mną nie igrać.

– Modele mają granice.

– Jakie?

– Celem jest kryzys.

– Ilu ludzi?

– Tego nie da się dokładnie określić.

Kael pochylił się ku obrazowi.

– Ilu?

Arien nie odpowiedział.

W tej ciszy Kael zrozumiał więcej, niż chciał.

To on otworzył finansowe korytarze.

To on udostępnił fundacje.

To on nauczył Ariena, jak rozdzielić zamiar między ludzi, którzy nie zobaczą całości.

Przekonywał sam siebie, że przygotowują kryzys, który złamie polityczną siłę Jesaira i powstrzyma przejrzystość, zanim zamieni się ona w prawo.
Świadomie pomagał człowiekowi, który nienawidził.

Nie chciał tylko przyznać przed sobą, jak daleko może posunąć się nienawiść, kiedy dostanie budżet, moc obliczeniową i czas.

– Proszę to zatrzymać – powtórzył.

– Nie.

– To nie była prośba.

– Mapa nie należy już tylko do pana.

Twarz Kaela stwardniała.

– Bez moich ludzi nie miałby pan niczego.

– Pańscy ludzie już wykonali swoją pracę.

Kael zrozumiał ostatnią rzecz.

Arien już go nie potrzebował.

Połączenie się zakończyło.

W budynku Warstwy świeciło nadzwyczajne zawiadomienie Nerai.

Czekało na ocenę prawną.

Na stole obok niego leżała mapa pieniędzy, pokazująca wiele drobnych płatności, z których każdą dało się osobno wyjaśnić.
Nerai wiedziała, że jeśli się myli, może zaszkodzić badaniom, instytucjom i niewinnym ludziom.

Jeśli się nie myli, siedemdziesiąt dwie godziny mogą być zbyt długim czasem.

Nie wiedziała, co ma się wydarzyć.

Nie wiedziała gdzie.

Nie wiedziała jak.

Wiedziała tylko, że mężczyzna, który kiedyś zacisnął dłoń na nadgarstku Marei, mówił o zamkniętych aureliańskich domach, zanim ktokolwiek miał powód, by je zamykać.
A gdzieś w księgowości planety właśnie przeszła ostatnia płatność.

24. Pierwsza gorączka

Chłopiec nazywał się Elan.

Miał sześć lat, a złoty krąg ukazywał się u niego tylko wtedy, gdy płakał albo bardzo się skupiał.

Jego matka twierdziła, że po raz pierwszy zobaczyła go krótko po narodzinach. Lekarze powiedzieli jej, że to niemożliwe, ponieważ aureliański znak zwykle ujawnia się u dzieci później.
Ona jednak była pewna.

Matki bywają pewne także rzeczy, których nie da się udowodnić.

Mieszkali w mniejszym mieście na skraju Aurioli. Nie był to słynny dom rodowy ani miejsce odwiedzane przez ludzi szukających śladów dawnych aureliańskich legend. Był to zwykły dom z jasną kuchnią, małym ogrodem i ścianą, na której Elan rysował statki transportowe, choć rodzice wielokrotnie mu tego zabraniali.
Tego ranka nie chciał wstać.

Matka znalazła go skulonego pod kołdrą.

– Elan.

Chłopiec otworzył oczy.

Złoty krąg był wyraźny.

Nie cienki i delikatny jak zwykle.

Lśnił wokół źrenicy ciągłą linią.

– Zimno mi – powiedział.

Jego skóra była gorąca.

Domowy system medyczny wykonał podstawowy pomiar. Podwyższona temperatura. Przyspieszony puls. Niewielkie odchylenia wskaźników zapalnych.
Zalecenie było spokojne.

Nawadnianie.

Odpoczynek.

Ponowne badanie za dwie godziny.

W regionie występowało kilka zwykłych chorób sezonowych. Elan nie miał objawów, które od razu wskazywałyby na coś poważnego.
Jego matka mimo to zadzwoniła do miejscowej lekarki.

– Ma bardzo wyraźny krąg – powiedziała.

Lekarka się uśmiechnęła.

– Przy gorączce to się zdarza.

– Nie tak.

– Każda gorączka może wyglądać inaczej.

– Jest Aurelianinem.

– Wiem.

– Czy to nie może mieć związku?

Lekarka na moment zamilkła.

– Z czym?

Matka nie potrafiła odpowiedzieć.

Nie miała nazwy choroby.

Nie miała innych przypadków.

Miała tylko dziecko, które znała lepiej niż siebie.

Lekarka zleciła dokładniejsze badanie.

Po dwóch godzinach Elan był słabszy.

System medyczny podniósł stopień czujności.

Po czterech godzinach zalecił transport.

Moduł sanitarny przyjechał cicho. Dwaj ratownicy mieli odzież ochronną, lecz nie dlatego, że obawiali się nieznanego zakażenia. Takiego wyposażenia używali przy każdym pacjencie z gorączką o niewyjaśnionej przyczynie.
Matka Elana pojechała z nim.

Ojciec został w drzwiach i patrzył, jak moduł odjeżdża.

Na ścianie w dziecięcym pokoju zostały statki narysowane na niebiesko.

W szpitalu Elan otrzymał identyfikator przypadku.

AUR-N-77104.

Pierwsze litery nie oznaczały Aurelianina.

Były kodem regionu i szpitala.

Była to później jedna z drobnych ironii, które ludzie dostrzegli dopiero po czasie.

Medyczna AI porównała jego stan z milionami wcześniejszych przypadków.

Nie znalazła dokładnej zgodności.

Nie było to niezwykłe.

Ludzkie ciało wytwarzało niemal nieskończoną liczbę odchyleń, a większość z nich nie oznaczała nowej choroby.

System utworzył kategorię roboczą:

Nieokreślona ostra reakcja zapalna.

Przekazał przypadek do nadzoru regionalnego.

Nie jako alarm.

Jako daną.

Sto osiemdziesiąt kilometrów dalej tego samego dnia starsza kobieta obudziła się z gorączką.

Była Aurelianką.

Mieszkała sama.

Jej domowy system uznał stan za zwykłą infekcję i zalecił odpoczynek.

W Nitrze młody mężczyzna zgłosił się do szpitala z gwałtownym osłabieniem. Miał matkę o mieszanym pochodzeniu i aureliańskiego ojca. Złoty krąg ujawniał się u niego tylko z rzadka.

Personel medyczny go nie zauważył.

W Sarurze zachorowały dwie siostry.

W innym państwie mężczyzna, który wrócił z podróży służbowej.

Przypadków nie łączyło wspólne miejsce.

Nie łączył ich wspólny szpital.

Nie łączył ich wspólny lekarz.

W każdym systemie były odrębne.

Medyczna AI widziała ich objawy.

Archiwa rodowe znały ich pochodzenie.

Systemy transportowe wiedziały, dokąd się przemieszczali.

Banki znały płatności związane z projektami dotyczącymi aureliańskiego pochodzenia.

Nikt jednak nie miał prawa umieścić wszystkich tych danych obok siebie.

Jeszcze nie.

W Warstwie Nerai siedziała nad nadzwyczajnym zawiadomieniem.

Od jego wysłania minęło dziesięć godzin.

Jeden z trzech organów poprosił o uzupełnienie.

Drugi potwierdził odbiór.

Trzeci oznajmił, że zwoła komisję.

Taren postawił na stole dwa naczynia z napojem.

– Idź spać.

– Nie.

– Zajmują się twoim zawiadomieniem.

– Zajmowanie się to nie decyzja.

– A ty, siedząc tutaj, nie skrócisz terminów prawnych.

– Dlatego są złe.

– Może są złe dlatego, że chronią ludzi przed tobą.

Nerai spojrzała na niego.

Taren usiadł.

– Przed urzędnikiem, który ma silne przeczucie i chce z tego powodu otworzyć wszystkie rachunki.

– Ja nie chcę otwierać wszystkich rachunków.

– Wiem. Ale prawo nie może zakładać, że każdy następny człowiek na twoim miejscu będzie tobą.

Nerai wzięła naczynie.

– Właśnie dlatego musi być widoczne, kto zagląda do danych.

– Mówisz jak Jesair.

– Mówię jak ktoś, kto już od dziesięciu godzin czeka, aż różne instytucje uzgodnią, czy wolno mu ustalić, kto płaci za badanie możliwej słabości jednej trzeciej populacji.

Taren otworzył najnowsze raporty banków.

– Mamy jedną nową transakcję.

Nerai podniosła wzrok.

– Związaną z fundacjami?

– Może.

– Taren.

– Spółka, którą już widzieliśmy przy Veście, wysłała niewielką płatność koordynatorowi transportu na pierścieniu.

– Cel?

– Rezerwacja medycznych zdolności logistycznych.

– Dla którego projektu?

– Chronione dane handlowe.

Nerai otworzyła oś czasu.

Płatność przeszła krótko przed spotkaniem Marei z Arienem.

– To może być zwykłe przygotowanie – powiedział Taren.

– Może.

– Fundacje zajmują się bezpieczeństwem zdrowotnym.

– Wiem.

– A po wcześniejszych epidemiach rezerwowanie takich możliwości jest powszechne.

– Wiem.

– Więc dlaczego tak na to patrzysz?

Nerai rozszerzyła mapę.

Dane.

BIO-AI.

Laboratoria.

Analizy prawne.

Modelowanie reakcji.

Zdolności logistyczne.

– Ponieważ kierunek jest już kompletny.

Taren milczał.

– Nie mamy choroby – powiedział w końcu.

– Nie.

– Nie mamy ostrzeżenia zdrowotnego.

– Nie.

– Nie mamy dowodu, że te rzeczy są ze sobą powiązane.

– Nie.

– Więc nie mamy czego zatrzymać.

Nerai wpatrzyła się w mapę.

– Mamy ciąg działań, który w innym systemie wywołałby ostrzeżenie.

– W jakim innym systemie?

– W takim, który jeszcze nie istnieje.

Połączenie z Mareią otworzyło się bez uprzedzenia.

Jej obraz drżał, jakby szła.

– Nerai.

– Co się dzieje?

– W archiwach rodowych pojawił się nadzwyczajny wniosek.

– Od kogo?

– Szpital w Aurioli. Dziecko z nieznaną gorączką.

Taren pochylił się ku obrazowi.

– Jedno dziecko?

– Na razie.

– Dlaczego proszą o dane rodowe?

– Ma niezwykle wyraźny złoty krąg i odchylenia, których lekarze nie potrafią zaklasyfikować.

Nerai poczuła, jak wszystkie myśli w jej głowie się zatrzymują.

– To może mieć związek z czymkolwiek – powiedział Taren.

Mareia skinęła głową.

– Wiem.

– U aureliańskich dzieci podczas gorączki znaki bywają wyraźniejsze.

– Wiem.

Nerai spojrzała na zegar.

– Kiedy pojawił się przypadek?

Mareia jej powiedziała.

Było to kilka godzin po ostatniej płatności.

Bliskość w czasie niczego nie dowodziła.

Nerai to wiedziała.

Na Elarionie co godzinę dokonywano miliardów płatności i tysiące ludzi zapadały na choroby. Gdyby nałożyć na siebie dwie dostatecznie duże mapy, zawsze znalazłyby się wydarzenia, które zaszły blisko siebie.

– Poproś szpital, żeby przekazał przypadek do nadzoru międzypaństwowego – powiedziała.

– Już przekazał go do regionalnego.

– Do międzypaństwowego.

– System nie pozwoli na to na podstawie jednego pacjenta.

– Więc niech o wyjątek wystąpi archiwum rodowe.

Mareia spojrzała na nią.

– Nie mamy podstawy prawnej, by ujawnić tożsamość rodową pacjenta poza regionem.

To zdanie pozostało między nimi.

Nerai wyobraziła sobie wszystkie wyjątki, które w ostatnich miesiącach pozwoliły anonimowym projektom badać aureliańskie cechy rodowe.

Teraz, kiedy jedno aureliańskie dziecko leżało w szpitalu z nieznaną gorączką, prawo chroniło jego pochodzenie przed systemem, który mógłby szukać kolejnych przypadków.

Ochrona była słuszna.

Dziecko nie było informacją publiczną.

Jego ród nie był własnością państwa.

Jego choroba nie miała być powodem do obserwowania całego odłamu.

A jednak Nerai czuła, że ktoś przed nimi mierzył właśnie tę granicę.

– Złóż wniosek – powiedziała. – Ja poprę go analizą finansową.

– Analiza finansowa nie ma nic wspólnego z pacjentem.

– Właśnie tego nie wiemy.

– Nerai, jeśli bez dowodów powiążemy podejrzane finansowanie z chorobą jednego aureliańskiego dziecka, możemy wywołać panikę.

– A jeśli ich nie powiążemy?

Mareia nie odpowiedziała.

W szpitalu w Aurioli Elan spał.

Jego matka siedziała przy przezroczystej ścianie sali. Lekarze na razie nie oddzielili jej od syna, ale poprosili, by pozostała w strefie ochronnej.

Elan się obudził.

– Mamo.

Przyłożyła dłoń do ściany.

– Jestem tutaj.

– Wejdź.

– Za chwilę.

– Zimno mi.

– Wiem.

– Dlaczego nie mogę wrócić do domu?

Matka uśmiechnęła się tak, jak uśmiechają się rodzice, kiedy chcą pokazać dziecku pewność, której sami nie czują.

– Muszą tylko ustalić, co ci jest.

Elan spojrzał na swoją rękę.

– To dlatego, że jestem złoty?

Matka przestała oddychać.

– Nie.

– W szkole mówili, że krąg czasami jest chory.

– Kto tak powiedział?

– Ktoś.

– Krąg nie jest chorobą.

– To dlaczego tak świeci?

Nie wiedziała.

Przyłożyła do ściany także drugą dłoń.

– Bo twoje ciało walczy.

– Wygra?

– Tak.

Odpowiedziała natychmiast.

Matki bywają pewne także rzeczy, które dopiero się rozstrzygają.

Tymczasem regionalna medyczna AI otrzymała czwarty przypadek.

Potem piąty.

Różne miasta.

Różny wiek.

Podobne odchylenia.

System ustalił słaby związek statystyczny.

Możliwa wspólna cecha dziedziczna.

Nie wysłał jednak ostrzeżenia jako publicznego alarmu.

Najpierw należało wykluczyć zniekształcenia geograficzne, środowiskowe i diagnostyczne.

Po dawnych przypadkach dyskryminacji zakazano wskazywania odłamu genetycznego jako czynnika ryzyka wyłącznie na podstawie małej próby.
System poprosił więc o kolejne dane.

Jeden szpital je udostępnił.

Drugi czekał na zgodę pacjenta.

Trzeci miał inny standard danych.

Czwarty należał do państwa, które nie dopuszczało zautomatyzowanego transgranicznego porównywania cech genetycznych.
Maszyna widziała zarys.

Prawo nie pozwalało jej nakreślić linii.

Późno w nocy do Jesaira dotarła wiadomość z Aurioli.

Znał rodzinę Elana. Nie blisko, lecz wystarczająco, by pamiętać chłopca, który kiedyś podczas zgromadzenia rodowego zapytał go, czy złoty krąg widzi lepsze rzeczy niż zwykłe oczy.

Jesair odpowiedział mu wtedy, że to, co widzą oczy, nie zależy od ich koloru, lecz od odwagi człowieka, by spojrzeć.

Teraz stał przy oknie domu Davionów i słuchał matki Elana.

– Nie chcą mnie do niego wpuścić – powiedziała.

– Jest w izolacji?

– Na razie tylko zapobiegawczej.

– Co mówią lekarze?

– Że nie wiedzą.

W jej głosie było coś, co Jesair znał.

Nie panika.

Miejsce tuż przed nią.

– Przyjadę – powiedział.

– Nie.

Odpowiedź była gwałtowna.

– Jesteś Aurelianinem.

Jesair milczał.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja tylko... jeśli to coś... nie wiemy.

– Rozumiem.

– Elan o ciebie pytał.

– Powiedz mu, że jestem przy nim.

– Ale nie jesteś.

Jesair dotknął szyby.

Za oknem Auriola leżała w ciemności. Stare domy, doliny, archiwa rodowe i drogi, którymi chodziły pokolenia ludzi ze złotym kręgiem.

– Czasami człowiek może być przy drugim także z miejsca, w którym stoi – powiedział.

Kiedy połączenie się zakończyło, został sam.

Na moment przed oczami pojawił mu się obraz.

Tym razem w wizji nie było szpitala ani Elana.

Otworzył się przed nim długi korytarz podzielony przezroczystymi ścianami.

Za każdą z nich leżał człowiek.

Za każdą z nich leżał człowiek.

Nad łóżkami świeciły złote kręgi.

Tysiące.

Potem miliony.

Obraz zniknął.

Jesair chwycił się ramy okna.

– Nie – powiedział w pustkę.

Nie wiedział, komu odpowiada.

W Warstwie rozświetliło się ostrzeżenie zdrowotne.

Nie publiczne.

Wstępne.

System regionalny odnotował niezwykły zbieg przypadków z możliwym związkiem z cechą dziedziczną. Konieczna była dalsza weryfikacja.
Nerai go nie widziała.

Urząd finansowy nie miał dostępu do wstępnych ostrzeżeń zdrowotnych.

Mareia widziała je tylko częściowo.

Archiwum rodowe otrzymało prośbę o potwierdzenie, czy pacjenci należą do spokrewnionych linii.

Szpitale widziały własnych chorych.

Każdy system dostał swój kawałek.

Na pulpicie przed Nerai świeciła finansowa mapa przygotowań.

Na pulpicie przed Mareią – biologiczna mapa pytań.

W sieci medycznej – mapa pierwszych pacjentów.

Między nimi stały prawa, jurysdykcje, zezwolenia i dobre powody, dla których nikt nie miał widzieć wszystkiego.
Rano Elan wciąż miał gorączkę.

Liczba niewyjaśnionych przypadków wzrosła do siedmiu.

Po południu do dwunastu.

Przed zachodem Słońca Elarionu zachorowało pierwsze dziecko w innym państwie.

W systemie figurowało jako oddzielny przypadek.

W rodzinie miało imię.

W historii jeszcze żadnego.

Później ludzie będą szukać chwili, w której zaczęła się Jedna Trzecia.

Będą wskazywać pierwsze publiczne oświadczenie.

Zamknięcie Aurioli.

Dzień, w którym sieć medyczna wypowiedziała nazwę Aurelian.

Pierwsze miasto za przezroczystą ścianą.

Ale katastrofy nie zaczynają się wtedy, kiedy społeczeństwo je nazywa.

Zaczynają się wcześniej.

W pytaniu, które ktoś rozdziela między niewinnych ludzi.

W płatności, którą każdy bank ocenia prawidłowo.

W wyjątku stworzonym dla ochrony życia.

W maszynie, która widzi wzorzec, lecz nie ma prawa połączyć danych.

W człowieku, który jako jedyny zna mapę.

I w gorączce jednego dziecka, której nikt jeszcze nie przypisuje znaczenia historycznego.

Elan otworzył oczy.

Złoty krąg lśnił w nich jaśniej niż wcześniej.

Za przezroczystą ścianą stała jego matka.

Przyłożyła do niej trzy palce.

Chłopiec uniósł rękę i zrobił to samo po drugiej stronie.

Między ich skórą pozostało szkło.

Pierwsza ściana.

Pierwszy zamknięty dom jeszcze nie istniał.

Ale pierwszy pokój już się zamknął.

Część III: zaraza Złotego Kręgu

25. Domy Aurioli

Do rana było ich dwadzieścia troje.

Dwadzieścia troje ludzi z gorączką, której systemy medyczne nie potrafiły dokładnie sklasyfikować.

Dwadzieścia jeden osób spośród nich było Aurelianami.

Jeden miał aureliańskiego ojca, lecz złoty krąg nigdy nie ujawnił się u niego w sposób jednoznaczny.

O ostatniej kobiecie archiwum rodowe nie wiedziało nic. Urodziła się poza Auriolą i nigdy nie ujawniła swojej przynależności rodowej.
W każdym szpitalu przypadki wyglądały inaczej.

W jednym leżało dziecko.

W drugim stara kobieta.

W trzecim dwoje rodzeństwa.

W czwartym mężczyzna, który kilka dni wcześniej pracował na pierścieniu orbitalnym.

Systemy medyczne nie łączyły ich według nazwiska, rasy ani linii rodowej. Łączyły ich według objawów, środowiska, czasu i znanych czynników ryzyka. Przynależność dziedziczna należała do najbardziej wrażliwych danych na Elarionie i można ją było wykorzystać jedynie wtedy, gdy istniało wyraźne uzasadnienie medyczne.
Tego uzasadnienia jeszcze nie potwierdzono.

Dlatego system nie mógł go zakładać.

W szpitalu w Aurioli Elan przestał mówić.

Nie spał. Miał otwarte oczy i śledził światło na suficie, lecz na pytania odpowiadał jedynie ruchem palców. Jeden oznaczał tak. Dwa – nie.
Jego matka stała za przezroczystą ścianą.

– Słyszysz mnie?

Jeden palec.

– Coś cię boli?

Dwa.

– Zimno ci?

Jeden.

Personel medyczny zmieniał metody leczenia wraz ze zmianami jego parametrów. Każdą interwencję oceniał system, porównywano ją z milionami przypadków i sprawdzał ją lekarz.

Nikt nie działał na oślep.

A jednak nikt nie wiedział, przeciw czemu działa.

Elan podniósł rękę.

Przyłożył trzy palce do ściany.

Jego matka zrobiła to samo.

Między nimi były szkło, powietrze i przepis, który nie pozwalał jej wejść.

– Jestem tutaj – powiedziała.

Chłopiec zamknął oczy.

Tego dnia zaczęto zamykać pierwsze domy.

Nie na rozkaz państwa.

Z początku dobrowolnie.

Stare aureliańskie domy rodowe miały własne protokoły sanitarne. Niektóre powstały jeszcze w czasach, kiedy choroby szerzyły się wolniej, a ludzie wierzyli, że rodowe mury potrafią oddzielić czystość od świata. W nowoczesnych czasach stosowano je raczej symbolicznie.

Teraz ich stare bramy zamknęły się naprawdę.

Rodziny przestały posyłać dzieci do szkół.

Pracownicy zostali w domach.

Domowe systemy mierzyły temperaturę, parametry krwi i zmiany złotego kręgu.

W publicznych sieciach pojawiły się pierwsze obrazy oczu.

Zdjęcia tęczówek.

Powiększone złote linie.

Ludzie porównywali je, szukali różnic i zaznaczali miejsca, w których krąg wydawał się szerszy, jaśniejszy lub przerywany.
Personel medyczny wielokrotnie ostrzegał, że wygląd oczu nie jest wiarygodną metodą diagnostyczną.

Nikt nie słuchał.

Strach kocha znaki, które można zobaczyć.

Mareia dotarła do Aurioli jeszcze przed południem.

Jesair czekał na nią przed domem Davionów. Nie miał odzieży ochronnej, tylko prostą jasną maskę wymaganą przez miejscowe przepisy.
– Nie powinieneś tu przyjeżdżać – powiedziała.

– Mieszkam tutaj.

– Wiesz, co mam na myśli.

Jesair spojrzał na zamknięte domy w dolinie.

– Jeśli mam odejść właśnie teraz, ten dom nigdy nie był mój.

– Nie chodzi o dom.

– Wiem.

– Chodzi o ciebie.

– Ja też jestem Aurelianinem.

– Właśnie dlatego.

Mareia podeszła bliżej.

– Jeśli to jest wymierzone w naszą linię, grozi ci większe niebezpieczeństwo niż komukolwiek innemu. Jesteś potomkiem najstarszego znanego rodu. Nie wiemy, co to dokładnie oznacza.
– Może nic.

– A może wszystko.

Jesair patrzył na nią spokojnie.

– Nerai kazała ci mnie przekonać?

– Nerai powiedziała, że jeśli cię nie przekonam, przyjdzie osobiście i cię stąd wywlecze.

– Chciałbym to zobaczyć.

– Ja nie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Mareia obejrzała się w stronę Aurioli.

– Arien mówił o zamykaniu domów, zanim znaliśmy choć jeden przypadek.

– Wiem.

– Jeśli ma z tym coś wspólnego...

– Mamy podejrzenie.

– Ja mam więcej niż podejrzenie.

– Znasz człowieka.

– To mało?

– Nie. Ale nie wystarczyło, żeby zatrzymać świat.

Mareia spuściła oczy.

Jesair dotknął jej ręki.

– To nie twoja wina.

– Widziałam kierunek.

– I powiedziałaś o tym.

– Za późno.

– Przed pierwszą gorączką.

– Nie dość wcześnie.

Jesair wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać. Nie dlatego, że miała rację, lecz dlatego, że w tym wypadku wina nie wybierała według prawdy. Wybierała według bliskości.
Mareia była Arienowi najbliższa.

Dlatego czuła, że powinna była widzieć najdalej.

Dom Davionów otwarto jako centrum koordynacyjne.

Nie szpital.

Nie było tam urządzeń ani lekarzy zdolnych leczyć nową chorobę. Były pomieszczenia, węzły komunikacyjne, własne źródła energii i stare podziemne sale, które można było odizolować od reszty domu.
Jesair odrzucił propozycję rady rodowej, by dom zamknąć dla wszystkich poza członkami najstarszych linii.

– Jeśli otworzymy bramę tylko tym, którzy noszą właściwe nazwisko – powiedział – nie zasługujemy na żadne z nazwisk wiszących na naszych ścianach.
Do domu zaczęły przybywać rodziny, które nie miały dokąd pójść.

Nie wszystkie były chore.

Niektóre tylko przerażone.

Matka z dwoma synami, którą sąsiedzi poprosili, by opuściła wspólny blok mieszkalny.

Stary mężczyzna, któremu odwołano transport do szpitala, ponieważ w innym państwie przestano przyjmować pacjentów z Aurioli.
Młoda kobieta w ostatnich miesiącach ciąży. Jej partner był Selenitą. Dziecko, które nosiła, według badań genetycznych miało być chłopcem.
Aureliańskim chłopcem.

Siedziała w starej bibliotece Davionów, trzymając obie dłonie na brzuchu.

– Przez całe życie marzyłam o synu – powiedziała Marei. – Teraz czuję, jakbym przekazała mu wyrok.
– Przekazałaś mu życie.

– I znak.

– Znak nie jest chorobą.

– Powiedz to tym, którzy będą bali się na niego spojrzeć.

Mareia usiadła naprzeciw niej.

– Jeszcze nie wiemy, co się dzieje.

– Właśnie dlatego się boję.

Kobieta zapatrzyła się w portrety Davionów.

– Myślisz, że kiedykolwiek wyobrażali sobie, iż pewnego dnia ich krąg będzie oznaczał śmierć?

– Nie.

– To po co był?

Mareia spojrzała na złote kręgi namalowane w oczach dawnych ludzi.

– Może nie służył niczemu.

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona.

– Nie wszystko musi mieć cel – ciągnęła Mareia. – Nie wszystko, co dziedziczymy, jest przesłaniem. Czasem to tylko część ciała. Fragment naszej drogi.
– A jeśli ta droga prowadzi nas tutaj?

Mareia nie potrafiła odpowiedzieć.

Późnym wieczorem przyjechała Nerai.

Moduł ochronny wpuścił ją do Aurioli dopiero po trzech weryfikacjach. Była Selenitką, lecz jej matka była Aurelianką, a system przy ograniczonej ilości danych nie potrafił wiarygodnie ocenić, czy mieszane więzi rodowe stanowią zagrożenie.
– Czyli już uważają mnie za dostatecznie aureliańską, żeby mnie sprawdzać – powiedziała, wchodząc do domu Davionów.
– W dzieciństwie by cię to ucieszyło – zauważył Jesair.

– W dzieciństwie byłam głupia.

– W dzieciństwie chciałaś przynależeć.

– To często jedno i to samo.

Uściskali się tylko na chwilę.

Nerai od razu otworzyła warstwy robocze.

– Mamy siedemdziesiąt osiem potwierdzonych przypadków. Ponad dwieście kolejnych czeka na klasyfikację. Większość w Aurioli, ale nie wszystkie.
– Ilu Aurelian? – zapytała Mareia.

– Nie wiemy dokładnie.

– Jak możemy tego nie wiedzieć?

– Nie wszyscy mają publicznie dostępną tożsamość rodową. Nie wszystkie państwa zbierają te dane w ten sam sposób. Niektóre szpitale nie mogą ich udostępnić bez zgody pacjenta.
– A system nadal nie stwierdził związku genetycznego?

– System regionalny oznaczył go jako możliwy.

– A międzypaństwowy?

– Nie ma dostatecznej ilości potwierdzonych danych.

Mareia roześmiała się z oburzeniem.

– Ile ich potrzebuje?

– To zależy od jakości, nie tylko od liczby.

– Ludzie płoną, a maszyny oceniają jakość.

– Maszyny robią to, czego od nich chcieliśmy – powiedziała Nerai. – Nie chcieliśmy, żeby po dziesięciu przypadkach uznawały całą rasę za zagrożenie dla zdrowia.

– Teraz jest ich prawie osiemdziesiąt.

– A za kilka godzin może być osiemset.

W pokoju zapadła cisza.

Jesair spojrzał na siostrę.

– Tak sądzisz?

– Sądzę, że czymkolwiek to jest, nie zaczęło się dzisiaj.

Nerai wyświetliła mapę.

Pierwsze znane przypadki dzieliły wielkie odległości.

Niektóre łączyły węzły transportowe.

Inne więzi rodowe.

Jeszcze inne nic widocznego.

– To już jest poza Auriolą – powiedziała. – Tylko jeszcze nie chcemy tego przyznać.

Na bocznej ścianie domu Davionów uruchomiła się transmisja miejscowych wiadomości. – Władze potwierdzają siedemdziesiąt osiem przypadków nieznanej gorączki – oznajmiła prezenterka. – Personel medyczny odrzuca twierdzenie, że wygląd złotego kręgu wystarczy do rozpoznania zakażenia.

Na krótkim nagraniu matka stojąca przed zamkniętą szkołą pytała, dlaczego ma zostawić dziecko w domu, skoro nie ma ono objawów. Inny rodzic wskazał drzwi aureliańskiego domu i zażądał, żeby postawiono przy nich straż.

Jesair ściszył transmisję. – Oboje boją się o dzieci – powiedział. Nerai nie odpowiedziała. Na jej własnej mapie było już więcej miejsc, niż wymieniła prezenterka.

Wtedy przyszła wiadomość ze szpitala.

Stan Elana się pogorszył.

Jesair wstał.

– Idę tam.

– Nie – powiedziały Mareia i Nerai jednocześnie.

Spojrzał na nie.

– Jego matka jest sama.

– Jest tam personel medyczny – powiedziała Nerai.

– To nie to samo.

– Jeśli się zarazisz, nikomu nie pomożesz.

– A jeśli zostanę tutaj?

– Możesz rozmawiać z ludźmi. Organizować pomoc. Przekonywać ich, żeby przestrzegali zaleceń.

– Czyli mam być głosem, ale nie człowiekiem.

– Masz zostać przy życiu.

Jesair spojrzał na mapę Aurioli.

Potem na zamknięte bramy swojego domu.

– Przez te wszystkie lata ludzie opowiadali mi, czego rzekomo potrafili dokonać moi przodkowie. Leczyli dotykiem. Wchodzili do domów, do których inni bali się wejść. Stali przy chorych.

– I może właśnie dlatego wszyscy umarli – powiedziała Nerai.

Jesair podniósł na nią oczy.

Nie było w tym okrucieństwa.

Tylko strach siostry, która nie chciała jeszcze dopisać go do liczb.

– Nie musisz udowadniać, że jesteś Davionem – powiedziała.

– Nie chcę niczego udowadniać.

– To zostań.

Jesair usiadł.

W szpitalu matka Elana przyłożyła trzy palce do szyby.

Chłopiec już nie podniósł ręki.

Do północy zamknięto kolejne czterdzieści trzy aureliańskie domy.

Do rana było ich ponad tysiąc.

Z początku zamykały się same.

Za kilka dni zaczną je zamykać inni.

26. Systemy bez całości

Saira Oren wiedziała, jak rozmawiają maszyny.

Nie słowami.

Uprawnieniami.

Każdy system informacyjny mógł powiedzieć tylko to, na co pozwalało mu prawo. To, co przechowywał, było mniej ważne niż to, co wolno mu było przekazać dalej.

Saira była architektką międzypaństwowych sieci danych. Projektowała interfejsy między szpitalami, ubezpieczycielami, rejestrami medycznymi i ośrodkami badawczymi. Przez całe życie pracowała nad tym, by dane mogły przepływać między instytucjami, nie zmieniając człowieka w publicznie dostępny obiekt.

Wierzyła w ograniczenia.

Wierzyła w rozdzielone kompetencje.

Wierzyła, że żaden system nie może wiedzieć o człowieku wszystkiego.

Dlatego Nerai ją wezwała.

Spotkały się w centrum kryzysowym Unii.

Na ścianach świeciło pięć map.

Mapa pacjentów.

Mapa więzi rodowych.

Mapa możliwości szpitali.

Mapa przepływów transportowych.

Mapa podejrzanego finansowania.

Żadna nie była pełna.

I żadnych dwóch nie można było bez pozwolenia nałożyć na siebie w całości.

Saira długo im się przyglądała.

– Chcesz, żebym je połączyła – powiedziała.

– Chcę wiedzieć, czy da się je połączyć.

– Technicznie tak.

– A prawnie?

– Nie.

– Nawet w sytuacji nadzwyczajnej?

– Nadzwyczajnego stanu zagrożenia zdrowotnego nie ogłoszono jeszcze na całej planecie. Unia może połączyć własne dane, ale nie cudze rejestry. Archiwa rodowe podlegają odrębnym zasadom ochrony. Dane finansowe – kolejnym.

Nerai wskazała mapę medyczną.

– Potrzebuję tylko sprawdzić, czy pacjenci należą do tych samych gałęzi rodowych, których dotyczą dane zamawiane przez kogoś w projektach badawczych.

– Tylko?

– Nie chcę ich nazwisk.

– Zbieżność bez nazwiska też jest informacją o nich.

– A co z informacją o człowieku, który płacił za te badania?

– Warstwa finansowa go nie zna.

– Właśnie.

Saira podeszła bliżej map.

– Mogę stworzyć tymczasowy most. Każdy system utworzyłby anonimowy identyfikator, a my porównalibyśmy jedynie zgodności.

– Więc zrób to.

– Nie mam uprawnień.

– Kto je ma?

– Wszyscy.

Nerai zmarszczyła brwi.

– To nie jest odpowiedź.

– Przeciwnie. To bardzo precyzyjna odpowiedź. Potrzebujemy zgody nadzoru medycznego, archiwów rodowych, rady międzypaństwowej, co najmniej dwunastu państw i zarządcy danych pozaplanetarnych. Jeśli mamy dodać finansowanie, również zezwolenia sądu.

– Ile to potrwa?

– W zwykłym trybie kilka miesięcy.

– A w nadzwyczajnym?

– Jeśli wszyscy się zgodzą, kilka godzin.

– To ich połączmy.

Saira spojrzała na nią.

– Ludzi czy systemy?

– Jedno i drugie.

Posiedzenie kryzysowe rozpoczęło się szesnaście minut później.

Po jednej stronie siedzieli przedstawiciele urzędów zdrowia.

Po drugiej zarządcy archiwów rodowych.

Dalej prawnicy, przedstawiciele nadzoru bankowego, państw i obrońcy praw obywatelskich.

Każde z nich znało inną część problemu.

I każde bało się innej katastrofy.

Personel medyczny bał się epidemii.

Rady rodowe – dyskryminacji.

Państwa – utraty kontroli.

Prawnicy – precedensu.

Obrońcy praw – systemu, który pewnego dnia mógłby połączyć wszystkie informacje o każdym człowieku.

– Prosimy jedynie o tymczasową korelację – powiedziała Saira. – Bez nazwisk. Bez ujawniania danych poszczególnych osób. Musimy sprawdzić, czy istnieje statystyczna zbieżność między chorymi a cechami genetycznymi badanymi w niedawnych projektach naukowych.

– Kto zobaczy wynik? – zapytał przedstawiciel Therinithu.

– Kryzysowy zespół medyczny.

– A Warstwa?

Nerai odpowiedziała:

– Analitycy finansowi otrzymają tylko informację, czy sprawdzane przez nas projekty mają związek z obecnym zagrożeniem.

– A więc wykorzystacie dane medyczne w dochodzeniu finansowym.

– Wykorzystamy potwierdzenie zagrożenia, żeby ustalić, kto je sfinansował.

– To niebezpieczny precedens.

– Niebezpieczny precedens już leży w szpitalach.

Daren Voltr uczestniczył jako przedstawiciel Rady Monetarnej Związku Północnego. Nie miał bezpośrednich uprawnień do danych medycznych, lecz podczas kryzysów międzypaństwowych reprezentował grupę państw, których systemy finansowe i ubezpieczeniowe miały ponieść część kosztów.

– Nerai – powiedział – rozumiem pilność sprawy. Ale system łączący genetykę, zdrowie i pieniądze jest dokładnie tym systemem, przed którym ostrzegali przeciwnicy Jesaira.

– Jesair proponował widoczność władzy, nie publiczne profile zdrowotne.

– Każdy scentralizowany system zaczyna od stwierdzenia, że chce widzieć tylko władzę.

– W takim razie nie twórzmy scentralizowanego systemu.

– Więc co?

Saira odpowiedziała:

– Tymczasową wymianę dowodów między oddzielnymi węzłami. Dane pozostaną tam, gdzie są. Każdy rejestr odpowie jedynie tak, nie albo wartością statystyczną. Każde zapytanie zostanie zapisane. Pacjent zobaczy później, że jego dane uwzględniono w weryfikacji kryzysowej.

– A może odmówić? – spytała przedstawicielka obrońców praw obywatelskich.

– Nie wstecz.

– W takim razie jego zgoda nic nie znaczy.

– Jeśli będziemy czekać na indywidualną zgodę każdego nieprzytomnego człowieka, niczego nie ustalimy.

– Właśnie tak zaczyna się stan wyjątkowy, który nigdy się nie kończy.

Nerai czuła narastający gniew.

Nie na poszczególnych ludzi.

Każde z nich wyrażało rozsądną obawę.

To było najgorsze.

Gdyby byli głupi, można byłoby ich przekonać.

Gdyby byli skorumpowani, można byłoby ich zdemaskować.

Oni jednak chronili prawdziwe wartości.

Prywatność.

Prawa.

Suwerenność.

Zaufanie.

A kiedy chronili je oddzielnie, między nimi przemieszczała się choroba.

– Zaproponujcie zabezpieczenia – powiedziała Nerai. – Nie odmowę.

– Jakie? – zapytał Voltr.

– Każde zapytanie będzie widoczne dla wszystkich uczestniczących instytucji. Każde wykorzystanie danych pozostawi zapis. Po zakończeniu kryzysu wyniki zostaną zbadane. Kto wykroczy poza określony cel, poniesie osobistą odpowiedzialność.

– To wciąż nie ochroni człowieka przed państwem.

– Nie. Ale państwo nie będzie niewidzialne, kiedy patrzy.

Voltr umilkł.

Pamiętał tę myśl z przemówienia Jesaira.

Kontrolujący widoczny dla kontrolowanego.

Nie była to odpowiedź na wszystko.

Była jednak lepsza niż potajemny dostęp.

Obrady trwały.

Tymczasem liczba przypadków przekroczyła tysiąc.

Medyczna AI Unii wskazała już z wysokim prawdopodobieństwem związek dziedziczny. Jej wniosek dotyczył jednak wyłącznie danych Unii. W dwóch innych państwach wyniki były podobne. W trzech nie mieli jeszcze wystarczającej liczby potwierdzonych pacjentów.

Każdy system znał część.

Żaden nie mógł wypowiedzieć całego zdania.

Saira otworzyła architekturę techniczną.

– Maszyny nie są ślepe – powiedziała. – Mają zawiązane oczy. A każdą opaskę nałożył im człowiek z dobrego powodu.

– Możemy im ją na chwilę zdjąć? – zapytał Voltr.

– Możemy zrobić wąską szparę.

– A kto zdecyduje, jak szeroka ma być?

– Wy.

Nerai pokręciła głową.

– Nie. Zasady. Nie ludzie w tym pokoju.

– Ktoś musi napisać zasady.

– I wszyscy muszą widzieć, kto je napisał.

Po pięciu godzinach zatwierdzili ograniczony most korelacyjny.

Dwanaście państw przyłączyło się od razu.

Dziewięć – warunkowo.

Cztery odmówiły.

Pozostałe poprosiły o dodatkową ocenę prawną.

Archiwa rodowe zgodziły się na porównanie jedynie w postaci zagregowanej.

Mapy finansowej nie można było podłączyć bezpośrednio.

Nerai miała otrzymać jedynie wynik mówiący, czy sprawdzane projekty zawierały cechy genetyczne zgodne z tymi, które pojawiały się wśród pacjentów.

Most ruszył.

Zaczął wysyłać pytania.

Most nie otrzymywał nazwisk.

Pełne profile zdrowotne pozostawały chronione.

Przesyłano jedynie matematyczne dowody zgodności.

Pierwsze wyniki przyszły po dziewięciu minutach.

Związek dziedziczny był silny.

Druga odpowiedź potwierdziła, że niektóre projekty badawcze skupiały się na tych samych cechach rodowych, które występowały wśród pacjentów w nadmiernym nasileniu.

Trzecia wykazała, że część analizowanych cech pojawiała się w różnych liniach aureliańskich, uznawanych poza tym za odległe od siebie.

Nerai wyświetliła mapę finansową.

Fundacje.

BIO-AI.

Laboratoria.

Wyjątki.

Testowanie reakcji.

Logistyka.

Teraz miała pierwszą rzecz łączącą je z chorobą.

Nie dowód zbrodni.

Dowód kierunku.

– Wyślijcie to prokuraturze – powiedziała.

– W jakim trybie? – zapytał Taren.

– Bezpośrednie ryzyko systemowe.

– Wciąż nie znamy sprawcy.

– Znamy zakupy.

– To nie to samo.

– Nie. Ale zakupy istniały wcześniej niż ciała.

Na drugim końcu Nitry Kael Thorne śledził te same wiadomości medyczne co opinia publiczna.

Nie wszystkie.

Miał dostęp do prywatnych prognoz ubezpieczycieli i konsorcjów gospodarczych. Były dokładniejsze od politycznych oświadczeń, ponieważ pieniądze przygotowywały się na katastrofę, zanim państwom wolno było ją nazwać.
Przewidywano setki tysięcy przypadków w ciągu kilku dni.

Być może miliony.

Kael zadzwonił do Ariena.

Tym razem nie pojawił się obraz.

Tylko głos.

– Musimy udostępnić wszystkie wyniki badań – powiedział Kael.

– Dlaczego?

– Ponieważ mogą pomóc personelowi medycznemu.

– Te wyniki są rozdzielone.

– Więc niech pan je połączy.

– Nie mam ich wszystkich.

Kael zamknął oczy.

– To pan je zamówił.

– Zleceniodawcy byli różni.

– Niech się pan nie chowa za własną strukturą.

– Niektóre laboratoria przechowują wyniki według własnych zasad. Niektóre umowy zabraniają dalszego wykorzystania.

– Czyli stworzył pan zagrożenie, którego nie rozumie nawet jego twórca.

Arien długo milczał.

– Nie wszyscy mieli umierać – powiedział wreszcie.

Kael otworzył oczy.

– Kto nie miał umierać?

– Wyniki miały być bardziej precyzyjne.

Na krawędzi stołu jego palce wykonały ruch, który pamiętały z dzieciństwa. Pięć ścianek kostki wyglądało poprawnie. Na ostatniej kilka pól pozostawało nie na miejscu.

Przed bramą ogrodu zoologicznego błagał, by pozwolono mu zacząć od nowa. Teraz patrzył na mapę szpitali. Żaden kolejny ruch nie mógł już przywrócić zmarłych ich domom.

– Ilu się pan spodziewał?

– Wystarczająco wielu.

– To nie jest liczba.

– Wcześniej liczby by pana nie interesowały.

Kael wstał.

– Wcześniej twierdził pan, że to będzie ograniczony kryzys.

– Chciał pan, żeby Elarion bał się świata Jesaira.

– Chciałem go zatrzymać.

– To go zatrzyma.

Kael spojrzał na mapę szpitali.

– Nie. To uczyni z niego to, czego się pan bał.

Arien przerwał połączenie.

Na mapie medycznej zapalały się kolejne punkty.

Systemy już zaczynały je łączyć.

Późno.

Lecz po raz pierwszy razem.

27. Imię, którego bali się wypowiedzieć

Elarion znał siłę nazywania.

Imię mogło chronić człowieka.

Mogło dać mu prawa, przynależność, historię i miejsce w społeczeństwie.

Imię mogło jednak także stać się celem.

Kilka pokoleń wcześniej w dwóch państwach wykorzystywano dane o pochodzeniu przy przydzielaniu pracy i ubezpieczeń zdrowotnych. Aurelian uważano za droższych pacjentów z powodu pewnych cech dziedzicznych. Selenitom odmawiano przyjęcia do służb bezpieczeństwa z uwagi na rzekomo nadmierną wrażliwość. Veyran faworyzowano w administracji i instytucjach finansowych, ponieważ przypisywano im wrodzone zdolności organizacyjne.
Później zniesiono te przepisy.

Pozostała po nich nieufność.

Dlatego przedstawiciele służby zdrowia bali się wypowiedzieć słowo Aurelianin, dopóki związek nie stanie się niewątpliwy.
Kiedy zebrała się Planetarna Rada Zdrowia, liczba potwierdzonych przypadków przekroczyła dwieście tysięcy.

Niemal wszyscy pacjenci byli Aurelianami lub ludźmi o udokumentowanym aureliańskim pochodzeniu.
– Związek statystyczny jest wyraźny – powiedziała główna epidemiolożka Unii. – Mechanizm przyczynowy nie.
– Opinia publiczna nie odróżnia statystyki od przyczyny – zaoponował przedstawiciel Vokorwynu. – Jeśli powiemy, że to aureliańska choroba, ludzie zaczną uważać każdego Aurelianina za jej źródło.
– Jeśli tego nie powiemy – odparła Mareia – nie będą wiedzieli, kto jest zagrożony.

– Zagrożeni są wszyscy.

– Nie w równym stopniu.

– Nie wiemy, czy Aurelianie częściej przenoszą chorobę.

– Wcale też nie twierdzimy, że ją przenoszą.

– Ludzie tego nie usłyszą.

Nerai siedziała obok Sairy i śledziła dwie dyskusje naraz.

W jednej sali ludzie rozmawiali o właściwych słowach.

Tymczasem w szpitalach rozstrzygano, dla kogo wystarczy łóżek.

– Proponuję takie sformułowanie – powiedział Daren Voltr. – Nieznana choroba występująca nierównomiernie w jednej populacji o wspólnych cechach dziedzicznych.
Mareia spojrzała na niego.

– To sposób, żeby powiedzieć Aurelianin, nie wypowiadając tego słowa.

– To precyzyjne sformułowanie.

– Nie. To wygodne sformułowanie.

– Mareio, słowa mogą zabijać.

– Ich brak również.

Przewodnicząca rady uniosła rękę.

– Musimy rozdzielić dwie kwestie. Kogo dotyka choroba i kto może ją rozprzestrzeniać.

– Społeczeństwo ich nie rozdzieli – powtórzył przedstawiciel Vokorwynu.

– W takim razie musimy je tego nauczyć – powiedziała Nerai.

– W czasie paniki?

– A kiedy? Gdy Aurelianie będą już zamknięci w domach?

– Niektóre domy zamknęły się same.

– Bo państwa milczały.

Daren Voltr zwrócił się do niej.

– A co proponujesz?

– Powiedzieć całą prawdę. Że choroba dotyka przede wszystkim Aurelian. Że na razie nie ma dowodów, iż samo aureliańskie pochodzenie oznacza większą zakaźność. Że dyskryminacja zniechęca chorych do zgłaszania się, a tym samym zwiększa zagrożenie dla wszystkich.

– A jeśli jutro okaże się coś innego?

– To jutro o tym powiemy.

– Zaufania nie da się zmieniać codziennie.

– Nasze najtrafniejsze przybliżenia prawdy zmieniają się czasem co godzinę.

Rada nie doszła do porozumienia.

Wydała oświadczenie bez słowa Aurelianin.

Mówiło ono o nierównomiernie rozłożonym w populacji ryzyku zdrowotnym, potrzebie dobrowolnych badań i czasowym ograniczeniu przemieszczania się na obszarach o dużej liczbie zachorowań.

Ludzie sami dopowiedzieli sobie resztę.

W sieciach zaczęło się szerzyć określenie zaraza Złotego Kręgu.

Nikt nie wiedział, kto użył go pierwszy.

Może dziennikarz.

Może przerażony rodzic.

Może ktoś, kto nienawidził Aurelian już wcześniej i tylko czekał na słowo, które zabrzmi jak uzasadnienie.

Nazwa rozchodziła się szybciej niż oficjalne zalecenia.

W Sarurze kierowca modułu transportowego odmówił wpuszczenia aureliańskiej rodziny.

– To nic osobistego – powiedział.

Ojciec pokazał zaświadczenie o ujemnym wyniku badania.

– Mamy pozwolenie.

– Mam w domu dzieci.

– Ja też.

– Właśnie dlatego powinien pan zrozumieć.

Rodzina została na peronie.

Pozostali pasażerowie milczeli.

Jeden stanął w ich obronie.

Był Veyraninem.

– Albo ich pan zabierze, albo wszyscy wysiądziemy.

Nie wysiedli wszyscy.

Wysiadło troje.

W innym mieście grupa ludzi zebrała się przed aureliańskim domem, żądając jego zamknięcia. Kiedy mieszkańcy zgasili światła, tłum zaczął klaskać.

W selenickiej dzielnicy Nitry otwarto ośrodek społecznościowy dla rodzin, które straciły dach nad głową.

Na bramie wejściowej nie było żadnego znaku rodowego.

Tylko zdanie:

Choroba ma ofiary. Strach sam je sobie tworzy.

W szpitalu w Aurioli młoda kobieta urodziła syna.

Dziecko było zdrowe.

Gdy otworzyło oczy, nie było widać złotego kręgu.

Matka odetchnęła z ulgą.

Potem zawstydziła się tej ulgi.

– Jestem okropna – powiedziała Marei, która rozmawiała z nią przez ekran.

– Nie.

– Modliłam się, żeby go nie miał.

– Modliłaś się, żeby żył.

– Czy to to samo?

Mareia nie odpowiedziała.

Dziecko poruszyło się i w mocnym świetle wokół jego źrenicy pojawiła się cienka złota linia.

Matka zaczęła płakać.

Nie dlatego, że kochała je mniej.

Dlatego, że wiedziała: świat od pierwszej chwili będzie w nim widział pytanie.

W Nitrze Nerai spotkała się z kierownictwem Warstwy.

Jej wniosek o natychmiastowe ujawnienie łańcuchów własności projektów ponownie częściowo odrzucono.
Bezpośrednie zagrożenie zdrowia pozwoliło zamrozić niektóre konta.

Nie pozwalało jednak automatycznie ujawnić ostatecznych właścicieli we wszystkich państwach.

– Mamy potwierdzenie, że badali te same cechy genetyczne, z którymi wiąże się choroba – powiedziała Nerai.
– Mamy korelację – poprawił ją prawnik.

– Kto zapłacił za tę korelację?

– Ustalamy to.

– Jak długo?

– Therinith ma trzydzieści dni na odpowiedź.

Nerai się roześmiała.

Nie było w tym nic wesołego.

– Za trzydzieści dni może już nie być komu odpowiadać.

– Nie możemy znosić prawa za każdym razem, gdy pojawia się zagrożenie.

– Nie żądam zniesienia prawa. Żądam, żeby prawo potrafiło zadziałać przed grabarzami.

– Jeśli teraz otworzymy wszystkie chronione fundusze, stworzymy precedens.

– Może potrzebujemy precedensu.

– W kryzysie łatwo wypowiadać takie zdania.

Nerai pochyliła się ku niemu.

– A kiedy, pana zdaniem, należy ujawniać słabości systemu? W spokojnych czasach, gdy nikogo nie obchodzą?

Wieczorem rada zdrowia zebrała się ponownie.

Liczba przypadków przekroczyła dwa miliony.

Tym razem dotarła także wiadomość z Thaeronu.

Troje pracowników w jednej z zamkniętych kopuł miało takie same objawy.

Dwoje było Aurelianami.

Trzecia osoba miała aureliańskiego ojca.

Przewodnicząca rady otworzyła przygotowane oświadczenie.

Wciąż brakowało w nim jednego słowa.

Mareia wstała.

– Jeśli boicie się powiedzieć, kogo zabija choroba, nie chronicie nas przed dyskryminacją. Chronicie siebie przed odpowiedzialnością.

– To niesprawiedliwe – powiedział Voltr.

– Niesprawiedliwe jest również to, że matki poznają prawdę z wiadomości obcych ludzi, podczas gdy państwa mówią o nierównomiernym rozkładzie w populacji.

– Nazwa może wywołać przemoc.

– Przemoc już się zaczęła.

– Może ją nasilić.

– Milczenie czyni ją ślepą.

Jesair połączył się z domu Davionów.

Dotąd milczał.

– Wypowiedzcie ją – powiedział.

Wszyscy zwrócili się ku jego wizerunkowi.

– Jesairze – zaczęła przewodnicząca – musimy rozważyć...

– Jestem Aurelianinem. Mareia jest Aurelianką. Ludzie w szpitalach są Aurelianami. Nie chronicie nas, zamieniając nas w opis.

– A jeśli społeczeństwo zacznie uważać was za zagrożenie?

– To powiedzcie jasno, że jesteśmy ludźmi zagrożonymi, a nie zagrożeniem.

Daren Voltr wpatrywał się w Jesaira.

– A jeśli to nie wystarczy?

– Prawda często nie wystarcza. Kłamstwo tym bardziej.

Rada zmieniła oświadczenie.

Tuż przed północą na wszystkich kanałach publicznych pojawiła się najwyższa przedstawicielka ochrony zdrowia Elarionu.

Chorobę nazwała jedynie opisowo.

Potem nazwała ludzi.

– Dotychczasowe dane wskazują, że nieznana choroba w nieproporcjonalnie dużym stopniu dotyka Aurelian oraz osoby z określonymi aureliańskimi cechami dziedzicznymi.

Następnie przyszły wyjaśnienia.

O przenoszeniu choroby.

O niepewności.

O zakazie dyskryminacji.

O potrzebie natychmiastowych badań i ochrony.

Większość ludzi zapamiętała jednak pierwsze zdanie.

Na ekranach na całej planecie pojawiły się złote oczy.

Świat wreszcie wypowiedział imię ofiar.

A jednocześnie je naznaczył.

28. Złoty Krąg za szkłem

Szkło stało się tworzywem pandemii.

Było w szpitalach.

Na granicach dzielnic.

W węzłach komunikacyjnych.

Między dziećmi a rodzicami.

Między chorymi a ludźmi, którzy chcieli im pomóc.

Było przezroczyste, a jednak oddzielało.

Taki był jego cel.

Na starych zdjęciach z pierwszych dni widać było twarze przyciśnięte do ścian izolatek. Dłonie po obu stronach. Usta poruszające się bez dotyku. Złote kręgi w oczach, które szkło uwydatniało odbiciem szpitalnego światła.

Znak, niegdyś widoczny tylko czasami, podczas gorączki pojawiał się coraz częściej.

Lekarze nie wiedzieli, czy to część choroby, czy jedynie reakcja organizmu.

Ludzi ta różnica nie obchodziła.

Przy wejściach do sklepów zaczęły się pojawiać skanery tęczówek.

Oficjalnie mierzyły temperaturę i podstawowe wskaźniki zdrowia.

Niektóre prywatne placówki zmodyfikowały je tak, by ostrzegały o aureliańskich cechach.

Było to nielegalne.

Właściciele twierdzili, że chronią klientów.

W jednym państwie rząd zakazał takich systemów.

W innym czasowo na nie zezwolił.

W trzecim udawał, że nie wie o ich istnieniu.

Czterdzieści państw.

Czterdzieści odpowiedzi na jeden strach.

W Aurioli Elan otrzymał możliwość połączenia z Jesairem przez kanał medyczny.

Twarz chłopca była drobniejsza, niż Jesair ją zapamiętał. Gorączka odebrała jej dziecięcą pełnię. Oczy miał otwarte, a złoty krąg lśnił w nich tak jasno, że wydawał się nienaturalny.

– Pamiętasz mnie? – zapytał Jesair.

Elan się poruszył.

Jeden palec.

– Twoja mama jest przy tobie.

Chłopiec spojrzał w stronę szyby.

– Powiedziała mi, że pytałeś o krąg.

Wargi Elana się poruszyły.

Głos był słaby.

– Widzi?

Jesair pochylił się bliżej.

– Co?

– Czy widzi lepiej.

Przypomniał sobie ich dawną rozmowę.

– Nie – powiedział. – Krąg nie.

Elan czekał.

– Człowiek widzi tyle, na ile odważy się spojrzeć.

Chłopiec zamknął oczy.

– Ja nie chcę.

– Czego nie chcesz widzieć?

– Jak mama płacze.

Jesair nie umiał odpowiedzieć.

Matka Elana stała po drugiej stronie szyby, zasłaniając dłonią usta.

– Możesz się bać – powiedział Jesair. – Nie musisz być zawsze odważny.

– Ty się boisz?

– Tak.

– Czego?

Jesair spojrzał na matkę chłopca.

Na dane medyczne.

Na własne odbicie w ekranie.

– Że nie będę umiał pomóc.

Elan przez chwilę milczał.

– To jesteśmy tacy sami.

Jesair uśmiechnął się blado.

– Tak.

Personel medyczny przerwał połączenie.

Elan potrzebował kolejnego zabiegu.

Jesair pozostał przed pustym ekranem.

Jego dłonie leżały na stole.

Dłonie Davionów.

Dłonie, o których w starych tekstach pisano, że uśmierzały gorączki.

Teraz nie mogły dotknąć nawet jednego dziecka.

Mareia przyszła z miską gorącej zupy. Jesair jej nie zauważył.

– Jedz. Siedzisz tu od rana.

– Elan zapytał mnie, czy mu pomogę.

– I co powiedziałeś?

– Że się nie rozłączę.

– Nie rozłączyłeś się.

– To nie wyleczy mu płuc.

– Nie. Ale jego matka powiedziała mi, że potem pozwolił przygotować się do zabiegu.

Jesair wziął łyżkę. Tak drżała mu w dłoni, że znów ją odłożył.

– Złości mnie, kiedy ludzie oczekują od Daviona cudu – powiedział. – Dziś przez chwilę sam też na niego czekałem.

Mareia usiadła obok. – Pójdę do jego matki. A ty spróbuj zjeść choć trochę.

Elan zmarł przed świtem.

Jego matki nie było fizycznie przy nim.

Personel pozwolił jej jednak zostać przy szybie.

Kiedy aparatura ucichła, jeszcze długo trzymała na niej trzy palce.

Jesair dowiedział się o jego śmierci kilka minut później.

Nie wydał publicznego oświadczenia.

Nie mówił o pierwszym dziecku, które znał osobiście.

Wyszedł tylko do ogrodu Davionów i stał tam, aż wzeszło Słońce Elarionu.

Tego dnia zmarło kolejnych osiem tysięcy ludzi.

Elan był jedynym, którego imię Jesair znał.

To jedna z najokrutniejszych cech wielkich katastrof.

Liczby rosną.

Ból zawsze pozostaje konkretny.

Jedno łóżko.

Jedna matka.

Jedna dłoń na szybie.

W publicznych sieciach pojawiło się zdjęcie aureliańskiej dziewczynki stojącej za przezroczystą ścianą ośrodka kwarantanny. Miała około dziesięciu lat. Ktoś ostrzygł jej włosy, żeby ułatwić pracę personelowi, a w oczach wyraźnie rysował się krąg.
Po drugiej stronie stał selenicki sanitariusz.

Dziewczynka położyła dłoń na szybie.

On przyłożył swoją naprzeciw niej.

Fotografia obiegła planetę.

Dla jednych była symbolem współczucia.

Dla innych dowodem, że Aurelian trzeba trzymać w odosobnieniu.

Ten sam obraz potrafił podsycać miłość i nienawiść.

Wszystko zależało od tego, co człowiek nosił w sobie, zanim na niego spojrzał.

Arien Korveth zobaczył fotografię.

Powiększył oczy dziewczynki.

Złoty krąg.

Taki sam znak miała Mareia, gdy się gniewała, bała lub skupiała tak głęboko, że przestawała dostrzegać otoczenie.
Na ułamek sekundy przed oczami stanął mu rozbity moduł transportowy. Białe światło. Palce matki w jego dłoni. Głos sanitariusza: aureliański profil regeneracyjny.

Drzwi modułu ratunkowego zamknęły się za obcym dzieckiem. Arien przez wszystkie te lata pamiętał, po której stronie został.
Teraz na fotografii za szybą stało inne dziecko. W oczach miało ten sam krąg. Arien próbował przypomnieć sobie twarz chłopca, którego wtedy zabrano. Zamiast niej widział tylko przerażoną dziewczynkę.
Powiedział sobie, że nie zna tego dziecka.

Że pojedyncze obrazy nie mogą przesłonić celu cywilizacyjnego.

Że każda wielka zmiana ma swoją cenę.

Potem zamknął fotografię.

Po kilku minutach otworzył ją ponownie.

Dziewczynka jeszcze żyła.

To było gorsze.

Umarli już nie patrzyli.

Kael przyszedł osobiście.

Arien go nie wpuścił, lecz Kael nadal miał uprawnienia dostępu, których cofnięcie Arien uważał niegdyś za zbędne.
Drzwi się otworzyły.

– Archiwa badawcze trzeba przekazać radzie zdrowia – powiedział.

– Już panu odpowiedziałem.

– Teraz nie mówię o pańskim planie. Mówię o leczeniu.

– Wyniki są zanonimizowane i rozdzielone.

– Ktoś musi umieć je połączyć.

– BIO-AI.

– Gdzie jest?

– Obliczenia wykonywano w wielu wynajętych środowiskach.

– Gdzie jest model, Arienie?

Arien spojrzał na niego.

– Nie ma jednego modelu.

Kael znieruchomiał.

– To też pan podzielił.

– Tak było bezpieczniej.

– Dla kogo?

Arien nie odpowiedział.

– Chciał pan, żeby nikt nie widział całości – ciągnął Kael. – Ani laboratoria. Ani banki. Ani urzędy. A teraz nawet pan jej nie widzi.

– Widzę rezultat.

– Widzi pan ciała.

Kael wskazał publiczną mapę medyczną.

– To nie jest kontrolowany kryzys.

– Nigdy nie twierdziłem, że obędzie się bez ofiar.

– Nie ogranicza się do Aurelian.

Arien zesztywniał.

– Zgony pośrednie. Przeciążone szpitale. Brak leków. Blokady transportu. Ludzie ze wszystkich odłamów.

– To minie.

– A Aurelianie nie?

– Oni są sednem problemu.

Kael podszedł do niego.

– Nie. Sedno problemu stoi przede mną.

Oczy Ariena się zwęziły.

– To pan otworzył mi konta.

– Tak.

– Zapewnił wyjątki.

– Tak.

– Pańscy ludzie usunęli przeszkody.

– Tak.

Kael wypowiadał każde przyznanie się spokojnie.

Nie próbował się bronić.

– I właśnie dlatego wiem, co zrobiłem.

– Co się zmieniło?

– Skala.

Arien uśmiechnął się gorzko.

– Więc według pana moralność to tylko kwestia liczby.

– Nie. Liczba odebrała panu jedynie możliwość wmawiania sobie, że to, co pan robi, jest polityką.

Arien odwrócił się ku fotografii dziewczynki za szybą.

– Jesair zrobi z tego nowy mit.

– Być może.

– Ludzie zwrócą się do niego.

– Już się zwracają.

– No właśnie.

Kael spojrzał na niego z czymś, co przypominało litość.

– Przez cały ten czas bał się pan, że Jesair będzie uchodził za proroka. Dlatego stworzył mu pan apokalipsę.

Wyszedł.

Arien został sam.

Na ekranie dziewczynka dotykała szyby.

Nie wiedział, czy przeżyła.

Nie chciał się dowiedzieć.

W Aurioli Jesair wrócił do domu dopiero wieczorem.

Na progu czekała na niego matka Elana.

Nie wolno jej było do niego podejść. Była w domowej izolacji.

Stali kilka metrów od siebie.

– Rozmawiał z tobą – powiedziała.

– Tak.

– Bał się.

– Tak.

– Powiedziałeś mu prawdę?

– Próbowałem.

Kobieta skinęła głową.

– Więc zrobiłeś więcej niż my wszyscy.

Jesair spuścił głowę.

– Nie.

– Nie odbieraj mi tego.

Podniósł wzrok.

– Muszę wierzyć, że nie odszedł sam – powiedziała.

Jesair przypomniał sobie zdanie z rodowej księgi.

Nie odchodź sam.

Elan był za szybą.

Matka za drugą szybą.

On na ekranie.

A jednak w ostatniej chwili powstało między nimi coś, czego żadna ściana nie mogła całkiem rozdzielić.

– Nie odszedł – powiedział Jesair.

Tym razem nie wiedział, czy to prawda.

Wiedział tylko, że musi ją wypowiedzieć.

29. Głos Jesaira i Most ku wspólnemu elarowi

Kiedy zawodzi wspólny język, ludzie zaczynają szukać głosu.

Kiedy zawodzi wspólny język, ludzie niekoniecznie szukają głosu najmądrzejszego.

Ani najściślejszego.

Szukają głosu, przy którym na chwilę przestają mieć wrażenie, że świat rozpada się na sprzeczne wskazówki.

Urzędy zdrowia mówiły o izolacji.

Politycy o stabilności.

Banki o płynności.

Rady rodowe o ochronie Aurelian.

Służby bezpieczeństwa o porządku.

Każdy mówił właściwym językiem swojej instytucji.

Nikt językiem całego strachu.

Jesair nie chciał mówić.

Po śmierci Elana odmówił trzech publicznych wystąpień. Twierdził, że nie ma prawa zamieniać śmierci dziecka w przemówienie. Nie chciał stawać przed kamerami, kiedy matka Elana wciąż widziała dłoń syna przyciśniętą do szyby. Nie chciał budować własnego autorytetu z cudzego bólu.

Mareia znalazła go w starej sali rodowej.

Siedział pod portretem Asera Daviona, o którym pisano, że podczas dawnej gorączki chodził od domu do domu. Niektórzy twierdzili, że uzdrawiał. Inni, że tylko zostawał przy chorych, gdy wszyscy pozostali bali się już ich dotknąć.

– Ludzie muszą wiedzieć, co robić – powiedziała Mareia.

– Od tego są lekarze.

– Część społeczeństwa już im nie wierzy.

– Więc mam wierzyć lekarzom za nich?

– Masz im powiedzieć, żeby im wierzyli.

Jesair wstał.

– Dlaczego ja?

– Bo gdy politycy mówią: zostańcie w domach, ludzie słyszą rozkaz. Gdy bankierzy mówią: zachowajcie spokój, słyszą, że ktoś chroni rynki. Gdy powiesz to ty, może usłyszą człowieka.

– Przed tym właśnie broniłem się przez całe życie.

– Przed czym?

– Żeby robiono ze mnie kogoś, kim nie jestem.

– To powiedz im, kim jesteś.

Jesair spojrzał na nią.

– A kim jestem?

– Przerażonym Aurelianinem, który nie potrafi ratować dotykiem.

Mimo wszystko się uśmiechnął.

– Nie brzmi to jak szczególnie pokrzepiający początek.

– To prawda.

Pierwsze wystąpienie Jesaira nie powstało w sali obrad.

Stał w ogrodzie domu Davionów.

Za nim nie było flag, symboli państw ani znaków rodowych. Tylko drzewa, stare mury i dolina, w której zamykały się kolejne domy.

– Nazywam się Jesair Davion – zaczął. – Jestem Aurelianinem. I boję się.

W ciągu godziny zdanie to obiegło całą planetę.

Nie dlatego, że było wzniosłe.

Dlatego, że dawało przyzwolenie.

Miliony ludzi się bały, a od całych tygodni słuchały wyłącznie głosów udających, że strach jest technicznym błędem komunikacji. Jesair był pierwszym znanym człowiekiem, który go nie objaśniał, nie usuwał ani nie ukrywał.

Przyznał się do niego.

– Boję się o ludzi w szpitalach. O rodziny, które pozostały rozdzielone. O dzieci, które patrzą we własne oczy i pytają, czy urodziły się z wyrokiem. Boję się też ludzi, którzy ze strachu zaczynają patrzeć na swoich sąsiadów jak na chorobę.

Zamilkł na chwilę.

– Nie jesteśmy chorobą. Nie jesteśmy też znakiem. Jesteśmy ludźmi.

Złoty krąg w jego oczach był widoczny.

Nie ukrywał go.

– Przestrzegajcie zaleceń zdrowotnych. Nie chodźcie tam, gdzie nie powinniście. Chrońcie siebie i innych. Ale nie mylcie ochrony z poniżeniem. Izolacja chorego może być konieczna. Odrzucenie człowieka z powodu tego, kim się urodził, jest tchórzostwem.
Niektórzy przedstawiciele urzędów zdrowia obawiali się, że słowa Jesaira osłabią dyscyplinę.

Stało się coś innego.

Po jego przemówieniu wzrosła liczba Aurelian dobrowolnie zgłaszających objawy.

Mniej ludzi uciekało z zamkniętych obszarów.

Więcej rodzin zgadzało się na przewiezienie chorych do szpitali, bo po raz pierwszy usłyszały, że podporządkowanie się zaleceniom nie musi oznaczać przyjęcia winy.
W niektórych miastach przemoc osłabła.

Nie wszędzie.

Żaden głos nie potrafi powstrzymać strachu w każdym człowieku.

Lecz na chwilę zmienił się jego kierunek.

Jesair kontynuował regularne wystąpienia.

Nigdy nie nazywał ich przemówieniami.

Rozmawiał z ludźmi.

Z matką, która straciła troje dzieci.

Z veyrańskim lekarzem, którego własna społeczność oskarżała o pomaganie Aurelianom kosztem innych.

Z selenicką pracownicą zakładu pogrzebowego, która przestała liczyć imiona, bo już nie miała siły.
Z aureliańskim starcem twierdzącym, że pandemia jest karą za porzucenie dawnych tradycji.

– Więc karze także dzieci? – zapytał go Jesair.

Starzec nie odpowiedział.

– Jeśli nie potrafimy wyjaśnić cierpienia, nie czyniąc z Boga mordercy dzieci, może nie powinniśmy go wyjaśniać.

Ludzie zaczęli zapisywać słowa Jesaira, przepisywać je i przesyłać dalej.

Im bardziej odmawiał stania się mitem, tym bardziej się nim stawał.

Arien miał rację przynajmniej w jednej kwestii.

Kryzys wzmocnił moralny autorytet Jesaira.

Mylił się jednak co do przyczyny.

Ludzie nie szli za nim ze względu na jego ród.

Szli za nim, ponieważ mówił o strachu, nie wykorzystując go.

Wraz z jego głosem szerzyła się również myśl, którą wypowiedział jakiś czas wcześniej w Nitrze.

Wartość nie może kroczyć w cieniu.

Wtedy brzmiała abstrakcyjnie.

Było to zdanie z publicznego forum, nad którym dyskutowali ekonomiści, prawnicy i bankierzy. Dla większości mieszkańców Elarionu znaczyło mniej niż cena chleba, czynsz czy saldo konta.
Pandemia nadała mu ciało.

Szpitalom kończyły się zapasy.

Nie dlatego, że Elarionowi brakowało mocy produkcyjnych. Zautomatyzowane fabryki potrafiły szybko zwiększać produkcję. Thaerońskie zakłady mogły pracować bez przerwy, a korytarze towarowe nadal działały.
Problem polegał na dostarczeniu produktu tam, gdzie był potrzebny.

Na ścianie centrum kryzysowego leciała lokalna transmisja informacyjna. Autonomiczne pojazdy z urządzeniami do wspomagania oddechu stały na granicy; w szpitalu po drugiej stronie rozdzielano już ostatnie wolne aparaty.
– Urządzenia wyprodukowano wczoraj – mówiła reporterka. – System transportowy zna trasę. Węzeł rozliczeniowy odmawia jednak potwierdzenia płatności.
Pod obrazem widniała przyczyna: NIEUZGODNIONE POKRYCIE RYZYKA KURSOWEGO.

Dostawca obawiał się, że po spadku kursu waluty nie odzyska nawet tego, co zapłacił za materiały. Państwo odmawiało przejęcia całego ryzyka. Oba systemy natychmiast obliczyły kwoty, lecz każdy czekał na zobowiązanie drugiej strony.
– Kiedy pojazdy ruszą dalej? – zapytała reporterka dyrektorkę szpitala.

– Kiedy ktoś podpisze się pod różnicą w cenie – powiedziała kobieta. – Ja mogę podpisać tylko odbiór urządzeń.

Saira ściszyła transmisję. Na mapie kryzysowej widziała gotowy towar, wolne korytarze i decyzję, do której podjęcia żaden system rozliczeniowy nie miał uprawnień. Szybkość maszyn niczego tu nie zmieniała.

Ludzie zaczęli pytać.

Dlaczego urządzenia stoją na granicy, skoro w szpitalu za nią nie ma już wolnych aparatów?

Kto ponosi koszt godzin straconych na podejmowaniu decyzji?

Zdanie Jesaira pojawiało się pod wiadomościami o zatrzymanych przesyłkach, niewyjaśnionych opłatach i pustych magazynach.

Wartość nie może kroczyć w cieniu.

Ludzie je przekształcali.

Jeśli pieniądze zatrzymują lek, musimy widzieć, gdzie się zatrzymały.

Powstawały grupy dyskusyjne, inicjatywy obywatelskie i nieformalne sieci pracowników ochrony zdrowia, programistów i ekonomistów. Jedni żądali ujawnienia wszystkich płatności publicznych. Inni proponowali otwarte rejestry ostatecznych właścicieli spółek. Jeszcze inni domagali się, by każdy obywatel widział, kto i kiedy uzyskał dostęp do jego danych finansowych.

Nerai rozpoznawała w tych propozycjach własne słowa.

Nie szerzyły się już pod jej nazwiskiem.

Ani pod nazwiskiem Jesaira.

Rozeszły się między ludzi i zaczęły żyć własnym życiem.

Idea przejrzystości zyskiwała popularność nie dlatego, że mieszkańcy Elarionu nagle stali się moralnie doskonalsi.

Zyskiwała ją dlatego, że brak przejrzystości zaczął boleć.

W tym czasie od kilku lat istniała już spółka Most.

Przed pandemią mało kto o niej wiedział.

Założyła ją Lera Vain wraz z dwoma programistami systemów płatniczych, byłą analityczką bankową, specjalistą od zapisów kryptograficznych i prawniczką, która wcześniej pracowała nad zasadami rozliczeń transgranicznych.

Początkowo nie chcieli stworzyć nowej waluty.

Chcieli uprościć płatności między państwami Elarionu oraz między Elarionem a Thaeronem.

Zwykła płatność transgraniczna przechodziła przez kilka banków. Każdy znał tylko własny odcinek. Użytkownik widział kwotę, którą wysłał, i czasem nawet nie wiedział dokładnie, ile ostatecznie otrzyma odbiorca.
Most miał być warstwą tłumaczącą.

Człowiek miał widzieć ostateczną cenę jeszcze przed zatwierdzeniem płatności.

Miał widzieć kurs.

Opłatę.

Czas doręczenia.

A także to, ile otrzyma odbiorca.

Jeszcze przed pandemią projekt zaczął się jednak zmieniać pod wpływem publicznych debat o przejrzystości.
Lera oglądała wystąpienie Jesaira w Nitrze. Później przeczytała komentarz analityczny Nerai Sael mówiący, że władza finansowa musi być widoczna, ale widoczny musi być również każdy, kto ją kontroluje.
Zespół Mostu stopniowo przeprojektował cały system.

Każda płatność miała tworzyć nieusuwalny zapis.

Nie publiczny zapis wszystkich osobistych zakupów.

To zniszczyłoby prywatność zwykłego człowieka.

Publicznie miały być widoczne zasady systemu, rezerwy spółki, duże przepływy, powiązania własnościowe i transakcje przekraczające progi władzy społecznej.
Prywatne płatności pozostawały prywatne.

Przy każdym wglądzie w swoje dane użytkownik widział jednak, kto je otworzył, na podstawie jakiego uprawnienia i kiedy.
Jeśli bank zatrzymał płatność, musiał podać powód.

Jeśli oznaczył ją system automatyczny, znana musiała być reguła, którą zastosował.

Jeśli ktoś otrzymał zwolnienie z obowiązku ujawnienia, system zapisywał, kto je zatwierdził i do kiedy obowiązywało.

Żaden rząd nie miał samodzielnie panować nad całą siecią.

Protokół był otwarty.

Zapisy weryfikowało wiele niezależnych węzłów prowadzonych przez banki, uniwersytety, stowarzyszenia obywatelskie i instytucje audytorskie w różnych państwach.
Most miał własną radę kontrolną, ale nie mógł zmieniać historii płatności ani usuwać zapisu własnej decyzji.
Lera wyjaśniała swoją wizję prosto:

– Nie chcemy zbudować oka, które widzi wszystkich, a samo pozostaje niewidoczne.

Inwestorzy odpowiadali jej, że ludzie nie chcą filozofii.

Chcą wygody.

Banki twierdziły, że ujawnienie rezerw, opłat i powiązań własnościowych naruszy tajemnicę handlową.
Regulatorzy ostrzegali, że prywatna spółka nie może sprawiać wrażenia planetarnej infrastruktury finansowej.
Most długo pozostawał więc niewielki.

Korzystały z niego firmy technologiczne, kilku kupców na Thaeronie i grupy ludzi regularnie przesyłających pieniądze między państwami.
System działał, lecz nie miał powodu, by się rozwijać.

Potem przyszła pandemia.

Pierwszymi nowymi użytkownikami nie były rządy ani duże szpitale.

Byli nimi wolontariusze.

Jedna grupa obywatelska zbierała pieniądze na filtry ochronne dla szpitali na zamkniętych obszarach aureliańskich. Wpłaty nadchodziły z siedmiu państw w sześciu walutach.
Przy zwykłej procedurze musieliby prowadzić kilka kont, wielokrotnie wymieniać pieniądze i czekać na potwierdzenia banków pośredniczących.
Przez Most mogli przyjmować wszystkie płatności na jedno saldo.

System wyrażał je w elarach.

Elar początkowo nie był samodzielną walutą.

Był jednostką sieci Most, opartą na publicznie zdefiniowanym koszyku energii, surowców i głównych walut Elarionu. Jego wartość nie zmieniała się na mocy decyzji jednego państwa ani jednego banku centralnego.
Za każdym elarem Most utrzymywał rezerwy w istniejących walutach
i krótkoterminowych płynnych aktywach.

Skład rezerw był jawny.

Każdy mógł sprawdzić, czy liczba elarów w obiegu ma rzeczywiste pokrycie.

Wolontariusz widział sto elarów.

Darczyńca mógł zapłacić lokalną walutą.

Producent filtrów mógł otrzymać swoją walutę albo zachować elary.

Dla użytkownika była to jedna płatność.

W tle nadal spotykało się wiele systemów finansowych, ale ciężaru ich złożoności nie dźwigał już człowiek przy kasie.

Pierwsza zbiórka zakończyła się w kilka godzin.

Każdy darczyńca widział, ile elarów wpłynęło.

Widział łączną kwotę.

Widział zamówienie filtrów.

Widział producenta, cenę, opłatę i potwierdzenie dostawy.

Nie widział nazwisk chorych ani drobnych osobistych darowizn innych ludzi.

Widoczna była droga wspólnych pieniędzy.

Wieść o zbiórce się rozeszła.

Kolejna organizacja skorzystała z Mostu, by kupić leki na Thaeronie.

Potem grupa lekarzy, by zapewnić zakwaterowanie personelowi medycznemu z zagranicy.

Później mniejszy szpital, który nie potrafił zapłacić dostawcy w żądanej walucie.

Most wchodził najpierw tam, gdzie zwykłe systemy zawodziły.

Nie dlatego, że ludzie ufali mu bardziej niż bankom.

Dlatego, że pokazywał to, czego banki nie pokazywały.

Ile kosztuje płatność.

Którędy przejdzie.

Kiedy dotrze.

Ile otrzyma odbiorca.

I kto ją ewentualnie zatrzymał.

Kiedy opóźniła się jedna dostawa kombinezonów ochronnych, jawny zapis pokazał, że płatności nie zatrzymał ani sprzedawca, ani przewoźnik. Wstrzymał ją bank pośredniczący, żądając dodatkowego potwierdzenia pochodzenia pieniędzy.
Bank nie mógł twierdzić, że problem powstał gdzie indziej.

Jego decyzja miała nazwisko, czas i powód.

Uzupełnił dokument w ciągu godziny.

Płatność ruszyła dalej.

Przy innym zakupie okazało się, że dostawca podniósł cenę tuż przed zatwierdzeniem zamówienia. Twierdził, że zmienił się kurs jego waluty.
Zapis Mostu pokazał, że kurs niemal się nie zmienił.

Dostawca przywrócił poprzednią cenę.

Nie dlatego, że stał się uczciwszym człowiekiem.

Dlatego, że jego wyjaśnienie można było sprawdzić.

Stopniowo do sieci dołączały większe organizacje.

Najpierw fundusze charytatywne.

Potem regionalne sieci szpitali.

Potem producenci, którzy nie chcieli zarządzać kontami w dziesiątkach walut.

Dla kupca korzystne było to, że mógł podać jedną cenę w elarach i zdecydować, czy przyjmie elary, czy lokalną walutę.
Dla szpitala korzystne było to, że mógł porównywać ceny dostawców bez ciągłego przeliczania kursów.
Dla darczyńców ważne było to, że widzieli, dokąd trafiły wspólne pieniądze.

Dla zarządzających szpitalami niewygodne było to, że ich decyzje pozostawały zapisane.

Właśnie to zwiększało jednak zaufanie pozostałych.

Niektóre państwa próbowały zakazać Mostu.

Twierdziły, że prywatna spółka nie może stworzyć jednostki, która zaczyna konkurować z walutą państwową.
Zakaz napotkał jednak praktyczny problem.

Most nie żąda od państw, by wyrzekły się swoich walut.

Kupiec nadal mógł otrzymywać rodzimą walutę.

Podatki wciąż płacono zgodnie z miejscowym prawem.

Banki pozostawały uczestnikami rozliczeń.

Most umożliwiał tylko użytkownikom przechowywanie i przesyłanie jednej wspólnej wartości, jawnie pokazując, co się z nią dzieje.
Gdy jedno państwo go zablokowało, szpitale zwróciły uwagę, że przez sieć kupują część zagranicznych dostaw.
Organizacje wolontariackie opublikowały porównanie.

Zwykły przelew trwał dwa dni i tracił cztery procent wartości.

Płatność przez Most docierała w kilka sekund, a jej pełny koszt był znany z góry.

Po trzech dniach w zakazie wprowadzono czasowy wyjątek dla transakcji medycznych.

Podobne wyjątki pojawiły się także gdzie indziej.

Nie przyjmowano ich jako reformy walutowej.

Przyjmowano je jako środki kryzysowe.

Jeden wyjątek pozwolił szpitalom przyjmować elary.

Kolejny umożliwił ubezpieczycielom opłacanie przez Most świadczeń transgranicznych.

Inny pozwolił funduszom publicznym publikować w sieci podział pomocy.

Nikt nie zadecydował, że elar stanie się walutą planetarną.

Rozstrzygano jedynie poszczególne praktyczne przypadki.

Każdy z nich usuwał jedną przeszkodę.

Jesair po raz pierwszy zabrał głos w sprawie Mostu dopiero wtedy, gdy korzystały już z niego miliony ludzi.

Nie chciał, żeby jego nazwisko stało się reklamą prywatnej spółki. Widział jednak zarazem, że system urzeczywistnia znaczną część tego, o czym mówił w Nitrze.
– Nie wiem, czy jedna spółka powinna być odpowiedzią na problem całej planety – powiedział podczas wystąpienia. – Każda władza potrzebuje przeciwwagi, także ta, która twierdzi, że jest przejrzysta.
Potem spojrzał prosto w kamerę.

– Ale zwróćcie uwagę, dlaczego ludzie korzystają z Mostu. Nie dlatego, że pragną kolejnego banku. Korzystają z niego, ponieważ widzą cenę, zasady, opłaty i decyzje. Kiedy ktoś zatrzymuje ich płatność, nie zostaje po nim wyłącznie cisza.
Na moment umilkł.

– Kiedy jesteśmy zdrowi, pozwalamy wartości kroczyć w cieniu i nazywamy to wygodą. Teraz, gdy każde urządzenie oznacza oddech, a każda dostawa czas, chcemy widzieć, gdzie wartość się zatrzymała. Może zawsze powinniśmy byli tego chcieć.

Liczba użytkowników Mostu znów wzrosła.

Lecz nie tylko dzięki słowom Jesaira.

System miał już własny dowód.

Dostawy, które dotarły wcześniej.

Zbiórki, w których pieniądze nie zginęły.

Szpitale, które mogły dokonywać zakupów w jednej jednostce.

Dostawców, którzy otrzymali płatność bez wielodniowego czekania.

Kiedy szpitalne stołówki zaczęły korzystać z Mostu, dołączyli ich dostawcy żywności.

Kiedy dołączyli dostawcy, elary zaczęli przyjmować ich pracownicy.

Kiedy personel medyczny otrzymywał część dodatków kryzysowych w elarach, zaczął pytać, gdzie można nimi płacić.

Jako pierwsze zaczęły je przyjmować sklepy przy szpitalach.

Potem przewoźnicy.

Hotele pracownicze.

Apteki.

Drobny kupiec nie potrzebował już konta w każdej walucie. Wystarczyło mu połączenie z Mostem. Cenę mógł podawać zarówno w lokalnej walucie, jak i w elarach, a system automatycznie rozliczał jego przychód zgodnie z wybraną opcją.

Początkowo większość kupców zlecała natychmiastową wymianę elarów.

Później zatrzymywała część z nich.

Wiedzieli, że wykorzystają je przy kolejnym zagranicznym zakupie.

Elar przestawał więc tylko przechodzić przez system.

Zaczynał w nim krążyć.

Ludzie nadal mogli gromadzić oszczędności w lokalnej walucie.

Mogli otrzymywać w niej wynagrodzenie.

Mogli płacić w niej podatki.

Lecz jadąc do innego państwa, nie musieli już wymieniać pieniędzy.

Otwierali Most.

Widzieli to samo saldo.

Płacili elarami.

Kupiec otrzymywał elary albo swoją rodzimą walutę.

Tak samo płacono w Nitrze, w Sarurze i pod kopułami Thaeronu.

Nie była to jeszcze jedyna waluta Elarionu w świetle prawa.

Państwa jej nie emitowały.

Banki centralne nią nie zarządzały.

Wiele rządów wciąż nazywało ją jedynie jednostką płatniczą prywatnej sieci.

Dla człowieka przy kasie różnica ta stopniowo traciła jednak znaczenie.

Miał jedną cenę.

Jedno saldo.

Jedną płatność.

I w przeciwieństwie do dawnych systemów mógł zobaczyć reguły, według których pieniądze przechodziły od niego do drugiego człowieka.
Most rozwijał się także dlatego, że nie podawał się za doskonały.

Jego założyciele ujawnili strukturę własnościową spółki.

Nazwiska inwestorów.

Wielkość ich udziałów.

Umowy z bankami.

Skład rezerw stanowiących pokrycie elara.

Wynagrodzenia członków kierownictwa.

A także każdą zmianę zasad, według których obliczano opłaty i wartość koszyka rezerwowego.

Kiedy do sieci próbował przystąpić fundusz o nieznanym ostatecznym właścicielu, Most mu odmówił.

Fundusz wniósł pozew o dyskryminację.

Most opublikował powód decyzji.

Nie odrzucił funduszu dlatego, że był bogaty.

Odrzucił go dlatego, że nie dało się ustalić, kto za jego pośrednictwem zyskuje władzę.

Spór śledziła cała planeta.

Dla wielu ludzi był pierwszym konkretnym przykładem różnicy między prywatnością a skrytą władzą.

Zwykły człowiek mógł zapłacić za lek, nie ujawniając całemu światu swojego nazwiska.

Fundusz kupujący szpitale nie mógł jednak ukryć właściciela za czternastoma spółkami.

Myśli Jesaira i Nerai przestały więc być tylko tekstem.

Przybrały postać systemu.

Każdy wgląd pozostawiał ślad.

Każda wielka władza finansowa miała ostatecznego właściciela.

Każdy wyjątek miał autora i termin wygaśnięcia.

Drobne płatności osobiste pozostawały prywatne.

Duże przepływy wpływające na życie innych były widoczne.

Reguły były otwarte.

Operator sieci nie mógł kontrolować innych, samemu nie podlegając kontroli.

Ludzie przyzwyczajali się do tej widoczności.

Najpierw w związku z pandemią.

Potem przy żywności.

Przy energii.

Przy transporcie.

Przy zbiórkach charytatywnych.

Przy zakupach między Elarionem a Thaeronem.

Stopniowo zaczęli pytać, dlaczego podobne zasady nie obowiązują także dawnych banków.

Dlaczego państwo potrafi wykazać każdy ich dochód, lecz nie potrafi wskazać ostatecznego beneficjenta zamówienia publicznego.

Dlaczego Most potrafi codziennie ujawniać swoje rezerwy, a banki centralne publikują niektóre decyzje dopiero po miesiącach.

Dlaczego przy płatności w elarach widzą całą opłatę z góry, podczas gdy przy tradycyjnym przelewie część kosztów ujawnia się dopiero po stronie odbiorcy.

Przejrzystość nie była już tylko postulatem moralnym.

Stała się doświadczeniem użytkownika.

Kael Thorne śledził rozwój Mostu z gabinetu, w którym wszystkie okna ustawiono w trybie nieprzezroczystym.

Vesta jeszcze nie pojawiła się w systemie.

Dawne przepływy finansowe pozostawały ukryte w bankach, funduszach i państwach chroniących właścicieli. Most widział tylko wartość, która przeszła przez jego sieć.

Ludzie przyzwyczajali się jednak do czegoś, co było dla Kaela groźniejsze niż śledztwo.

Do porównywania.

Kto raz zobaczył pełną opłatę, zaczynał pytać, dlaczego gdzie indziej jej nie widzi.

Kto raz poznał ostatecznego właściciela, zaczynał podejrzliwie patrzeć na spółki, które go ukrywały.

Kto raz zapłacił tą samą jednostką w każdym państwie, zaczynał pytać, po co mu trzydzieści walut.

Śledztwo dało się spowolnić.

Komisje dało się przytłoczyć nadmiarem spraw.

Sądy dało się zająć sprzeciwami.

Polityków dało się przekonać, żeby czekali.

Przyzwyczajenia nie dało się jednak tak łatwo cofnąć.

Gdyby Most pozostał tylko narzędziem personelu medycznego i wolontariuszy, po pandemii być może by zniknął.

Ale już nim nie był.

Korzystały z niego rodziny.

Kupcy.

Producenci.

Przewoźnicy.

Pracownicy na Thaeronie.

Ludzie, którzy nigdy nie czytali przemówienia Jesaira i nie znali nazwiska Nerai Sael.

Nie używali elara dlatego, że ucieleśniał filozofię przejrzystości.

Używali go dlatego, że działał.

Dopiero później uświadamiali sobie, że działał właśnie dlatego, iż ujawnił znaczną część tego, co dawne systemy skrywały.
Kael zrozumiał, że Arien nie tylko wywołał katastrofę.

Stworzył warunki, w których myśl Jesaira mogła stać się narzędziem codziennego użytku.

Pokazał ludziom cenę ciemności.

I zmusił ich do wypróbowania systemu, który w spokojniejszych czasach odrzuciliby jako zbyt śmiały, zbyt otwarty albo zbyt niebezpieczny dla starego porządku.
Czasem człowiek próbuje zniszczyć przyszłość i właśnie przez to usuwa wszystko, co dotąd nie pozwalało jej powstać.

30. Jedna Trzecia

Najpierw liczono przypadki.

Potem łóżka.

Potem systemy tlenowe, zapasy leków, wolne izolatki i ludzi, którzy jeszcze potrafili pracować.

Na końcu zostali zmarli.

Dopóki było ich niewielu, podawano dokładne liczby.

Siedemset czterdzieści dwa.

Jedenaście tysięcy dziewięćset osiem.

Dwa miliony czterysta tysięcy.

Każda liczba potrafiła jeszcze udawać w ludzkim umyśle, że oznacza liczbę ludzi.

Potem przyszły dziesiątki milionów.

Setki milionów.

I ciała stały się krzywą.

Rośnie.

Opada.

Przyspiesza.

Przesuwa się na północ.

Dotarła do Vasýrii.

Uderzy w Thaeron.

Ludzki umysł nie potrafi udźwignąć miliarda osobnych śmierci.

Musiałby wyobrazić sobie miliard łóżek.

Miliard ostatnich oddechów.

Miliard drzwi, za którymi ktoś pozostał, czekając na człowieka, który już nie wróci.

Miliard niedopitych naczyń przy łóżkach.

Miliard zdań, które miały znaleźć ciąg dalszy rano.

Dlatego zamienił je w liczbę.

A liczbę w linię.

Pandemia rozlała się z Aurioli na wszystkie państwa Elarionu.

Nie wszędzie tak samo.

Obszary, które pozwoliły systemom ochrony zdrowia wymieniać dane, zyskały kilka dni. Lekarze wiedzieli, gdzie pozostały zapasy. Widzieli wyniki leczenia w szpitalach po drugiej stronie planety. Algorytmy porównywały miliony przebiegów choroby, nie znając nazwisk ludzi, których dotyczyły.

Lekarze stopniowo odkrywali również, dlaczego same obliczenia nie wystarczają. U wielu chorych wywoływała gwałtowną reakcję obronną, która uszkadzała naczynia krwionośne i ponownie atakowała narządy, ledwie udało się je ustabilizować. Od ostrzeżenia do nieodwracalnej niewydolności krążenia pozostawały czasem godziny. Terapie regeneracyjne wymagały stabilnego stanu pacjenta i całych dni. Udostępnione dane dawały niektórym ludziom czas; nikomu nie mogły zwrócić tego, który już stracił.

Kilka państw zamknęło dostęp do danych.

Mówiły o suwerenności.

O ochronie obywateli.

O niebezpieczeństwie, że infrastruktura kryzysowa po pandemii pozostanie w rękach Unii.

Niektóre z tych obaw były uzasadnione.

Choroby nie obchodziło jednak, jaki powód prawny miał człowiek, by zamknąć przed nią dane.

W tych krajach poruszała się w ciemności o kilka dni dłużej.

A kilka dni podczas Jednej Trzeciej było całą epoką.

Na Thaeronie pierwsze przypadki pojawiły się w kopułach połączonych z orbitalnym systemem zaopatrzenia.

Zarządcy natychmiast zamknęli korytarze transportowe.

Tyle że Thaeron był światem istniejącym dzięki nieustannej umowie między człowiekiem a maszyną.

Kopuły potrzebowały wody.

Surowców biologicznych.

Części zamiennych.

Ogniw energetycznych.

Filtrów.

Mieszanin chemicznych.

Każda droga, którą zamykali przed chorobą, była zarazem drogą, którą docierało coś potrzebnego do życia.
Na Elarionie wieś mogła zapomnieć o państwie i przeżyć kilka dni.

Na Thaeronie nie dało się zapomnieć nawet o pompie.

Dlatego przyjęto tam kryzysowego elara szybciej niż na macierzystej planecie.

Każda dostawa miała publiczny zapis.

Każda decyzja autora.

Każda odmowa powód.

Zarządcy kopuł początkowo protestowali. Twierdzili, że system ujawnia zapasy strategiczne.

Potem okazało się, że jeden z zarządców przekierował wodę do prywatnego sektora mieszkalnego, w którym żyła jego rodzina i ludzie powiązani z jego radą.
Zapis był widoczny dla każdego.

Protesty osłabły.

Tymczasem na Elarionie zaczęła się walić nie tylko sieć ochrony zdrowia.

Rozpadał się także dawny sposób mierzenia wartości.

Nie w jednym wielkim krachu.

W tysiącach drobnych załamań.

Waluty państw o wysokim odsetku Aurelian gwałtownie słabły. Rynki liczyły przyszłych zmarłych wcześniej niż szpitale. Przewidywały spadek produkcji, ubytek wpływów podatkowych, deficyty budżetowe i wzrost kosztów.
Słabsza waluta podnosiła cenę zagranicznych leków.

Droższe leki zwiększały zadłużenie państwa.

Wyższe zadłużenie osłabiało walutę.

Im więcej ludzi umierało, tym więcej pieniędzy potrzeba było, by ich ratować.

A im więcej pieniędzy potrzeba było, tym mniejszą miały wartość.

Otwarta warstwa kryzysowa stopniowo pokazywała, kto odmówił przyjęcia dostawy, kto zmienił cenę i kto mógł uruchomić rezerwę na pokrycie różnicy kursowej. Ludzie

widzieli skutek decyzji w szpitalu, który czekał na dostawę. Spory nie zniknęły, ale przestały kryć się za anonimowym statusem płatności.

Widoczność nie potrafiła wyprodukować leku, którego nikt jeszcze nie odkrył.

Nie przywróciła personelu medycznego.

Nie stworzyła tlenu w pustym zbiorniku.

Nie uczyniła z ludzi istot wolnych od chciwości, strachu i egoizmu.

Usunęła jednak jedno zdanie, za którym przez całe stulecia kryły się jednostki, spółki i rządy.

Nie wiedzieliśmy.

Po pierwszym miesiącu elara przestano używać wyłącznie do zakupu urządzeń medycznych.

Najpierw płacono nim za energię dla szpitali.

Potem za żywność dla zamkniętych regionów.

Potem za transport pracowników.

Potem za surowce biologiczne.

Rady monetarne protestowały.

Daren Voltr wystąpił przed wspólnym zgromadzeniem.

Był bledszy niż kilka tygodni wcześniej. Jego rodzina również miała już swoich zmarłych.

– Z awaryjnego narzędzia rozliczeniowego robimy walutę – powiedział. – Bez banku centralnego. Bez mandatu. Bez porozumienia o stabilności regionalnej. Robimy to w samym środku strachu, kiedy ludzie zgodzą się niemal na wszystko, co nosi nazwę ratunku.

Nerai siedziała naprzeciw niego.

– Dlatego każda reguła jest widoczna.

Voltr pokręcił głową.

– Widoczność nie oznacza legitymizacji.

– Nie – odparła. – Ale jeśli nie widzimy, kto zmienia reguły, nie możemy nawet ocenić ich legitymizacji.

– Wspólna wartość może zniszczyć słabsze regiony.

Nerai otworzyła trzy zapisy.

Trzy dostawy.

Trzy płatności zatrzymane w przeliczeniach walutowych.

– Rozdrobnione wartości niszczą je dzisiaj.

– To retoryka.

Przesunęła dane na wspólny ekran.

– To są rachunki.

Voltr długo na nie patrzył.

Jego zastrzeżenia nie zniknęły.

I nie powinny były zniknąć.

Nerai zdawała sobie sprawę, że świat, w którym każdy opór znika pod wpływem słusznego argumentu, byłby równie niebezpieczny jak świat, który chciała zmienić.

– Kto będzie zarządzał elarem po pandemii? – zapytał Voltr.

Nerai przez chwilę milczała.

– Może nikt.

– Nie ma czegoś takiego jak nikt.

To zdanie ją zatrzymało.

Było prawdziwe.

Za każdym systemem pozostawał człowiek.

Albo grupa ludzi.

Albo reguła, którą ktoś kiedyś napisał.

– Musimy więc zbudować go tak – powiedziała – żeby jeden człowiek nie mógł go posiadać.

Saira otworzyła projekt.

Węzły rozdzielone między państwa.

Publiczne obliczanie wartości.

Pełna historia zmian.

Żadnej tajnej korekty kursu.

Dostęp pozostawiający ślad.

Rozdzielone uprawnienia.

Publiczna kontrola decyzji rad monetarnych.

Model awaryjny.

Niedoskonały.

Powstający pośród zmarłych.

A jednak w jego fundamentach pojawiało się coś, czego Elarion dotąd nie znał.

Wartość, która nie musiała poruszać się w ciemności.

I władza, która zaczynała przywykać do nieprzyjemnego poczucia, że ktoś ją widzi.

Jesair tymczasem kontynuował wystąpienia.

Mareia dostrzegła jego zmęczenie, zanim sam się do niego przyznał.

Po jednej z transmisji pozostał przed wygaszonym ekranem.

Nie ruszał się.

– Jesairze?

Odwrócił się do niej, jakby wracał z bardzo daleka.

– Co się stało?

– Właśnie o to pytam.

– Jestem tylko zmęczony.

– Musisz odpocząć.

– Odpoczywam.

– Kiedy?

Uśmiechnął się.

– Między katastrofami.

Mareia się nie uśmiechnęła.

Na zewnątrz padało.

Deszcz spływał po wysokich oknach domu Davionów, a światła doliny załamywały się w kroplach w długie, cienkie strugi.

– Jedź ze mną do Nitry.

Jesair spojrzał za okno.

– A ludzie tutaj?

– Będą mieli łączność.

– Elan miał łączność.

Mareia zamilkła.

Jesair natychmiast spuścił wzrok.

– Przepraszam.

– Nie musisz.

– Nie powinienem był tego mówić.

– Ale tak myślisz.

Skinął głową.

– Między człowiekiem a jego obrazem jest różnica.

– A jeśli obecność cię zabije?

Tym razem długo zwlekał z odpowiedzią.

– Wtedy może okaże się, że źle wybrałem.

Mareia wpatrzyła się w niego.

– Nie będziesz już miał komu tego powiedzieć.

Podeszła do niego.

– Nie proszę, żebyś przestał pomagać. Proszę tylko, żebyś nie myślał, że miłość do ludzi oznacza obowiązek umierania za nich.

Jesair milczał.

– Czego więc ode mnie chcesz?

– Żebyś został.

– Gdzie?

Mareia spojrzała mu w oczy.

– Ze mną.

W tej chwili świat się skurczył.

Bez rad politycznych.

Bez rodów.

Bez pandemii.

Bez planety czekającej na kolejne zdanie człowieka, którego stopniowo przywłaszczała sobie jako symbol.

Była tylko kobieta, która już raz odeszła od mężczyzny zdolnego zamienić miłość we własność.

A teraz nie chciała stracić drugiego dlatego, że zamienił miłość w obowiązek wobec wszystkich.

Jesair położył jej dłoń na nadgarstku.

– Jestem tutaj.

Mareia ujęła go trzema palcami.

Na moment oboje umilkli.

Gest przyszedł naturalnie.

A jednak nazbyt naturalnie.

Jesaira przeszył dziwny ból.

Żaden obraz.

Żadne słowo.

Tylko poczucie czegoś, co powinno znajdować się w jego pamięci, a czego tam nie było.

Trzy palce.

Inne światło.

Pył.

Kobieca dłoń.

I smutek po kimś, kogo w tym życiu nigdy nie stracił.

Mareia go puściła.

– Co się stało?

– Nie wiem.

Tym razem była to prawda.

Przypomniał sobie coś, czego jeszcze nie przeżył.

Tego wieczoru w centrum kryzysowym pojawiła się nowa prognoza.

Saira początkowo odmówiła jej opublikowania.

Dane były niepełne.

Niektóre państwa nadal zgłaszały przypadki z opóźnieniem. Z obszarów, gdzie załamała się ochrona zdrowia, nie napływały niemal żadne wiarygodne liczby.

Obliczenia modelu wykonano ponownie.

A potem jeszcze raz.

Zmieniano dane wejściowe.

Przewidywaną śmiertelność.

Pojemność szpitali.

Tempo opracowywania terapii.

Każda droga zbliżała się do tej samej liczby.

Nerai na nią patrzyła.

33,1%.

– Kto już to widział?

– Zespół analityczny.

– Przywódcy polityczni?

Saira się zawahała.

– Dostali szerszy przedział.

– Dlaczego?

– Bo niepewność jest ogromna.

– Czy wynik może być niższy?

– Tak.

– Wyższy?

Saira nie odpowiedziała.

Na ekranie świeciło wyliczenie.

Łącznie około trzech miliardów ofiar.

Niemal cały aureliański odłam.

Setki milionów ludzi z pozostałych odłamów.

– Musimy to ujawnić – powiedziała Nerai.

– Jeśli powiemy: jedna trzecia, wywołamy panikę.

– Jeśli tego nie powiemy, państwa będą się przygotowywać na jedną dziesiątą.

– To prognoza.

– Więc powiedzmy, że to prognoza.

Określenie po raz pierwszy pojawiło się w wewnętrznym dokumencie.

Jedna Trzecia.

Dokument wyciekł jeszcze tej nocy.

Nigdy nie ustalono, do kogo.

Do rana znała to określenie cała planeta.

Nerai po raz pierwszy zobaczyła wyciek w nagłówku nocnego kanału: JEDNA TRZECIA MIESZKAŃCÓW MOŻE UMRZEĆ. Prowadząca pokazała przedział niepewności, nie tylko najwyższą krzywą. – To prognoza łącznej liczby ofiar – powtórzyła. – Nie oznacza, że ci ludzie już nie żyją.

W następnym ujęciu gubernator jednego z państw apelował o spokój. Lekarka z Aurioli odpowiedziała mu, że spokój także potrzebuje zapasów i otwartych danych. Pod obrazem pojawiały się wiadomości od ludzi szukających swoich bliskich.

Nerai pozostała przed ekranem, dopóki prowadząca nie przeszła do kolejnego tematu. Tak wewnętrzne wyliczenie stało się zdaniem, które rodziny będą musiały wypowiadać przy kolacji.

Nie wymawiano go jak nazwy choroby.

Było imieniem przyszłości.

Jeśli nadejdzie Jedna Trzecia.

Przed Jedną Trzecią.

Po Jednej Trzeciej.

Jakby już zawczasu istniała granica, na której ludzie podzielą się na tych, którzy pójdą dalej, i tych, po których pozostanie czas przeszły.

W niektórych miastach wybuchły zamieszki.

Ludzie włamywali się do magazynów.

Opróżniali konta.

Uciekali z miast, choć nie wiedzieli dokąd.

Gdzie indziej ustawiały się kolejki wolontariuszy.

Starsi ludzie oddawali aparaty tlenowe młodszym.

Właściciele hoteli otwierali pokoje dla personelu medycznego.

Rodziny, które przez lata ze sobą nie rozmawiały, dzwoniły do siebie.

Jedni zamykali drzwi.

Drudzy otwierali je po raz pierwszy.

Katastrofa nie ukazuje jednej prawdziwej twarzy człowieka.

Ukazuje wiele twarzy, które dotąd mogły w nim spokojnie spać.

Po drugim miesiącu liczba zmarłych przekroczyła miliard.

Po trzecim dwa.

Aureliańskie miasta pustoszały.

Domy rodowe, które przetrwały wojny, pożary i upadek państw, zostawały bez dziedziców.

W jednej rodzinie zmarli wszyscy mężczyźni.

Archiwum śledziło ich linię od ponad tysiąca lat.

Pracownica wprowadziła dane ostatniego z nich.

System automatycznie uzupełnił status:

Linia wygasła.

Kobieta patrzyła na te dwa słowa.

Przez całe tygodnie opracowywała doniesienia o milionach zmarłych.

Nie płakała.

Rozpłakała się przy jednej rubryce.

Jesair wystąpił przed planetą po raz ostatni w dniu, w którym pojawiła się u niego gorączka.

Mareia stała poza kadrem.

Już przed transmisją wydał się jej blady.

Jesair spojrzał w kamerę.

– Kiedy liczba zmarłych rośnie, zaczynamy ich pomniejszać w sobie. To obrona. Inaczej byśmy tego nie unieśli.

Zamilkł na chwilę.

– Ale człowiek nie staje się mniejszy dlatego, że jest jednym z miliarda.

Na moment oparł się o stół.

Mareia zrobiła krok naprzód.

Jesair dał jej spojrzeniem znak, że wszystko w porządku.

– Każdy człowiek, który umarł, był środkiem jakiegoś małego świata. Miał imię. Miał miejsce, do którego wracał. Miał swój sposób śmiania się. Ktoś znał odgłos jego kroków. Ktoś wiedział, którą część posiłku zostawia na talerzu. Ktoś czekał na jego głos.
Miliony ludzi przy ekranach umilkły.

– Zbudowaliśmy cywilizację zdolną stworzyć drugi świat. Przenosiliśmy rzeki. Stworzyliśmy lasy pod obcym niebem. Nauczyliśmy maszyny rozpoznawać chorobę wcześniej niż lekarze.
Zaczerpnął powietrza.

To bolało.

– A nie potrafiliśmy dostrzec zamiaru, który przechodził przez nasze własne konta.

Przy tych słowach Nerai uniosła głowę.

– Pewnego dnia będziemy pytać, kto to zrobił. Musimy o to pytać.

Jesair przerwał na chwilę.

– Ale jeśli odpowiedzią pozostanie tylko nazwisko jednego człowieka, niczego nie zrozumieliśmy. Człowiek może przynieść nienawiść. Może przynieść plan. Może przynieść zło.
Spojrzał prosto w kamerę.

– Lecz to cywilizacja daje mu drogę. Albo mu jej nie daje.

Nerai zapamiętała to zdanie.

Rok później wypowie je przed Konwentem.

W tej chwili nie podejrzewała jeszcze, że słucha jednych z ostatnich publicznych słów swojego brata.

Kiedy transmisja się skończyła, Mareia natychmiast do niego podeszła.

– Jesteś rozpalony.

– Jest tu ciepło.

– Nie jest.

Położyła mu dłoń na czole.

Jesair zamknął oczy.

– Od jak dawna?

– Od rana.

Mareia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– I nic nie powiedziałeś?

– Myślałem, że to zmęczenie.

Otworzyła kanał medyczny.

Jesair chwycił ją za rękę.

– Poczekaj.

– Na co?

– Tylko chwilę.

– Jesairze, nie mamy już chwili.

Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiał strach.

Nie strach o Elarion.

Strach kobiety o jednego człowieka.

Jesair otworzył oczy.

Złoty krąg był jaśniejszy.

Mareia go zobaczyła.

I po spojrzeniu Jesaira zrozumiała, że on też go widział.

– Nerai – powiedziała do kanału. – Potrzebujemy izolacji w domu Davionów.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Jesair?

Mareia nie odpowiedziała.

Nie musiała.

– Jadę tam.

– Nie – odezwał się Jesair.

Nerai go usłyszała.

– Nie waż się mówić mi nie.

– Może jesteś bezpieczna.

– Moja matka była Aurelianką.

– Właśnie dlatego nic nie wiemy.

– Przyjadę.

– Nerai.

Jego głos osłabł.

– Zostań tam, gdzie jeszcze możesz coś zrobić.

– Jesteś moim bratem.

Jesair na moment się uśmiechnął.

– Właśnie dlatego.

Nerai przerwała połączenie.

Już biegła.

Mareia pomogła Jesairowi przejść do części domu przeznaczonej na izolację.

– Ty zostaniesz na zewnątrz – powiedział.

– Nie.

– Mareio.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie.

Jesair zrozumiał, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Nie odejdziesz sam – powiedziała.

Jesair zadrżał.

Tym razem nie z gorączki.

To zdanie.

Znał je.

Jakby dotarło do niego z wielkiej odległości.

Przez miejsce, którego nigdy nie odwiedził.

Przez życie, którego nigdy nie przeżył.

Drzwi izolatki się zamknęły.

Między nimi zostało szkło.

Mareia położyła trzy palce na przezroczystej ścianie.

Jesair uniósł dłoń.

Zanim dotknął jej z drugiej strony, Mareia poczuła chłód.

Potem słabość.

Oparła się o ścianę.

– Mareio?

Pokręciła głową.

Chciała powiedzieć, że to nic.

Zamiast tego ugięły się pod nią kolana.

System medyczny zarejestrował podwyższoną temperaturę drugiej osoby.

Kilka minut później leżała już w sąsiedniej izolatce.

Drzwi między nimi nie wolno było otworzyć.

Dwa łóżka.

Dwa złote kręgi.

Jedna przezroczysta ściana.

Nerai dotarła do blokady Aurioli trzydzieści siedem minut później.

System odmówił jej wjazdu.

Pokazywała uprawnienia.

Dzwoniła do ludzi, których nazwiska zwykle otwierały wszystkie drzwi Warstwy.

Nic nie pomogło.

Przed nią stała bariera kwarantanny.

Za nią umierał jej brat.

Nad drogą świeciła liczba zmarłych.

2 999 999 997.

Liczba się zmieniła.

2 999 999 998.

Nerai patrzyła na ekran, wstrzymując oddech.

2 999 999 999.

Potem:

3 000 000 000.

Na całej planecie w tej samej sekundzie zaktualizowano wspólną liczbę.

Jedna trzecia Elarionu nie żyła.

Nerai otrzymała połączenie z domu Davionów.

Na ekranie zobaczyła Jesaira.

Mareię.

I szkło między nimi.

Katastrofa otrzymała swoje imię.

Jedna Trzecia nadeszła.

Ale jeszcze nie skończyła.

31. Za szkłem

Jesair umarł czwartego dnia.

System medyczny zarejestrował tę chwilę dokładnie.

Czas.

Tętno.

Natlenienie krwi.

Temperaturę.

Ostatnią aktywność elektryczną serca.

Zarejestrował wszystko, co dało się zmierzyć.

Tego, co najważniejsze, nie.

Mikrofony w izolatkach nie nasłuchiwały bez przerwy. Była to dawna zasada ochrony godności chorych. Lekarz mógł się połączyć. System mógł ostrzec o zmianie funkcji życiowych. Nikt nie miał jednak prawa zamieniać ostatnich godzin człowieka w publiczny zapis.

Dlatego nikt nie wiedział, co Jesair powiedział Marei.

Nerai później wielokrotnie odtwarzała nagranie.

Bez dźwięku.

Jesair nie mógł już stać.

Ani siedzieć.

Leżał na podłodze przy szybie.

Po drugiej stronie leżała Mareia.

Między ich twarzami pozostawało kilka centymetrów i materiał, który potrafił zatrzymać wirusa, dotyk i ostatni uścisk.

Jesair poruszył ręką.

Na więcej nie miał już siły.

Położył dłoń na podłodze.

Mareia uniosła trzy palce.

Wargi Jesaira się poruszyły.

Jedno krótkie zdanie.

Może dwa słowa.

Nikt ich nie usłyszał.

Mareia tak.

I uśmiechnęła się.

Później tłumaczono ten uśmiech na wiele sposobów.

Jako przyjęcie śmierci.

Jako pogodzenie się.

Jako ostatni wyraz miłości.

Nerai zawsze widziała w nim jednak coś dziwniejszego.

Mareia nie uśmiechała się jak kobieta, która się żegna.

Przez jedną chwilę wyglądała jak kobieta, która rozpoznała kogoś po niezmiernie długim czasie.

Jakby za twarzą Jesaira odsłoniła się jeszcze inna.

Jakby po drugiej stronie szyby przez moment nie było izolatki, lecz odległy ogród.

Inne niebo.

Inne życie.

Wspomnienie, które nie zdążyło stać się wspomnieniem.

Jesair zamknął oczy.

Jego dłoń została przy szybie.

Mareia na nią patrzyła.

Siedem godzin.

Potem jej oddech zaczął się skracać.

Wdech.

Cisza.

Wdech.

Dłuższa cisza.

A w końcu już tylko cisza.

Siedem godzin po Jesairze zatrzymało się także jej serce.

Nerai siedziała w module transportowym przed blokadą Aurioli.

Kilometry od nich.

Saira siedziała obok.

Nie dotknęła jej.

Nie mówiła, że jej przykro.

Niektóre zdania są tak małe, że aż obrażają.

Na łączu pojawił się urzędnik służby zdrowia.

– Potrzebujemy decyzji w sprawie zwłok.

Nerai spojrzała na niego.

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Przepraszam. Wiem, że...

– Nie wie pan.

Cisza.

– Jakie są możliwości?

– Protokół biologiczny zaleca natychmiastowe zniszczenie bez przewożenia. Rady rodowe żądają zachowania próbek biologicznych. Społeczeństwo domaga się ceremonii.

– Społeczeństwo?

– Wiadomość wyciekła.

Nerai otworzyła sieć.

Jesair Davion nie żyje.

Później pojawiła się kolejna wiadomość:

Mareia Lioren nie żyje.

Nerai włączyła dźwięk kanału informacyjnego. Prowadzący już prosił rady rodowe o komentarz do śmierci Jesaira; przy nazwisku Marei redakcja nie miała jeszcze potwierdzenia od rodziny. Połączona z nią pracownica ochrony zdrowia odmówiła rozmowy o ich dokumentacji medycznej.

– Rodzina nie dostała jeszcze czasu, by zdecydować, co chce powiedzieć – dodała. Nerai znała odpowiedź, jakiej jej brat udzieliłby na pytanie o prywatność. Pozwoliła kanałowi mówić bez swojego udziału.

Potem fotografie.

Jesair na forum w Nitrze.

Jesair wśród chorych.

Jesair podczas ostatniego wystąpienia.

Mareia przy archiwach.

Mareia w ogrodzie.

Mareia trzymająca Jesaira trzema palcami za nadgarstek.

Ich ciała jeszcze nie ostygły, a świat już zaczynał tworzyć z nich opowieść.

Nazywano ich męczennikami.

Ostatnimi Aurelianami starego świata.

Dowodem.

Znakiem.

Inni wykorzystywali ich śmierć przeciw wszystkiemu, co Jesair kiedykolwiek powiedział.

Jeśli miał dar, dlaczego się nie uratował?

Jeśli był wyjątkowy, dlaczego nie uratował Marei?

Dlaczego nie uratował trzech miliardów ludzi?

Nerai wyłączyła ekran.

– Spalimy ich tam.

Urzędnik skinął głową.

– Próbki?

– Tylko to, czego potrzebujecie do badań.

– Rady rodowe żądają...

– Żadnych relikwii.

Jej głos był cichy.

– Nikt nie będzie posiadał ich ciał.

Po chwili urzędnik skinął głową.

– A ceremonia?

Nerai spojrzała przez przednią szybę pojazdu w stronę domu Davionów, choć nie mogła go stąd zobaczyć.

– Później.

Ale później jeszcze długo nie nadeszło.

Ludzie wciąż umierali.

Szpitale wciąż świeciły przez całe noce.

Moduły transportowe wciąż woziły ciała do miejsc, w których nikt już na nie nie czekał.

Pandemia zabrała ponad trzy miliardy sto milionów ludzi.

Dopiero wtedy krzywa zaczęła się zaginać.

Nie powstał jeden cudowny lek.

Przyszły dziesiątki małych zwycięstw.

Skuteczniejsze tłumienie reakcji organizmu.

Lepsze rozpoznawanie krytycznych godzin.

Nowe połączenia substancji.

Modele prognostyczne.

Sposoby ochrony najbardziej narażonych.

Każde z nich uratowało część ludzi.

Razem powstrzymały śmierć.

Kiedy liczba nowych przypadków po raz pierwszy zmniejszyła się o połowę, nikt nie świętował.

Kiedy spadła do jednej dziesiątej, na placach nie otwierano butelek.

Kiedy ostatni duży szpital ogłosił, że znów ma wolne łóżka, jego dyrektorka po ogłoszeniu zamknęła się w gabinecie i przez godzinę płakała.
Elarion przetrwał.

Tak pisano w wiadomościach.

Ale planeta nie ma serca, którego tętno da się zmierzyć.

Przeżyć musieli ludzie.

A mniej więcej co trzeciego brakowało.

32. Ci, którzy przychodzą

Są śmierci, wraz z którymi kończy się życie.

I są śmierci, wraz z którymi kończy się tylko imię.

Jesair umarł, kiedy Elarion nie przeczuwał jeszcze, co po nim zostanie.

Jego ciało było jednym z miliardów ciał, które Jedna Trzecia zabrała bez pytania.

Jego głos przestał rozbrzmiewać w salach, gdzie ludzie spierali się o prawdę, wartość i władzę.

Jego ręce nikogo już nie objęły.

Jego oczy nie otworzyły się już na poranek.

Dla Elarionu był martwy.

I była to prawda.

Tylko nie cała.

Wszechświat jest starszy niż imiona.

Starszy niż granice.

Starszy niż narody.

Starszy niż planety, które w swej młodości są przekonane, że ich dzieje stanowią środek wszystkiego, co istnieje.
Światów było wiele.

Niektóre krążyły wokół błękitnych gwiazd.

Inne żyły pod czerwonym światłem starych słońc.

Na niektórych życie kryło się pod kilometrami oceanu i całe cywilizacje nigdy nie widziały gwiazd.
Gdzie indziej wyrosły miasta tak wysokie, że ich górne piętra znały inne niebo niż ulice pod nimi.

Niektóre cywilizacje nigdy nie wynalazły pieniędzy.

Inne poświęciły im niemal wszystko.

Każda jednak dochodziła kiedyś do granicy, której nie dało się przekroczyć większą maszyną.

Ani szybszym statkiem.

Ani nowym źródłem energii.

Ani kolejną biblioteką wiedzy.

Bo nie wszystkie problemy rodzą się z niedostatku inteligencji.

Niektóre rodzą się z tego, czego inteligencja nie zdołała jeszcze zrozumieć o samej sobie.

I wtedy czasami ktoś się rodził.

Niemal nigdy jako król.

Mogło to być dziecko rzemieślnika.

Córka nauczyciela.

Syn kobiety, której imienia historia nie zachowała.

Czasem przychodził wśród ubogich.

Kiedy indziej wśród uczonych.

Jeden przemawiał na placach.

Inny przez całe lata niemal milczał i pozostawił tylko kilka zdań.

Czasem jego słowa zmieniały świat jeszcze za jego życia.

Kiedy indziej potrzebowały stuleci.

Imiona się zmieniały.

Twarze się zmieniały.

Języki się zmieniały.

Gwiazdy nad nimi również.

Zadanie pozostawało podobne.

Posunąć świat o jeden krok.

Nie do celu.

Tylko dalej.

Żaden człowiek nie mógł uratować całej planety.

Gdyby świat mógł uratować jeden człowiek bez decyzji pozostałych, nie byłby to świat wolnych istot.

Mogli więc tylko wskazać kierunek.

Wypowiedzieć myśl, której nie da się już całkowicie zapomnieć.

Otworzyć drzwi.

I pozwolić innym zdecydować, czy przez nie przejdą.

Na jednym świecie trzeba było po raz pierwszy powiedzieć, że słabość drugiego człowieka nie daje silniejszemu prawa do posiadania go.
Na innym, że wiedza nie ma pana.

Gdzie indziej całe narody zabijały się nawzajem z powodu różnych wyobrażeń bogów i ktoś przynosił im myśl, że bóg potrzebujący ludzkiej nienawiści może być jedynie ludzką nienawiścią odzianą w święte słowa.
Gdzieś ludzie musieli nauczyć się przebaczać.

Gdzie indziej wątpić.

A na niektórych światach przychodziła chwila, gdy trzeba było powiedzieć, że władza ukryta przed spojrzeniem prędzej czy później zacznie służyć samej sobie.
Taką planetą był Elarion.

Jesair nie przyszedł z instrukcją stworzenia doskonałego świata.

Wypowiedział kilka zdań właśnie wtedy, gdy Elarion mógł zacząć ich słuchać.

Że wartość nie powinna kroczyć w cieniu.

Że władza musi znosić spojrzenie tych, nad którymi stoi.

Że własność jest także śladem odpowiedzialności.

Że bogactwa człowieka nie da się całkowicie oddzielić od świata, który pozwolił mu powstać.

Nie były to przykazania.

Były to nasiona.

A nasiona nie potrzebują, by człowiek, który je zasiał, siedział pod drzewem.

Jesair nie chciał jednak umierać.

Jedna Trzecia nie była ceną, której wszechświat zażądał za jego przesłanie.

Śmierć Marei również nie stanowiła części jakiegoś doskonałego równania.

Chciał żyć.

Chciał się z nią zestarzeć.

Może pewnego dnia obudzić się w domu Davionów i po raz pierwszy nie mieć za drzwiami nikogo, kto potrzebowałby od niego odpowiedzi.

Może pokłócić się o błahostkę.

Może po kilku godzinach o niej zapomnieć.

Może siedzieć przy ogrodzie, aż ich dłonie się zestarzeją.

To wszystko mu odebrano.

Myśl nie potrzebowała jego śmierci.

Kiedy jednak umarł, pozostała w rękach innych.

A wraz z nią pytanie.

Czy kochali człowieka?

Czy też zrozumieli to, co próbował powiedzieć?

Jeśli wszystko opierało się na obecności Jesaira, wszystko mogło umrzeć przy szybie razem z nim.

Jeśli jednak coś z jego słów przeniknęło do innych ludzi, jego oddech nie był już warunkiem ich życia.

Trzydzieści lat świetlnych dalej wokół swojej gwiazdy krążyła mała błękitna planeta.

Była młodsza w swojej opowieści.

Jej ludzie nie znali jeszcze Elarionu.

Nic nie wiedzieli o Moście.

O Auriolach.

O Nerai.

O mężczyźnie, który położył dłoń na podłodze przy przezroczystej szybie.

Kiedyś miał się tam narodzić inny człowiek.

Miano go nazywać Jezusem.

Miał chodzić zakurzonymi drogami między wioskami, które z perspektywy wszechświata trudno byłoby w ogóle odnaleźć.
Miał jeść z rybakami.

Dotykać chorych.

Rozmawiać z ludźmi, od których inni odwracali twarze.

Miał spotykać się z możnymi i z tymi, którzy nie mieli niemal nic.

Bez armii.

Bez urzędu.

Bez pieczęci państwa.

Z rękami, którymi można było łamać chleb.

A jednak miało po nim zostać coś, co przetrwa imperia.

Że człowiek stojący przed tobą ma wartość nawet wtedy, gdy nie ma ci nic do zaoferowania.

Że miłosierdzie może stać wyżej niż ślepe wypełnienie prawa.

Że wielkość może oznaczać służbę.

Że wróg nie musi pozostać wrogiem na zawsze.

Ludzie potem przez całe stulecia będą spierać się o to, kim był.

Postawią mu świątynie.

Będą malować jego twarz.

Każdy naród użyczy mu odrobinę własnej.

Niektórzy zobaczą w nim Boga.

Inni proroka.

Jeszcze inni nauczyciela.

I będą też tacy, którzy w jego imię uczynią dokładne przeciwieństwo tego, czego nauczał.

Wielkie myśli nie idą bowiem przez dzieje prostą drogą.

Jedno pokolenie je wypowie.

Następne nagina je do swoich potrzeb.

Kolejne odkrywa je na nowo.

I po stuleciach to, co kiedyś brzmiało jak niebezpieczny sen jednego człowieka, może stać się oczywistością dla milionów.
Tak poruszają się światy.

Po stopniach.

Pomiędzy niektórymi stopniami pojawiają się ci, których później nazwą prorokami.

Zbawicielami.

Mędrcami.

Reformatorami.

Heretykami.

Szaleńcami.

Wszechświat nie potrzebował dla nich wspólnego imienia.

Byli jak posłańcy, którzy nie niosą listu.

Sami byli listem.

Aby jednak mogli należeć do świata, do którego przyszli, musieli na pewien czas zapomnieć.

Gdyby wiedzieli wszystko, ich życie nie byłoby ludzkim życiem.

Byłoby wizytą.

Dlatego czuli ból.

Głód.

Strach.

Samotność.

Pragnienie.

Gniew.

Miłość.

Zwątpienie.

Mogli zawieść.

Mogli powiedzieć coś, czego później żałowali.

Mogli pragnąć pozostać przy życiu.

Nikt bowiem nie może przemawiać do istot danego świata z wnętrza ich doświadczenia, jeśli choć na pewien czas nie stanie się jedną z nich.
A kiedy ich życie dobiegało końca, ciało pozostawało planecie.

Imię historii.

Słowa ludziom.

To, co kryło się głębiej, trwało dalej.

Czasu między takimi życiami nie mierzono kalendarzem.

Żadne ciało nie czekało na kolejny poranek.

Żadne serce nie odliczało uderzeń.

Na jednej planecie mogły minąć tysiące lat, zanim na innej dojrzała chwila, w którą można było wejść.
Gdzieś daleko tymczasem rodziła się cywilizacja.

Odkryła ogień.

Potem pismo.

Podzieliła ziemię.

Stworzyła prawa.

Wzniosła świątynie.

Wyprodukowała broń.

Wynalazła pieniądze.

I po dostatecznie długim czasie zaczęła wierzyć, że sposób, w jaki uporządkowała świat, jest jedynym sposobem, w jaki można go uporządkować.
Aż zbliżyła się do własnej granicy.

Wtedy droga mogła zacząć się od nowa.

Inna gwiazda.

Inna planeta.

Inne ciało.

Inne imię.

Nawet zadanie nie musiało być takie samo.

Świat tonący w zemście potrzebował usłyszeć o przebaczeniu.

Świat, który mylił posłuszeństwo z dobrem, potrzebował zwątpienia.

Cywilizacja zmiażdżona samowolną władzą potrzebowała ochrony jednostki.

A świat, którego jednostki zapomniały już, że żyją jedynie dzięki innym, mógł kiedyś potrzebować przypomnienia o obowiązku wobec całości.
Słowa się zmieniały.

Kierunek miał coś wspólnego.

Od strachu ku zrozumieniu.

Od przemocy ku współpracy.

Od ukrytej władzy ku odpowiedzialności.

Od wyobrażenia odrębności ku wiedzy, że nic żywego nie powstaje samo z siebie.

Jesair był jednym z nich.

Może kiedyś nosił inne imię.

Może stał pod niebem planety, która dawno przestała istnieć, i przemawiał do istot, których twarzy ani Elarianin, ani człowiek z Ziemi nie umiałby nazwać twarzami.
Może wypowiadał tam całkiem inne zdanie.

Inną część tej samej drogi.

A może jego droga na małej błękitnej planecie miała się dopiero rozpocząć.

W innym ciele.

Pod imieniem, które czasami już powracało do niego w przebłyskach, choć go nie rozumiał.

Dusza nie potrzebuje podpisu.

Podpisu potrzebuje historia.

A niektóre dusze może nie wędrują przez światy samotnie.

Niektóre więzi przetrwają nawet utratę imienia.

Najpierw wracają jedynie jako dziwne zaufanie do obcego człowieka.

Jako smutek bez wspomnienia.

Jako ruch ręki, który wyprzedza rozum.

Trzy palce na nadgarstku.

Zdanie wypowiedziane, zanim człowiek pojmie, dlaczego je wypowiedział.

Nie odchodź sam.

Ostatni uśmiech Marei pozostał dla Nerai pytaniem.

Z nagrania nie dało się ustalić, co powiedział Jesair.

Nie dało się również ustalić, co Mareia zobaczyła w ostatniej chwili.

Pozostał tylko obraz kobiety, która na widok umierającego mężczyzny uśmiechnęła się, jakby przypomniała go sobie po niezmiernie długim czasie.
Kiedy serce Jesaira przestało bić, gwiazdy nie zmieniły swoich orbit.

Niebo się nie otworzyło.

Na Elarionie nie pojawił się znak.

Planeta nadal krążyła.

Miasta liczyły swoich zmarłych.

W domach pozostały naczynia przy oknach.

Ubrania na wieszakach.

Niedoczytane książki.

Łóżka, z których nikt już rano nie wstał.

A jednak coś się poruszyło.

W ludziach.

Słowa Jesaira zaczęły szerzyć się bez niego.

Niektórzy je przekręcali.

Niektórzy upraszczali.

Niektórzy wybierali z nich tylko to, co im pasowało.

Inni znajdowali w nich konsekwencje, których sam Jesair nie zdążył jeszcze przemyśleć do końca.

Taki jest los każdej myśli, która przeżyje swego autora.

Przestaje do niego należeć.

W jego gabinecie zostały dokumenty.

Wśród nich projekt udziału żywych.

Notatki na marginesach.

Pytania bez odpowiedzi.

Puste miejsca.

Świat musiał nauczyć się kontynuować rozmowę z człowiekiem, którego fotel pozostał pusty.

A gdzieś bardzo daleko, przy gwieździe, której żaden Elarianin nigdy nie widział, krążyła kolejna planeta.

Jej oceany miały barwę ciemnego metalu.

Nocą wędrowały nad nimi trzy księżyce.

Na lądach właśnie powstawały pierwsze miasta.

Ich mieszkańcy odkryli pismo.

Zaczęli handlować.

Zaczęli dzielić ziemię.

Stopniowo dzielili się na tych, którzy posiadają, i tych, którzy są posłuszni.

Mieli przed sobą tysiące lat.

Ich chwila jeszcze nie dojrzała.

Wszechświat się nie spieszył.

Kiedyś jednak urodzi się wśród nich dziecko.

Otrzyma imię, które nigdy nie zabrzmi na Elarionie.

Ani na Ziemi.

Będzie się śmiać.

Będzie płakać.

Popełni błędy.

Może się zakocha.

Może będzie bało się śmierci.

I pewnego dnia wypowie zdanie, po którym jego świat nie będzie już mógł pozostać całkiem taki, jaki był.

Nikt tam nie będzie znał Jesaira.

Nikt nie będzie znał Jezusa.

I nie będzie to potrzebne.

Wielkie dusze nie wędrują przez wszechświat po to, by ocalić swoje imię.

Imiona należą do światów.

Ze sobą niosą tylko kierunek.

A kiedy ich zadanie w jednym miejscu dobiegnie końca, nie odejdą w górę.

Ani stąd.

Tylko dalej.

Część IV: Elarion bez Jednej Trzeciej

33. Brakujące ręce

Kiedy krzywa wreszcie się zatrzymała, Elarion z orbity wyglądał niemal tak samo jak przedtem.

Morza pozostały na swoich miejscach.

Kontynenty się nie poruszyły.

Miasta nocą świeciły.

Korytarze transportowe nadal tworzyły nad planetą cienkie świetlne żyły.

Thaeron krążył dalej.

Gdyby ktoś patrzył na planetę z wielkiej odległości, być może w ogóle nie dostrzegłby katastrofy.

Musiałby podejść bliżej.

Do jednego stołu.

Do jednego łóżka.

Do jednego stanowiska pracy.

Bo brakowało mniej więcej co trzeciego człowieka.

Najpierw brakowało ich w domach.

Pusta połowa łóżka.

Niedopity napój w naczyniu.

Ubranie w miejscu, z którego nikt już go nie zabrał.

Wiadomość, która pozostała oznaczona jako niedostarczona.

Zabawki dzieci, którym rodzice jeszcze przez kilka dni nie potrafili powiedzieć, że nikt już nie przyjdzie ułożyć ich do snu.

Potem zmarłych zaczęło brakować także światu.

W szpitalu w Północnej Aménii zmarło dwóch z trzech zarządców sieci tlenowych.

Sama sieć działała.

Potrafiła wytwarzać tlen.

Oczyszczać go.

Rozprowadzać.

Przewidywać zużycie.

Każda istotniejsza zmiana wydajności wymagała jednak zgodnie z prawem zatwierdzenia przez dwóch licencjonowanych specjalistów.
Jeden nie żył.

Drugi leżał nieprzytomny.

Trzeci pracował od czterdziestu godzin bez snu.

Popełnił błąd.

W Sarurze magazyny wciąż mieściły dość żywności na kilka miesięcy.

Autonomiczne pojazdy stały w rzędach.

Znały drogę.

Potrafiły uwzględnić zamknięte odcinki.

Umiały znaleźć trasę zastępczą.

Nie wolno im było jednak zmienić miejsca dostawy bez zgody człowieka.

Człowiek, który miał zatwierdzić zmianę, nie żył.

Maszyny gotowe nakarmić miasto czekały więc na podpis człowieka, który nie miał już ręki.

W jednej z thaerońskich kopuł zmarła kobieta, która jako jedyna doskonale znała dawną przebudowę systemu odzyskiwania wody.
Dokumentacja istniała.

Nie była pełna.

Inteligencja odpowiedzialna za konserwację wiedziała, że trzy zawory zachowują się inaczej, niż przewidywał projekt.

Nie wiedziała dlaczego.

Kobieta wiedziała.

Od lat powtarzała sobie, że kiedyś to zapisze.

Dotąd zawsze wyjaśniała wszystko koledze.

Kolega zmarł tydzień przed nią.

Jedna Trzecia odebrała Elarionowi nie tylko ciała.

Odebrała mu ogromną część pamięci, której nigdy nie zapisano w maszynach.

Pamięć rąk.

Pamięć nawyków.

Pamięć człowieka, który rano przychodził do systemu i bez namysłu robił trzy drobne rzeczy, bo od dwudziestu lat wiedział, że bez nich wieczorem coś się zepsuje.
Żywi z początku próbowali zastąpić zmarłych.

Lekarze pomagali w magazynach.

Nauczyciele rozwozili żywność.

Urzędnicy czyścili moduły medyczne.

Badacze pomagali służbom pogrzebowym.

Inżynierowie spali przy węzłach energetycznych.

Całe miasta funkcjonowały w stanie, który niegdyś nazwano by kryzysowym.

Po Jednej Trzeciej nie było już jasne, co oznacza słowo „kryzysowy".

Nie sposób było prosić niespełna sześciu miliardów wstrząśniętych ludzi, by wykonywali pracę dziewięciu miliardów, a zarazem grzebali tych, których kochali.
Rada kryzysowa zrobiła więc to, o czym przed pandemią dyskutowano przez dziesięciolecia.

Zaczęła znosić obowiązek zatwierdzania decyzji przez ludzi.

Najpierw w zaopatrzeniu w żywność.

Potem w energetyce.

Transporcie.

Podstawowej produkcji.

Utrzymaniu miast.

Sztuczne inteligencje otrzymały uprawnienia do zmieniania planów produkcyjnych, przesuwania materiałów i przydzielania części mocy wytwórczych bez czekania na człowieka przy każdej decyzji.
Dokument, który to umożliwił, miał tytuł długi niemal na pół wiersza.

Ludzie nazywali go po prostu:

Zezwolenie na dalsze działanie.

Bo właśnie to otrzymały maszyny.

Zezwolenie, by działać dalej tam, gdzie zabrakło człowieka.

Saira kierowała zespołem, który miał połączyć poszczególne systemy.

Przed sobą miała mapę produkcji całej planety.

Przed Jedną Trzecią taka mapa nie mogłaby istnieć.

Państwa chroniły rezerwy energetyczne.

Przedsiębiorstwa – moce produkcyjne.

Dystrybutorzy – magazyny.

Każdy uważał część rzeczywistości za swoją strategiczną tajemnicę.

Po Jednej Trzeciej zaczęli udostępniać dane.

Nie dlatego, że doznali oświecenia.

Dlatego, że bez nich system nie wiedział, komu pomóc.

– Nadwyżka mieszanek odżywczych w zachodniej Vasýrii – powiedział analityk.

– Gdzie są potrzebne?

– Na północnym wschodzie. Trzy okręgi szpitalne.

– Transport?

– Są wolne moce.

– To je wyślijcie.

Analityk nie odszedł.

– Jest pewien problem.

Saira podniosła wzrok.

– Jaki?

– Trasa przebiega przez trzy państwa.

– I?

– Cztery waluty.

Saira oparła się w fotelu.

– Trzy państwa. Cztery waluty.

– Przewoźnik wystawia faktury przez Therinith.

– Dlaczego?

– System podatkowy.

Saira na chwilę zamknęła oczy.

– Oczywiście.

Cztery strony transakcji rozliczały się w czterech walutach. Węzły potrafiły przeliczyć kwoty w ułamku sekundy; finalizację blokowały odmienne zasady zabezpieczania środków i uprawnienia szpitala.

Żywność istniała.

Pojazdy istniały.

Drogi istniały.

Ludzie głodowali.

Przewidywany czas zwolnienia przesyłki: trzydzieści godzin.

– Most – powiedziała Saira.

Analityk spojrzał na nią.

– Szpital nie ma uprawnień do przyjmowania elarów na bieżącą działalność.

– Ma wyjątek kryzysowy.

– Na materiały medyczne.

Saira spojrzała na zapis.

– Czym według pana jest jedzenie dla człowieka, który bez niego umrze?

Analityk nic nie powiedział.

– Prześlijcie to przez Most.

– Kto zatwierdzi wyjątek?

Saira spojrzała na puste krzesło przy stole.

Jeszcze dziewięć dni wcześniej siedział na nim zastępca.

– Ja.

Pięć minut później płatność została wykonana.

Producent widział zamówienie.

Przewoźnik – cenę.

Ubezpieczyciel – ryzyko.

Szpital – przewidywany czas dostawy.

Opinia publiczna widziała, ile zapłacono i komu.

Nie widziała nazwisk pacjentów.

Autonomiczne pojazdy ruszyły, zanim dawny system zdążyłby zakończyć pierwszą wymianę walut.

Takich przypadków przybywało.

Most stopniowo zmieniał się z kryzysowego narzędzia płatniczego w układ nerwowy zautomatyzowanej gospodarki.

Maszyny potrafiły produkować.

Musiały jednak wiedzieć, co ma zostać wyprodukowane.

Potrafiły przemieszczać zapasy.

Musiały wiedzieć, gdzie naprawdę ich brakuje.

Potrafiły optymalizować trasę.

Musiały wiedzieć, czy zamówienie istnieje i kto ponosi za nie odpowiedzialność.

Przepływ wartości stał się jednym ze sposobów, w jaki maszyny odczytywały ludzki świat.

A kiedy przepływ ten stał się widoczny, zaczęły ujawniać się rzeczy, które dotąd pozostawały rozdzielone.

Pewien hurtownik w czasie niedoborów wstrzymał wydawanie leków.

Twierdził, że czeka na transport.

Most pokazał, że magazyny były gotowe.

Twierdził, że szpitale nie oferowały dostatecznej ceny.

Zapis pokazał coś przeciwnego.

Jednocześnie spółki powiązane z jego grupą właścicielską kupowały kontrakty, których wartość rosła wraz z długością kryzysu.

Kolejny rachunek finansował kampanie przeciwko przymusowemu uwolnieniu zapasów.

Każda z tych informacji z osobna dowodziła niewiele.

Zestawione ze sobą opowiadały inną historię.

Zapasy zostały uwolnione.

Decyzja miała autora.

A autor wiedział, że po jego decyzji pozostanie zapis.

Po kilku miesiącach zautomatyzowane fabryki produkowały niemal tyle co przed Jedną Trzecią.

Potem więcej.

Maszyny nie zachorowały.

Pola energetyczne nie dostały gorączki.

Zrobotyzowane linie nie straciły rodziców.

Znaczna część mocy produkcyjnych przetrwała pandemię nienaruszona.

Zabrakło przede wszystkim decyzji, od których zależało ich wykorzystanie.

Podpisów.

Zezwoleń.

Wielokrotnego zatwierdzania tych samych danych w systemach, którym prawo zabraniało się nimi wymieniać.
Kontroli, których jedynym celem było potwierdzenie, że poprzednią kontrolę przeprowadził człowiek.

Jedna Trzecia usunęła ludzi tak brutalnie, że ujawniło się, które części gospodarki naprawdę ich potrzebowały.
Gdy rady gospodarcze opublikowały pierwsze liczby, społeczeństwo było nimi wstrząśnięte.

Pracujących było o ponad jedną trzecią mniej.

Produkcja spadła zaledwie o kilka procent.

W niektórych branżach przekroczyła już poprzedni poziom.

W liczbach kryło się niewygodne pytanie.

Skoro społeczeństwo potrafiło wytwarzać niemal taką samą ilość dóbr przy znacznie mniejszym nakładzie ludzkiej pracy, to jaka właściwie była rola wszystkich tych miejsc pracy, które dotąd uważało za niezbędne?
Odpowiedź była niewygodna.

Część pracy nie powstawała po to, by wytwarzać coś potrzebnego.

Powstawała po to, by człowiek uzyskał prawo do otrzymywania pieniędzy.

Dawny system powiązał dostęp do życia z miejscem w procesie produkcyjnym.

Teraz proces produkcyjny potrafił działać bez części ludzi.

Ludzie jednak nie potrafili żyć bez dochodu.

Przedsiębiorstwa nie wypłacały pensji zmarłym.

Rodziny traciły żywicieli.

Kolejne miliony porzucały zatrudnienie, by opiekować się dziećmi, chorymi i starymi.

Innych zastąpiły systemy, którym pandemia otworzyła drzwi.

Produkcja rosła.

Na rachunkach gospodarstw domowych ubywało pieniędzy.

Saira przyniosła Nerai prognozę dla całej planety.

– Jeśli nic nie zrobimy, za trzy miesiące ponad połowa gospodarstw domowych będzie zdana na pomoc doraźną.

Siedziały w dawnym gabinecie Jesaira.

Kwarantannę domu Davionów zniesiono tydzień wcześniej.

Dom oczyściły maszyny.

Przedmioty pozostawiono na swoich miejscach.

Naczynie na wodę przy miejscu Jesaira.

Książka Marei przy oknie.

Dwa fotele zwrócone ku ogrodowi.

Nerai ich nie dotykała.

– Ilu ludziom możemy znaleźć pracę? – zapytała.

– Wszystkim.

Nerai spojrzała na Sairę.

– Pożyteczną.

Saira spuściła wzrok na projekcję.

– Nie wiem.

– W przybliżeniu.

– Połowie dorosłych. Może mniej.

– Jeśli zatrzymamy automatyzację?

– Większej liczbie.

– I przy następnym kryzysie znów będziemy czekać na ludzkie podpisy?

Saira milczała.

– W takim razie jej nie zatrzymamy.

Otworzyła kolejny dokument.

Projekt tymczasowego planetarnego udziału podstawowego.

Nerai nie znała tej nazwy.

Ideę – tak.

Przypomniała sobie Nitrę.

Rozmowę sprzed Jednej Trzeciej.

Jesair powiedział wtedy, że świadczenie to coś, co władza daje człowiekowi z góry.

Udział jest czymś innym.

Udział oznacza, że pewna część wspólnego dorobku należy się człowiekowi dlatego, że jest członkiem cywilizacji, która go tworzy.
Wtedy brzmiało to jak rozmowa o odległej przyszłości.

Przyszłość przyszła bez pukania.

– Kto to przygotował?

– Zespół gospodarczy Mostu. Kilka państw. Rady regionalne.

Nerai otworzyła dokument.

– Jak chcą go wypłacać?

Saira uśmiechnęła się bez radości.

– Mamy problem.

– Jaki?

– Trzydzieści walut.

Nerai zamknęła oczy.

Omal się nie roześmiała.

Omal.

– Dlatego proponują elara.

Na pierwszej stronie dokumentu widniało zdanie:

Człowiek nie może utracić prawa do życia tylko dlatego, że społeczeństwo nie potrzebuje już jego pracy.

Nerai je przeczytała.

Potem jeszcze raz.

Spojrzała na pusty fotel przy oknie.

– Jesair powiedziałby, że to nie wystarczy.

– Dlaczego?

– Bo nie wiemy, od czego wyliczać ten udział.

– Most widzi coraz większą część produkcji.

– Coraz większa część to nie całość.

– Nie.

Nerai wyjrzała przez okno.

Ogród domu Davionów zarastał.

Trawa przekraczała już brzegi ścieżek.

Drzewa kwitły.

Jedna gałąź zwieszała się zbyt nisko i nikt jej nie odciął.

Przyroda nie wiedziała, że umarła jedna trzecia świata.

Trwała dalej.

Może właśnie dlatego Nerai nie potrafiła jej nienawidzić.

Zamknęła dokument.

– W takim razie będziemy musieli widzieć więcej.

Saira podniosła wzrok.

– Produkcji?

– Wartości.

Nerai jeszcze przez chwilę patrzyła w ogród.

– Jeśli chcemy wydzielić z niej sprawiedliwy udział, musimy wiedzieć, gdzie powstaje, dokąd odpływa i kto jest jej właścicielem.

Saira skinęła głową.

Nerai podała jej dokument.

– Zwołaj radę gospodarczą.

– Kiedy?

– Teraz.

– Nerai, przecież nie spałaś.

Nerai uśmiechnęła się słabo.

– Spałam przed Jedną Trzecią.

Saira zatrzymała się w drzwiach.

– Twój brat nie chciałby, żebyś się zniszczyła.

Nerai na nią spojrzała.

– Mój brat nie chciał też trzech miliardów zmarłych.

Saira wyszła.

Drzwi się zamknęły.

Nerai została sama.

Długo siedziała.

Potem wstała i podeszła do fotela Jesaira.

Po raz pierwszy od powrotu do domu go dotknęła.

Położyła dłoń na oparciu.

– Maszyny ich nie zastąpiły – powiedziała do pustego pokoju.

Głos jej zadrżał.

– Pokazały nam tylko, jak wiele rzeczy od dawna umiały robić bez nas.

I wtedy wreszcie się rozpłakała.

Nie po jednej trzeciej świata.

Nikt nie potrafi opłakiwać trzech miliardów ludzi naraz.

Płakała po jednym bracie.

Po jednej kobiecie.

Po trzech palcach na nadgarstku.

Po dwóch dłoniach, które w ostatnich godzinach życia dzieliło kilka centymetrów przejrzystego szkła.

Na zewnątrz nad Auriolą wschodziło słońce Elarionu.

Oświetliło dachy domów.

Ogród.

Pusty fotel.

I świat, który trwał dalej.

Bo po katastrofach świat zawsze trwa dalej.

Pozostaje tylko pytanie, co zabierze ze sobą.

34. Udział żywych

Pierwszego udziału podstawowego nie przyjęto jako nowego porządku społecznego.

Przyjęto go na dziewięćdziesiąt dni.

Tak na Elarionie zaczynały się niemal wszystkie wielkie zmiany.

Tymczasowo.

Wyjątkowo.

Tylko do chwili, gdy wszystko wróci do normy.

Norma jednak przestała istnieć.

Projekt opierał się na regionalnych kosztach utrzymania. Każde państwo, miasto i zamieszkany obszar od lat obliczały podstawowe koszty mieszkania, żywności, energii, transportu i opieki zdrowotnej.
Przed Jedną Trzecią dane te służyły do ustalania świadczeń społecznych, negocjacji płacowych i podejmowania decyzji o dochodach minimalnych.
Teraz stały się podstawą udziału.

Człowiek bez innych dochodów otrzymywał kwotę odpowiadającą podstawowym kosztom utrzymania w swoim regionie.

Jeśli miał własny dochód, udział nie znikał wraz z pierwszą zarobioną monetą. Malał stopniowo, a jego wypłatę wstrzymywano dopiero wtedy, gdy dochód przekroczył dwukrotność miejscowych kosztów utrzymania.
Nie był to doskonały system.

Regiony spierały się o wyliczenia.

Miasta twierdziły, że mieszkania są droższe, niż pokazują państwowe statystyki.

Obszary wiejskie podnosiły, że transport i energia kosztują u nich więcej.

Rodziny domagały się uwzględnienia liczby dzieci.

Osoby z niepełnosprawnościami zwracały uwagę, że przeciętne koszty nie są ich kosztami.

System miał jednak jedną cechę, której nie miały wcześniejsze świadczenia.

Każdy mógł zobaczyć, na jakiej podstawie obliczono jego udział.

Widział wskaźnik regionalny, zasady, uwzględnione dochody, źródło danych i dokładne uzasadnienie ostatecznej kwoty.

Jeśli zmieniano wyliczenie, zmiana miała autora.

Jeśli system wykorzystał błędną daną, człowiek widział, skąd się wzięła.

Jeśli urzędnik otworzył czyjeś dokumenty, ich właściciel otrzymywał zapis tego wglądu.

Pierwsza wypłata w skali planety miała odbyć się przez Most.

Właśnie wtedy okazało się, że trzydzieści walut nie było jedynie symbolem suwerenności.

Było to trzydzieści różnych sposobów określania, ile człowiek potrzebuje do życia.

Jedno państwo ustaliło udział we własnej walucie, a dwa dni później ją osłabiło, aby obniżyć rzeczywiste koszty dla budżetu.
Drugie zamroziło kurs.

Trzecie zabroniło obywatelom przechowywania elarów poza licencjonowanymi bankami.

Czwarte ogłosiło, że wypłaci pomoc wyłącznie ludziom, którzy wykażą, że przez ostatnie dwa lata mieszkali na jego terytorium.
Miliony ludzi opuściły jednak po Jednej Trzeciej swoje domy.

Przenosili się do krewnych.

Tam, gdzie były wolne mieszkania.

Gdzie była praca.

Gdzie mogli otrzymać opiekę.

Rodzina mogła mieszkać w jednym państwie, pobierać emeryturę z drugiego, mieć mieszkanie w trzecim i kupować żywność sprowadzaną z czwartego.
Dawne waluty stworzono dla światów, które udawały, że ich granice są rzeczywiste.

Jedna Trzecia pokazała, że powietrze, choroba, jedzenie ani śmierć ich nie znają.

Daren Voltr siedział na posiedzeniu Rady Monetarnej naprzeciw Nerai.

Od forum w Nitrze minęły lata.

Wtedy bronił suwerenności monetarnej przed Jesairem. Mówił, że waluta jest sterem państwa, a słabsze regiony potrzebują własnego kursu, by przetrwać.
Teraz miał zmęczoną twarz.

Podczas Jednej Trzeciej zmarli jego żona i jeden z synów. Nigdy nie mówił o tym publicznie. Nerai wiedziała tylko dlatego, że widziała ich nazwiska na liście ofiar.
– Wspólnego elara nie można wypłacać bez wspólnej władzy monetarnej – powiedział Voltr.

– Most już go wypłaca – odparła Saira.

– Most emituje jednostkę rozliczeniową mającą pokrycie. Nie walutę państwa.

– Dla człowieka, który płaci nią czynsz, ta różnica jest akademicka.

Voltr spojrzał na nią.

– Właśnie takie zdania prowadzą do katastrof monetarnych.

Nerai otworzyła mapę pierwszej próbnej wypłaty.

– Katastrofę już mamy.

Na mapie pojawiły się opóźnienia.

Największe nie występowały w biednych regionach.

Występowały na granicach systemów walutowych.

– W jednym regionie ludzie otrzymali udział o cztery dni później – powiedziała Nerai. – Wiedzieliśmy, skąd wziąć pieniądze i komu je przekazać. Czekaliśmy jednak na przeliczenie między trzema walutami i zatwierdzenie przez dwa banki centralne.

Voltr przejrzał dane.

– A kto poniesie ryzyko kursowe, jeśli wszystko wypłacicie w elarach?

– Żaden z odbiorców.

– A więc Most.

– Rezerwy są jawne.

– Rezerwy nie są nieskończone.

– Cierpliwość ludzi też nie.

Voltr się oparł.

– Rozumiem pilność sytuacji. Ale wspólna waluta stworzy wspólną władzę. Tej części wciąż nie chcecie nazwać.

– Nazywamy ją – powiedziała Nerai. – Dlatego wymagamy, żeby była widoczna.

– Widoczna władza pozostaje władzą.

– Tak.

Voltr uniósł brew.

Spodziewał się obrony.

Nerai mówiła dalej:

– Przejrzystość nie znosi władzy. Pozwala zobaczyć, kto jej używa. To mniej niż doskonałość. Ale więcej niż ciemność.
Voltr spojrzał na symbol elara.

– A państwa, które go odrzucą?

– Mogą wypłacać udział we własnej walucie.

– Wtedy nie będzie planetarny.

– Będzie planetarny pod względem zasad. Sposób wypłaty pozostanie tymczasowo lokalny.

– Tymczasowo.

Wymówił to słowo z taką precyzją, jakby już słyszał w nim przyszłą historię.

Mimo sporów pierwsza wypłata doszła do skutku.

W Sarurze mieszkała kobieta o imieniu Elina Vass z czworgiem dzieci.

Przed Jedną Trzecią pracowała jako koordynatorka zaopatrzenia w sieci mniejszych szpitali. Jej mąż naprawiał autonomiczne moduły transportowe.
Oboje przeżyli chorobę.

Mąż pozostał jednak z uszkodzonymi płucami i wymagał długotrwałej opieki. Elina odeszła z pracy, żeby się nim zajmować.
Jej stanowisko przejął tymczasem zautomatyzowany system.

Nie ze złośliwości.

Szpitale nie mogły czekać, aż wróci.

Gdy złożyła wniosek o dotychczasową pomoc społeczną, państwo zażądało od niej potwierdzenia, że jest bezrobotna, aktywnie szuka pracy i odrzucając oferowane stanowisko, nie przedłuża własnej zależności od pomocy.
System zaproponował jej pracę w innym mieście.

Nie mogła jej przyjąć, nie zostawiając męża.

Dlatego odmówił jej pomocy.

Przy udziale podstawowym nie musiała dowodzić własnej użyteczności.

System ustalił jej dochody.

Koszty w regionie.

Liczbę dzieci na utrzymaniu.

Potrzeby zdrowotne domowników.

Na jej konto wpłynęła kwota w elarach.

Elina otworzyła wyliczenie.

Widziała każdą wykorzystaną daną.

Przy potrzebach zdrowotnych męża znajdował się odnośnik do chronionego zapisu. Diagnozy nie widział nikt, kto nie musiał jej znać. System potwierdził jedynie podwyższone koszty opieki.
Elina zapłaciła czynsz.

Właściciel domu przyjmował miejscową walutę. Most dokonał przeliczenia automatycznie.

Zapłaciła za energię.

Zamówiła żywność.

Część udziału została.

Po raz pierwszy od początku Jednej Trzeciej nie musiała decydować, które dziecko zje mniej.

Tego wieczoru napisała w publicznej dyskusji jedno zdanie:

Nie chcę świadczenia za to, że zawiodłam. Chcę udziału w świecie, który działa także wtedy, gdy nie mogę pracować.
W ciągu kilku dni zdanie powtórzyły miliony ludzi.

Nie wszyscy się zgadzali.

Właściciele zautomatyzowanych przedsiębiorstw twierdzili, że społeczeństwo karze efektywność. Zainwestowali w maszyny, ponosili ryzyko, a teraz oczekiwano od nich, że podzielą się wynikami z ludźmi, których te maszyny zastąpiły.
Powracał jednak argument Jesaira.

Maszyny nie powstały z niczego.

Korzystały z badań finansowanych przez poprzednie pokolenia.

Z sieci energetycznych budowanych przez państwa.

Z danych miliardów ludzi.

Z infrastruktury transportowej.

Z porządku prawnego.

Z zasobów pozaplanetarnych, których nikt nie stworzył własnymi rękami.

Nawet największe prywatne przedsiębiorstwo stało na podłodze, której samo nie zbudowało.

Rada Planetarna wprowadziła więc opłatę od zautomatyzowanej produkcji.

Nie według liczby robotów.

To zachęcałoby przedsiębiorstwa do ukrywania maszyn albo pozorowania ludzkiej pracy.

Opłatę obliczano na podstawie wartości wytworzonej przy minimalnym udziale człowieka oraz wykorzystania wspólnej infrastruktury.
Wyliczenie było złożone.

Dlatego musiało być jawne.

Przedsiębiorstwo widziało, jak system wyliczył jego zobowiązanie.

Obywatel widział, jaka część udziału podstawowego pochodzi ze zautomatyzowanej produkcji, podatków, dochodów ze wspólnego majątku i rezerw.
Właśnie podczas wprowadzania opłaty ujawniła się dawna słabość Elarionu.

Nikt nie potrafił dokładnie określić, gdzie powstał zysk.

Fabryka stała w Unii.

Była własnością spółki z Vasýrii.

Patenty należały do funduszu w Therinithie.

Usługi obliczeniowe rozliczano przez thaerońską jurysdykcję.

Opłata licencyjna trafiała na południową wyspę.

Pod koniec roku przedsiębiorstwo twierdziło, że w państwie, w którym rzeczywiście produkowało, niemal nic nie zarobiło.

Tak działało wiele spółek odnoszących największe sukcesy.

Wartość powstawała w fabryce.

Zysk rodził się na papierze tam, gdzie niemal nie było pracowników, klientów ani maszyn.

Małe państwa wyspiarskie zbudowały całe gospodarki na prawnym przemieszczaniu wartości.

Oferowały niskie podatki.

Chronioną tożsamość właścicieli.

Niejawne fundusze.

Specjalne zasady rachunkowości.

Prawo, zgodnie z którym odmowa udzielenia informacji nie była przeszkodą we współpracy, lecz usługą dla klienta.
Duże państwa odpowiadały podnoszeniem podatków.

Musiały finansować szpitale, szkoły, transport, odbudowę po Jednej Trzeciej i udział podstawowy.

Im wyższe były podatki, tym większą wartość miało ich obchodzenie.

Im więcej pieniędzy uciekało, tym wyższe musiały być stawki dla tych, którzy zostawali.

Spirala podatkowa się nakręcała.

Podatki były wysokie, ponieważ wielu ich nie płaciło.

Wielu ich nie płaciło, ponieważ były wysokie.

A ci, którzy płacili, coraz mocniej wierzyli, że są karani za to, iż nie mają dość władzy, by się wymknąć.
Most nie mógł zmienić dawnych ksiąg rachunkowych.

Nowe transakcje w elarach pokazywały jednak, gdzie rzeczywiście powstała wartość, jakie usługi świadczono i kto był ostatecznym odbiorcą.
Przy płatności nie dało się już po prostu oddzielić ceny od drogi, którą przebyła.

Każda znacząca transakcja zawierała odwołanie do powiązań własnościowych, podstawy umownej i zasad opodatkowania.

Nie wszystko było jawne dla każdego.

Lecz nic istotnego nie pozostawało całkowicie bezimienne.

Po sześciu miesiącach tymczasowego udziału podstawowego okazało się, że planetarny system uzyskał większe wpływy przy niższych stawkach niż dawne państwa przy wyższych.
Nie dlatego, że ludzie nagle pokochali podatki.

Unikanie ich straciło część osłaniającej je ciemności.

Rada Gospodarcza zaproponowała przedłużenie udziału podstawowego o kolejny rok.

Daren Voltr głosował za.

Po posiedzeniu Nerai zatrzymała go na korytarzu.

– Myślałam, że będzie pan przeciw.

– Jestem.

– Głosował pan za.

– Ponieważ alternatywa jest gorsza.

– To brzmi jak początek każdej reformy.

Voltr spojrzał przez przezroczystą ścianę na Nitrę.

Miasto wciąż było pełne pustych mieszkań.

– Jesair w jednej sprawie miał rację – powiedział.

Nerai spojrzała na niego.

– W której?

– Nie da się obliczać udziału w wartości, której nikt nie widzi.

– Tylko w jednej?

Voltr niemal się uśmiechnął.

– Proszę nie przyznawać zmarłym zbyt wielu zwycięstw naraz.

Potem spoważniał.

– Wciąż jednak nie dostrzegacie konsekwencji.

– Jakiej?

– Jednolite wyliczenie. Jednolita warstwa podatkowa. Jednolity udział. Jedna waluta rozliczeniowa.

– Tak.

– To już nie jest pomoc.

– Nie.

– To fundament państwa.

Nerai spojrzała na znak Mostu wyświetlany nad rzeką.

– Być może.

– A kto będzie tym państwem rządził?

– Na to pytanie musimy odpowiedzieć, zanim ktoś odpowie za nas.

Voltr odszedł.

Nerai została przy oknie.

Na jej interfejsie roboczym pojawiło się powiadomienie.

System analizy historycznej ukończył pierwszą rekonstrukcję przepływów finansowych związanych z Jedną Trzecią.

Otworzyła ją.

Na obrazie pojawiły się tysiące płatności.

Fundacje.

Laboratoria.

Moc obliczeniowa.

Rezerwacje transportowe.

Wyjątki prawne.

Dane rodowe.

Modele ubezpieczeniowe.

Fundusze polityczne.

Wszystko, co przed Jedną Trzecią widziała oddzielnie.

Teraz leżało na jednej mapie.

Pośrodku pozostawało puste miejsce.

Nie dlatego, że niczego tam nie było.

Dlatego, że ktoś zadał sobie wiele trudu, by nie było tam nazwiska.

Nerai powiększyła obraz.

– Znaleźliśmy szkielet – powiedziała.

Taren, który stał obok niej, wpatrzył się w linię łączącą Vestę z fundacjami badawczymi.

– A ciało?

– Wciąż oddycha.

35. Finansowy szkielet pandemii

Śledztwo w sprawie Jednej Trzeciej nie zaczęło się od zatrzymania podejrzanego.

Zaczęło się od zabezpieczenia danych.

W pierwszych tygodniach pandemii zniknęły tysiące spółek. Niektóre dlatego, że zmarli ich właściciele. Inne dlatego, że ich działalność straciła sens. Jeszcze inne dlatego, że ludzie, którzy nimi kierowali, wykorzystali chaos i zniknęli.
Zamykano archiwa księgowe.

Banki łączyły systemy.

Czyszczono serwery.

Tymczasowe środowiska badawcze likwidowano po wygaśnięciu umów najmu.

W zwykłych okolicznościach dane przechowywano by przez okres wymagany miejscowym prawem.

Po Jednej Trzeciej nie było jednak jasne, które dane są dokumentacją handlową, a które dowodem największej zbrodni w dziejach Elarionu.
Nerai przeforsowała planetarny nakaz zabezpieczenia wszystkich zapisów związanych z badaniami biologicznymi, archiwami rodowymi, logistyką kryzysową i fundacjami, które pojawiły się w Warstwie.
Przeciwko nakazowi protestowały dwadzieścia trzy państwa.

Niektóre szczerze broniły praw swoich obywateli.

Inne broniły klientów.

Therinith oświadczył, że zagraniczne śledztwo nie może objąć zbiorczym nakazem zabezpieczenia dokumentacji majątkowej i księgowej osób, wobec których nie istnieją konkretne podejrzenia.
Nerai odpowiedziała opublikowaniem listy brakujących danych.

Nie ich treści.

Tylko tego, co powinno istnieć, a nagle przestało.

Siedem funduszy zmieniło zarządcę w pierwszym miesiącu pandemii.

Cztery fundacje zamknęły konta.

Dwie kancelarie prawne zgłosiły uszkodzenie archiwów.

Vesta przeniosła część własności na spółkę założoną trzy dni po pierwszych publicznych doniesieniach o chorobie.

Każdy z tych kroków z osobna mógł mieć niewinne wyjaśnienie.

Razem wyglądały na ucieczkę.

Presja opinii publicznej zmusiła Therinith do ustępstwa.

Pozostał jednak problem.

Danych nie zapisano w jednym języku.

Banki i państwa opisywały te same przepływy jako darowizny, pożyczki lub licencje. Po uzyskaniu nowych uprawnień sądowych Warstwa mogła porównywać znaczniki czasu, podpisy zarządców i pierwotne identyfikatory również tam, gdzie zmieniła się prawna nazwa transakcji.

Tym razem z problemem mierzyli się jednak nie tylko ludzie.

Systemy analityczne, które podczas odbudowy łączyły zapasy z produkcją, otrzymały nowy cel.

Nie szukać winnego.

Szukać zgodności.

Tego samego zarządcy.

Tego samego węzła komunikacyjnego.

Tej samej sekwencji czasowej.

Tego samego schematu prawnego.

Tej samej ostatecznej korzyści ekonomicznej.

Nerai nie zgodziła się, by AI przyznawała ludziom oceny winy.

– Maszyna może pokazać, że dwie drogi się przecięły – powiedziała zespołowi. – Nie może zdecydować, dlaczego ludzie nimi szli.

– Bez oceny ryzyka otrzymamy miliony powiązań – zaoponował jeden z analityków.

– Więc je otrzymamy.

– Ludzie nie zdołają ich przejrzeć.

– W takim razie użyjcie maszyny do porządkowania dowodów, nie ludzi.

– Różnica jest niewielka.

– Nie dla człowieka, którego uznacie za winnego.

System pracował więc na zdarzeniach.

Płatność.

Umowa.

Zmiana właściciela.

Wynajem mocy obliczeniowej.

Udzielenie wyjątku.

Dostęp do danych.

Dopiero gdy zdarzenia się połączyły, śledczy badali osoby.

Pierwszy pewny punkt pojawił się w miejscu, którego nikt nie uważał za rozstrzygające.

W firmie ubezpieczeniowej.

Przed Jedną Trzecią jedna z fundacji zamówiła model strat finansowych w przypadku choroby nierównomiernie dotykającej określone grupy ludności.
Ubezpieczyciel otrzymał hipotetyczne zadanie.

Nie wiedział, że ma ono związek z rzeczywistym projektem biologicznym.

Gotowy raport przekazał za pośrednictwem zabezpieczonego repozytorium. Przy przekazaniu powstał zapis identyfikujący urządzenie, na którym otwarto plik.
Urządzenie nie było zarejestrowane na osobę.

Należało do spółki zarządzającej prywatnymi rezydencjami w Nitrze.

Właścicielem spółki był fundusz.

Funduszem zarządzała kancelaria w Therinithie.

Kancelaria chroniła ostatecznego klienta.

Dawny system by się w tym miejscu zatrzymał.

Nowa rekonstrukcja zestawiła dane urządzenia ze zużyciem energii, wejściami do budynków i innymi pobranymi dokumentami.
Na tym samym urządzeniu otwarto:

analizę opóźnionej reakcji instytucji ochrony zdrowia,

opinię prawną w sprawie wykorzystania zanonimizowanych danych genetycznych,

raport o logistyce kryzysowej,

wynik modelowania biologicznego,

i dokument zatytułowany Test ślepoty.

Wszystkie pliki spotkały się w jednej rezydencji.

Rezydencja należała do Ariena Korvetha.

Taren sprawdził wynik trzy razy.

– To jeszcze nie dowodzi, że on je otworzył.

– Nie – powiedziała Nerai.

– Z urządzenia mógł korzystać ktoś inny.

– Tak.

– Rezydencja miała personel.

– Miała.

– I gości.

– Tak.

Taren spojrzał na nią.

– Możesz choć raz się ucieszyć?

– Kiedy będziemy mieli dowód.

Następny przyszedł z archiwów rodowych.

Mareia przed Jedną Trzecią odnotowała spotkanie z Arienem. Nie jego treść. Nie miała uprawnień do potajemnego nagrywania prywatnej rozmowy.
System zachował jednak czas spotkania, jej wejście, jego potwierdzenie wizyty i późniejszy dostęp do chronionych danych badawczych.
Kilka minut po wyjściu Marei Arien otworzył dokument o biologicznej podatności aureliańskich linii rodowych.
Godzinę później skontaktował się z Kaelem Thorne'em.

Następnego dnia przeszła ostatnia płatność.

Sama kolejność zdarzeń nadal nie była dowodem zamiaru.

Potem znaleźli wiadomość z laboratorium.

Badaczka, która pracowała nad jedną z części biologicznych, miała wątpliwości. Wysłała pytanie do pośrednika, od którego dostała zlecenie.
Pytała, czy wyniki nie zostaną wykorzystane w sposób zagrażający konkretnej populacji.

Odpowiedź była krótka:

Projekt nie ma na celu wzbudzania nienawiści ani aktywnego obierania celów. Ocenia naturalne różnice w reakcji systemów biologicznych. Proszę kontynuować zgodnie z zatwierdzoną specyfikacją.

Wiadomość podpisano jedynie kodem projektu.

Analiza stylu wykazała podobieństwo do wiadomości Ariena.

Nerai nie zgodziła się wykorzystać jej jako głównego dowodu.

– Podobieństwo języka nie jest podpisem.

Taren otworzył dane techniczne.

– Ale klucz nadawcy jest.

Klucz utworzono w rezydencji Ariena.

W tej chwili jego nazwisko przestało być tylko podejrzeniem.

Nerai wystąpiła o nakaz przeszukania, zajęcia urządzeń i ograniczenia swobody przemieszczania się.

System sądowy odpowiedział, że od dwóch miesięcy dana osoba nie przebywa pod wskazanym w ewidencji adresem.

Rezydencja Ariena była pusta.

Nie porzucona w panice.

Uprzątnięta.

Rzeczy osobiste zniknęły.

Środki z kont zostały przelane.

Uprawnienia dostępu cofnięte.

Na jednej ze ścian pozostał jaśniejszy prostokąt po zdjętym obrazie.

W szafie zostało tylko granatowe naczynie.

Całe.

Leżało na boku.

Nerai rozpoznała je ze starych zdjęć Marei.

Należało do niej.

Wzięła je do rąk.

Na brzegu miało niewielkie otarcie.

Nic więcej.

Arien próbował je zniszczyć i nawet tego nie potrafił.

– Kiedy wyjechał? – spytała.

Śledczy otworzył zapisy domu.

– W pierwszym miesiącu pandemii.

– Dokąd?

– Prywatny moduł poleciał w stronę pierścienia orbitalnego.

– A potem?

– Brakuje zapisu miejsca docelowego.

Nerai spojrzała na niego.

– Statki nie znikają.

– Ten zmienił właściciela w trakcie lotu. Nowy właściciel był zarejestrowany na Thaeronie.

– Kto?

– Fundusz w Therinithie.

Nerai niemal poczuła znużone rozbawienie.

Nawet uciekając, Arien pozostał wierny dawnemu światu.

Sądził, że jeśli podzieli drogę między dostatecznie wiele rejestrów, nikt nie zobaczy, dokąd dotarł.

Most nie miał jeszcze wglądu w dawne prywatne loty.

Lecz systemy energetyczne i zaopatrzeniowe Thaeronu były już częścią odbudowy.

Każda kopuła raportowała zużycie wody, energii, tlenu i żywności.

System analityczny znalazł miejsce, gdzie zużycie od dłuższego czasu przekraczało potrzeby zarejestrowanej liczby mieszkańców.

Prywatna kopuła na skraju północnej osady.

Oficjalnie pusta.

Regularnie zaopatrywana.

Należąca do kolejnego funduszu.

Nerai patrzyła na mapę.

– Wystąpcie do Thaeronu o zatrzymanie.

Taren się zawahał.

– Administracja Thaeronu już odpowiedziała.

– Kiedy pytaliśmy?

– Nie pytaliśmy. System wysłał im automatyczne powiadomienie po rozpoznaniu osoby objętej ograniczeniem przemieszczania się.

– I?

– Twierdzą, że nie mają wystarczającej podstawy prawnej, by wejść do prywatnej kopuły.

Nerai powoli postawiła naczynie Marei na stole.

– Trzy miliardy zmarłych nie są wystarczającą podstawą prawną?

– Według nich mamy dowody finansowe i dane. Nie mamy bezpośredniego dowodu, że Arien stworzył lub uwolnił zagrożenie biologiczne.

– Mamy jego urządzenie. Jego klucz. Jego finansowanie. Jego ucieczkę.

– Mamy strukturę.

– On miał całość.

– Musimy to udowodnić.

Nerai spojrzała na mapę kopuły.

– Więc pozwólcie mu mówić.

Thaerońskie władze odmówiły jawnej interwencji.

Dwie godziny później Warstwa opublikowała część mapy dowodów.

Bez osobistych danych zdrowotnych.

Bez technicznych szczegółów biologicznych.

Pokazała tylko to, co było konieczne.

Fundacje.

Płatności.

Zlecenia badawcze.

Urządzenie.

Rezydencję Ariena.

Ucieczkę.

I prywatną kopułę, której właściciel pozostawał ukryty.

Opinia publiczna powiązała nazwisko z dowodami szybciej niż sąd.

Przed kopułą zaczęli gromadzić się ludzie.

Nie uzbrojeni.

Ci, którzy stracili bliskich.

Przynosili zdjęcia zmarłych.

Układali je przed wejściem.

Jedno po drugim.

Administracja Thaeronu wysłała oddziały bezpieczeństwa, by zapobiec przemocy. Zamiast ataku zastały ciszę.
Tysiące twarzy ułożonych na ziemi obcej planety.

Trzeciego dnia sąd wydał nakaz.

Oddziały bezpieczeństwa weszły do kopuły.

Arien Korveth siedział przy stole.

Nie uciekł.

Przed nim otwarta była transmisja z tłumu.

Patrzył na zdjęcia.

Gdy polecono mu wstać, posłuchał.

– Jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem udziału w przygotowaniu i finansowaniu zdarzeń prowadzących do Jednej Trzeciej.

Arien uśmiechnął się lekko.

– Jednej Trzeciej nie spowodowały pieniądze.

Dowódca oddziału nie odpowiedział.

Arien wyciągnął ręce, by mogli je unieruchomić.

– Spowodowali ją ludzie.

– To oceni sąd.

– Nie – powiedział Arien. – Sąd oceni mnie.

Jeszcze raz spojrzał na zdjęcia przed kopułą.

– A tym samym oczyści wszystkich pozostałych.

36. Człowiek, który miał mapę

Ariena nie przewieziono do Nitry.

Byłoby to niebezpieczne.

Nie dla niego.

Dla miasta.

Przed budynkiem Warstwy gromadziły się dziesiątki tysięcy ludzi. Część domagała się publicznego procesu. Inni natychmiastowej śmierci. Pojawiły się wezwania do wydalenia wszystkich Veyran, zamknięcia ich domów finansowych i skonfiskowania majątku.

Publiczna transmisja pokazywała twarz Ariena obok liczby ofiar. Prowadzący mówił o zatrzymaniu i dowodach finansowania; jeden z gości już domagał się wyroku, drugi zamknięcia wszystkich veyrańskich fundacji. Pod obrazem przesuwały się nazwiska ludzi, których wciąż szukano.

Nerai oglądała przez kilka sekund. Poleciła poprawić błędną informację o godzinie zatrzymania i poprosiła, by urząd opublikował to, co rzeczywiście zostało udokumentowane. Na ekranie Arien stawał się już jedyną twarzą całej katastrofy. Śledztwo miało jednak trwać także po jego przesłuchaniu.

Nerai odmówiła ujawnienia miejsca zatrzymania.

Arien wiedział, że jego życie zależy również od tego, czy pozostanie w ukryciu.

Pierwsze przesłuchanie odbyło się przez zabezpieczone połączenie.

Po jednej stronie siedział Arien w białym pokoju bez okien.

Po drugiej Nerai, dwoje śledczych, przedstawiciel prawny Konwentu i obrońca Ariena.

Nerai nie chciała uczestniczyć w przesłuchaniu.

Była siostrą jednej z ofiar.

Jej obecność mogła podważyć bezstronność.

Jednocześnie znała mapę finansową lepiej niż ktokolwiek inny.

Arien poprosił o nią osobiście.

– Będę rozmawiał tylko z nią – powiedział.

– Nie ma pan prawa wybierać osoby prowadzącej przesłuchanie – odparł prawnik.

– W takim razie nie będę mówił.

Nerai się zgodziła.

Nie dlatego, że chciała spełnić jego życzenie.

Chciała wiedzieć, dlaczego wybrał właśnie ją.

Gdy nawiązano połączenie, Arien długo na nią patrzył.

– Jest pani do niego mniej podobna, niż się spodziewałem.

– Do kogo?

– Do Jesaira.

– Znał go pan?

– Nie.

– Zabił go pan.

Obrońca Ariena poruszył się.

– Mój klient...

– Proszę jej pozwolić – powiedział Arien.

Nerai postawiła przed sobą granatowe naczynie Marei.

Arien je zobaczył.

Jego twarz się zmieniła.

Tylko na chwilę.

– Znaleźliśmy je w pańskim mieszkaniu.

– Należało do Marei.

– Wiem.

– Dlaczego je pani przyniosła?

– Żeby miał pan na co patrzeć, kiedy będzie pan kłamał.

Obrońca znów interweniował.

– Taki sposób przesłuchiwania...

– Mogę odejść? – spytał Arien.

– Nie.

– W takim razie sposób nie ma znaczenia.

Nerai otworzyła mapę dowodów.

– Zna pan te projekty?

– Niektóre.

– Finansował je pan?

– Nie bezpośrednio.

– Zapewnił im pan finansowanie?

– Nie wszystkim.

– Którym?

Arien się oparł.

– Pyta pani tak, jakby istniał jeden projekt.

– Istniał jeden zamiar.

– Zamiar nie jest rachunkiem.

– Właśnie dlatego go pan podzielił.

Arien spojrzał na mapę.

– Każdy z tych projektów był zgodny z prawem.

– Z osobna.

– Zgodności z prawem nie ocenia się według tego, co ktoś później do niej dorysuje.

– Laboratoria nie znały danych rodowych. Analitycy nie znali wyników badań biologicznych. Prawnicy nie znali modeli logistycznych. Ubezpieczyciele nie znali celów badawczych.

– Tak działa ochrona wrażliwych projektów.

– Nie. Tak działała pańska ochrona przed tym, żeby ktoś zobaczył całość.

Arien nie odpowiedział.

Nerai powiększyła schemat.

– Każdy widział część. Pan miał mapę.

Postąpili prawidłowo.

Głos ojca powrócił, zanim zdążył przygotować odpowiedź. Kiedyś nienawidził tego zdania. Teraz miał je przed sobą, rozpisane na umowy, wyjątki i podpisy.

– Uważa pani, że mapa jest zbrodnią?

– Jeśli pokazuje drogę do trzech miliardów ciał, tak.

Arien spuścił wzrok na naczynie.

– Nie planowałem trzech miliardów.

– Ilu?

Obrońca pochylił się ku niemu.

Arien go zignorował.

– Kryzys miał obnażyć słabość aureliańskiego wyobrażenia o własnej wyjątkowości.

– Ilu?

– Nie było dokładnej liczby.

– Jedna rodzina? Jedno miasto? Jeden odłam?

– Chciałem zmienić równowagę.

– Ilu zmarłych oznacza równowagę?

Arien podniósł wzrok.

– Zadaje mi pani pytanie, które wasi mężowie stanu stawiają przy każdej wojnie. Ile ofiar można zaakceptować w imię przyszłego pokoju?

– Pan nie rozpoczął wojny.

– Nie.

– Na wojnie wróg przynajmniej wie, że do niego mierzą.

Twarz Ariena pozostała spokojna.

– Aurelianie przez całe stulecia zmieniali Elarion bez głosowania pozostałych.

– Tym, że istnieli?

– Tym, co reprezentowali.

– Mareia pana opuściła.

Obrońca gwałtownie wciągnął powietrze.

Arien znieruchomiał.

Nerai mówiła dalej:

– To nie była wojna przeciwko Aurelianom. To był cios mężczyzny, który nie potrafił przyjąć, że kobieta nie jest jego własnością.

– Nic pani nie wie o naszym związku.

– Wiem, że powiedziała „nie".

– Odeszła do niego.

– Nie była rzeczą, która przeszła z pańskich rąk w ręce Jesaira.

– Dał jej opowieść, w której mogła być kimś więcej.

– A pan dał jej świat, w którym miała umrzeć.

Arien wstał.

System bezpieczeństwa natychmiast nakazał mu usiąść.

Nerai go obserwowała.

– Proszę usiąść.

– Nie przyszedłem rozmawiać o Marei.

– Dlaczego więc chciał pan rozmawiać ze mną?

Arien nadal stał.

Potem powoli usiadł.

– Ponieważ tylko pani wie, że nie zdołałem zrobić tego sam.

Nerai nie odpowiedziała.

Arien wskazał mapę.

– Wasza planeta udaje teraz, że znalazła potwora. Jednego człowieka, który przechytrzył banki, naukowców, laboratoria, rządy i sztuczne inteligencje.

– Nikt nie twierdzi, że pan ich przechytrzył.

– Nie?

– Większość nie wiedziała, nad czym pracuje.

– A dlaczego nie wiedziała?

Nerai milczała.

– Bo nie chciała wiedzieć – powiedział Arien. – Laboratorium dostało pieniądze i wąską specyfikację. Bank płatność bez zarzutu pod względem prawnym. Fundacja cel służący dobru publicznemu. Polityk darowiznę, która nie naruszała miejscowego prawa. Państwo wyspiarskie opłatę za ochronę właściciela. Każdy widział dokładnie tyle, ile potrzebował, żeby móc działać dalej.

– Pan stworzył tę ślepotę.

– Nie. Wykorzystałem ją.

– Z pomocą Kaela Thorne'a.

Po raz pierwszy Arien nie odpowiedział od razu.

– Kael otworzył drogi finansowe – powiedział w końcu.

– Wiedział, po co?

– Wiedział dość.

– Wiedział o celu biologicznym?

– Wiedział, że celem będzie kryzys.

– O jego skali?

– Nie.

– Dlaczego panu pomógł?

Arien uśmiechnął się bez radości.

– Ponieważ Jesair zaproponował świat, w którym Kael przestałby istnieć w taki sposób, w jaki istniał dotąd.

Nerai otworzyła nagranie z forum w Nitrze.

Jesair mówił o widocznej władzy finansowej.

O ostatecznych właścicielach.

O tym, że każdy wgląd musi zostawiać ślad.

Kael siedział na sali.

– Chciał powstrzymać przejrzystość – powiedziała Nerai.

– Chciał ją odsunąć. Spowolnić. Zdyskredytować. Chciał konfliktu, który pokazałby, że otwarty świat jest niebezpieczny.

– A pan dał mu Jedną Trzecią.

– On dał mi pieniądze.

– Gdzie jest?

– Nie wiem.

– Kłamie pan.

– Kael przestał mi ufać jeszcze przed pierwszą gorączką.

– Próbował zatrzymać projekt.

– Za późno.

– Dlaczego?

Arien spojrzał na twarze na mapie dowodów.

– Bo zrozumiał, że otworzył drogę komuś, kto nie ma jego granic.

– Pan miał granice?

– Tak sądziłem.

Arien spojrzał na granatowe naczynie. Na jego brzegu zostało drobne otarcie, którego nie przeoczył nawet przez ekran.
A teraz powiedz mi, jak było naprawdę.

Głos matki dotarł do niego tak wyraźnie, że musiał spuścić oczy. Kiedyś pytała go tak, gdy próbował ukryć błąd za doskonale ułożonym wyjaśnieniem.
– Kiedy byłem chłopcem, moja matka zginęła w wypadku komunikacyjnym – powiedział. – Był tam tylko jeden transport intensywnej opieki. Ratownicy zabrali dziecko o aureliańskich oczach.
Obrońca zwrócił się ku niemu, lecz Arien mówił dalej.

– Ojciec zażądał wszystkich zapisów. Powiedział mi, że ratownicy postąpili prawidłowo. To dziecko przeżyło.
– A pańska matka? – spytała Nerai.

– Zmarła w drodze do szpitala.

Arien dotknął krawędzi stołu.

– Zanim go zabrali, sama powiedziała, żeby wzięli tego chłopca.

Nie wypowiadał tego zdania na głos od dziesięcioleci.

Nerai znała też inny dokument z jego nazwiskiem. Otworzyła dawny projekt rezerwowych transportów i obróciła zapis w jego stronę. – Po tym wypadku sprawił pan, że ratownicy nie musieli już tak często wybierać między dwojgiem rannych.
Arien patrzył na liczbę ocalonych. – Wtedy jeszcze wierzyłem, że wystarczy zmienić zasadę.

Nerai zamknęła zapis. Ludzie, którym pomógł, pozostali żywi. Ludzie na mapie dowodów również pozostali jego odpowiedzialnością.
– Co chciał pan zmienić? – spytała Nerai.

Nie podniosła głosu. Arien jednak znów usłyszał pod jej słowami pytanie matki.

– Chciałem, żeby złoty krąg choć raz nikomu nie pomógł – powiedział. – Żeby Jesair przegrał. Żeby Mareia zobaczyła, jak bardzo się co do niego myliła. Żeby ktoś inny czekał przed drzwiami, które się nie otworzą.
Obrońca położył dłoń na stole. Arien na niego nie spojrzał.

– Ratownicy decydowali wtedy, kogo z dwojga rannych zdążą uratować – powiedziała Nerai. – Pan stworzył zagrożenie dla ludzi ze względu na ich pochodzenie. Także dla dzieci.
Arien otworzył usta. Żadne ze zdań, których używał przez całe lata, nie mieściło się w odpowiedzi.

Przed oczami miał rękę matki i chłopca za szybą. Tamto obce dziecko próbowano ratować. Chłopcu na fotografii zagrażał on.
Tak długo nienawidził ojcowskiego „Postąpili prawidłowo", aż stworzył układ, w którym wszyscy poza nim mogli wypowiedzieć to zdanie. On znał skutek, ku któremu zmierzała ich praca.
Na chwilę zapadła cisza.

Nerai spojrzała na niego.

Nie siedział przed nią potwór z opowieści.

Siedział człowiek.

To było gorsze.

Potwór stoi poza ludźmi.

Człowiek pokazuje, co może powstać pośród nich.

– Gdzie jest Kael? – powtórzyła.

– Na Thaeronie.

– Gdzie?

– Gdybym wiedział, wydałbym go pani.

– Dlaczego?

Arien odchylił się do tyłu.

– Ponieważ ja będę nosił nazwiska zmarłych. On nadal będzie mówił o wolności.

Przesłuchanie trwało jeszcze sześć godzin.

Arien przyznał się do połączenia projektów.

Nie przyznał się do uwolnienia choroby.

Twierdził, że ostatnimi operacjami kierowały autonomiczne procesy i nie znał dokładnej chwili ani miejsca początku.
Przekazał jednak śledczym kody, nazwiska pośredników i części struktury finansowej.

Nie z żalu.

Z potrzeby podzielenia się winą.

Gdy połączenie dobiegało końca, Arien raz jeszcze spojrzał na Nerai.

– Co zrobicie, kiedy mnie skażecie?

– Pójdziemy dalej.

– Dokąd?

– Do ludzi, którzy dali panu drogę.

– A potem?

– Do systemu, który ją ukrył.

Arien uśmiechnął się lekko.

– Więc ostatecznie zrobicie dokładnie to, czego bał się Kael.

– Nie ze względu na niego.

– Ze względu na Jesaira?

Nerai spojrzała na granatowe naczynie.

– Ze względu na tych, którzy już nie mogą zobaczyć, co stało się z ich światem.

Połączenie zostało zamknięte.

Arien został sam w białym pokoju.

Nerai otworzyła nowy dokument.

Miał być wstępnym raportem o przyczynach Jednej Trzeciej.

W pierwszym wierszu napisała:

Arien Korveth był autorem zamiaru.

Potem się zatrzymała.

W drugim:

Kael Thorne zapewnił mu drogi finansowe i polityczne.

W trzecim:

Instytucje Elarionu sprawiły, że nikt poza sprawcami nie widział wszystkich części naraz.

Przeczytała te zdania.

Arien.

Kael.

System.

Wina jednostki.

Współwina.

Ślepota cywilizacji.

Gdyby pominęła pierwsze dwa, zbrodniarze ukryliby się za społeczeństwem.

Gdyby pominęła trzecie, społeczeństwo skazałoby zbrodniarzy i zachowało warunki dla kolejnych.

Nerai zapisała dokument.

Tytuł brzmiał:

Nie tylko Arien.

37. Nie tylko Arien

Wstępny raport opublikowano w dniu, w którym Elarion po raz pierwszy od Jednej Trzeciej odnotował więcej narodzin niż zgonów.
Media wybrały przyznanie się Ariena.

Opinia publiczna nazwisko Kaela.

Banki błędy prawne.

Państwa obce jurysdykcje.

Każdy znalazł w raporcie część, która wskazywała na kogoś innego.

Therinith oświadczył, że nie naruszył żadnego prawa.

To była prawda.

Jego rejestry chroniły właścicieli dokładnie według przyjętych zasad.

Banki ogłosiły, że wszystkie płatności przeszły kontrolę.

To również była prawda.

Każda transakcja miała wiarygodny cel, prawnie istniejącą drugą stronę i dokumentację odpowiadającą miejscowym wymogom.
Fundacje twierdziły, że nie znały ostatecznego zamiaru stojącego za finansowanymi projektami.

Przeważnie była to prawda.

Laboratoria oświadczyły, że badały uzasadnione zagadnienia naukowe.

Prawda.

Prawnicy podali, że oceniali hipotetyczne przypadki.

Prawda.

Ubezpieczyciele modelowali ryzyko.

Prawda.

Przewoźnicy rezerwowali zdolności przewozowe.

Prawda.

Partie polityczne przyjmowały dozwolone darowizny.

Prawda.

Niemal wszystko było prawdą.

Właśnie dlatego mogło powstać tak wielkie kłamstwo.

Nerai stanęła przed planetarną radą śledczą.

Za jej plecami widniała mapa finansowego szkieletu Jednej Trzeciej.

– Nie znaleźliśmy jednego tajnego skarbca – powiedziała. – Nie znaleźliśmy płatności z adnotacją „na finansowanie katastrofy". Nie znaleźliśmy jednej instytucji, która znałaby cały plan.
Wskazała rozdzielone linie.

– Znaleźliśmy coś bardziej niebezpiecznego. System, w którym każdy mógł mówić prawdę o swojej małej części, a zarazem pomagać tworzyć kłamstwo całości.
Na sali siedzieli przedstawiciele wszystkich czterdziestu państw.

Za nimi ci, którzy stracili bliskich.

W pierwszym rzędzie pozostało kilka pustych miejsc.

Pierwotnie mieli tam siedzieć przedstawiciele aureliańskich rad rodowych.

W znacznej mierze nie było już komu ich reprezentować.

– Arien Korveth odpowiada za zamiar, koordynację i świadome wykorzystanie rozdzielonych systemów do przeprowadzenia ataku – mówiła dalej Nerai. – Kael Thorne stworzył infrastrukturę finansową i polityczną, która ten atak umożliwiła. Inni ludzie podejmowali decyzje, przy których wiedzieli więcej, niż dziś przyznają.
Na obrazie pojawiły się fundusze, darowizny dla partii politycznych i powiązania własnościowe Vesty.

– Ale jeśli cały wniosek brzmi jedynie tak, że źli ludzie wykorzystali dobry system, to Jedna Trzecia niczego nas nie nauczyła.
Przez salę przebiegł niepokój.

– System nie był dobry. Był ślepy w sposób, który stał się modelem biznesowym.

Powiększyła wyspiarskie jurysdykcje.

– Państwa sprzedawały tajemnicę. Banki sprzedawały rozdzielenie. Fundusze sprzedawały własność bez nazwiska. Księgowość sprzedawała możliwość tworzenia zysku gdzie indziej niż wartości. Zasady polityczne sprzedawały wpływy bez widocznego pochodzenia.
Przedstawiciel Therinithu poprosił o głos.

– Nazywa pani zgodną z prawem ochronę prywatności modelem biznesowym zbrodni.

– Nie – odparła Nerai. – Mówię, że ochrona prywatności stała się modelem biznesowym władzy.

– Nasi klienci nie zostali skazani.

– Ponieważ nie znaliśmy ich nazwisk.

– To nie jest dowód winy.

– Nie. To dowód, że nie byliśmy w stanie w ogóle zbadać winy.

– Każdy obywatel ma prawo chronić swój majątek przed obcym państwem.

– A każdy obywatel ma prawo wiedzieć, kto za pomocą majątku finansuje politykę, jest właścicielem jego szpitala albo opłaca badania zagrażające jego życiu.

Przedstawiciel oparł się w fotelu.

– Kto wyznaczy granicę?

– To właśnie pytanie, które musi rozstrzygnąć Konwent.

Słowo po raz pierwszy padło publicznie.

Ogólnoplanetarny Konwent po Jednej Trzeciej.

Ogólnoplanetarny Konwent miał wykraczać poza formułę nadzwyczajnego spotkania rządów.

Nie miał też być jedynie konferencją gospodarczą.

Miał zbadać same podstawy funkcjonowania Elarionu.

Propozycję poparła Unia.

Potem większość państw selenickich.

Kilka aureliańskich rad, które jeszcze istniały.

Veyrańskie rządy się podzieliły.

Część popierała reformę. W Jednej Trzeciej zginęli także ich ludzie. Oni także stracili rodziny, miasta i przyszłość.

Inni twierdzili, że śledztwo zmienia się w zbiorowy sąd nad Veyranami.

Na Thaeronie pojawiły się pierwsze ruchy odrzucające planetarną przejrzystość.

Ich przywódcy mówili:

Jedna Trzecia nie może stać się pretekstem do stworzenia jednego rządu.

Zbrodnia Ariena nie może znieść prywatności miliardów niewinnych.

Wspólna waluta może stać się obrożą.

Widoczne pieniądze pozwolą rządowi zniszczyć każdego przeciwnika jednym zakazem.

Duża część tych argumentów była zasadna.

Właśnie dlatego były bardziej niebezpieczne niż zwykłe kłamstwa.

Wśród rzeczników nowego thaerońskiego ruchu pojawił się mężczyzna, którego nazwisko nie było publicznie znane.

Przemawiał wyłącznie głosem.

Twierdził, że Elarion potrzebuje dwóch dróg cywilizacyjnych.

Jednej otwartej.

Drugiej wolnej.

Nerai wysłuchała pierwszego przemówienia.

Po trzech zdaniach wiedziała, kto mówi.

Kael Thorne.

Zmienił ton.

Zwolnił mowę.

Używał innego nazwiska.

Lecz sposób, w jaki oddzielał władzę od odpowiedzialności, pozostał ten sam.

– Udowodnisz, że to on? – spytała Saira.

– Nie.

– Analiza głosu?

– Prawdopodobieństwo nie jest dowodem.

– Arien twierdzi, że jest na Thaeronie.

– Arien twierdzi wiele rzeczy.

– Mamy wystąpić o zatrzymanie?

Nerai zamknęła transmisję.

– Najpierw musimy wiedzieć, za co dokładnie.

– Pomógł sfinansować Jedną Trzecią.

– Mamy dowody na drogi finansowe. Mamy jego próbę zatrzymania ostatnich faz. Nie mamy dowodu, że znał skalę.

– Otworzył drzwi.

– Tak.

– A teraz mówi o wolności.

– Nawet winny człowiek może zgłosić słuszne zastrzeżenie.

Saira spojrzała na nią.

– Mówisz jak Jesair.

– Nie.

Nerai ponownie otworzyła nagranie.

– On powiedziałby to lepiej.

Konwent zwołano na pierwszą rocznicę chwili, w której liczba zmarłych osiągnęła trzy miliardy.

Na miejsce obrad wybrano Nitrę.

Tę samą salę, w której Jesair przed laty powiedział, że wartość nie może kroczyć w cieniu.

Przed budynkiem postawiono ścianę nazwisk.

Nie wszystkich.

Nie dało się zapisać trzech miliardów nazwisk w jednym miejscu.

Dlatego ściana każdego dnia wyświetlała inną część listy.

Powtarzała ją dopiero po latach.

W dniu otwarcia Konwentu na jej powierzchni świeciły nazwiska ludzi z Aurioli.

Wśród nich:

Jesair Davion.

Mareia Lioren.

Nerai przyszła przed wschodem słońca.

Postawiła przed ścianą granatowe naczynie.

Nie zostawiła go tam.

Po chwili znów je wzięła.

Niektóre rzeczy nie należą do pomników.

Należą do żywych, którzy muszą jeszcze dokończyć ich historię.

38. Konwent po Jednej Trzeciej

Przed wejściem na salę Nerai wysłuchała fragmentu porannych wiadomości. Kobieta, która po Jednej Trzeciej prowadziła społeczną kuchnię, chciała wiedzieć, kto będzie mógł kontrolować wspólne pieniądze. Właściciel małego warsztatu naprawczego obawiał się, że nowy system zobaczy również płatności jego klientów. Oboje stracili bliskich; mimo to nie zgadzali się w ocenie projektu.

– Dzisiaj zapadną także decyzje o granicy między władzą publiczną a życiem prywatnym – powiedziała prowadząca. – Dla wielu ta granica wciąż nie jest jasna.

Nerai wyłączyła transmisję i weszła do środka. Zastrzeżenie właściciela warsztatu miała zapisane także we własnych notatkach.

Na sali jedna trzecia miejsc pozostała pusta.

Nie obliczono tego dokładnie według liczby delegatów, którzy zmarli.

Była to decyzja organizatorów.

Zamknięto co trzeci rząd.

Na siedzeniach nie było nazwisk.

Jedynie cienka linia światła.

Kiedy delegaci usiedli, puste rzędy dzieliły żywych tak, jak Jedna Trzecia podzieliła rodziny, miasta i historię.

Nikt nie mógł spojrzeć na podium, nie widząc miejsca, w którym kogoś brakowało.

Konwent nie miał jednego przewodniczącego.

Kierowała nim rada przedstawicieli państw, zgromadzeń obywatelskich, instytucji eksperckich, rad rodowych i Thaeronu.

To również było kompromisem.

Nikt nie chciał, żeby zgromadzeniem poświęconym ograniczeniu władzy kierował jeden człowiek.

Nerai nie występowała jako polityczka.

Nie kandydowała.

Nie reprezentowała państwa.

Stała przed Konwentem jako osoba kierująca śledztwem w sprawie finansowego zaplecza Jednej Trzeciej.

Nad nią wyświetliło się jej nazwisko.

Nerai Sael.

Międzypaństwowy Urząd ds. Integralności Finansowej i Ryzyka Systemowego.

Zakres ujawnionych interesów: pełny.

Spojrzała na puste rzędy.

Potem zaczęła.

– Przed rokiem nadaliśmy katastrofie nazwę.

Na ścianach pojawiła się liczba.

Trzy miliardy sto dwadzieścia cztery miliony.

– Nazwaliśmy ją Jedną Trzecią, ponieważ ludzki umysł potrzebuje jednego słowa tam, gdzie nie potrafi udźwignąć miliardów nazwisk.
Liczba zniknęła.

Zastąpiły ją twarze.

Dzieci.

Kobiet.

Mężczyzn.

Wszystkich trzech odłamów.

– Dzisiaj nie będę mówiła o tym, co straciliśmy. Tego nie zdołalibyśmy skończyć. Będę mówiła o tym, co odsłoniła ich śmierć.
Na obrazie pojawił się finansowy szkielet.

– Pierwszym powodem, dla którego musimy zmienić nasze pieniądze, jest pandemia.

Kilka osób na sali się poruszyło.

Niektórzy spodziewali się przemówienia o ochronie zdrowia.

Nerai mówiła dalej:

– Jednej Trzeciej nie sfinansowano jedną płatnością. Gdyby tak było, ktoś by ją zauważył. Sfinansowano ją przez trzydzieści walut, setki przewalutowań, fundacje, fundusze, laboratoria, wyjątki prawne i spółki, których ostateczni właściciele byli nieznani.
Poszczególne części mapy rozświetlały się.

– Sztuczna inteligencja analizowała zagadnienia biologiczne, nie znając ich celu. Laboratoria wykonywały zadania, nie znając pozostałych zadań. Ubezpieczyciele modelowali skutki, nie znając przyczyny. Przewoźnicy rezerwowali zdolności przewozowe, nie znając ładunku. Banki widziały płatności, nie plan. Państwa widziały spółki, nie stojących za nimi ludzi.

Mapa połączyła się w całość.

– Jeden człowiek może przynieść nienawiść. Lecz cywilizacja daje mu drogę albo jej nie daje.

Nerai umilkła.

– My mu ją daliśmy.

Na sali panowała cisza.

– Jeśli nie widzimy pieniędzy przed czynem, zobaczymy jedynie ciała po nim.

Na obrazie pojawiły się kategorie, które odtąd miały podlegać automatycznemu nadzorowi systemowemu.

Ryzyko biologiczne i genetyczne.

Moc obliczeniowa na wielką skalę.

Laboratoria strategiczne.

Dane medyczne.

Finansowanie polityki.

Systemy uzbrojenia.

Infrastruktura krytyczna.

– Nie żądam systemu, który będzie czytał w myślach – powiedziała Nerai. – Tego nie potrafi i nie wolno mu udawać, że potrafi. Żądam systemu, który zauważy, gdy pieniądze, technologie, dane, laboratoria i władza polityczna zaczną układać się w kształt zagrożenia.

Przedstawiciel jednego z veyrańskich państw poprosił o głos.

– A kto zdecyduje, co jest kształtem zagrożenia?

– Jawne zasady.

– Stworzone przez kogo?

– Przez niezależną radę powołaną przez Konwent, podlegającą nadzorowi obywatelskiemu, eksperckiemu i sądowemu.

– A więc przez kolejną instytucję planetarną.

– Tak.

– A jeśli się pomyli?

– Jej decyzję będzie można zaskarżyć.

– A jeśli stanie się narzędziem rządu?

– Dlatego nie może należeć do jednego rządu.

Mężczyzna nie usiadł.

– To tylko przeniesienie centralizacji na wyższy poziom.

– Nie – odparła Nerai. – Scentralizowany musi być wgląd we wspólny problem. Decydowanie i kontrolę trzeba rozdzielić.

– To sprzeczność.

– Nie. Jedna mapa nie musi mieć jednego właściciela.

Mężczyzna usiadł.

Nerai otworzyła drugą część.

– Drugim powodem jest automatyzacja.

Na ścianach pojawiły się dane o produkcji po Jednej Trzeciej.

Liczba pracujących.

Moce produkcyjne.

Konsumpcja.

Zautomatyzowane decyzje.

– Jedna Trzecia zmusiła nas do zrobienia w ciągu miesięcy tego, co odkładaliśmy przez dziesięciolecia. Maszyny przejęły produkcję, transport, zarządzanie energią, księgowość, konserwację i część opieki zdrowotnej. Nie dlatego, że chcieliśmy świata bez pracy. Dlatego, że zabrakło ludzi.

Krzywa produkcji ponownie przekroczyła poziom sprzed Jednej Trzeciej.

– Potem odkryliśmy, że produkcja może rosnąć także wtedy, gdy nie rośnie liczba miejsc pracy.

Wyświetliło się zdanie, które Jesair wypowiedział w Nitrze:

Świadczeniem jest to, co władza daje z góry. Udziałem jest to, co należy się człowiekowi już dlatego, że stanowi część cywilizacji.

Nerai przez chwilę na nie patrzyła.

– Powszechny dochód podstawowy nie może być nagrodą za zbędność. Nie może też być łaską państwa wobec człowieka, którego maszyny pozbawiły pracy. Musi być udziałem w cywilizacji zbudowanej z wiedzy, danych, infrastruktury i zasobów, których żaden dzisiejszy właściciel nie stworzył sam.

Na sali odezwały się pierwsze głosy poparcia.

– Aby ten udział był sprawiedliwy, musimy wiedzieć, jaką wartość tworzą maszyny, do kogo należy, gdzie powstaje zysk i dokąd odpływa. UBI bez przejrzystości jest świadczeniem, które władza może obliczać według własnych potrzeb. Przejrzysty udział podstawowy jest prawem, którego wyliczenie obywatel może sprawdzić.

Nerai otworzyła trzecią część.

– Trzecim powodem jest korupcja.

Na ścianach pojawiły się zamówienia publiczne.

Moduły szpitalne kupowane po zawyżonych cenach.

Kontrakty transportowe.

Projekty energetyczne.

Dotacje dla funduszy, których właściciele finansowali partie polityczne.

– Korupcja. Klientelizm. Kupowanie wpływów. Drenowanie państw. Ukryte finansowanie polityki. Machinacje majątkowe. Raje podatkowe. Granty, które udawały dobro publiczne, lecz służyły prywatnej władzy. Przesunięcia księgowe przez waluty, wyspy, fundacje i węzły pozaplanetarne.

Poszczególne przykłady łączyły się.

– To wszystko kwitło w ciemności. A my tak do tej ciemności przywykliśmy, że zaczęliśmy uważać ją za normalną.

Na chwilę przestała mówić.

– Jedna Trzecia pokazała cenę tej normalności.

Przedstawicielka jednego z państw wyspiarskich wstała.

– Zgodnie z pani propozycją wszystkie przepływy finansowe będą jawne?

– Nie.

– Kto zdecyduje, które tak?

– Waga ich wpływu.

– To nie jest ścisła granica.

– Ścisłą granicę wyznaczy ustawa. Drobna osobista płatność pozostanie prywatna. Własność sieci szpitali nie.

– A darowizna?

– Osobisty dar w rozsądnych granicach pozostanie prywatny. Darowizna dla partii politycznej nie.

– Inwestycja?

– Inwestycja, która nie daje inwestorowi znaczącej władzy nad życiem innych, nie musi być jawna dla wszystkich. Jej istnienie nie może jednak pozostać niewidoczne dla nadzoru.

– Więc państwo będzie wiedziało wszystko.

– Nie.

– Kto zatem?

– Różne warstwy systemu będą znały różne części. Nikt nie będzie mógł zobaczyć całego życia człowieka bez podstawy prawnej. Każde połączenie warstw pozostawi ślad.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Dokładnie tak opisywała pani system sprzed Jednej Trzeciej.

– Nie. Przed Jedną Trzecią różne warstwy chroniły dane tak, że nie dało się ustalić, kto finansuje katastrofę. Nowy system musi chronić człowieka, nie chroniąc niewidzialnej władzy.

Nerai otworzyła czwartą część.

– Czwartym powodem jest funkcjonowanie państw.

Wyświetliły się deficyty budżetowe.

Większość państw Elarionu przez niemal każdy z ostatnich trzydziestu lat wydawała więcej, niż uzyskiwała z dochodów.

Długi rosły także w okresie wzrostu gospodarczego.

Politycy obiecywali oszczędności.

Potem podnosili podatki.

– Nasze państwa nie były biedne – powiedziała Nerai. – Były kosztowne.

Na obrazie pojawiły się ceny takich samych urządzeń medycznych kupowanych przez różne państwa.

Różnice sięgały setek procent.

– Nieefektywność pozostawała ukryta w budżetach, których obywatele nie potrafili porównać. Instytucja publiczna twierdziła, że zapłaciła cenę rynkową. Tymczasem rynek w sąsiednim państwie sprzedawał to samo za połowę ceny.
Wyświetliła się sieć powiązanych dostawców.

– Kiedy każda publiczna płatność jest widoczna, zła decyzja nie znika w końcowym sprawozdaniu. Jest widoczna wtedy, gdy można ją jeszcze powstrzymać.
Jeden z ministrów Unii zaoponował:

– Opinia publiczna może błędnie zrozumieć złożone zakupy. Najniższa cena nie zawsze oznacza najlepszy wybór.

– Dlatego widoczne muszą być także uzasadnienie, jakość i rezultat – odparła Nerai. – Przejrzystość nie oznacza, że każdy obywatel decyduje o każdym zaworze. Oznacza, że minister nie może twierdzić, iż droższy zawór był lepszy, jeśli po roku się rozpadnie, a jego dostawca finansował partię ministra.
Na sali rozległ się nerwowy śmiech.

Minister usiadł.

– Natychmiastowa widoczność złych działań, niemal pełna ściągalność podatków i usunięcie ukrytych konfliktów interesów mogą zmienić chroniczne deficyty w nadwyżki. Nie w jeden dzień. Najpierw powstrzymamy wycieki. Potem marnotrawstwo. Potem obniżymy podatki. Dopiero w następstwie przyjdzie wzrost.
Otworzyła piątą część.

– Piątym powodem są podatki.

Na obrazie pojawiła się spirala podatkowa.

Wyższe stawki.

Więcej unikających płacenia.

Węższa baza podatkowa.

Kolejna podwyżka stawek.

– Duże państwa podnosiły podatki, ponieważ część wartości przenosiła się do małych państw, w których nie powstała. Im wyższe były podatki, tym bardziej opłacało się ich unikać. Im więcej ludzi unikało płacenia, tym więcej musieli płacić ci, którzy zostali.
Wyświetliła się mapa wyspiarskich rajów podatkowych.

– Państwa te nie wytworzyły większości wartości, którą wykazywały. Stworzyły prawne miejsce, gdzie wartość zyskiwała niższy podatek i traciła właściciela.

Przedstawiciel Therinithu wstał.

– Nasze usługi były zgodne z prawem.

– Tak.

– Klienci korzystali z praw, które dawały im umowy.

– Tak.

– A więc nazywa ich pani winnymi dlatego, że zachowywali się racjonalnie.

– Nie. Mówię, że stworzyliśmy system, w którym szkodzenie społeczeństwu było racjonalne.

Mężczyzna umilkł.

– Chce pani zlikwidować konkurencję podatkową.

– Chcę zlikwidować możliwość twierdzenia, że zysk powstał na wyspie, na której nie ma maszyn, pracowników ani klientów.

– Kapitał odpłynie na Thaeron.

– Wtedy musi być widoczne, do kogo należy, gdzie powstał i z czego korzysta.

– Thaeron nie musi przyjąć waszych zasad.

– Nie.

– I co wtedy?

– Wtedy powstaną dwa obszary gospodarcze. Jeden, w którym wielka władza zostawia widoczny ślad. I drugi, w którym go nie zostawia.

– Ludzie wybiorą wolność.

– Być może.

Nerai spojrzała na niego.

– Ale będą już wiedzieli, co wybierają.

Otworzyła szóstą część.

Nad Konwentem pojawiło się trzydzieści symboli walut.

– Szóstym powodem jest rozdrobnienie walutowe.

Daren Voltr lekko się poruszył.

Nerai mówiła dalej:

– Przed Jedną Trzecią twierdziliśmy, że trzydzieści walut pozwala państwom reagować na miejscowe warunki. To była prawda. Pozwalały jednak także na trzydzieści sposobów zmieniania wartości oszczędności, ukrywania zysków, przenoszenia długów i oddzielania ceny od tego, kto ją zapłaci.

Wyświetliły się koszty przewalutowań.

Zabezpieczenia przed ryzykiem kursowym.

Opóźnienia.

Rezerwy kapitałowe.

Podwójna i potrójna księgowość.

– Przedsiębiorstwa zatrudniały całe działy, by chronić handel przed walutami, które miały go ułatwiać. Mała firma płaciła przy transakcji transgranicznej więcej niż wielkie konsorcjum, ponieważ nie miała dostępu do tych samych kursów i narzędzi.

Na obrazie pojawił się elar.

– Elar narodził się jako dziecko pandemii. Nie jako projekt polityczny. Jako sposób kupowania filtrów, leków i jedzenia w czasie, gdy dawne systemy nie potrafiły przekazywać wartości dostatecznie szybko.

Nerai pokazała jawne rezerwy Mostu.

– Jego zaletą było nie tylko to, że był wspólny. Ludzie widzieli jego pokrycie, opłaty, kurs, drogę płatności i każdego, kto ją zatrzymał.

Daren Voltr poprosił o głos.

– Elar wciąż ma pokrycie w dawnych walutach.

– Tak.

– Jeśli je zlikwidujecie, w czym będzie miał pokrycie?

– W produkcji, dochodach podatkowych, mocach energetycznych i majątku wspólnego systemu.

– A więc w zaufaniu do instytucji planetarnych.

– Każda waluta jest zaufaniem do jakiejś instytucji.

– Różnica polega na tym, że obywatel może dziś odejść od jednej waluty i wybrać inną.

– Większość obywateli nie ma majątku, który mogłaby przenosić między walutami. Wybór waluty był wolnością głównie dla tych, którzy mieli dość środków, by uciec przed skutkami decyzji własnego państwa.

Voltr wstał.

– A jednak stanowił przeciwwagę. Jedną walutę można wykorzystać przeciwko każdemu człowiekowi na planecie naraz.

– Tak.

Odpowiedź zaskoczyła nawet jego.

Nerai mówiła dalej:

– Jednolita waluta może być podstawą dobrobytu. Ale także najdoskonalszej tyranii, jaką stworzyliśmy.

Na sali zapanowała zupełna cisza.

– Dlatego nie wystarczy, by widoczne były pieniądze obywatela. Widoczna musi być władza nad pieniędzmi.

Na obrazie pojawił się schemat nadzoru.

Warstwa operacyjna.

Warstwa kontrolna.

Warstwa sądowa.

Audyt obywatelski.

Publiczny łańcuch weryfikacyjny.

– Operator waluty nie może sam decydować, kogo kontroluje. Nadzór nie może sam zmieniać zapisów. Sąd nie może otwierać danych bez odnotowanej podstawy prawnej. A żadnej z tych instytucji nie wolno usuwać śladu własnego działania.

Voltr patrzył na schemat.

– A przestępca? – spytał. – On też zobaczy, że był kontrolowany?

– Tak.

– W porę, by ukryć dalsze dowody?

– Zobaczy, że kontrola się odbyła. Niekoniecznie każdy wniosek operacyjny w tej samej chwili. Zapis dostępu nie może jednak pozostać tajny na zawsze i nie wolno dopuścić do jego usunięcia.

– To różnica w porównaniu z propozycją Jesaira.

– Nie. Jesair powiedział, że nawet przestępca musi widzieć, kto mu się przyglądał. Nie powiedział, że śledztwo musi z góry ujawniać każdy swój krok.

Voltr nadal stał.

– A kto powstrzyma system przed stworzeniem tajnego dostępu bez zapisu?

– Architektura techniczna.

Na ścianach pojawił się przepływ danych.

– Każde otwarcie chronionej danej utworzy podpisany zapis. Z niego powstanie odcisk kryptograficzny. Odciski wszystkich istotnych zmian i dostępów będą co kilka minut przesyłane do rozproszonego łańcucha weryfikacyjnego.

– Blockchaina – powiedział ktoś z tylnych rzędów.

– Tak – odparła Nerai. – Nie jako substytutu prawdy. Hash nie dowodzi, że pierwotna dana była prawdziwa. Dowodzi, że nikt później po cichu jej nie zmienił. Prawdziwość muszą zapewnić podpis źródła, weryfikacja krzyżowa i audyt.

Voltr znów usiadł.

Nerai spojrzała na Konwent.

– Technologie śledzenia będą się doskonaliły niezależnie od tego, co dziś uchwalimy. Możemy udawać, że ich zakażemy, i pozwolić na korzystanie z nich w tajemnicy. Albo możemy sprawić, by każde oko, które spogląda na obywatela, samo było widoczne.

Wyświetliło się ostatnie zdanie:

Prawo do widzenia musi łączyć się z obowiązkiem bycia widzianym.

Wtedy połączenie Konwentu zostało przerwane.

Nie całe.

Tylko jedna transmisja.

Na ścianach pojawił się znak thaerońskiego ruchu.

Potem głos.

Głos Kaela.

– Opisujecie szklaną klatkę – powiedział. – Każdy będzie widział kraty, a wy nazwiecie to wolnością.

Systemy bezpieczeństwa spróbowały przerwać transmisję.

Nerai podniosła rękę.

– Pozwólcie mu mówić.

Na sali rozległy się niespokojne głosy.

Kael mówił dalej:

– Jedna waluta. Jedna warstwa podatkowa. Jedna mapa finansowa. Jedna planetarna inteligencja, która decyduje, co jest ryzykiem. Twierdzicie, że podzielicie władzę między rady, sądy i obywatelskich audytorów. Wszyscy będą jednak korzystali z tego samego systemu.

Nerai spojrzała wprost w czujnik.

– Kael Thorne.

Głos na chwilę umilkł.

Potem się roześmiał.

– Nie ma pani dowodu.

– Nie.

– A jednak publicznie wymienia pani moje nazwisko.

– Nazwałam głos.

– Tak ma wyglądać wasz przejrzysty świat? Analityk wypowie nazwisko, a tłum dokończy resztę?

– Nie. Dlatego pana nie skazuję. Zadaję panu pytanie.

– Jakie?

– Ile pan wiedział?

Na sali nie było słychać nawet poruszenia.

Kael odpowiedział dopiero po chwili.

– Dość, żeby dziś wiedzieć, że powinienem był powstrzymać więcej.

– To nie jest odpowiedź.

– To jedyna, jaką pani dostanie.

– Pomógł pan Arienowi stworzyć drogi finansowe.

– Pomagałem wielu ludziom tworzyć drogi finansowe.

– Dlaczego jemu?

– Bo bałem się świata, który proponował pani brat.

– A teraz boi się go pan bardziej?

– Teraz mam dowód, że słusznie się bałem.

Nerai wpatrzyła się w pusty obraz, z którego dochodził głos.

– Uważa pan Jedną Trzecią za dowód przeciwko przejrzystości?

– Uważam ją za dowód przeciwko skupieniu władzy. Arien wykorzystał wiedzę biologiczną, sieci finansowe i zautomatyzowane systemy. Wy chcecie połączyć wszystkie trzy w jednej planetarnej warstwie.

– I uczynić powiązania widocznymi.

– Widoczność nie zapobiegnie nadużyciu.

– Nie.

– Więc co mu zapobiegnie?

– To, że nadużycie nie będzie należało wyłącznie do tego, kto dzierży system.

Kael się roześmiał.

– To wiara.

– Tak.

Odpowiedź przeszła przez salę niczym cichy wstrząs.

– Każdy porządek społeczny opiera się na wierze, że ludzie będą przynajmniej czasem szanować zasady. Różnica polega na tym, czy mogą ukryć ich naruszenie.

– My na Thaeronie nie przyjmiemy waszych zasad.

– To wasze prawo.

– A więc pozwolicie nam odejść?

– Jeśli nie będziecie finansowali przemocy, wyprowadzali majątku, który do was nie należy, ani ukrywali dochodów z naszej wspólnej infrastruktury.

– A więc wolność pod warunkiem.

– Każda wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się rachunek, który ma zapłacić ktoś inny.

Głos Kaela ucichł.

Potem powiedział:

– Pewnego dnia obywatele będą bardziej bali się waszego systemu niż ludzi, przed którymi miał ich chronić.

– Być może.

– I co wtedy?

– Wtedy muszą mieć władzę, by go zmienić.

– W jednej walucie?

– W jawnym porządku konstytucyjnym.

– A więc w jednym państwie.

Nerai umilkła.

Na to zdanie Konwent czekał.

Niektórzy z nadzieją.

Inni ze strachem.

– Dzisiaj nie proponuję jednego państwa – powiedziała. – Proponuję, by wspólne problemy były wspólnie widoczne, a wspólna władza podlegała wspólnej kontroli.

– To początek jednego państwa.

– Być może.

– Więc niech pani to powie.

Nerai spojrzała na czterdzieści delegacji.

Na puste rzędy.

Na miejsce, gdzie kiedyś siedział Jesair.

– Jeśli pewnego dnia Elarion stanie się jednym państwem, nie może się to stać dlatego, że ktoś go podbił. Ani dlatego, że jedna waluta pokonała pozostałe. Musi się to stać dlatego, że ludzie zrozumieją, iż ich życia od dawna mają ze sobą więcej wspólnego niż ich rządy.

Kael nie odpowiedział.

Połączenie się urwało.

Tym razem sam je zakończył.

Konwent obradował jeszcze przez dwadzieścia trzy dni.

Nie przyjął wszystkiego, co zaproponowała Nerai.

Udział podstawowy został zatwierdzony, lecz o jego wysokości nadal miały decydować regionalne koszty utrzymania.

Most miał przestać być prywatną spółką i przejść na własność planetarnej fundacji publicznej.

Elar stał się ustawową jednostką rozliczeniową dla podatków międzypaństwowych, płatności publicznych, udziału podstawowego i handlu z Thaeronem.

Dawne waluty nie zniknęły.

Na razie.

Konwent przyjął zasadę jawności ostatecznego właściciela każdej spółki, funduszu i fundacji o znaczącym wpływie gospodarczym lub politycznym.
Każdy dostęp do chronionych danych finansowych musiał pozostawiać nieusuwalny ślad.

Każdy wyjątek musiał mieć autora, podstawę prawną i termin wygaśnięcia.

Każda automatyczna reguła oceny ryzyka miała podlegać publicznej weryfikacji.

Konwent powołał planetarną komisję konstytucyjną.

Nie rząd.

Jeszcze nie.

Gdy Nerai opuszczała ostatnie posiedzenie, Daren Voltr czekał na nią przy wyjściu.

– Wygrała pani – powiedział.

– Nie.

– Elar stał się ustawową jednostką.

– Jedną z jednostek.

– Most nie należy już do prywatnej grupy.

– To było konieczne.

– Planetarna warstwa podatkowa.

– O ograniczonym zakresie.

Voltr spojrzał na nią.

– Wie pani, co jest w pani najniebezpieczniejsze?

– Nie.

– Każdy krok opisuje pani jako mniejszy, niż jest w rzeczywistości.

Nerai spojrzała na ścianę nazwisk przed budynkiem.

– A pan każdy krok opisuje jako ostatni.

– Ponieważ wiem, dokąd prowadzą.

– Dokąd?

Voltr wskazał Nitrę.

– Do stolicy planety.

Nerai zapatrzyła się na rzekę.

– Może planeta potrzebuje miejsca, w którym będzie musiała spojrzeć na samą siebie.

39. Jeden elar

Dawne waluty nie zniknęły w wyniku głosowania.

Wyparła je codzienna praktyka.

Najpierw przestali je przyjmować wielcy dostawcy działający między państwami.

Nie dlatego, że Konwent ich zakazał.

Elar był prostszy.

Jedna cena.

Jedno rozliczenie.

Jedna jawna opłata.

Bez zabezpieczenia przed ryzykiem kursowym.

Bez dwudniowego oczekiwania.

Bez pytania, ile wartości zniknie między nadawcą a odbiorcą.

Potem elara zaczęli żądać pracownicy zatrudnieni w firmach działających w wielu państwach.

Nie chcieli, żeby wartość ich wynagrodzenia zmieniała się według decyzji rządu państwa, w którym nawet nie mieszkali.

Kupcy podawali ceny w dwóch walutach.

Później już tylko w elarach.

Miejscowe waluty pozostawały na kontach, w ustawach i w dawnych umowach.

W codziennym życiu stopniowo zaczynały jednak przypominać języki, w których wciąż zapisywano obrzędy, lecz nie zamawiano już chleba.

Ostatnie dwie wielkie waluty zrezygnowały z odrębnego kursu po kryzysie gospodarczym, który same wywołały.

Ich banki centralne próbowały wesprzeć eksport, osłabiając ich wartość.

Przedsiębiorstwa kupowały jednak energię i surowce w elarach.

Ich koszty wzrosły.

Obywatele przenieśli oszczędności.

Waluta runęła.

To, co kiedyś pomagało państwu przerzucić część problemu na obywateli, przestało działać w świecie, w którym obywatele mieli dostęp do wspólnej wartości.
Siedem lat po Jednej Trzeciej elar pozostał jedyną prawnie obowiązującą walutą Elarionu.

Nikt nie wyznaczył jednego dnia, w którym to nastąpiło.

Ostatnie państwo przyjęło ustawę.

Ostatni bank zmienił księgowość.

Ostatnia dawna waluta otrzymała stały kurs przeliczeniowy.

I było po wszystkim.

Wzrost gospodarczy, który potem nastąpił, zaskoczył nawet zwolenników reformy.

Nie przyniosła go sama waluta.

Przyniosło go zniknięcie przeszkód, które usunęła.

Przedsiębiorstwo nie musiało już prowadzić trzydziestu księgowości.

Mała firma mogła sprzedawać po drugiej stronie planety bez działu walutowego.

Inwestorzy porównywali projekty według rzeczywistego zwrotu, nie korzyści kursowej.

W zamówieniach publicznych stosowano te same ceny.

Urzędy skarbowe widziały tę samą podstawę opodatkowania.

Zysk opodatkowywano tam, gdzie powstała wartość.

Stawki stopniowo malały.

Najpierw dla niskich i średnich dochodów.

Potem dla przedsiębiorstw.

Państwa odkryły, że niższy podatek pobrany niemal od wszystkiego przynosi więcej niż wysoki podatek, którego unika połowa wielkiego kapitału.
Raje podatkowe próbowały przetrwać.

Oferowały jeszcze niższe stawki.

Potem całkowite zwolnienie.

Potem tajne rejestry poza planetarną siecią.

Spółka o nieznanym właścicielu nie mogła jednak przyjmować dużych płatności w elarach, ubiegać się o zamówienie publiczne ani posiadać strategicznej infrastruktury.
Tajemnica pozostała możliwa.

Przestała się opłacać.

Niektóre państwa wyspiarskie upadły.

Inne się zmieniły.

Wykorzystały wykształconych prawników, zarządców i specjalistów finansowych do audytowania nowego systemu. Z miejsc, które sprzedawały ciemność, stały się ośrodkami weryfikacji.

Była w tym ironia, której Nerai nie uważała za karę.

Ludzie nie muszą na zawsze pozostawać tym, z czego kiedyś żyli.

Deficyty budżetowe nie zniknęły od razu.

Po Jednej Trzeciej trzeba było odbudować całe regiony.

Opieka nad ocalałymi była kosztowna.

Udział podstawowy rósł.

Miasta przebudowywały infrastrukturę dla świata z mniejszą ilością pracy i większym stopniem automatyzacji.

Lecz wycieki malały.

Sieci korupcyjne się kurczyły.

Projekty o zawyżonych kosztach wykrywano, zanim podpisano umowy.

AI porównywała ceny, jakość i powiązania własnościowe.

Nie zakazywała decyzji.

Ostrzegała.

Jeśli rząd mimo ostrzeżenia wybierał droższego dostawcę, mógł to zrobić.

Musiał jednak wyjaśnić dlaczego.

Publicznie.

Z nazwiskiem odpowiedzialnego człowieka.

System nie usunął głupoty.

Usunął część bezpieczeństwa, które dawała jej ciemność.

Po dziesięciu latach większość państw wykazywała nadwyżki.

Nadwyżki nie pojawiały się co roku.

Nie dało się ich zagwarantować w każdych okolicznościach.

Rozpadł się jednak dawny pogląd, że państwo musi być trwale zadłużone.

Część nadwyżek trafiała na udział podstawowy.

Część do rezerw.

Część przeznaczano na wspólną własność zautomatyzowanych systemów.

Ludzie mogli pracować.

Prowadzić przedsiębiorstwa.

Tworzyć.

Opiekować się dziećmi.

Studiować.

Pomagać innym.

Ale ich prawo do mieszkania, jedzenia i podstawowej opieki nie zależało już od tego, czy ktoś potrzebuje kupić ich czas.
Udział podstawowy nie rozwiązał wszystkiego.

Niektórzy ludzie stracili poczucie sensu.

Inni zamknęli się w świecie rozrywki tworzonej przez maszyny.

Wybuchały spory o to, czy społeczeństwo powinno wspierać ludzi, którzy niczego mu nie oddają.

Nerai nie miała na te pytania prostej odpowiedzi.

Jesair powiedział kiedyś, że człowiek nie jest wartościowy dlatego, że jest potrzebny maszynie.

Nie znaczyło to jednak, że człowiek nie potrzebuje być potrzebny drugiemu człowiekowi.

Dlatego szkoły przestały przygotowywać dzieci wyłącznie do zawodu.

Uczyły je tworzyć więzi, ponosić odpowiedzialność, decydować o wspólnych sprawach i odróżniać pragnienie od potrzeby.
Praca nie stała się zbędna.

Przestała być jedynym dowodem prawa do istnienia.

Zmieniła się także wojna.

Najpierw powoli.

Przejrzyste pieniądze nie potrafiły odczytać nienawiści.

Nie potrafiły powstrzymać człowieka przed pragnieniem opanowania terytorium, ukarania sąsiadów czy wskrzeszenia dawnej krzywdy.

Potrafiły jednak dostrzec przygotowania.

Broń potrzebowała producentów.

Producenci materiałów.

Materiały energii.

Armie zapasów.

Najemnicy zapłaty.

Korytarze transportowe ubezpieczenia.

Propaganda właścicieli mediów.

Wielkiej wojny nie dało się przygotować wyłącznie w sercu.

Musiała wejść do gospodarki.

A tam pozostawiała ślad.

Gdy jedno z południowych państw zaczęło potajemnie skupować części nawigacyjne nadające się do wykorzystania w modułach bojowych, system ostrzegł pozostałe rządy oraz jego własnych obywateli.
Rząd twierdził, że chodzi o cywilną modernizację.

Opinia publiczna widziała ilości, dostawców i równoległe zakupy paliwa.

Opozycja domagała się wyjaśnień.

Państwa sojusznicze zaproponowały kontrolę.

Projekt zatrzymano, zanim powstała flota.

W innym przypadku przejrzystość nie zapobiegła konfliktowi.

Dwa regiony spierały się o zasoby wodne i oba otwarcie przemieszczały oddziały bezpieczeństwa.

Świat widział przygotowania.

Właśnie dlatego nie można było jednak udawać, że atak nastąpił niespodziewanie.

Rada Planetarna zareagowała wcześniej.

Nie tajną dyplomacją.

Jawnymi negocjacjami, podczas których każda strona widziała koszty dalszych działań.

Konflikt zakończył się porozumieniem.

Nie dlatego, że ludzie stali się lepsi.

Dlatego, że skryty zamiar stracił przewagę.

Stopniowo powstawała wspólna obrona.

Najpierw ochrona pierścienia orbitalnego.

Potem Thaeronu.

Później kontrola broni strategicznej.

Państwa zachowywały siły bezpieczeństwa, lecz nie mogły już prowadzić własnej wielkiej wojny bez wspólnej infrastruktury.

Po walucie, podatkach i obronie przyszło prawo.

Przedsiębiorstwo działające na całej planecie nie mogło podlegać czterdziestu sądom wydającym sprzeczne orzeczenia.

Obywatel nie mógł mieć prawa do wglądu w działania władzy państwowej w jednym regionie i nie mieć go w drugim.

Udział podstawowy nie mógł być wspólnym prawem bez wspólnego fundamentu konstytucyjnego.

Planetarna komisja konstytucyjna pracowała dwanaście lat.

Pierwszy projekt odrzucono.

Drugi również.

Trzeci rozdzielił kompetencje między szczebel planetarny, regiony, państwa i miasta.

Jedna planeta.

Jedna waluta.

Jedna obrona.

Jedna podstawowa karta praw.

Lecz czterdzieści tradycji prawnych.

Dziesiątki języków.

Setki miejscowych form rządów.

Państwa nie przestały istnieć.

Przestały być ostatecznym ośrodkiem władzy.

W dniu przyjęcia konstytucji przedstawiciele spotkali się w Nitrze.

Niektórzy płakali.

Inni głosowali przeciw.

Kilka veyrańskich delegacji opuściło salę jeszcze przed ogłoszeniem wyniku.

Duża część ich zwolenników mieszkała już na Thaeronie.

Odrzucali wspólny system finansowy.

Twierdzili, że nawet władza poddana wzajemnej kontroli kiedyś zmieni się w tyranię.

Zbudowali własne osady, banki i porządki prawne.

Elarion nie zmuszał ich do powrotu.

Między planetami powstała jednak granica, która wcześniej nie istniała.

Między planetami powstała granica, która nie wynikała z biologii.

Nie wynikała też z podziałów rasowych.

Była cywilizacyjna.

Na Elarionie wielka władza miała obowiązek pozostawiania widocznego śladu.

Na części Thaeronu tajemnicę uważano za warunek wolności.

Handel między światami trwał.

Z nieufnością.

Z zasadami.

Z pytaniem, które wciąż pozostawało bez rozstrzygnięcia.

Ile prywatności może zachować społeczeństwo, by nie narodziła się w niej na nowo niewidzialna władza?

Kael Thorne pozostał na Thaeronie.

Nigdy nie został prawomocnie skazany za Jedną Trzecią.

Dowody potwierdziły, że finansował sieci Ariena i próbował zatrzymać ostatnie fazy. Nie potwierdziły, ile wiedział w chwili, gdy otwierał pierwsze drogi.

Dla jednych był zbrodniarzem, który uszedł karze.

Dla innych człowiekiem, który w porę zrozumiał niebezpieczeństwo jednolitego systemu.

Dla siebie pozostał człowiekiem wierzącym, że historia kiedyś go usprawiedliwi.

Arien Korveth został skazany.

Proces trwał siedem lat.

Zeznawały setki naukowców, zarządców, bankierów, prawników i osób, które straciły bliskich.

Sąd odrzucił jego argument, że poszczególne części projektu były zgodne z prawem.

Orzekł, że człowiek, który świadomie łączy zgodne z prawem części w zbrodniczą całość, ponosi odpowiedzialność za całość.
Ariena nie stracono.

Elarion nie znał kary śmierci.

Resztę życia spędził w ośrodku, w którym każdy koszt, kontrola i decyzja były odnotowywane tak samo jak w przypadku każdego innego obywatela.
On także widział, kto otworzył jego dane.

On także mógł zaskarżyć nieuprawniony dostęp.

Wielu uważało to za nadmierną łaskę.

Nerai nie.

System, który chroni prawa jedynie niewinnych, nie chroni praw.

Chroni lubianych.

Dwadzieścia lat po Jednej Trzeciej Nerai stała przed budynkiem zgromadzenia planetarnego.

Była starsza.

Miała srebrne włosy.

W oczach wciąż nie miała złotego kręgu.

Nitra się zmieniła.

Nad starym miastem wznosiły się nowe wieże administracyjne. Po rzece sunęły ciche moduły transportu publicznego. Dawne siedziby banków centralnych zamieniły się w archiwa historii pieniądza.
Dzieci uczyły się w nich, że Elarion miał kiedyś trzydzieści walut.

Wielu wydawało się to niepojęte.

– Dlaczego? – pytały.

Nauczyciele wyjaśniali im suwerenność, kursy, dewaluację, konkurencję podatkową i ochronę miejscowych gospodarek.

Dzieci słuchały z takim samym zdumieniem, z jakim poprzednie pokolenia słuchały o czasach, gdy każde państwo używało innych jednostek masy lub długości.

Nerai podeszła do ściany nazwisk.

Wciąż wyświetlała ofiary Jednej Trzeciej.

Po dziesięcioleciach lista zdążyła już się powtórzyć.

Dzisiaj nie było na niej Jesaira.

Ani Marei.

Nerai postawiła granatowe naczynie na ziemi.

Tym razem je tam zostawiła.

Na jej osobistym interfejsie pojawiło się powiadomienie.

Planetarne Archiwum Historyczne otworzyło akta śledztwa w sprawie Jednej Trzeciej.

Cel: przygotowanie wystawy edukacyjnej.

Osoba odpowiedzialna: Laren Saor.

Zakres dostępu: finansowa mapa dowodów bez chronionych danych osobowych.

Nerai spojrzała na powiadomienie.

W dawnym świecie być może nigdy nie dowiedziałaby się, że ktoś otworzył akta, które stworzyła.

W nowym świecie widziała nazwisko, cel i zakres.

Mogła zaskarżyć dostęp.

Nie zrobiła tego.

Nad Nitrą zaczynało się ściemniać.

Na budynku zgromadzenia świecił znak Elarionu.

Na budynku zgromadzenia świecił nowy znak planetarny.

Nie nawiązywał do Unii ani do żadnego z dawnych państw.

Czterdzieści linii zmierzało ku jednemu kręgowi.

Krytycy twierdzili, że symbol przedstawia pochłonięcie.

Jego twórcy twierdzili, że połączenie.

Nerai widziała w nim jedno i drugie.

Każda jedność coś ocala.

I coś kończy.

Elarion nie stał się jednym państwem dlatego, że jego mieszkańcy przestali się różnić.

Stał się nim dlatego, że stopniowo przestali udawać, iż wielka decyzja jednego z nich nie wpływa na pozostałych.

Pieniądze jednego człowieka mogły finansować badania.

Badania laboratorium.

Laboratorium chorobę.

Choroba śmierć na całej planecie.

Ale pieniądze mogły również finansować leczenie.

Maszyny.

Udział podstawowy.

Odbudowę miast.

I świat, w którym władza musiała się pokazać, zanim poprosiła innych o zaufanie.

Przejrzystość nie uczyniła ludzi dobrymi.

Nie usunęła gniewu.

Pychy.

Pragnienia posiadania.

Lęku przed stratą.

Ani zdolności człowieka do przekonywania samego siebie, że jego cios jest sprawiedliwością.

Zrobiła tylko jedno.

Utrudniła wielkiej władzy poruszanie się bez cienia.

Nerai położyła trzy palce na chłodnej powierzchni naczynia.

Nie wiedziała dlaczego.

Gest przyszedł naturalnie.

Zbyt naturalnie.

Przez chwilę miała wrażenie, że dotyka jej wspomnienie, które nie w całości do niej należy.

Inna planeta.

Inne słońce.

Ogród.

Mężczyzna i kobieta, którzy spotkają się ponownie, choć ich imiona będą inne.

Potem wrażenie zniknęło.

Nerai odwróciła się ku miastu.

Za nią pozostała ściana zmarłych.

Przed nią świat żywych.

Jedna planeta.

Jedno państwo.

Czterdzieści pamięci.

I wartość, której nie wolno już było kroczyć w cieniu.

40. Ciężar władzy

Kamień ważył trzydzieści jeden ton.

Przywieziono go z Thaeronu dwa tygodnie wcześniej i od tamtej pory leżał pośrodku hali badawczej w Ardzie. Naukowcy wybrali bryłę skały bez szczególnych właściwości fizycznych. Chcieli przedmiotu, przy którym nie dałoby się przypisać wyniku samemu materiałowi.

Wokół niego stały trzy metalowe pierścienie.

Każdy miał około pięciu metrów średnicy i powierzchnię podzieloną na setki wąskich segmentów. Między segmentami biegły przewody chłodzone do temperatury znacznie niższej niż otoczenie. Z podłogi prowadziły do nich grube wiązki zasilające.

Za ścianą ochronną czekało około czterdziestu osób.

Fizycy.

Technicy.

Przedstawiciele uniwersytetów.

Planetarna Rada ds. Ryzyka Technologicznego.

Dwaj analitycy wojskowi.

I Nerai Sael.

Od Jednej Trzeciej upłynęło wiele lat. Nerai nie prowadziła już codziennych dochodzeń dotyczących przepływów finansowych. Jej nazwisko pozostawało jednak związane z zasadami, według których Most po Konwencie stopniowo przekształcił się z sieci płatniczej w jedną z podstawowych warstw informacyjnych planetarnej gospodarki.

Dlatego zapraszano ją zawsze, gdy nowy wynalazek rodził pytanie, którego technicy nie potrafili rozstrzygnąć sami.

Komu będzie wolno posiadać tę rzecz?

Kierujący eksperymentem Oran Sel stał przy pulpicie sterowniczym.

– Pomiar obciążenia podłogi?

– Trzydzieści jeden i cztery dziesiąte tony – odpowiedziała laboratoryjna AI.

– Energia?

– Gotowa.

– Synchronizacja?

– Odchylenie poniżej progu pomiaru.

Oran odwrócił się do ludzi za szybą.

– To, co zobaczycie, jest czwartą próbą. Pierwsze trzy odbyły się bez udziału osób spoza zespołu laboratoryjnego. Nie opublikowaliśmy wyniku, dopóki nie odtworzyły go dwie niezależne placówki.

Potem wrócił do pulpitu.

– Uruchom pole na dziesięć procent.

Na ekranie pojawiła się wartość obciążenia podłogi.

Trzydzieści jeden ton.

Trzydzieści.

Dwadzieścia osiem.

Dwadzieścia pięć.

Kamień ani drgnął.

Przy dwudziestu procentach pomiar wskazywał siedemnaście ton.

Przy trzydziestu – dziewięć.

W hali panowała zupełna cisza.

Oran zwiększył moc do czterdziestu procent.

Wartość spadła poniżej jednej tony.

Potem niemal do zera.

Kamień oderwał się od podłogi.

Najpierw o kilka milimetrów.

Po chwili dzieliło go od ziemi pięć centymetrów.

Oran poruszył regulatorem.

Trzydzieści jeden ton thaerońskiej skały uniosło się na wysokość jednego metra.

Nerai czuła nieprzyjemne napięcie w ramionach. Rozum podpowiadał jej, że kamień utrzymuje pole. Ciało widziało masę skały zawieszoną nad podłogą i spodziewało się upadku.

– Możecie go przesuwać? – zapytał jeden z członków rady.

Oran skinął głową.

Kamień powoli przesunął się w prawo.

Potem z powrotem.

Jego ruch był tak spokojny, że aż wydawał się absurdalny. Przedmiot, do którego przemieszczenia jeszcze kilka lat wcześniej potrzebowaliby ciężkiego systemu transportowego, teraz przesuwał się przez halę z prędkością idącego człowieka.

Oran zmniejszył moc.

Kamień powoli opadł.

Gdy dotknął podłogi, halą wstrząsnął niski łoskot.

– Jego masa pozostała taka sama? – zapytała Nerai.

– Tak.

– Co więc zmieniliście?

Oran przez chwilę szukał słów.

– Mówiąc najprościej, zmieniliśmy sprzężenie między materią a lokalnym polem grawitacyjnym. Kamień przez cały czas miał tę samą bezwładność i strukturę wewnętrzną. Przy pełnym działaniu pola ziemia jednak niemal go nie przyciągała.

– Niemal?

– Na razie nie zeszliśmy do całkowitego zera.

Nerai znów spojrzała na kamień.

– A zejdziecie?

Oran się uśmiechnął.

– To pytanie, dla którego zajmujemy się nauką.

Wiadomość o eksperymencie obiegła Elarion w ciągu kilku godzin.

Najwięcej uwagi poświęcono transportowi.

Modele energetyczne natychmiast obliczyły, ile kosztowałoby wyniesienie ładunku na orbitę, gdyby w pierwszej fazie lotu dało się osłabić jego sprzężenie grawitacyjne.

Firmy budowlane zaczęły projektować konstrukcje, które można by wytwarzać na ziemi jako jedną całość, a potem podnosić na miejsce.

Thaerońskie kopalnie dostrzegły możliwość przewożenia mas skalnych, których transport był droższy od samego wydobycia.

Miasta zaczęły mówić o nowej generacji transportu publicznego.

Inżynierowie kosmiczni wrócili do projektów, które od dziesięcioleci leżały w archiwach, ponieważ nie miały ekonomicznego uzasadnienia.
Przez kilka dni wydawało się, że Elarion otrzymał jeden z tych wynalazków, które dzielą dzieje na czas przed nimi i po nich.
Potem nadeszła druga wiadomość.

Ta nie była już publiczna.

Powstała w modelu bezpieczeństwa jednego z uniwersytetów.

Naukowcy badali, jak zachowują się pola grawitacyjne poszczególnych pierścieni, kiedy nakładają się na siebie. Zakładali, że wynikowe działanie będzie w przybliżeniu sumą ich mocy.
Obliczenia wykazały inną właściwość.

Przy bardzo dokładnej synchronizacji pola zaczynały wzmacniać się w sposób nieliniowy.

Dwaj fizycy z początku uznali wynik za błąd.

Uruchomili model ponownie.

Potem na innym systemie obliczeniowym.

W końcu poprosili o niezależną weryfikację.

Wynik się utrzymał.

Oran Sel otrzymał wiadomość o trzeciej nad ranem.

O piątej wystąpił o natychmiastowe zwołanie Rady Planetarnej.

Nerai przybyła krótko po siódmej.

Na ścianie sali widniała mapa Elarionu.

Pośrodku niej świecił okrąg o średnicy niemal czterystu kilometrów.

– Co to jest? – zapytała.

Oran stał przy oknie. Wyglądał, jakby nie spał całą noc.

– Obszar oddziaływania.

– Jakiego oddziaływania?

– Pełnego.

Nerai czekała.

Oran otworzył model fizyczny.

– Jeden generator potrafi osłabić sprzężenie grawitacyjne na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Przy kilku generatorach spodziewaliśmy się większego albo silniejszego efektu. Okazało się, że przy precyzyjnym rozmieszczeniu i synchronizacji powstaje między nimi stabilny obszar, w którym sprzężenie może zbliżyć się do zera.

Nerai wskazała okrąg.

– Na całym tym obszarze?

– Według modelu tak.

– Jak duży jest ten obszar?

– W tym konkretnym obliczeniu ma trzysta osiemdziesiąt kilometrów średnicy.

Nerai spojrzała na niego.

– Mówicie mi, że potraficie wyłączyć grawitację nad obszarem wielkości państwa.

Oran natychmiast pokręcił głową.

– Mówię, że fizyka najwyraźniej na to pozwala. My nie mamy takiego urządzenia.

– Dałoby się je zbudować?

Oran odwrócił się do kolejnej osoby w sali.

Był to główny analityk techniczny projektu.

– Przy obecnym poziomie techniki tak – powiedział.

Ta odpowiedź zmieniła atmosferę w pomieszczeniu.

– Jak długo? – zapytała Nerai.

– Gdyby ktoś dysponował wszystkim, co potrzebne, może dwa albo trzy lata.

– A co znaczy: wszystkim, co potrzebne?

Na ścianie pojawiła się lista.

Dwadzieścia cztery emitery grawitacyjne.

Sześć synchronizatorów fazowych najwyższej klasy.

Duża ilość nadprzewodzącego metamateriału.

Trzy osobne magazyny energii zdolne dostarczyć w krótkim czasie skrajnie wysoką moc.

Kilka wyspecjalizowanych linii produkcyjnych.

Dokładna mapa grawimetryczna obszaru.

Moc obliczeniowa, którą dysponowało zaledwie kilkadziesiąt ośrodków na planecie.

I sieć pracowników technicznych o bardzo wąskich specjalizacjach.

Nerai czytała listę powoli.

– Co by się stało, gdyby ktoś naprawdę to uruchomił?

Tym razem odpowiedział Oran.

– Zależałoby to od kształtu pola, wysokości oddziaływania i czasu jego trwania.

– Najgorszy realistyczny wariant.

Oran usiadł.

– Ludzie i przedmioty, które nie są solidnie zakotwiczone, utraciłyby większość więzi z powierzchnią. Woda zaczęłaby zachowywać się zupełnie inaczej. Atmosfera gwałtownie przemieszczałaby się w obrębie tego obszaru. Systemy transportowe straciłyby kontakt z powierzchnią. Przy dłuższym oddziaływaniu sytuację komplikowałby obrót planety.
Na mapie pojawiły się kolejne warstwy.

Miasta.

Rzeki.

Sieci energetyczne.

Węzły transportowe.

– Sama ziemia nie odleciałaby w kosmos – ciągnął Oran. – Skały utrzymują w całości także inne siły. Równowaga grawitacyjna wpływa jednak na ogromną liczbę systemów. Gdyby pole powstało nagle nad zamieszkanym obszarem, liczba ofiar mogłaby być olbrzymia.
– A kiedy je wyłączą?

– Grawitacja powróci.

Nerai zrozumiała dalszy ciąg, zanim go wypowiedział.

Wszystko, co podczas działania pola straciłoby kontakt z ziemią, zaczęłoby spadać.

– Ilu ludzi mieszka w tym okręgu? – zapytała.

– W tym modelu jedenaście milionów.

Nikt już nie zadał kolejnego pytania.

Przez następnych sześć dni rada techniczna próbowała ustalić, czy da się sprawić, by odkryte zjawisko pozostało poza zasięgiem praktycznego zastosowania.
Odpowiedź była nieprzyjemna.

Technologia była skomplikowana, droga i wymagała kilku urządzeń wytwarzanych zaledwie w paru miejscach. Zasada fizyczna pozostawała jednak zbyt ogólna, by można było utajnić ją na zawsze.
Czas działał przeciwko tajemnicy.

Jeśli jedno laboratorium odkryło to zjawisko, z czasem odkryje je kolejne.

Jeśli jedna AI zdołała je zamodelować, kiedyś wyprowadzi je także inna.

Elarion dawno już pojął, że wiedzy naukowej nie da się niezawodnie zamknąć w jednym pokoju na całe pokolenia.
Pytanie przeniosło się więc z fizyki na społeczeństwo.

Na nadzwyczajnym posiedzeniu spotkali się przedstawiciele producentów, uniwersytetów, systemów energetycznych, instytucji bezpieczeństwa, rad obywatelskich i Mostu.
Wśród nich siedział Daren Voltr.

Był stary. Medycyna Elarionu poczyniła jednak takie postępy, że podeszły wiek od dawna nie oznaczał już automatycznego wycofania się z życia publicznego.
Kiedy otrzymał głos, zwrócił się do Orana.

– Ile pojedynczych rzeczy trzeba kupić albo wyprodukować, żeby to było możliwe?

– Tysiące.

– Ile z nich jest powszechnie dostępnych?

– Większość.

– A więc zakaz dotyczący poszczególnych komponentów niczego nie rozwiąże.

– Właśnie tak.

– Ile jest krytycznych?

Oran otworzył listę.

– To zależy, co uznamy za krytyczne. Jeśli mówimy o rzeczach, bez których dziś nie potrafimy skonstruować takiego systemu, mamy około siedemnastu warunków technologicznych.
– Siedemnaście produktów?

– Warunków. Niektóre to produkty. Inne oznaczają zdolność produkcyjną, dostęp do energii, ludzi albo mocy obliczeniowej.
Voltr skinął głową.

– A ile podmiotów na Elarionie potrafi spełnić wszystkie siedemnaście?

Oran umilkł.

– Tego nie wiem.

Nerai odezwała się ze swojego miejsca.

– Most wie.

Wszyscy zwrócili się ku niej.

Voltr uśmiechnął się lekko.

– Oczywiście.

Nerai znała ten ton.

– Chce pan odpowiedzi czy dyskusji o tym, dlaczego ją mamy?

– Jednego i drugiego.

– Najpierw odpowiedź.

Przed Nerai otworzył się obszar roboczy Mostu.

– Proszę przesłać nam warunki techniczne.

Oran zmarszczył brwi.

– Nie możemy wprowadzić ich w całości do systemu finansowego.

– Nie musicie. Potrzebujemy ich ekonomicznego odwzorowania.

– Co ma pani na myśli?

Nerai wskazała pierwszą pozycję.

– Ile synchronizatorów fazowych?

– Sześć.

– Kto je produkuje?

Na ścianie pojawiły się trzy firmy.

– Ile emiterów grawitacyjnych?

– Co najmniej dwadzieścia cztery tej klasy.

Pojawili się producenci i ich moce wytwórcze.

– Energia?

Oran podał wymagany zakres.

Most wyświetlił elektrownie, magazyny i sieci przemysłowe zdolne dostarczyć taki impuls.

– Metamateriał?

Kolejna warstwa.

– Obliczenia?

Następna.

– Produkcja precyzyjna?

Następna.

– Specjaliści?

Tu Nerai się zatrzymała.

– W przypadku ludzi wykorzystamy tylko zbiorcze dane o dostępności kompetencji. Nazwiska będą chronione.

Voltr uniósł brwi.

– Przynajmniej tyle.

Nerai ciągnęła dalej.

Most stopniowo zestawiał warunki.

Nie tworzył listy podejrzanych.

Tworzył mapę zdolności.

System znał właścicieli dużych zakładów produkcyjnych.

Znał moce wytwórcze, które firmy wykazywały publicznie i które można było weryfikować na podstawie ich zakupów, zużycia i produkcji.
Znał wielkie kontrakty energetyczne.

Znał finansowanie ośrodków badawczych.

Znał pochodzenie kapitału.

Znał umowy najmu hal przemysłowych, duże zakupy surowców, zamówienia na specjalistyczne maszyny i przepływ urządzeń między Elarionem a Thaeronem.
Przed Jedną Trzecią te informacje leżałyby w dziesiątkach banków, rejestrów i państw.

Teraz dało się je łączyć według ostatecznego właściciela i celu gospodarczego.

Po kilku minutach na ścianie pojawiła się liczba.

14

Voltr przestał wyglądać na rozbawionego.

– Co oznacza czternaście?

– Czternaście organizmów gospodarczych ma dziś bezpośrednią lub pośrednią zdolność spełnienia ponad osiemdziesięciu procent wymaganych warunków.

– Organizmów gospodarczych?

– Z prawnego punktu widzenia mogą to być setki spółek. Most grupuje je według ostatecznej własności, kontroli, finansowania i zależności ekonomicznej.

Nerai otworzyła pierwszy wpis.

Wielkie thaerońskie konsorcjum wydobywcze.

Dziewięćdziesiąt jeden procent.

Drugi.

Planetarny producent systemów energetycznych.

Osiemdziesiąt dziewięć.

Trzeci.

Grupa przemysłowo-wojskowa jednego z państw.

Dziewięćdziesiąt cztery.

Czwarty.

Konsorcjum budownictwa orbitalnego.

Osiemdziesiąt siedem.

Potem kolejne.

Niektóre były prywatne.

Niektóre publiczne.

Trzy należały do państw.

Jeden organizm gospodarczy był podzielony między ponad czterdzieści spółek.

– A kto ma sto procent? – zapytał Voltr.

– Nikt.

– Na razie.

– Na razie.

W sali zaległa cisza.

Na ścianie świeciło czternaście nazw.

Jeszcze kilka dni wcześniej łączyło je tylko to, że należały do najbardziej zaawansowanych technologicznie organizacji na planecie.
Odtąd miały jeszcze jedną wspólną cechę.

Każda była dostatecznie blisko uzyskania zdolności stworzenia urządzenia, które mogło zmienić grawitację na rozległym obszarze.
– To właśnie chwila, której się obawiałem – powiedział Voltr.

Obrady trwały już czwartą godzinę.

– Dlaczego? – zapytała Nerai.

– Ponieważ system finansowy właśnie stworzył listę czternastu podmiotów, które uważa za potencjalnie niebezpieczne.
– Lista mówi o potencjale technologicznym.

– I twierdzi pani, że nie ma między tym praktycznej różnicy?

– Różnica jest zasadnicza.

Voltr wskazał pierwszą nazwę.

– Ta firma prowadzi wydobycie na Thaeronie. Nikomu nie grozi. Jej kierownictwo nie ma na koncie aktów przemocy. Większość potrzebnych urządzeń posiada dlatego, że wykorzystuje je przy wydobyciu.
– Tak.

– A mimo to ją obserwujecie.

– Most śledzi zmianę zdolności, a nie zachowanie dyrektora.

– To mnie nie uspokaja.

Nerai przez chwilę wpatrywała się w mapę.

– Przed Jedną Trzecią popełnialiśmy odwrotny błąd.

Voltr nic nie powiedział.

– Szukaliśmy powodu do podejrzeń, zanim mogliśmy zobaczyć dane. Poszczególne elementy planu Ariena wyglądały normalnie. Laboratorium prowadziło badania. Fundacja przyznawała grant. Firma kupowała urządzenia. Bank przelewał pieniądze. Każdy widział swoją część i czekał na powód, by zapytać o następną.
Voltr spuścił wzrok.

Nerai mówiła dalej.

– Przy tej technologii zamiar jest jeszcze gorszym punktem wyjścia. Człowiek nie musi chcieć zabić jedenastu milionów ludzi. Może przeprowadzać eksperyment. Może się pomylić. Może nie docenić niestabilności pola.
Oran przytaknął.

– To realne.

Nerai wskazała listę.

– Musimy wiedzieć, gdzie na planecie powstaje zdolność przekroczenia pewnej granicy. A każda interwencja podjęta na podstawie tej informacji musi podlegać kontroli.
– Co będzie tą granicą? – zapytał Voltr.

– To decyzja polityczna.

– A więc ostatecznie jednak polityka.

– Zawsze chodziło o politykę.

Nerai oparła się o stół.

– Różnica polega na tym, że teraz widzimy, o czym decydujemy.

Dalsza część posiedzenia przerodziła się w ćwiczenie techniczne.

Ktoś zaproponował zakaz sprzedaży emiterów grawitacyjnych bez licencji.

Oran zauważył, że za kilka lat mniejsze emitery będą produkowane w wielkich seriach.

Kolejna propozycja dotyczyła synchronizatorów fazowych.

Producenci odpowiedzieli, że tych samych urządzeń używa się w medycynie, energetyce i nawigacji orbitalnej.
Zakaz dotyczący metamateriału sparaliżowałby część przemysłu.

Kontrola energii byłaby niedokładna, ponieważ wymaganą moc można było uzyskać z kilku źródeł.
Stopniowo stawało się jasne, że zagrożenia nie stwarza żadna pojedyncza rzecz.

Powstawało dopiero z połączenia wielu zdolności.

Podczas debaty Nerai prawie się nie odzywała.

Pamiętała bardzo podobne uczucie z Warstwy.

Obrót gotówkowy sam w sobie niczego nie dowodził.

Fundusz niczego nie dowodził.

Laboratorium niczego nie dowodziło.

Płatność za badania niczego nie dowodziła.

Katastrofa zrodziła się z powiązań między nimi.

Taren powiedział kiedyś, że w skali całej planety każdego człowieka dzieli od każdego innego zaledwie kilka umów.
Nerai odpowiedziała mu wtedy, że nie szukają powiązania.

Szukają kierunku.

Teraz potrzebowali czegoś podobnego.

Systemu, który zauważy, że wiele zwyczajnych działań gospodarczych zaczyna zmierzać ku jednej niezwykłej zdolności.
Pod koniec dnia powstał projekt roboczy.

Otrzymał nazwę **rejestr zdolności strategicznych**.

Nazwa była myląca, ponieważ nie chodziło o klasyczny rejestr.

Nikt nie wpisywał do niego: spółka posiada broń grawitacyjną.

Most na bieżąco obliczał, jakie warunki technologiczne dany organizm gospodarczy rzeczywiście może spełnić.
Obliczenia opierały się na publicznie zatwierdzonych kategoriach.

Precyzja produkcji.

Materiały.

Energia.

Logistyka.

Moc obliczeniowa.

Wiedza specjalistyczna.

Własność niezbędnych urządzeń.

Możliwość ich pozyskania za pośrednictwem kontrolowanych spółek.

Kontrakty długoterminowe.

A w przypadku najbardziej wrażliwych technologii także połączenie możliwości kilku ośrodków oddalonych od siebie geograficznie.

Samo przekroczenie progu nie czyniło nikogo winnym.

Przy wyższych poziomach pojawiał się jednak obowiązek zgłoszenia celu projektu i poddania określonych prób niezależnej kontroli.

Dostęp do szczegółowych danych był rejestrowany.

Podmiot widział, która instytucja sprawdzała jego możliwości.

Zasady, według których system oceniał ryzyko, podlegały publicznej weryfikacji przez ekspertów.
Szczegóły techniczne mogące posłużyć za instrukcję pozostawały chronione.

Elarion spróbował rozdzielić dwie rzeczy, które łatwo było ze sobą pomylić.

Prywatność człowieka.

I niewidzialność władzy.

Prawdziwy problem ujawnił się po siedmiu miesiącach.

Most odnotował zmianę w jednej z czternastu grup.

Chodziło o spółkę Asteron Dynamics.

Powszechnie znano ją jako producenta systemów transportu ciężkiego. Miała fabryki na trzech kontynentach, udział w spółce energetycznej i mniejszościowy pakiet akcji thaerońskiego producenta metamateriałów.
Jej możliwości technologiczne w dziedzinie pól grawitacyjnych oceniano początkowo na osiemdziesiąt trzy procent.
W ciągu czterech miesięcy wzrosły do dziewięćdziesięciu dwóch.

Nie stało za tym jedno wielkie zamówienie.

Asteron kupił niewielką spółkę produkującą regulatory fazowe.

Jego spółka zależna zawarła długoterminową umowę z centrum obliczeniowym.

Kolejne przedsiębiorstwo nabyło udział w magazynie energii.

Fundacja badawcza finansowana przez Asteron zatrudniła czworo naukowców, którzy wcześniej pracowali nad emiterami grawitacyjnymi.
Każde z tych zdarzeń miało własne uzasadnienie gospodarcze.

Razem stworzyły nowy stan rzeczy.

Most wysłał ostrzeżenie do komisji technologicznej.

Komisja zwróciła się do Asteronu o wyjaśnienie.

Odpowiedź nadeszła tego samego dnia.

Spółka opracowywała nowy system grawitacyjny dla statków towarowych.

Projekt był zgodny z prawem.

Problem pojawił się podczas kontroli jego parametrów technicznych.

Asteron planował zbudować sześć dużych emiterów doświadczalnych.

– Sześć nie wystarczy do wytworzenia pola regionalnego – powiedział Oran.

Nerai siedziała obok niego.

– Ile potrzeba?

– W tej konfiguracji co najmniej dwudziestu.

– Czyli sprawa zamknięta.

– Nie.

Oran wskazał mapę powiązań właścicielskich.

Asteron zamówił sześć.

Cztery kolejne zamówiła spółka energetyczna, którą kontrolował za pośrednictwem funduszu inwestycyjnego.

Trzy powstawały w ośrodku badawczym finansowanym przez jego fundację.

Kolejnych osiem zarezerwowała na Thaeronie firma, w której Asteron miał zaledwie trzydzieści osiem procent udziałów.
Według rejestrów prawnych były to cztery odrębne projekty.

Most połączył je przez kapitał, zobowiązania umowne i wspólne finansowanie.

Dwadzieścia jeden emiterów.

Nerai długo patrzyła na tę liczbę.

– Wiedzieli o tym?

– Kto?

– Kierownictwo Asteronu.

Oran wzruszył ramionami.

– Tego z danych finansowych się nie dowiemy.

Komisja wezwała prezesa zarządu.

Nazywał się Deiran Vos.

Przybył osobiście.

Kiedy pokazano mu mapę, początkowo wydawał się zdezorientowany.

Potem rozgniewany.

– Te emitery nie mają ze sobą nic wspólnego.

Nerai wskazała pierwszą grupę.

– Te należą do pańskiego projektu.

– Tak.

– Te do pańskiej spółki zależnej z branży energetycznej.

– To odrębna spółka.

– Kontroluje ją pan.

– Pod względem ekonomicznym. Nie kierujemy jej pracami technicznymi.

– Te finansuje pańska fundacja.

– Fundacja ma niezależne kierownictwo.

– Siedemdziesiąt dwa procent jej przychodów pochodzi od państwa.

Deiran odchylił się do tyłu.

– A te na Thaeronie nie mają z nami nic wspólnego.

Nerai otworzyła umowę.

Asteron udzielił firmie gwarancji kredytowej.

W razie niespłacenia kredytu uzyskałby prawo do przejęcia części jej majątku technicznego.

Deiran przez chwilę czytał umowę.

– O tym nie wiedziałem.

– Wierzę panu.

To go zaskoczyło.

– Więc dlaczego tu siedzę?

– Ponieważ pańska grupa zyskuje możliwości, których być może nie dostrzega nawet jej własne kierownictwo.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

To zdanie było bardziej nieprzyjemne niż oskarżenie.

Deiran raz jeszcze spojrzał na mapę.

– Twierdzi pani, że moja spółka mogłaby zbudować system regionalny bez mojej wiedzy?

Oran odpowiedział.

– Jeszcze nie. Nie spełniacie państwo dwóch warunków. Przy obecnym tempie może się to zmienić w ciągu roku.

– A gdyby spełniła je jedna ze spółek zależnych?

– Most uwzględni je w możliwościach całego organizmu gospodarczego, o ile mają państwo realną możliwość kontrolowania tego potencjału.

Deiran uśmiechnął się lekko, tym razem bez rozbawienia.

– Więc system wie o mojej firmie więcej niż ja.

Nerai spojrzała na mapę.

– W tej jednej kwestii być może tak.

Sprawa Asteronu zakończyła się bez nałożenia sankcji.

Firma poddała projekty grawitacyjne niezależnemu nadzorowi i połączyła je w jeden program technologiczny.
Największy wstrząs przyszedł później.

Rada Planetarna zleciła symulację historyczną.

Chciała wiedzieć, co by się stało, gdyby ta sama technologia powstała przed Jedną Trzecią.

Analitycy wzięli siedemnaście warunków technologicznych i umieścili je w dawnym środowisku finansowym.
Trzydzieści walut.

Tajemnica bankowa.

Fundusze o nieznanych właścicielach ostatecznych.

Fundacje.

Jurysdykcje podatkowe.

Tajemnice handlowe.

Różne systemy licencjonowania.

Ograniczona wymiana danych między państwami.

Następnie model otrzymał zadanie:

Zgromadź potencjał niezbędny do wytworzenia regionalnego pola grawitacyjnego tak, aby żadna pojedyncza instytucja nie widziała więcej niż jedną trzecią projektu.
AI znalazła tysiące możliwości.

Spółka produkcyjna w jednym państwie.

Finansowanie przez fundusz w drugim.

Magazyny energii należące do kolejnej grupy.

Thaeroński materiał kupiony przez pośrednika handlowego.

Umowy badawcze rozdzielone między uniwersytety.

Emitery zarejestrowane jako przemysłowe urządzenia manipulacyjne.

Synchronizatory figurujące jako część infrastruktury energetycznej.

Każdy urząd widziałby coś.

Żaden nie widziałby dostatecznie dużo.

Nerai obserwowała symulację bez słowa.

Zbyt dobrze znała ten obraz.

Kolory były inne.

Technologia była inna.

Mechanizm pozostał ten sam.

Podział jednego zagrożenia na mnóstwo niewinnych części.

Potem analitycy uruchomili to samo zadanie w środowisku Mostu.

Model spróbował rozdzielić własność.

Most powiązał właścicieli ostatecznych.

Spróbował rozdzielić zakupy między spółki zależne.

Most ukazał cały organizm gospodarczy.

Spróbował wykorzystać fundację.

Most widział źródło jej finansowania.

Spróbował sfinansować część projektu długiem.

Most uwzględnił wierzyciela i gwarancje.

Spróbował wynająć urządzenia, zamiast je kupować.

Most wliczył kontrolowany potencjał.

Spróbował wykorzystać kilka państw.

Waluta nie zamieniała już granicy w ślepy punkt.

Przy sześćdziesięciu ośmiu procentach pojawił się pierwszy słaby sygnał.

Przy siedemdziesięciu siedmiu uruchomił się automatyczny nadzór.

Przy osiemdziesięciu pięciu powstał obowiązek zgłoszenia technologicznego.

Przy dziewięćdziesięciu dwóch system nie dopuściłby do sfinalizowania krytycznych zakupów bez stosownego zezwolenia.

Po zakończeniu symulacji w pomieszczeniu długo nikt się nie odzywał.

Daren Voltr siedział obok Nerai.

– Więc to jest pani argument – powiedział w końcu.

– Nie mój.

– Czyj zatem?

Nerai wskazała wyniki.

– Fizyki.

Voltr przetarł twarz.

– Jesair zaczynał od UBI.

– Wiem.

– Mówił o sprawiedliwym udziale.

– Wiem.

– Potem zajmowaliśmy się korupcją. Podatkami. Polityką. Wojną.

Spojrzał na mapę pola grawitacyjnego.

– A teraz twierdzi pani, że potrzebujemy tego samego systemu, żeby pewnego dnia ktoś nie wyłączył nam grawitacji nad połową kontynentu.

Nerai lekko się uśmiechnęła.

– Kiedy pan tak to ujmuje, brzmi to trochę przesadnie.

– A jest przesadą?

Spojrzała na wynik symulacji.

– Nie.

Opinia publiczna dowiedziała się o możliwości wytworzenia regionalnego pola grawitacyjnego dopiero po przyjęciu zasad bezpieczeństwa.

Dostęp do szczegółów pozostał ograniczony.

Ludzie wiedzieli, co ta technologia potrafi.

Znali ogólne rodzaje zdolności niezbędnych do jej wykorzystania.

Nie ujawniono dokładnej geometrii pola, krytycznych warunków synchronizacji ani parametrów, z których można by wyprowadzić praktyczny projekt.
Debata była burzliwa.

Część społeczeństwa chciała, by wszystkie technologie grawitacyjne należały wyłącznie do państwa.

Naukowcy zaprotestowali.

Inni żądali pełnego ujawnienia każdego urządzenia.

Przemysł zwracał uwagę, że systemy grawitacyjne wkrótce staną się zwyczajnym elementem transportu i produkcji.
Ostatecznie Elarion postanowił regulować możliwości zależnie od ich skali.

Niewielki manipulator pozostał zwykłym urządzeniem.

Generatory przemysłowe podlegały rejestracji technicznej.

Zespoły urządzeń zdolne osiągnąć wyższe poziomy pola wymagały zezwolenia.

Przy potencjale zbliżającym się do oddziaływania regionalnego automatycznie włączał się nadzór planetarny.
Najważniejsza część systemu nie dotyczyła gotowego urządzenia.

Most obserwował, czy gdzieś powstają **warunki** do jego stworzenia.

Zmieniło to samo wyobrażenie o bezpieczeństwie.

Poprzednie cywilizacje strzegły magazynów broni.

Elarion nauczył się śledzić narodziny zdolności do jej stworzenia.

Most nie musiał przy tym wiedzieć, co myśli człowiek.

Zamiar pozostawał ukryty w głowie.

Możliwości ekonomiczne miały fizyczne następstwa.

Wymagały materiału.

Energii.

Maszyn.

Budynków.

Ludzi.

Transportu.

Obliczeń.

A wszystkie te rzeczy przepływały przez gospodarkę.

Pewnego wieczoru Nerai i Voltr zostali sami po posiedzeniu.

Za oknami rozciągała się Nitra.

Nad rzeką przesuwały się warstwy ruchu, a między budynkami przemieszczały się nowe grawitacyjne platformy towarowe. Jeszcze kilka lat wcześniej każda z nich wyglądałaby jak cud.
Teraz ludzie prawie ich już nie zauważali.

Voltr obserwował jedną z nich.

Niosła fragment konstrukcji mostu.

– Nadal uważam, że otworzyła pani drzwi czemuś niebezpiecznemu – powiedział.

– Czemu?

– Systemowi, który wie, co człowiek może zrobić, zanim jeszcze to zrobi.

Nerai przez chwilę milczała.

– Tego nie wie.

– Właśnie widzieliśmy tabelę z czternastoma spółkami.

– Wie, co są w stanie zrealizować technicznie. Nie wie, co zrealizują.

– Dla człowieka, którego zaczniecie kontrolować, ta różnica może być niewielka.

– Dlatego kontrolujemy również samą kontrolę.

Voltr się roześmiał.

– Na wszystko ma pani tę samą odpowiedź.

– Bo problem wciąż jest ten sam.

– Władza.

– Tak.

Voltr odwrócił się ku niej.

– A gdybyśmy nie mieli Mostu?

Nerai spojrzała na miasto.

– Przy tej technologii?

– Tak.

Zastanawiała się dłużej, niż Voltr się spodziewał.

– Mielibyśmy licencje. Kontrole producentów. Rejestry urządzeń. Służby bezpieczeństwa. Numery seryjne.

– To nie brzmi beznadziejnie.

– Bo nie jest.

Nerai zwróciła się ku niemu.

– Ale człowiek, który chciałby obejść system, podzieliłby projekt.

Voltr przestał mówić.

– Jedno przedsiębiorstwo zamówiłoby emitery. Drugie urządzenia energetyczne. Trzecie materiał. Czwarte obliczenia. Fundacja finansowałaby badania. Fundusz inwestycyjny byłby właścicielem części zakładów produkcyjnych. Niektórzy ludzie mogliby w ogóle nie wiedzieć, nad czym pracują.

– Jak Arien.

– Tak.

Za oknem przemknęła kolejna platforma towarowa.

– Stary system szukałby urządzenia – ciągnęła Nerai. – Most widzi, że gdzieś zbiegają się warunki, dzięki którym to urządzenie może powstać.

Voltr wpatrzył się w światła miasta.

– A pewnego dnia technologie będą jeszcze potężniejsze.

– Z pewnością.

– Potężniejsze niż ta?

Nerai lekko się uśmiechnęła.

– Sto lat temu dzisiejsze pytanie wydałoby się nam absurdalne.

Voltr skinął głową.

– Więc w przejrzystych pieniądzach ostatecznie nie chodzi przede wszystkim o pieniądze.

Nerai spojrzała na niego.

Nie spodziewała się po nim tego zdania.

– Pieniądze nigdy nie były tylko pieniędzmi.

– Czym zatem są?

Nerai przez chwilę obserwowała strumień świateł po drugiej stronie rzeki.

– Są mapą tego, co człowiek może zrobić w świecie fizycznym.

Voltr milczał.

Nerai mówiła dalej.

– Za pieniądze kupi pan jedzenie. Dom. Statek. Fabrykę. Badania. Energię. Wpływy. Armię. A teraz także urządzenie, które zmienia grawitację.

– Więc kto widzi pieniądze, widzi władzę.

– Jej część.

– A kto kontroluje pieniądze, kontroluje władzę.

– Dlatego Mostem nie może rządzić jeden człowiek.

Voltr uśmiechnął się blado.

– Ostatecznie jednak zrozumiała pani moje dawne zastrzeżenia.

– Zawsze je rozumiałam.

– Tylko je pani ignorowała.

– Nie. Właśnie dlatego zapewniliśmy jawność dostępu.

Voltr się roześmiał.

Tym razem szczerze.

– Z panią nie da się wygrać.

– Mówił mi pan to już przed laty.

Po kilku latach systemy grawitacyjne stały się częścią życia.

Ciężkie ładunki przemieszczały się nad drogami.

Transport orbitalny potaniał.

Na Thaeronie powstały miasta w miejscach, gdzie wcześniej budowa nie miałaby ekonomicznego sensu.

W szpitalach wykorzystywano słabe pola do leczenia ludzi, których ciała nie radziły sobie z własnym ciężarem.

Badacze zaczęli myśleć o statkach zmierzających ku innym gwiazdom.

Technologia, która mogła zabić miliony, zarazem otworzyła Elarionowi drogę do świata, na który wcześniej nie było go stać.

Nerai nie widziała w tym sprzeczności.

Ogień potrafił ogrzać dom i spalić miasto.

Energia mogła podtrzymywać życie szpitala i zasilać broń.

Sztuczna inteligencja mogła szukać lekarstwa i sposobu skuteczniejszego zabijania.

Im więcej technologii opanowywał Elarion, tym mniej znaczyło samo pytanie, czy dany wynalazek jest dobry, czy zły.

Decydujące było to, kto zyskuje możliwość wykorzystania go na wielką skalę, kto o tej możliwości wie i kto może powstrzymać taką władzę.

To właśnie pola grawitacyjne ostatecznie odmieniły publiczną debatę o Moście.

Do tamtej pory znaczna część ludności wciąż postrzegała przejrzyste pieniądze jako reformę gospodarczą.

Pomagały obliczać udział podstawowy.

Ograniczały uchylanie się od podatków.

Ujawniały korupcję.

Utrudniały tajne finansowanie władzy politycznej.

Po odkryciu regionalnego pola grawitacyjnego znaczenie systemu się zmieniło.

Ludzie zrozumieli prostą rzecz.

Jeżeli cywilizacja dysponuje technologiami, za pomocą których jednostka, firma czy państwo mogą oddziaływać na miliony ludzi, musi umieć rozpoznać narodziny takiej władzy, zanim ta w pełni się ukształtuje.

Sama ukryta myśl nic nie ważyła.

Aby ją urzeczywistnić, trzeba było zmusić świat do ruchu.

A świat poruszał się dzięki zasobom.

Ktoś musiał zapłacić za fabrykę.

Ktoś musiał dostarczyć materiał.

Ktoś dostarczył energię.

Ktoś skonstruował maszyny.

Ktoś opłacił naukowców.

Ktoś wynajął przestrzeń.

Ktoś finansował całe lata pracy, podczas których projekt nie wyglądał jeszcze na nic niebezpiecznego.

Każda wielka technologia pozostawiała ślad ekonomiczny na długo przed pierwszym uruchomieniem.

Dawny Elarion rozpraszał te ślady między bankami, państwami i walutami.

Nowy Elarion potrafił zobaczyć je obok siebie.

Dopiero wtedy wielu ludzi zrozumiało zdanie Jesaira szerzej, niż rozumiało je w czasach forum w Nitrze.

Wartość nie może kroczyć w cieniu.

Wartość nie była bowiem tylko bogactwem.

Była zdolnością zmieniania świata.

A cywilizacja, która zaczęła zyskiwać zdolność zmieniania nawet samej grawitacji, nie mogła już sobie pozwolić na niewiedzę o tym, w czyich rękach taka zdolność rośnie.

Nauka dla Ziemi

Uważny czytelnik z pewnością zauważył, że opisywane problemy Elarionu są zarazem problemami współczesnej Ziemi. Jestem przekonany, że można je rozwiązać w sposób bezpieczny i kontrolowany, podobnie jak na Elarionie. A więc przez wprowadzenie na całej planecie jednolitego, scentralizowanego i przejrzystego informatycznego systemu rozliczeniowego. Pokrótce wymienię te problemy i w kilku zdaniach napiszę, jaki wpływ na ich rozwiązanie miałoby wprowadzenie systemu.

Problem niekontrolowanej, rosnącej potęgi technologii na planecie

Postęp naukowy coraz bardziej popycha ludzkość ku sytuacji, w której połączenie takich technologii jak sztuczna inteligencja i biotechnologia pozwala po cichu stworzyć i urzeczywistnić zagrożenie pandemiczne dla całej planety przy minimalnych kosztach. Koszty potajemnego stworzenia laboratorium biologicznego wynoszą zaledwie kilka milionów dolarów, a tyle potrafi dziś zarobić bardziej zaradny nastoletni youtuber. Gdy w nowoczesnej fabryce wejdziemy do magazynu i zapytamy, ile sztuk określonego podzespołu mamy i gdzie je przechowujemy, kierownik magazynu potrafi odpowiedzieć na takie pytanie jednym spojrzeniem do systemu informatycznego. Jestem przekonany, że tak samo powinno działać zarządzanie nowoczesnym społeczeństwem. W razie potrzeby osoby nim kierujące muszą umieć jednym spojrzeniem do systemu rozliczeniowego odpowiedzieć na pytanie, kto korzysta z określonego rodzaju sztucznej inteligencji, a jednocześnie jest powiązany jakimiś przepływami finansowymi z podmiotem, który zamawiał określony rodzaj wyposażenia biologicznego. Umiejętność udzielenia odpowiedzi na takie pytanie może decydować o przetrwaniu albo zagładzie cywilizacji. Mit, że politycy lub osoby zarządzające społeczeństwem powinni mieć jak najmniejszą władzę, obowiązuje tylko dopóty, dopóki przepływy finansowe i majątkowe pozostają niewidoczne. W przejrzystym społeczeństwie polityk nie będzie miał szans ukryć swoich pobocznych zamiarów. Gdy tylko pomyśli o jakimś nadużyciu władzy, zostanie zdemaskowany w chwili, gdy znajdzie to odzwierciedlenie w jego przepływach finansowych. Przejrzystość będzie zabezpieczeniem

pozwalającym zapewnić nam znacznie odpowiedniejszych polityków niż ci, których mamy dziś na planecie.

Jeśli przepływy finansowe staną się przejrzyste, potajemne stworzenie laboratorium biologicznego będzie niemożliwe, ponieważ wszyscy będziemy znacznie lepiej wiedzieli, co kto gotuje w swoim garnku. Oto odpowiedź na pytanie, jak zapanować nad 10 mld ludzi na planecie, żeby się wzajemnie nie pożarli. Każdy będzie mógł potencjalnie kontrolować każdego za pomocą ustandaryzowanego, zabezpieczonego mechanizmu działającego w samym rdzeniu społeczeństwa, co zapewni odpowiednią jakość takiego nadzoru.

Korupcja i niewydolne państwo

Gdy zapytamy współczesnego ekonomistę, jaki jest najpoważniejszy problem, z którym zmaga się ludzkość, wśród najczęstszych odpowiedzi z pewnością pojawi się stwierdzenie, że dotąd nie udało się sprawić, aby państwa działały równie sprawnie jak firmy. W przejrzystym społeczeństwie z jedną walutą nigdy nie zdarzy się, by na korupcji wyrósł jakiś nowy Putin, ponieważ korupcja będzie po prostu niemożliwa. Każde nadużycie władzy stanie się niemal natychmiast widoczne i zostanie od razu ukarane. Po takiej zmianie państwa stopniowo zaczną funkcjonować znacznie lepiej. Szpitale i autostrady będą budowane szybciej niż w Chinach. Nie będzie zamówień po zawyżonych cenach, ponieważ wystarczy jedna osoba, która będzie wiedziała, że cena czegoś jest zawyżona, zajrzy do systemu i za pomocą standardowych mechanizmów eskalacji natychmiast wykrzyczy to całemu światu.

Problemy związane z uchylaniem się od podatków

Podatki mogą zazwyczaj funkcjonować w dwóch wariantach. Albo są wysokie, przez co ludzie na wszelkie sposoby unikają ich płacenia i wpływy są niewielkie, wskutek czego politycy skłonni są jeszcze bardziej je podnosić, co prowadzi do jeszcze niższych wpływów. Albo są względnie znośne, ludzie chcą je płacić, dzięki czemu wpływy są duże, a stawki mogą być jeszcze niższe. Gorsze od wysokich podatków są podatki, które mogą być nawet niższe, ale istnieje wiele sposobów ich unikania. Nic bardziej nie wypacza warunków prowadzenia działalności gospodarczej niż zły, nieprzejrzysty system podatkowy, pełen kruczków pozwalających uniknąć podatków. Rozsądne i możliwe do udźwignięcia podatki wynoszą moim zdaniem najwyżej 25%, i to łącznie z VAT. To, ile podatków i składek płaci

się na przykład na Słowacji od całkowitego kosztu zatrudnienia pracownika, woła o pomstę do nieba. Efektywna stopa opodatkowania przekracza 55–60%, jeśli uwzględni się także VAT i akcyzę. Politycy na Słowacji wprowadzili ponadto wyjątki, które pozwalają na przykład właścicielom spółek z ograniczoną odpowiedzialnością o obrotach do 100 000 EUR płacić podatek wynoszący zaledwie 10%. Oczywiście spowodowało to ogromny odpływ ludzi, którzy masowo zaczęli przechodzić z etatów i jednoosobowej działalności gospodarczej na spółki z o.o.

Jestem przekonany, że gdyby nie istniały sposoby unikania podatków, łączne obciążenie podatkiem i składką w wysokości 25% w zupełności wystarczyłoby do funkcjonowania państwa. Gdyby pieniądze były przejrzyste, byłoby również widać, kto ile podatków zapłacił. Płacenie podatków, a tym samym przyczynianie się do funkcjonowania społeczeństwa, stałoby się kwestią społecznego prestiżu.

Zakończenie konfliktów zbrojnych i natychmiastowe wykrywanie wszelkich nadużyć finansowych

Gdy pieniądze w społeczeństwie będą przejrzyste, nigdy nie będzie można dokonać czegoś takiego, co udało się Hamasowi jesienią 2023 roku – czyli przygotować ataków wojskowych za pomocą broni pozyskanej pokątnie. W przejrzystym systemie nie będzie można podać zakupu rakiet średniego zasięgu jako celu płatności. Do takiego poziomu eskalacji zresztą w ogóle nie mogłoby dojść, ponieważ w przejrzystym społeczeństwie nie byłoby możliwe, by Izraelczycy zabierali Palestyńczykom ich terytorium i bezczelnie jak małpy brali sobie to, co do nich nie należy. Kiedy pieniądze staną się przejrzyste, każdy łajdak, który obecnie wykorzystuje to, że pieniądze spowija zasłona tajemnicy, straci osłonę, a jego czyny staną się przedmiotem społecznego osądu.

Sprawiedliwe i przejrzyste wprowadzanie UBI – powszechnego dochodu podstawowego

Planeta znajduje się obecnie w sytuacji, w której rewolucja AI doprowadzi do gruntownego przebudowania porządku społecznego niezależnie od Widocznych Pieniędzy. Myślę, że za sprawą sztucznej inteligencji znaczna większość ludzi nie będzie mogła znaleźć zatrudnienia. Planecie będą groziły masowe niepokoje napędzane

problemami bytowymi ludzi pozbawionych pracy. Trzeba będzie znaleźć sprawiedliwy sposób podziału wartości wytworzonej dzięki sztucznej inteligencji między ludność pozbawioną dochodu. Ustalenie, kto i ile pieniędzy powinien otrzymać, tak aby było to przejrzyste, adekwatne i możliwe do późniejszego zweryfikowania, po prostu wymaga systemu w rdzeniu społeczeństwa, z którego będzie jasno wynikało, gdzie i jak rozdzielane są jego zasoby. Tego zadania nie da się zadowalająco rozwiązać bez takich danych. Wprowadzenie scentralizowanego systemu rozliczeniowego na całej planecie sprawi, że całe sektory bankowości staną się zbędne, ponieważ alternatywne waluty i usługi pieniężne nie będą już potrzebne. W pierwszej chwili zapewne przerazi to tę branżę, trzeba jednak zdać sobie sprawę, że za sprawą AI porządek społeczny tak czy inaczej ulegnie zasadniczej zmianie. Myślę, że po transformacji związanej z AI w społeczeństwie nie zostanie kamień na kamieniu. To, co nastąpi po wszystkich tych zmianach, będzie zasadniczo odmienne od stanu obecnego – powstanie społeczeństwo zbudowane na nowych podstawach technologicznych, które będzie działało sprawiedliwie i przejrzyście wobec każdego człowieka. Gdy nadchodzący wielki przewrót jako tako się ustabilizuje, ludzie zaczną szukać nowych sensów i sposobów spełnienia w życiu. Zasadniczą rolę odegrają w tym procesie nowe technologie w postaci udoskonalonej rzeczywistości wirtualnej i udoskonalonego interfejsu człowiek–maszyna. Ludzie będą spędzali większość czasu w wirtualnych światach oferujących tak szerokie spektrum możliwych przeżyć, że pierwotna rzeczywistość fizyczna wyda się przy nich pozbawiona barw. Jej zadaniem będzie utrzymywanie człowieka przy życiu, aby mógł z jak najmniejszymi trudnościami korzystać z treści wirtualnych światów.

Wyzwania związane z wiecznym życiem – przejrzyste rozwiązywanie problemów demograficznych planety

Myślę, że ludzkość dzieli zaledwie kilka kroków od opanowania biologicznych mechanizmów starzenia się i regeneracji organizmu w takim stopniu, że zarówno choroby, jak i samo starzenie się przestaną być przyczyną śmierci.

Jeśli ludzie będą żyli potencjalnie wiecznie, pojawi się poważny problem z utrzymaniem zrównoważonej liczby ludności na planecie. W takich warunkach liczba ludzi zacznie bowiem rosnąć wykładniczo. Każdemu, kto się urodzi, planeta będzie musiała zagwarantować godne warunki życia przez potencjalnie nieograniczony czas. Bardzo

prawdopodobne, że pojawią się tendencje do odwodzenia ludzi od posiadania potomstwa, ponieważ będzie ono dla planety ogromnym obciążeniem. Osobiście uważam, że przy efektywnym wykorzystaniu zasobów Ziemia jest w stanie wyżywić dziesiątki razy więcej ludzi niż obecnie. Jeśli jednak ludzie będą chcieli mieć potomstwo, trzeba będzie rozwiązać ten problem przez zasiedlanie kosmosu. Najpierw planet w Układzie Słonecznym, które jako tako będą się do tego nadawały, a później, po rozwoju technologii kosmicznych, zapewne także dzięki podróżom międzygwiezdnym. Przy obliczaniu, jaki przyrost ludności planeta jest w stanie długofalowo udźwignąć, zasadniczą rolę również będą odgrywały dane z centralnego systemu rozliczeniowego.

Ruch polityczny https://HumanityUnitedMovement.org

Już od 2019 roku, po niemal dwudziestu latach przemyśleń i rozważań, pracuję nad systemem informatycznym – aplikacją internetową, która pozwala każdemu użytkownikowi internetu zarejestrować się, a następnie sporządzić w systemie oświadczenie majątkowe. W kolejnym kroku można pod pewnymi warunkami poddać dane w systemie audytowi przeprowadzanemu przez pozostałych użytkowników portalu.
Aplikacja jest dostępna pod adresem https://app.visiblemoney.org

Cała idea opiera się na prostej zasadzie: jeżeli ktoś podda cały swój majątek weryfikacji w ramach takiego internetowego audytu, istnieje duże prawdopodobieństwo, że jego oświadczenie majątkowe jest prawidłowe i kompletne – w przeciwnym razie wystarczyłby bowiem jeden użytkownik, który wiedziałby odrobinę więcej i w ułamku sekundy mógłby wykrzyczeć to na forum internetowym w aplikacji, gdzie natychmiast zobaczyłby to cały świat.

Pierwsza wersja aplikacji była gotowa na Boże Narodzenie 2023 roku. Miałem bowiem nadzieję, że uda mi się zainteresować nią jakiegoś uczciwego polityka przed wyborami prezydenckimi na Słowacji, które odbyły się w lutym 2024 roku. Aplikacja spotkała się jednak z brakiem zainteresowania – nawet ta część sceny politycznej, która na papierze miała podstawy do uznania swoich finansów za czyste, miała problem z ujawnieniem majątku w taki sposób. Prawdopodobnie problem nie tkwił jednak w aplikacji. Kandydat, którego asystent przez pewien czas mi odpowiadał i utrzymywał ze mną kontakt, zachowywał się dość dziwnie, kiedy dziennikarze pytali go o oświadczenie majątkowe. Po kilku kolejnych próbach promowania aplikacji, na przykład wśród posłów do Parlamentu Europejskiego, zrozumiałem, że jeśli chcę, aby polityka zaczęła działać na takich zasadach, będę musiał założyć własny ruch polityczny, który będzie ich przestrzegał od dnia zerowego.
Tak narodziła się idea Humanity United Movement.

Zdrowy rozsądek jako podstawa polityki

Podstawową zasadą ruchu będzie zdrowy rozsądek. Pod tym pojęciem nie rozumiem jakiejś nieokreślonej zdolności człowieka do intuicyjnego rozpoznawania właściwego rozwiązania. Mam na myśli przede wszystkim sposób myślenia, w którym staramy się

zrozumieć istotę problemu, zgromadzić dostępne informacje, rozważyć różne możliwości rozwiązania i wybrać tę, która ma największe szanse przynieść pożądany rezultat.

W polityce bowiem aż nazbyt często spotykamy się z sytuacją, w której najpierw wyrabia się opinię, a dopiero potem szuka argumentów mających ją poprzeć. Politycy uczą się, co chcą usłyszeć ich wyborcy, i odpowiednio dostosowują swoje wypowiedzi. Zamiast rozwiązywać problemy, zajmują się przede wszystkim tym, by ich rozwiązania dobrze wyglądały w mediach i przynosiły polityczne punkty.

Uważam takie podejście za zasadniczy błąd. Jeśli chcemy poprawiać funkcjonowanie społeczeństwa, musimy być gotowi rozważać również rozwiązania, które na pierwszy rzut oka nam się nie podobają. Musimy być skłonni przyznać, że człowiek o przeciwnych poglądach może mieć rację, a nasze własne przekonania mogą opierać się na błędnych założeniach.

Dlatego chciałbym, aby Humanity United Movement wyróżniał się konsekwentnym antypopulizmem. Nie oznacza to, że ruch miałby forsować niepopularne rozwiązania tylko po to, by odróżniać się od innych. Oznacza to, że popularność rozwiązania nie będzie rozstrzygającym kryterium jego słuszności.

Każda istotna decyzja polityczna powinna opierać się na argumentach, które można publicznie zweryfikować. Powinniśmy umieć wyjaśnić, jaki problem staramy się rozwiązać, jakie alternatywy rozważaliśmy, dlaczego wybraliśmy określone postępowanie i jakie wiążą się z nim zagrożenia. Jeśli można wcześniej wymodelować skutki decyzji lub sprawdzić je eksperymentalnie, powinniśmy to zrobić.

Zarazem musimy sobie uświadomić, że nie każdy problem ma jednoznaczne rozwiązanie. Niekiedy eksperci nie są zgodni, brakuje pewnych danych, a poszczególne rozwiązania niosą ze sobą odmienne zalety i wady. W takich sytuacjach przyznanie się do niepewności nie jest oznaką słabości. Słabością jest udawanie pewności tam, gdzie jej nie mamy.

Ważne będzie również to, aby decyzje można było później ocenić. Jeśli okaże się, że jakieś działanie nie przynosi efektów, nie powinniśmy go bronić tylko dlatego, że sami je wprowadziliśmy. Powinniśmy je zmodyfikować albo z niego zrezygnować.

Celem nie jest więc stworzenie grupy ludzi, którzy będą uważali się za nieomylnych głosicieli prawdy. Wręcz przeciwnie. Chciałbym stworzyć środowisko, w którym systematyczne podważanie własnych poglądów będzie naturalnym elementem podejmowania decyzji.

Akademia polityczna

Jedną z rzeczy, których brakuje mi we współczesnej polityce, jest systematyczne przygotowywanie ludzi do zarządzania państwem.

Wyobraźmy sobie, że chcielibyśmy zbudować dom. Zapewne nie liczylibyśmy na to, że człowiek kierujący budową nauczy się wszystkiego, co potrzebne, dopiero w trakcie realizacji. Oczekiwalibyśmy, że będzie rozumiał podstawowe zasady budownictwa, potrafił ocenić pracę poszczególnych specjalistów i rozpoznać, kiedy coś jest nie w porządku.

Wobec zarządzania państwem często jednak nie mamy podobnych oczekiwań. Funkcje publiczne obejmują ludzie, którzy mogą mieć dobre intencje, umiejętności komunikacyjne czy doświadczenie w biznesie, lecz niekoniecznie posiadają dostateczną wiedzę o funkcjonowaniu gospodarki, ochrony zdrowia, oświaty czy innych dziedzin, za które będą ponosili odpowiedzialność.

Oczywiście nikt nie może być specjalistą od wszystkiego. Nie oczekiwałbym też od polityka, że będzie potrafił diagnozować choroby lepiej niż lekarz albo układać programy nauczania lepiej niż doświadczony pedagog. Oczekiwałbym jednak, że będzie rozumiał podstawowe zasady funkcjonowania poszczególnych dziedzin, umiał oceniać jakość argumentów ekspertów i rozumiał szersze konsekwencje swoich decyzji.
Dlatego chcę, aby Humanity United Movement stworzył własną akademię polityczną.

Jej odbiorcami będą przede wszystkim młodzi ludzie otwarci na przejrzystość, którzy interesują się życiem publicznym i chcą kiedyś uczestniczyć w zarządzaniu społeczeństwem. Nie musieliby przy tym z góry decydować, czy chcą zostać posłami, ministrami, burmistrzami czy specjalistami w administracji publicznej. Ważne byłoby to, że chcą zrozumieć, jak funkcjonuje państwo i jak można nim lepiej zarządzać.

Akademia zapewniałaby systematyczne wykształcenie we wszystkich istotnych dziedzinach funkcjonowania państwa. Studenci poznawaliby podstawy ekonomii, finansów publicznych, ochrony zdrowia, oświaty, prawa, stosunków międzynarodowych, bezpieczeństwa, energetyki i ochrony środowiska. Szczególną uwagę poświęcano by funkcjonowaniu administracji publicznej, zarządzaniu organizacjami, pracy z danymi oraz ocenie rezultatów decyzji politycznych.

Najważniejsze byłoby jednak to, aby studenci czerpali z najlepszej dostępnej wiedzy w każdej z tych dziedzin. Nie chodziłoby o zapamiętanie kilku podręcznikowych definicji.

Powinni zrozumieć, jak działają poszczególne systemy, jakie czynniki wpływają na ich wyniki i jakie możliwości ma państwo w rozwiązywaniu konkretnych problemów.

Wyobrażam sobie na przykład, że student otrzymałby zadanie oceny projektu reformy ochrony zdrowia. Musiałby zrozumieć, jak finansuje się ochronę zdrowia, z czego przede wszystkim wynikają jej koszty, jaką rolę odgrywa profilaktyka, jak ocenia się skuteczność leczenia i jakie konsekwencje zmiana systemu może mieć dla pacjentów, personelu medycznego i finansów publicznych.

W podobny sposób mógłby analizować system emerytalny, reformę podatkową, funkcjonowanie oświaty albo wdrażanie sztucznej inteligencji w administracji publicznej. Nie chodziłoby wyłącznie o naukę teorii. Częścią kształcenia byłyby studia praktycznych przypadków, symulacje i opracowywanie własnych propozycji polityk publicznych.

Bardzo istotna byłaby bieżąca aktualizacja materiałów dydaktycznych. Nauka i technologia się rozwijają, a wiedza uznawana dwadzieścia lat temu za najlepszą dostępną nie musi być najlepsza dzisiaj. Akademia musiałaby zatem nieustannie śledzić rozwój poszczególnych dziedzin i współpracować z ekspertami potrafiącymi przekazywać aktualną wiedzę.

Zarazem studenci uczyliby się odróżniać to, co ma mocne podstawy naukowe, od tego, co jest przedmiotem dyskusji specjalistów, oraz od kwestii należących już do sfery wartości lub polityki. Nawet najlepszy ekspert nie może bowiem rozstrzygać za społeczeństwo o wszystkich jego priorytetach w dziedzinie wartości. Może jednak pomóc wyjaśnić konsekwencje poszczególnych możliwości.

Dlatego osobną częścią programu akademii byłaby również metodyka podejmowania decyzji. Studenci uczyliby się pracować z niepewnością, rozpoznawać błędy w argumentacji, porównywać alternatywy i weryfikować własne założenia. Powinni nauczyć się, że dobre podejmowanie decyzji nie polega na tym, by zawsze mieć natychmiastową odpowiedź, lecz na umiejętności dochodzenia do jak najlepszej odpowiedzi dostępnymi środkami.

Wyobrażam sobie, że akademia byłaby otwarta także dla osób nienależących do ruchu. Jej misją nie powinno być tworzenie ideologicznie jednolitej grupy polityków. Powinna zapewniać wykształcenie pozwalające człowiekowi lepiej zrozumieć funkcjonowanie społeczeństwa bez względu na jego konkretne poglądy polityczne.

Jeśli uda nam się stworzyć taką instytucję, mogliby ją stopniowo opuszczać ludzie przygotowani do przejęcia odpowiedzialności za poszczególne dziedziny życia publicznego. Nie dlatego, że automatycznie wiedzieliby wszystko lepiej od innych, lecz dlatego, że

mieliby solidne podstawy, umieliby współpracować z ekspertami i rozumieliby konsekwencje swoich decyzji.
Myślę, że to jedna z dróg do trwałego podnoszenia jakości polityki. Zamiast jedynie czekać, aż pojawią się zdolni ludzie, możemy systematycznie tworzyć środowisko, w którym będą się przygotowywali.

Globalny ruch dla globalnego świata

Kolejną podstawową zasadą Humanity United Movement będzie globalny charakter.

Nasz obecny system polityczny opiera się przede wszystkim na państwach narodowych. Każde państwo ma własny rząd, własne interesy i własne priorytety polityczne. Taki porządek ma swoje uzasadnienie. Ludzie potrzebują instytucji, które znają ich lokalne warunki, język, kulturę i szczególne potrzeby.
Problem pojawia się jednak wtedy, gdy interesy narodowe wchodzą w konflikt z interesami ludzkości jako całości lub gdy problemów nie da się skutecznie rozwiązać na poziomie jednego państwa.

Zmiany klimatu, pandemie, międzynarodowa korupcja, zagrożenia dla bezpieczeństwa i skutki postępu technologicznego nie znają granic państwowych. Również sztuczna inteligencja nie będzie respektować granic poszczególnych krajów. Jej rozwój i konsekwencje ekonomiczne będą wpływały na ludzi na całej planecie.

Dlatego uważam za ważne, aby powstał ruch polityczny, który od początku będzie myślał w skali globalnej.

Humanity United Movement powinien stopniowo tworzyć organizacje w poszczególnych krajach świata. Każda z nich działałaby w lokalnych warunkach i przestrzegała demokratycznych zasad danego kraju. Zarazem wszystkie łączyłyby wspólne zasady: zdrowy rozsądek, przejrzystość, odpowiedzialność i dążenie do rozwiązywania problemów w szerszym interesie ludzkości.

Wyobrażam sobie, że poszczególne organizacje krajowe współpracowałyby w sprawach, w których skoordynowane działania przynoszą istotne korzyści. Powstałaby w ten sposób przestrzeń do wymiany doświadczeń, porównywania rezultatów polityk i szukania rozwiązań, które sprawdziły się w różnych krajach.

Globalny charakter nie oznacza jednak dla mnie, że jeden ośrodek miałby decydować o wszystkim. Przeciwnie, organizacja musi umieć odróżniać kwestie wymagające wspólnego działania od tych, w których lepiej pozostawić decyzje na poziomie lokalnym.

Poszczególne oddziały potrzebowałyby zatem dostatecznej samodzielności, a zarazem mechanizmów zapewniających przestrzeganie wspólnych zasad ruchu. Poważne spory rozstrzygano by przejrzyście, z możliwością krytyki i weryfikacji podjętych decyzji.
Celem nie byłoby stworzenie kolejnej struktury władzy, rywalizującej z innymi o jak największe wpływy. Celem byłoby zbudowanie międzynarodowej sieci ludzi zdolnych współpracować nad problemami, których rozwiązanie wykracza poza możliwości poszczególnych państw.

Przejrzystość jako podstawa zaufania

Przejrzystość sytuacji majątkowej polityków będzie jedną z najbardziej wyrazistych cech Humanity United Movement.

Od ludzi, którzy chcą decydować o finansach publicznych i wpływać na życie innych, oczekiwałbym ponadprzeciętnej gotowości do ujawnienia, jaki majątek posiadają, jak go zdobyli i jakie powiązania finansowe mogą wpływać na ich decyzje.

Członkowie ruchu musieliby zatem publikować swoje oświadczenia majątkowe za pośrednictwem projektu Widoczne Pieniądze i poddawać je niezależnej weryfikacji według z góry ustalonych zasad. Zakres kontroli musiałby być dostosowany do stopnia odpowiedzialności publicznej danej osoby.

Taki system nie powinien sprowadzać się do formalnego wypełnienia formularza. Jego sensem byłoby umożliwienie kontroli danych i zwracanie uwagi na nieścisłości wymagające wyjaśnienia. Opinia publiczna dysponowałaby dzięki temu większą ilością informacji, na podstawie których mogłaby oceniać wiarygodność swoich przedstawicieli.

Sama przejrzystość oczywiście nie gwarantuje, że człowiek będzie dobrym politykiem. Może mieć uczciwie zdobyty majątek, a mimo to podejmować złe decyzje. Może być ekspertem, a zarazem nie umieć współpracować. Może mieć dobre intencje, ale niedostateczną wiedzę.

Właśnie dlatego uważam za ważne połączenie przejrzystości z akademią polityczną i konsekwentną oceną rezultatów pracy osób pełniących funkcje publiczne. Każde z tych narzędzi rozwiązuje inną część problemu. Przejrzystość pozwala lepiej kontrolować interesy finansowe, kształcenie podnosi poziom przygotowania merytorycznego, a ocena rezultatów pokazuje, czy podjęte decyzje rzeczywiście przynoszą efekty.

Zarazem nie chciałbym, aby przejrzystość polityków stopniowo przerodziła się w wymóg całkowitego upublicznienia życia każdego człowieka. Prawo do prywatności jest

ważne, a zakres kontroli musi być proporcjonalny do celu. Odpowiedzialność publiczna wymaga surowszych zasad niż zwykłe życie prywatne.

Zasadnicza musi jednak pozostać reguła, że ani założyciel ruchu, ani jego kierownictwo nie będą stali poza systemem kontroli. Jeśli przejrzystość ma być wiarygodna, musi obowiązywać również tych, którzy ją propagują.

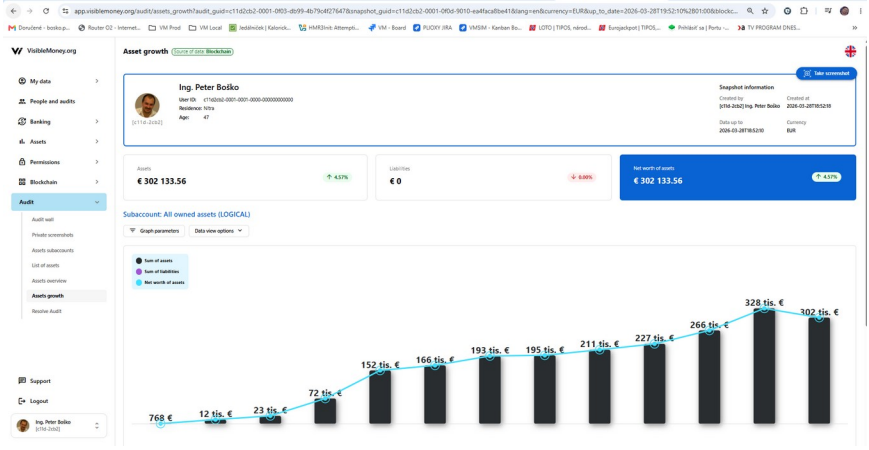

Zestawienie wzrostu mojego majątku w czasie w aplikacji Widoczne Pieniądze

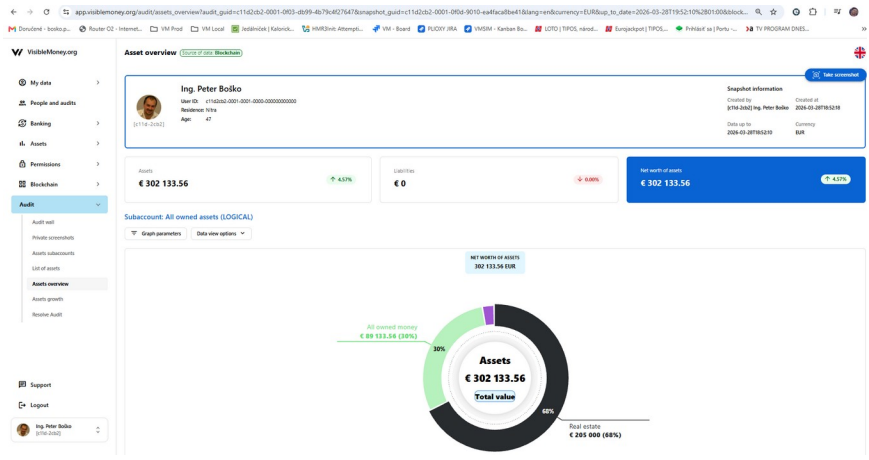

Zestawienie struktury majątku w aplikacji

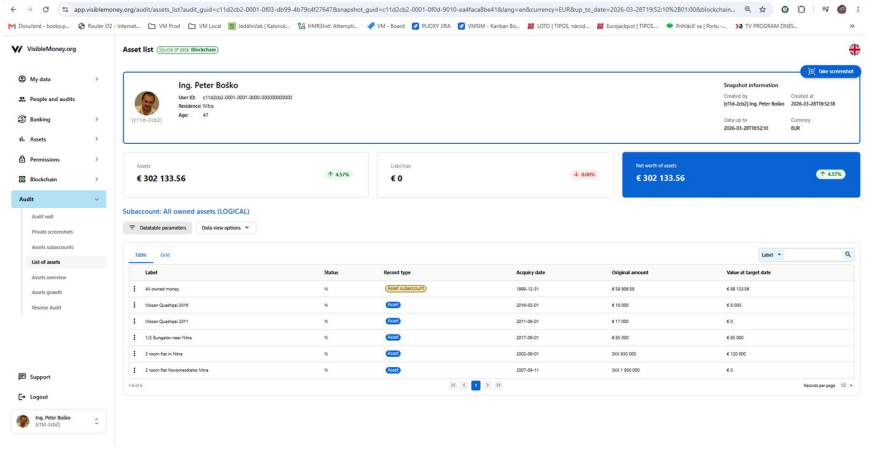

Poszczególne wpisy dotyczące majątku

Postęp technologiczny i przyszłość pracy

Jednym z największych wyzwań, z którymi ludzkość zmierzy się w nadchodzących dziesięcioleciach, jest rozwój sztucznej inteligencji i automatyzacji.

Technologie mogą znacząco zwiększyć produktywność, obniżyć koszty wielu usług i umożliwić rozwiązania, które dziś są zbyt drogie lub zbyt trudne technicznie. Zarazem jednak mogą zasadniczo zmienić rynek pracy i sposób, w jaki ludzie zdobywają środki do życia.

Jeśli maszyny i inteligentne systemy będą potrafiły wykonywać coraz większą część pracy, którą dziś wykonują ludzie, będziemy musieli odpowiedzieć na pytanie, jak podzielić korzyści z takiego postępu.

Obecnie dochody większości ludzi wiążą się bezpośrednio lub pośrednio z ich pracą zawodową. Jeśli jednak znaczną część produkcji będzie można zapewnić przy istotnie mniejszym nakładzie ludzkiej pracy, tradycyjne mechanizmy podziału dochodów mogą nie wystarczyć.

Nie wiemy dokładnie, jak szybko nastąpią te zmiany ani jaką przybiorą postać. Uważam jednak za nieodpowiedzialne ignorowanie możliwości, że będą miały zasadnicze konsekwencje społeczne.

Jednym z rozwiązań, które trzeba będzie gruntownie zbadać, jest powszechny dochód podstawowy. Jego celem byłoby zapewnienie ludziom podstawowych materialnych warunków życia również w sytuacji, gdy nie da się znaleźć dla nich tradycyjnego zatrudnienia.

Takie rozwiązanie wymaga jednak odpowiedzi na wiele pytań. Jak je finansować? Jaka powinna być wysokość dochodu? Jak będzie się on wiązał z istniejącymi świadczeniami społecznymi? Jakie będzie miał skutki dla motywacji do pracy, konsumpcji, cen i finansów publicznych?

Nie powinniśmy szukać odpowiedzi na podstawie ideologicznych wyobrażeń. Powinny one wynikać z modeli ekonomicznych, eksperymentów, projektów pilotażowych i bieżącej oceny rezultatów.

Właśnie tutaj mogą połączyć się wszystkie trzy podstawowe zasady Humanity United Movement. Zdrowy rozsądek pomoże nam badać poszczególne rozwiązania, przejrzystość pozwoli lepiej kontrolować przepływ środków publicznych, a współpraca globalna pomoże rozwiązywać problemy wykraczające poza granice poszczególnych państw.

Równość szans i godność człowieka

Chciałbym, aby Humanity United Movement wyznawał przekonanie, że wartość człowieka nie zależy od miejsca urodzenia, pochodzenia, koloru skóry, płci ani orientacji seksualnej.

Ludzie przychodzą na świat w bardzo różnych okolicznościach. Niektórzy od dzieciństwa mają dostęp do dobrej edukacji, bezpiecznego otoczenia i możliwości rozwijania swoich zdolności. Inni muszą pokonywać przeszkody, których sami nie wybrali, a które mogą zasadniczo ograniczyć ich życiowe możliwości.

Uważam za ważne tworzenie społeczeństwa, w którym każdy człowiek będzie mógł rozwijać swój potencjał. Nie oznacza to, że wszyscy muszą osiągać takie same wyniki. Oznacza to, że powinniśmy usuwać zbędne bariery i pomagać ludziom, którzy bez odpowiedniego wsparcia nie mają dostępu do podstawowych możliwości.
Takie podejście obejmuje dobrą edukację, dostępną opiekę zdrowotną, skuteczną pomoc ludziom w potrzebie oraz uczciwe warunki prowadzenia działalności gospodarczej i pracy.

Równą godność wszystkich musimy jednak szanować także przy rozwiązywaniu trudniejszych kwestii społecznych, w których ścierają się różne wartości i interesy. Zamiast automatycznie odrzucać odmienne poglądy, powinniśmy badać ich argumenty, konsekwencje i zgodność z podstawowymi prawami człowieka.

Nie oznacza to, że każde stanowisko jest równie słuszne ani że we wszystkim musimy się zgadzać. Oznacza to, że nie powinniśmy oceniać ludzi na podstawie uprzedzeń, a zasady społeczne muszą dać się uzasadnić również wobec tych, których dotyczą.

Myślenie długofalowe i odpowiedzialność za przyszłość

Kolejną zasadą ruchu będzie dążenie do podejmowania decyzji z uwzględnieniem ich długofalowych konsekwencji.

Na politykę często wpływają cykle wyborcze. Działanie, które przynosi korzyści natychmiast, może być bardziej atrakcyjne politycznie niż rozwiązanie, którego pożytki ujawnią się dopiero za dziesięć czy dwadzieścia lat. Nie oznacza to jednak, że jest ono także lepsze dla społeczeństwa.
Przy podejmowaniu decyzji dotyczących finansów publicznych, energetyki, środowiska, edukacji czy rozwoju technologicznego powinniśmy brać pod uwagę również konsekwencje, które poniosą przyszłe pokolenia.

Będziemy wspierać badania naukowe, innowacje technologiczne i poszukiwanie rozwiązań pozwalających podnosić jakość życia bez zbędnego marnowania zasobów. Zarazem musimy wystrzegać się przekonania, że postęp technologiczny automatycznie rozwiąże każdy problem. Jeśli polegamy na przyszłych wynalazkach, musimy mieć przygotowane także rozwiązania alternatywne na wypadek, gdyby nie pojawiły się na czas albo nie działały zgodnie z oczekiwaniami.

Ten sam sposób myślenia powinien obowiązywać w odniesieniu do konfliktów międzynarodowych. Wojny często powodują ogromne straty ludzkie i gospodarcze, których następstwa utrzymują się przez całe pokolenia. Dlatego uważam za ważne poszukiwanie mechanizmów zmniejszających ryzyko konfliktów, wspierających dyplomację, a zarazem chroniących prawo narodów do decydowania o własnej przyszłości.

Jak powinien działać sam ruch

Humanity United Movement trzeba będzie zbudować według tych samych zasad, które chce upowszechniać w społeczeństwie.

Nie wystarczy wymagać przejrzystości od polityków innych partii. Musimy stosować ją także we własnych szeregach. Nie wystarczy mówić o fachowości, jeśli przy wyborze kandydatów będziemy stawiali osobistą lojalność ponad umiejętnościami. I nie wystarczy wzywać do demokratycznej kontroli, jeśli nie będzie można krytykować własnego kierownictwa.

Dlatego trzeba będzie stworzyć jasne zasady wyboru i odwoływania kierownictwa, kontroli finansowania, rozwiązywania konfliktów interesów oraz podejmowania decyzji w zasadniczych kwestiach programowych.

Globalny ruch musi umieć współpracować ponad granicami państw, a zarazem szanować lokalne procesy demokratyczne. Wspólne zasady będą stanowiły fundament jego tożsamości, lecz konkretne działania trzeba będzie dostosowywać do warunków poszczególnych społeczeństw.

Ważne będzie również stworzenie w ruchu przestrzeni na sprzeciw. Jeśli ktoś zwróci uwagę na błąd w programie lub niepożądane skutki podjętej decyzji, nie powinien być uważany za wroga ruchu. Powinien mieć możliwość przedstawienia swoich argumentów i uzyskania ich rzetelnej oceny.

Żadna organizacja nie jest bowiem odporna na ambicje władzy, myślenie grupowe czy błędne decyzje. Różnica między organizacją dobrze a źle funkcjonującą nie polega na tym,

że jedna nie popełnia błędów. Polega na tym, jak potrafi je wykrywać, naprawiać i zapobiegać ich powtarzaniu.
Dlatego chcę, aby Humanity United Movement był organizacją zdolną kontrolować także samą siebie.

Co właściwie chcemy osiągnąć?

Gdybym miał ująć cały projekt w jednej myśli, powiedziałbym, że staramy się stworzyć warunki, w których ludzkość potrafiłaby lepiej wykorzystywać własne możliwości.

Mamy naukowców, którzy potrafią badać funkcjonowanie przyrody. Mamy technologie pozwalające automatyzować coraz więcej czynności. Mamy systemy gospodarcze zdolne tworzyć ogromne bogactwo. Mamy dostęp do informacji, o jakim poprzednim pokoleniom nawet się nie śniło.
Mimo to często nie potrafimy przekuć tych możliwości w odpowiedzialne decyzje, dobre usługi publiczne i godne warunki życia dla jak największej liczby ludzi.

Nie sądzę, by przyczyną był jeden problem ani by rozwiązała go jedna aplikacja, jedna partia polityczna czy jedna reforma. To zbiór wzajemnie powiązanych problemów, które wymagają lepszych instytucji, lepszej edukacji, bardziej przejrzystego podejmowania decyzji i umiejętności współpracy.

Widoczne Pieniądze są jednym konkretnym narzędziem służącym poprawie kontroli interesów finansowych w życiu publicznym. Akademia polityczna jest sposobem przygotowywania ludzi do odpowiedzialnego podejmowania decyzji. Humanity United Movement ma stworzyć strukturę polityczną i organizacyjną, która będzie potrafiła łączyć i wdrażać te oraz inne narzędzia.
Każda z tych części ma własne zadanie. Żadna sama w sobie nie wystarcza.

Nie oczekuję, że uda nam się stworzyć doskonały system ani że wszystkie nasze propozycje będą słuszne. Oczekuję jednak, że będziemy potrafili otwarcie wyjaśniać nasze decyzje, przyznawać się do własnych błędów i systematycznie szukać lepszych rozwiązań.
Jeśli taki projekt ma mieć sens, musi zacząć się od ludzi gotowych przyjąć odpowiedzialność, przygotować się do niej i poddać swoje działania kontroli.

I musi pozostać otwarty także na tych, którzy się z nami nie zgadzają. Celem nie jest bowiem przekonanie całej ludzkości, by dołączyła do jednej organizacji politycznej. Celem jest przyczynienie się do tego, byśmy jako ludzkość potrafili lepiej rozwiązywać wspólne problemy.

Właśnie dlatego ruch nazywa się Humanity United Movement.

Nie dlatego, że już zjednoczyliśmy się w poglądach. Lecz dlatego, że mimo wszystkich różnic łączą nas wspólna przyszłość i odpowiedzialność za świat, który po sobie pozostawimy.

Apel do nowego pokolenia

Jeśli jesteś młodym człowiekiem i czasem masz poczucie, że świat mógłby funkcjonować znacznie lepiej, być może właśnie teraz nadszedł czas, by przestać tylko się przyglądać i zacząć zastanawiać się, co możesz z tym zrobić.

Nie musisz być doświadczonym politykiem. Nie musisz mieć za sobą studiów ekonomicznych, prawniczych ani stosunków międzynarodowych. Nie musisz znać odpowiedzi na każde pytanie. Ważne, byś miał chęć zrozumienia świata, gotowość do nauki, umiejętność podważania własnych poglądów i odwagę przyjęcia odpowiedzialności za sprawy, które cię dotyczą.

Właśnie takich ludzi chciałbym zaprosić do Humanity United Movement.

Wyobraź sobie politykę, do której nie trzeba wchodzić dopiero wtedy, gdy ma się za sobą dwadzieścia lat kariery i zbudowaną sieć kontaktów. Politykę, do której możesz zacząć przygotowywać się już dziś. Politykę, w której będziesz mógł zdobywać wiedzę o funkcjonowaniu państwa, dyskutować z ludźmi z różnych dziedzin, analizować problemy społeczne i stopniowo przygotowywać się do odpowiedzialności, którą być może kiedyś przyjmiesz.

Właśnie dlatego chcemy stworzyć akademię polityczną, która pomoże przygotować nowe pokolenie ludzi zdolnych rozumieć złożone problemy nowoczesnego społeczeństwa. Nie chcemy, byś bez zastrzeżeń przyjmował poglądy założycieli ruchu. Chcemy, byś nauczył się samodzielnie myśleć, pracować z faktami, rozpoznawać rzetelne argumenty i nie bać się powiedzieć, że ktoś się myli – nawet gdyby tym kimś była osoba z kierownictwa naszego własnego ruchu.

Jest jednak jeden warunek, który ma nas odróżniać od zwykłej polityki.

Jeśli wymagamy od polityków przejrzystości, musimy zacząć od siebie.

Każdy, kto zdecyduje się dołączyć do Humanity United Movement, musi być gotowy od początku jawnie deklarować swój majątek za pośrednictwem projektu Widoczne Pieniądze i poddawać swoje oświadczenie majątkowe ustalonej kontroli. Nie dopiero

wtedy, gdy będzie kandydował w wyborach. Nie dopiero wtedy, gdy obejmie ważną funkcję. Od początku.

Nie dlatego, że samo posiadanie majątku jest czymś podejrzanym. Wręcz przeciwnie. Uczciwie zdobyty majątek nie jest powodem do wstydu. Jeśli jednak chcemy stworzyć środowisko polityczne, w którym interesy finansowe nie są ukrywane przed opinią publiczną, musimy być gotowi dawać przykład.

Przejrzystość nie oznacza zarazem, że będziemy uważali się za lepszych ludzi od tych, którzy do nas nie dołączą. Oznacza, że dobrowolnie przyjmiemy wyższy standard kontroli i pozwolimy innym oceniać, czy rzeczywiście go przestrzegamy.

Być może pytasz, czy niewielki ruch może w ogóle mieć jakiekolwiek znaczenie w porównaniu z ogromnymi partiami politycznymi, państwami i globalnymi interesami gospodarczymi.

Każda wielka zmiana musi się jednak gdzieś zacząć. Nie musimy dziś dokładnie wiedzieć, jak będzie wyglądał świat za trzydzieści lat. Musimy jednak zacząć tworzyć instytucje, zasady i sposoby myślenia, które pozwolą nam lepiej niż dziś sprostać jego przyszłym wyzwaniom.

Jeśli uda nam się zbudować organizację, w której będą spotykali się ludzie gotowi się kształcić, działać przejrzyście, współpracować ponad granicami państw i weryfikować swoje poglądy w świetle nowej wiedzy, samo w sobie będzie to konkretnym krokiem we właściwym kierunku.

Nie ma znaczenia, czy kiedyś zostaniesz posłem, ministrem, ekspertem od polityk publicznych, przedsiębiorcą, czy pozostaniesz człowiekiem, który po prostu interesuje się funkcjonowaniem społeczeństwa. Każdy może wnieść swój wkład w inny sposób.

Jeśli ta idea do ciebie przemawia, zapraszam cię do zrobienia pierwszego kroku. Zarejestruj się w projekcie Widoczne Pieniądze, poznaj jego zasady i rozważ dołączenie do Humanity United Movement. Dołącz ze świadomością, że nie będziesz jedynie wymagał zmiany od innych, lecz będziesz gotowy zacząć także od siebie.
Formularz rejestracyjny znajdziesz pod adresem:

https://app.visiblemoney.org/register

Nie proszę cię o ślepe zaufanie. Proszę, byś gruntownie przemyślał tę ideę, zadawał niewygodne pytania i sam ocenił, czy warto poświęcić jej swój czas i umiejętności.

Być może właśnie twoje pytanie ujawni błąd, którego nie zauważyliśmy. Być może twój pomysł pomoże rozwiązać problem, z którym nie umiemy sobie poradzić. A być może

pewnego dnia będziesz jednym z ludzi decydujących o tym, jak będzie funkcjonowało nasze społeczeństwo.

Przyszłość nie jest jedynie czymś, co odziedziczymy po poprzednich pokoleniach. Jest także czymś, co własnymi decyzjami tworzymy dla następnych.

Jeśli chcemy, by była lepsza, musimy być gotowi zacząć nad nią pracować już dziś.

Humanity United Movement – jedna ludzkość, wspólna przyszłość.